



***STEPHANIE COWELL***



***POŚLUBIĆ  
MOZARTA***

*Tytuł oryginalny: Marrying Mozart*

*dla Russella w chwilach wielkiej radości*  
*Questo giorno di tormenti, di capricci e di follia,*  
*in contenti e in allegria solo amor può terminar.*  
**Niech ten dzień pełen kłopotów, zakusów i błazeństw**  
**zamknie się uczuciem błogości, jakie niesie miłość.**  
**z *Wesela Figara* Mozarta, akt czwarty, finał prapremiera,**  
**Wiedeń 1786**

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mężowi, Russellowi Clayowi, za miłość, zachętę, literackie rady oraz stałą obecność podczas pisania tej książki; mojej agentce Emmie Sweeney i redaktorce Carole DeSanti, za zrozumienie mojej artystycznej wizji i pełne wrażliwości podejście do tekstu, co pozwoliło odpowiednio ukształtować rękopis; również współredaktorce Karen Murphy i całemu zespołowi wydawnictwa Viking. Specjalne podziękowanie należy się mojemu młodszemu synowi Jesse'owi Cowellowi, filmowcowi, który w przyływie natchnienia nadał tytuł niniejszej powieści.

Wśród tych, którzy czytali wstępne wersje tej powieści i wzbogacili ją swoimi historycznymi oraz artystycznymi komentarzami, znajdują się: Katherine Kirkpatrick, Sally Lowe Whitehead, Elsa Okon Rael, Christine Emmert, Judith Ackerman, Ellen Beschler oraz Richard Somerset Ward. Dr Jean Houston pojawiła się w moim życiu na tyle wcześnie, żeby przeczytać fragmenty pierwszego szkicu powieści i udzielić mi bezcennego, duchowego wsparcia. Jestem wdzięczna mojemu ojcu i macosze, Jimmy'emu i Viraji Mathieu, bo to oni zabrali mnie w pierwszą podróż do Salzburga. Viraja zapoznała mnie z rodzinną korespondencją Mozarta.

Inni, którzy okazali się niezwykle pomocni na tej szczególnej drodze powstawania książki, to Sandra Scofield, Mary Cunnane, Sebastian Ritscher, Madeleine L'Engle, John Kavanaugh, Lori Lettieri, Alice Tufel, Phil Militio, Renee Cafiero i Bob Blumenfeld. Czułe słowa należą się mojemu starszemu synowi Jamesowi Nordstromowi, jego żonie Jessice oraz moim wnuczkom; mojej siostrze Jennie, jej mężowi Jerry'emu i synowi Davidowi; oraz licznej i serdecznej rodzinie mojego męża, szczególnie zaś Eugenii Head. Ogromnie wzbogaciło mnie wsparcie kolegów z pracy; duchownych, parafian, pracowników oraz muzyków mojego kościoła – kościoła św.

Tomasza przy Piątej Alei, a także wszystkich sióstr Zgromadzenia Ducha Świętego.

Genezy niniejszej książki należy szukać w mojej wczesnej młodości, kiedy to zakochałam się w operach Mozarta i spędziłam wiele mroźnych zimowych popołudni w kolejkach po bilety do poczwiwej Metropolitan Opera House. W tamtych latach i w tych późniejszych, kiedy byłam już śpiewaczką operową, miałam przyjaciół, z którymi często śpiewałam Mozarta. Jest ich zbyt wielu, bym mogła ich tutaj wymienić, niemniej dziękuję im bardzo za to wszystko, co nas wtedy łączyło.

## ZOFIA WEBER, LUTY 1842, SALZBURG

Natrafiłam dzisiaj na leżące głęboko w szafie pudełko z cienkiego drewna, które kryło ślubny kapelusz mojej siostry. Biały aksamit zżółkł, jednak kwiaty, które własnoręcznie do niego przymocowałam, nadal tam tkwiły, kruche teraz jak zetlały papier. Sześćdziesiąt lat temu, w dniu, w którym poślubiła młodego Mozarta, przypięłam ten kapelusz do jej miękkich włosów.

Kiedy go uniosłam, mój wzrok padł na leżące pod nim listy. Nie przeczytałam ich jednak; siedziałam tylko czas jakiś z pudełkiem spoczywającym na mojej sutej spódnicy. Minęło popołudnie, sama nie wiem kiedy; w Austrii zimą wieczory nadchodzą wcześniej. Światło w pokoju było przyćmione, story częściowo zaciągnięte, żeby przytłumić turkot powozów i dźwięk końskich podków uderzających o bruk. Córeczka gospodyni wcześniej przyniosła mi świece. Zagląda do mnie często, podobnie zresztą jak jej matka, bo jestem stara i ociężała, z wysiłkiem pokonuję nawet niewielkie odległości, ktoś zatem musi przynosić mi posiłki i wynosić nocnik.

Mimo że od lat nie opuszczałam swojego pokoju, nie jestem samotna. Odwiedzają mnie goście. Kilka dni temu zawitał tu pewien Anglik. Pełen oczekiwań stanął w drzwiach, przyjrzał mi się z ciekawością i głosem wyrażającym szacunek zapytał, czy pamiętam swoje siostry i siebie z czasów, kiedy pewien nieznany jeszcze wówczas, młody kompozytor wkroczył w nasze życie.

- Jest pani jedną z czterech sióstr Weber – stwierdził cicho.
- Owszem, monsieur, jestem.

– Tych, dla których pisał muzykę i z którymi był tak blisko? Madame, jestem poruszony. Zamierzam czas jakiś zabawić w Austrii i pragnąłbym odwiedzać panią w dogodnych dla niej chwilach. Czy będzie pani łaskawa ze mną porozmawiać? Czy zechce pani wyświadczyć mi tę przysługę?

Powiedział, że jest biografem. Nie zjawił się ponownie, ale jestem przekonana, że przyjdzie.

Jeszcze nie teraz, jeszcze nie, ale za krótką chwilę odłożę pudełko i być może jutro, kiedy nie będę taka zmęczona, zajrzę do tych listów. Niektóre są od niej, większość jednak od niego. Czy pamiętam? Och, pamiętam, jakby to było dziś. Tylko czuję ogarniającą mnie słabość. Będę musiała podeprzeć się laską.

Wstaję powoli. Przymykam oczy i mój mały, przykurzony, ciemny pokój znika, podobnie jak moje ociążałe ciało, a ja znowu jestem z siostrami, z rodzicami, w ciasnym mieszkaniu na czwartym piętrze domu przy jednej z bocznych uliczek Mannheim. Słyszę dźwięki muzyki i wybuchy śmiechu, i szmer nalewanego do kieliszków wina. Jest czwartkowy wieczór, widzę schodzących się muzyków i naszego Mozarta, który pierwszy raz wspiał się po tych schodach. To było w czwartek; musiało być w czwartek. Miałam jedenaście lat, na ciemnej sukience nosiłam biały fartuszek, byłam najmłodsza w rodzinie...

# *CZĘŚĆ PIERWSZA*

## *MANNHEIM I WEBEROWIE*

*1777*

Frydolin Weber spoglądał w dół ze szczytu skrzypiących drewnianych schodów skromnej kamienicy w Mannheim, a świeca, którą trzymał, rzucała migotliwe światło na krzywiznę poręczy.

– Uważajcie na uszkodzony stopień – wołał z troską w głosie. – Tędy, tędy.

W średnim wieku, szczupły, z niewielką jedynie krągłością pod kamizelką, ubrany był w długi do kolan kaftan, spod którego wychodziły sięgające pod zapinki spodni białe, bawełniane, pocerowane pończochy. Siwiejące proste włosy, przewiązane na karku czarną wystrzępioną wstążką, opadały mu luźno na plecy. Wykręcał długą szyję, żeby dojrzeć idących po schodach.

Za nim jaśniała oświetlona szczerze ośmioma świecami, odkurzona i wypucowana bawialnia ciasnego mieszkania. W niej zaś, tuż obok klawesynu, stały jego cztery córki, w wieku od lat jedenastu do dziewiętnastu, ubrane w najlepsze ze swoich codziennych sukien, z włosami połyskującymi gęstwą loków, które zaledwie godzinę wcześniej zostały uwolnione z ciasno zawiniętych papilotów. Był czwartek. W czwartkowe wieczory, kiedy przychodzili przyjaciele, wszystko jakoś zawsze układało się dobrze.

Pozostałe pomieszczenia zostały pozbawione oświetlenia, jeśli nie liczyć ognia pod blachą w kuchni, bo wszystkie świece przyniesiono tutaj. Bawialnię uprzątnięto, na klawesynie udrapowano szal; posortowane nuty leżały w porządnym stosach na podłodze. Maria Cecylia, korpulentna małżonka Webera, wynurzyła się z kuchni i stanęła u jego boku; wcale nie wyglądała na osobę, która tkwiła przy piecu od wielu godzin zajęta przygotowywaniem wypieków.

– Nie wystarczy wina. Twój kuzyn Alfons ciągnie jak gąbka – mruknęła.

Słowa te nie były żadnym zaskoczeniem dla Webera.

– Nalewaj do małych kieliszków – poradził, ściskając jej ramię. – Chodźcie, chodźcie, drodzy przyjaciele... nie mogę się doczekać – zawołał radośnie w dół, odwróciwszy się ponownie ku ciemnym schodom.

Z mroku wynurzył się Heinemann, skrzypek z orkiestry dworskiej, i wyciągnął do gospodarza niezmiennie wilgotne dłonie; za nim podążał łysiejący kuzyn Alfons, który zakładał perukę jedynie na swoje występy wiolonczelowe. Dziewczęta stały, trącając się łokciami, szepcząc, dygając. Skóra ich dłoni wyglądała na nieco zniszczoną i spierzchniętą od prania i szycia. Ich młodość miała jednak świeżość kwiatów, wystarczyła im odrobina mydła i czysta suknia.

Wino nalano do małych kieliszków, a tymczasem pojawiło się jeszcze dwóch muzyków. Frydolin Weber zerkał od czasu do czasu przez okno na biegnącą w dół ulicę. Znał wszystkich i wszystko. Najlepiej zaś znał świat muzyki, bo za niewielkie honorarium przepisywał nuty, stronę za stroną. Sam zresztą był wszechstronnym muzykiem. Całkiem biegle opanował grę na półtuzinie różnych instrumentów, głos miał przyjemny, choć niezbyt mocny i nieco chrapliwy. Ileż to było okazji, kiedy mógł się popisać swoją



grą i śpiewem? Był jednak człowiekiem skromnym i nie starał się prostować swoich wąskich, przygarbionych pleców.

– Kogo jeszcze się dzisiaj spodziewasz, Weber? – spytał Alfons przy trzecim kieliszku wina. – Zdaje się, że na kogoś czekasz. Czyżby na Grossmeyera, chórmistrza? Myślałem, że ma dziś wieczór próbę.

– Na nowych przyjaciół, których mi zarekomendowano... pewną damę z Salzburga i jej dwudziestojednoletniego syna, który już zdążył sporo skomponować. – Oparł się o ramę okienną, żeby znowu spojrzeć w dół, po czym usatysfakcjonowany wziął głęboki oddech. – To zapewne oni... tak, to muszą być oni. Zdążają do drzwi wejściowych. – Klucząc pomiędzy krzesłami, pulpitemi i gośćmi, pospieszył do drzwi i raz jeszcze otworzył je na klatkę schodową.

Chłodny powiew wdarł się do pokoju; zamigotały świece.

– Prosimy na górę! – zawołał.

Kobieta o obfitym biuście i z żałobnym wyrazem twarzy pod wysoką fryzurą, dysząc ciężko, postawiła nogę na ostatnim stopniu. Za nią, poruszając się powoli ze względu na matkę, pojawił się syn, blady młodzieniec z wielkimi oczyma i z wydatnym nosem, nieco poniżej średniego wzrostu, o zgrabnej figurze i widocznych spod koronkowych mankietów zwinnych dłoniach.

– Frau Mozart, jakże mi miło, i Herr Mozart, jak sądzę?

– Bardzo to z pańskiej strony uprzejme, żeś nas zechciał zaprosić – odparła Frau Mozart.

Po szybkiej wymianie zdań dziewczęta zniknęły w przyległym pokoju i wróciły z dwoma krzesłami, które zaoferowały nowo przybyłym, natomiast pani Weber doniosła wina. Nastąpiły wzajemne prezentacje, wymieniono ukłony. Frau Mozart balansowała ostrożnie kieliszkiem wina na kolanie. Jej

policzków nie pokrywał róż, a spódnicę zebrała tak blisko ciała, jakby chciała, żeby jak najmniej tkaniny spływało na boki; wargi miała zaciśnięte mocno niczym solidnie zasznurowana sakiewka. Omiotła wzrokiem wszystkie kąty pokoju i nic nie uszło jej uwagi, ani stosy nut, ani tych kilka lichtarzy kinkietowych, dla których zabrakło świec.

Zadowolony Weber zacierał ręce i stojąc obok niej, kołysał się w przód i w tył.

– Czy dobrze rozumiem, że przybyła pani z Salzburga zaledwie przed dwoma tygodniami? I że pani małżonek jest tam zatrudniony jako muzyk na dworze arcybiskupa?

– W rzeczy samej, szanowny panie; przybyliśmy tutaj, żeby poszukać większych możliwości dla mojego syna.

– O, możliwości tu nie brakuje, co Alfons może zaświadczyć. Ja sam kopiuję nuty, troszkę komponuję, gram na kilku instrumentach. Jeśli potrzebna jest muzyka, służę swoją osobą – oznajmił Weber.

Przez cały ten czas Herr Mozart milczał i rozglądał się poważnym wzrokiem po bawialni, kłaniając się, kiedy jego oko napotkało czyjeś spojrzenie.

Podano kawę i ciasta; rozkoszny aromat parującego napoju przemieszany z zapachem cynamonu i śmietanki wypełnił pokoje. W te swoje czwartkowe wieczory Weber niczego nie skąpił, nawet jeśli przez następne trzy dni mieli jeść owsiankę, gęstą i grudkowatą, bez cukru i na mleku poorestniej jakości.

– A teraz posłuchamy muzyki – zawołał gospodarz, kiedy po cieście nie pozostało nic prócz okruchów na gorsach i podłodze. – Cóż to za wieczór bez muzyki? Alfonsie, przyniosłeś nuty dla poszczególnych instrumentów swojego nowego trio? Pospiesz się.

Dziewczęta wycofały się natychmiast pod ścianę, żeby zostawić jak najwięcej miejsca muzykującym, podczas gdy Weber, zarzuciwszy długie poły kaftana, zasiadł przy klawesynie; świece przysunięto bliżej, by oświetlić nuty. Dźwięki skrzypiec i klawesynu zabrzmiały w niewielkim pokoju; Frydolin Weber grał sprawnie, kiwał głową, wykrzykiwał przy fragmentach, które sprawiały mu przyjemność. Heinemann zakończył ostatnią część zamaszystym pociągnięciem smyczka, po czym, spocony i uśmiechnięty szeroko, położył skrzypce na kolanie. Zagrano jeszcze kilka krótkich utworów, wreszcie Weber wstał.

– Zechce pan też coś zagrać, Herr Mozart? – zawołał.

Młody człowiek podskoczył do klawesynu, podciągnął mankiety i zaczął grać sonatę w tempie andante z wariacjami. Każda kolejna wariacja była bardziej kunsztowna od poprzedniej. Weber aż pochylił się do przodu. W grze młodzieńca dało się słyszeć coś niespotykane szlachetnego, a jego lewa ręka miała wprost niezwykłą siłę, tak że muzycy zaczęli spoglądać znacząco jeden na drugiego. Heinemann uśmiechnął się, ukazując małe, szerniałe zęby. Siedział nieruchomo, oddychając przez usta, bębniąc palcami po udzie.

Maria Cecylia Weber lawirowała w swojej szerokiej sukni pomiędzy gośćmi, dolewając im kawy do filiżanek. Rzuciła okiem na tego mężczyznę o małych, białych dłoniach, grającego w takim natchnionym skupieniu, i zauważyła, że kiedy upuściła łyżeczkę z brzękiem na podłogę, jego ramiona zeszywniały i przez kilka następnych chwil pozostawały lekko uniesione.

Muzyka zamilkła równie nagle, jak się rozpoczęła, i wtedy Alfons i Heinemann wstali, bijąc głośno brawo. Wzrok młodego człowieka pozostał nieobecny, jakby nie zauważał tego niewielkiego saloniku i pogrążonych w jego mroku ludzi.

– Znakomity instrument, Herr Weber – odezwał się wreszcie lekkim tenorem. – Przypomina mi inny, na którym przed laty, jako mały chłopiec, grałem w Londynie. Klawesyn Tschudiego. Graliśmy na nim z moją siostrą; miał wyjątkowy mechanizm, jeśli chodzi o ton i głośność.

– Przyjmij moje podziękowanie, panie – odparł Frydolin, zacierając rękę. – Bo jeśli w ogóle instrument może posiadać duszę, to mój niewątpliwie ją ma. Tak, tak, cokolwiek by mówić, jedno wiemy na pewno. Wszyscy to wiemy. Jest pan niezwykle utalentowanym muzykiem! Jakim to utworem nas pan uraczył? Tuszę, że jednym z własnych?

W wielkich oczach Mozarta można było niemal dostrzec ogniki rozbawienia, kiedy tak trzymał palce na pokrywie klawiatury, jakby nie miał ochoty porzucić instrumentu.

– To była ostatnia część sonaty, którą skomponowałem kilka lat temu w Monachium – wyjaśnił. – Mam też kilka tematów na inną sonatę, dla córki Herr Cannabicha, dyrektora waszej tutejszej orkiestry. Mimo młodego wieku jest wielce utalentowana.

– Zna pan Cannabicha? Bo my tu wszyscy grywamy z nim od czasu do czasu – powiedział Frydolin.

Alfons tymczasem nalał sobie kolejny kieliszek wina i głośno pogwizdywał.

W tym momencie świece zamigotały i uwidoczniły na twarzy młodego Mozarta kilka śladów po przebytej prawdopodobnie w dzieciństwie ospie. Frydolin zerknął na stateczną twarz Frau Mozart i pomyślał, że przeszła bardzo ciężkie chwile i musiała się zamartwiać! On sam jedynie łasce boskiej zawdzięczał, że jego córki nie zostały tym nieszczęściem dotknięte.

– Jeszcze jedną filiżankę kawy, prosimy! – zawołał.

Wypito ostatnią kropelkę kawy; zagrano ostatni utwór muzyki kameralnej. I wtedy dwie starsze siostry, Józefa i Alojza, objęły się wzajemnie w tali i zaśpiewały w duecie. Obie miały wysokie głosy, jednak głos Józefy miał barwę ciemniejszą. Z kąta pokoju młodsze dziewczęta obserwowały, jak wznoszą się i opadają pełne piersi ich sióstr, wsłuchiwały się w zawiłe fioritury, wzdychały, kiedy wysokie tony obiegały pokój.

Heinemann kręcił z podziwem głową.

– W całej Europie, w salonach takich jak ten, śpiewają młode dziewczęta – oznajmił. – To sztuka, którą stara się opanować każda kulturalna kobieta, a przecież żadna nie czyni tego z taką gracją jak twoje córki, drogi Weberze.

– Mój panie, dziękuję ci za te słowa – odparł gospodarz stłumionym głosem.

W oddali zegar wybił jedenaście razy. Przybysze podziękowali wylewnie za gościnę i zaczęli wychodzić; Frydolin Weber, którego nawet odrobina wina wprowadzała w dobry nastrój, oświetlał im schody ogarkiem świecy.

– Dobrej nocy, dobrej nocy! – wołał za nimi, kiedy wychodzili na ulicę.

Małżonkowie posprząтали po gościach i ziewając, udali się do sypialni, w której mieściło się duże, żelazne łóżko, kilka kufrów, szafa, a na ścianie wisiał ciemny obraz przedstawiający Jezusa w wieku dziecięcym. Maria Cecylia Weber usiadła ciężko na skraju materaca, który zapadł się pod nią głęboko; już wcześniej zdążyła pozbyć się gorsetu i włożyć wełnianą nocną koszulę. Teraz zakręcała włosy na papiloty, które najpierw opuchniętymi palcami zręcznie zanurzała w jakimś ciepłym, mlecznym płynie wlanym do wyszczerbionej filiżanki.

– Ty i ci twoi przyjaciele – biadoliła. – Alfons nigdy nie rewanżuje się zaproszeniem, my nigdy nie jadamy na jego koszt.

– To przecież nieważne – wtrącił Frydolin, rozbierając się. Migotliwy płomyk ostatniej, dopalającej się świeczki odbijał się w lustrze i ukazywał jego chude nogi, kiedy postępując z cicha, ścigał pończochy.

– Jeśli chodzi o tego młodego człowieka i jego matkę, to widać jasno, że nie mają pieniędzy. „Co jeszcze komponuje?“, spytałam ją, a ona nadeła się i mruknęła: „Wszystko!“, zupełnie jakby potrzebny nam był jeszcze jeden kompozytor, kiedy przy każdym straganie na rynku można znaleźć dwóch takich. Zauważyłeś, ile pochłonęli ciasta i wina, jakby to była ich kolacja? Nie możesz zaprosić odpowiedniejszych ludzi? Tak myślisz o przyszłości swoich biednych córek? Co je czeka? Jak bez posagu znajdą sobie mężów? Czy ty w ogóle myślisz o przyszłości? Jak chcesz ją zapewnić czterem dziewczętom z pensji kopisty i drugiego tenora w kościelnym chórze? – Skończywszy zabiegi przy fryzurze, opadła ciężko na miękkie piernaty, które lata temu wniosła mężowi w posagu.

– Cicho, już cicho – uspokajał ją mąż. – Widzisz, gołąbeczko, nie jest tak źle. Co z tego, że jesteśmy ubodzy? Mamy muzykę i przyjaciół. A dziewczęta śpiewają przepięknie.

– Cóż im to da? – Jego małżonka uniosła głowę i wpatrywała się w niego. – Posłuchaj mnie, Frydolinie. Wiesz, co się stało z moimi dwiema siostrami, z moimi pięknymi siostrami! Z małą Gretką. Pamiętasz tę historię.

– Jakże mógłbym zapomnieć, kiedy ona tyle dla ciebie znaczy.

– Młodość nie trwa wiecznie, one muszą to zrozumieć. A obie starsze są już na pewno w odpowiednim wieku do zamażpójścia.

– Tak, tak, moje złotko – zgodził się, nakładając szlafmycę i wyciągając się na łóżku obok niej. – Masz rację i to wszystko, co mówisz,



jest prawdą. Dobrze gra ten młody człowiek; wydaje mi się, że ma w swoich planach operę.

Maria Cecylia zamilkła; niemal nie czuła ciężaru stwardniałych od odcisków palców męża na swojej piersi ani nie słyszała jego ziewania. Myślała o tym, jak pięknie wyglądały jej córki, kiedy tak stały w blasku świec w rodzinnej bawialni.

– Frydolinie – wyszeptała – to nie są zwykłe dziewczęta. One są pod każdym względem nadzwyczajne. Mam co do nich własne plany. Mam swoje plany.

Jej mąż już tego nie słyszał; zapadł w głęboki sen.

Mieszkanie Weberów na czwartym piętrze starej mannheimskiej czynszowej kamienicy składało się z maleńkiej bawialni, pokoju stołowego, kuchni oraz dwóch niewielkich sypialni. W sypialni dziewcząt stały dwa wąskie, jednoosobowe, żelazne łóżka z postrzępionymi draperiami – na każdym z nich z konieczności musiały się mieścić po dwie siostry. Na jednej ze ścian zawieszono rycinę przedstawiającą świętą Cecylię, patronkę muzyki sakralnej, z oczyma wzniesionymi ku niebu, muskającą smyczkiem struny wioli, pozostałe ściany zdobiły zwisające z haków koszule i spódnice. Jedno z łóżek zagrażało drzwi i trzeba było przez nie przejść, żeby wydostać się z pokoju.

Brzask wschodzącego dnia ukazał czarujący widok, cztery młodziutkie dziewczęta leżały pogrążone we śnie, wszystkie półnagie; koszule nocne zsunięte z krągłych, gładkich ramion, zadarte wysoko na toczonych udach. Pokój przenikał delikatny zapach potu, niezbyt świeżych sukien i rozkwitającej zmysłowości. Dziewczęta starały się zawsze wyglądać pięknie, mając do dyspozycji jedynie kilka jardów porządnej tkaniny, dwa

wisiorki po zmarłej i nadal opłakiwanej babce oraz bardzo ograniczoną liczbę pocerowanych białych pończoch.

Wraz z pierwszym światłem najstarsza z nich, Józefa, uniosła znad poduszki głowę o ciemnych, zwichrzonych lokach. Przeczółgała się ponad Alojzą – łóżko jęknęło pod jej okrytym starą nocną koszulą, miękkim i pulchnym jak ciepły chleb ciałem – następnie, jeszcze mniej ostrożnie, nad młodszymi siostrami. Zegar kościelny wybił szóstą, a przecież poszły spać dopiero o pierwszej. Wyprostowała się na całą wysokość, głową niemalże dotykając pochyłego sufitu, odciągnęła do tyłu pełne ramiona. Och, dlaczego to akurat ona musi dziś wstawać najwcześniej? Pierwszy uczeń przychodzi o siódmej, a przedtem jeszcze trzeba ojcu podać kawę i wyprasować koszulę.

W kuchni roznieciła ogień i postawiła na płycie ciężkie żelazko, żeby się rozgrzało. Przez niewielkie okienko zobaczyła wóz mleczarza. Najmłodsza z nich, Zofia, powinna teraz zbiec na dół i zaopatrzyć rodzinę w świeże mleko. Nie zrobiła tego, a Józefa na pewno nie zrobi tego za nią. Nic nie było w stanie obudzić Zosi, tego małego leniuszka. Cóż, będą jedli suchy chleb, obejdą się bez mleka; to nie jej problem. Dzisiaj zadaniem Alojzy, która oczywiście uważa, że do lepszych rzeczy ją stworzono, jest zabrać nocniki i powędrować z nimi do komunalnego zbiornika na nieczystości.

Za wieżami kościołów niebo pojaśniało.

Józefa splunęła na żelazko, żeby sprawdzić, czy jest dość gorące, spryskała koszule wodą z miseczki i zaczęła zażarcie prasować, zamasztyrmi ruchami silnego ramienia. Co za życie, pomyślała. Ciągłe musieć udawać, że ma się pieniądze, kiedy wcale się ich nie ma; czy tak będzie zawsze? Co zrobić, żeby ich byt nie był zagrożony, bo przecież zawsze spóźniają się z czynszem? Martwiło ją to niezmiernie od paru lat,



kiedy zrozumiała, że żadne wysiłki ojca w dziedzinie muzyki nie oddalają ich od krawędzi ubóstwa.

Wcisnęła zdecydowanym ruchem czubek żelazka w szorstkie płótno rękawa, w miejscu, w którym łączył się on z gorsem, i zaczęła nucić pod nosem arię z jednej z popularnych oper Piccinniego. Śpiewała coraz głośniej i głośniej, aż jej pełny głos rozniósł się po całym mieszkaniu.

– Och, przestań wreszcie, przestań, przestań. Chcę spać. – Z półotwartych drzwi sypialni dobiegł głos Alojzy, jeszcze bardziej srebrzysty niż głos Józefy.

– Ty chcesz spać? W nocy zajęłaś więcej niż swoją połowę łóżka; zawsze tak robisz. Zawsze mnie spychasz, a już dzisiejszego ranka w ogóle nie miałam miejsca i nie mogłam cię przesunąć, ty pulpecie, ty krowo.

– To z tobą nie da się spać, Józefo, bo się bez przerwy wierzisz i ciskasz albo wykrzykujesz coś przez sen! Chcę mieć własne łóżko.

– Cóż, nigdy go nie będziesz miała. Wkrótce wyjdiesz za jakiegoś brutala, który w ogóle nie pozwoli ci spać.

Józefa odstawiła żelazko i ruszyła ku drzwiom sypialni. Alojza i Konstancja zdążyły podnieść głowy z poduszek i patrzyły ze zdumieniem na rozwścieczoną najstarszą siostrę.

– Wolalabym już spać z Konstancją – oświadczyła wrażliwa Alojza. Siedziała na łóżku ze zsuniętą z jednej strony koszulą, a skrzyżowane ramiona tylko częściowo zakrywały jej piersi. – Zamieńmy się. Niech ona przeniesie się do mnie, ty możesz spać z Zofią.

Żelazko zaskwierczało i Józefa popędziła do kuchni, ale koszuli nic nie groziło, żelazko było odstawione. Podjęła przerwana pracę. Do kuchni weszła Alojza, bosą, z włosami spływającymi falami po plecach, i otworzyła

szafkę z chlebem. Zofia nadal leżała w łóżku, jako że ją mało co było w stanie poruszyć.

Alojza zaczęła mleć kawę.

– Wiem coś, czego ty nie wiesz – rzuciła beztrąsko. – Dziś wieczór śpiewamy. Ojciec powiedział mi wczoraj po wyjściu gości. Śpiewamy u hrabiny, dwa duety, a potem każda solo. Konstancja musi mi dać swoje koronki.

– Jesteś pewna, że będziemy śpiewać? – spytała Józefa, przechodząc natychmiast do spraw konkretnych. – Ile nam zapłacą?

– Bóg jedyny wie. Jeśli będą uważali, że jesteś ładna, mogą coś dorzucić. Nie pozwól się dotknąć żadnemu mężczyźnie. Mama mówi, że w takich miejscach na pewno będą próbować, więc musisz uważać, bo chyba nie chcesz być naruszona.

Zaczęli się schodzić pozostali domownicy. Frydolin oświadczył, że czuje się śmiertelnie zmęczony; spod koszuli nocnej wystawały jego umiarkowanie owłosione nogi. Ostatnia pojawiła się Maria Cecylia; łóżko stęknęło, kiedy się zrywała, żeby zjeść w pośpiechu śniadanie. O siódmej przybył uczeń, zubożały prawnik w wytartym płaszczu, i kiedy zaczął grać, myląc się co chwila straszliwie, wszystkie cztery siostry zniknęły we wspólnej sypialni, żeby się zastanowić, co dwie starsze mogłyby włożyć wieczorem.

Jakiś czas przed dziewiątą czternastoletnia Konstancja, pożyczwszy siostrze swoje koronki oraz szpilkę z perłą, wychyliła się z okna bawialni, żeby zobaczyć, jak ojciec i starsze siostry odjeżdżają ciemną ulicą w wynajętym powozie. Kiedy spod kół uniósł się pył, przeszedł ją dreszcz emocji. To już trzeci raz jej siostry miały śpiewać przed mannheimską socjetą. Ostatnim razem uprzejmy kamerdyner odesłał je do domu z

ciastkami i pomarańczami zawiniętymi w serwety, po czym Alojza i Józefa do drugiej w nocy, przy świecach, opisywały kandelabry, liberie służby, wytworne, sute szaty dam i te wszystkie twarze gapiących się na nie ludzi.

Konstancja rozejrzała się po pokoju, który nadal pachniał wypalonymi świecami.

Papa udzielał lekcji im wszystkim. Jak daleko sięgała pamięć, ustawiał je przy klawesynie wedle wieku. Jego nie ogolona, pokryta szczecina broda unosiła się i opadała, a znoszona biała koronka przy koszuli podrygiwała, kiedy żylastą, kruchą lewą ręką dyrygował i jednocześnie prawą naciskał klawisze z kości słoniowej tego regularnie strojonego i zawsze mającego idealne brzmienie instrumentu. Śpiewały po włosku, w języku, w którym napisane były niemal wszystkie popularne wtedy pieśni. Kiedy zaś Frydolin był podpity, śpiewał sprośne piosenki po niemiecku, brał ją popiskującą na kolana i opowiadał, jaki to z niej kwiatusek, jaki pierożek.

Pamiętała, jak stoi tam, malutka i pyzata, ledwie sięgająca klawesynu, podczas kiedy dwie starsze siostry, wciąż jeszcze dziewczynki, przepychają się pod malowidłem Madonny z Dzieciątkiem obok wychodzących na ulicę wysokich, przykurzonych okien. Zofia była wówczas zaledwie kwilącym maleństwem;

Józefa śpiewała już odważnie mocnym głosem, a Alojza w sposób naturalny, jak skowronek. Alojza nigdy nie musiała wkładać w śpiew żadnego wysiłku, gdy tymczasem Konstancji nie przychodziło on łatwo. Wydobywała tony niepewnie, nieustannie zerkając spod rzęs na ukochanego tatę. Tak naprawdę nie chciała śpiewać; chciała mu tylko sprawiać przyjemność.

W ostatnim czasie Józefa i Alojza śpiewały bez niej.

Coś zaszeleściło i usłyszała bose stopy na skrzypiącej podłodze. To Zofia szła przez pokój, omijając krzesła i stosy nut. Dziewczynka nie skończyła jeszcze dwunastu lat i jej figura nie zdążyła nabrać kształtów. Skrzydełka nosa miała zaczerwienione, oczy załzawione, jednak jej piegowata buzia miała ten sam, charakterystyczny od chwili, kiedy ukończyła dwa latka, nieporuszony wyraz. I jak zwykle Konstancja słyszała to znajome, nieodłączne postukiwanie paciorków drewnianego różańca, który dziewczynka trzymała w kieszeni. Zofia była pobożna. Co wieczór w łóżku, przed zaśnięciem, szeptała modlitwy do co najmniej dziesięciu świętych, co działało na jej siostry jak kołysanka; miała też w głowie całą hierarchię świętych i cherubinów, a na odwrotnej stronie niepotrzebnej kartki z nutami gotowa była narysować każdemu, kto byłby zainteresowany, niewyraźny i niezgrabny obrazek mający przedstawiać boski tron.

Była krótkowzroczna; wracając poprzedniego dnia ze sklepu ze świecami i mydłem, wzięła postawną zakonnicę za księdza. „Dzień dobry, ojczy”, dygnęła przed nią, a jej trzy siostry z trudem stłumiły śmiech. Już od dawna mówiono o konieczności kupna okularów.

– Nie położysz się? – spytała szeptem Konstancję. – Bez ciebie łóżko jest takie zimne. – Objęła siostrę. – Cieszę się, że nie każą mi śpiewać, mam głos jak przeziębiona ropucha. Ale czy tobie nie jest przykro, że nie pojechałaś z nimi?

– Nie, bo nie znoszę, kiedy obcy się na mnie gapią. Przytulały się do siebie, spoglądając w dół, na ciemną ulicę;

Zofia pocierała jedną bosą stopą o drugą, żeby choć trochę je rozgrzać, ogień zdążył już bowiem dawno wygasnąć.

– Bardzo zimno jak na październik! – poskarżyła się. – Słyszałam, jak tata mówił, że będzie śnieżna zima; uwielbiam śnieg. Kiedy pada, czuję się

tutaj taka bezpieczna. Rzeźnik powiedział Alojzie, że pierwszy śnieg spadnie na długo przed Bożym Narodzeniem.

– Zawsze jej coś opowiada, kiedy pakuje wędlinę. Oczu od niej oderwać nie może. Dziś rano chyba ją widziałam, jak wpatrywała się w jakiś świstek papieru, możliwe, że od niego.

– Może to wcale nie był liścik miłosny – powiedziała Zofia. – To mogła być lista sukienek, jakie chciałyby mieć; ciągle takie sporządza. Ogląda wystawy i spisuje to, co na nich zobaczy.

– Nie, jestem pewna, że to był liścik miłosny, ale nie musimy się tym przejmować. Ala nie wyjdzie za rzeźnika. Ona po prostu lubi flirtować.

– Wiesz, że mama nie chce, aby któraś z nas wyszła za kupca czy rzemieślnika i wiodła, jak to ona mówi, nijakie życie, z jedną tylko porządną suknią do kościoła, a i to niezbyt strojną. – Konstancja wpatrywała się w mijającego truchtem ich dom konia. – Chciałyby, żeby nasi mężowie byli wysoko postawieni, i ma nadzieję, że to się uda chociaż w przypadku Ali. Ufa, że wyda ją za kogoś, kogo zapraszają na wieczerzę do pałacu elektorskiego, może nawet za jakiegoś barona. Słyszałam, jak w kuchni rozmawiała o tym z ojcem, jak to oni mają w zwyczaju. Mówiła, że to się może udać, nawet kiedy dziewczyna nie ma posagu, jeśli tylko jest piękna i powabna.

– Tak, a wcześniej kłóciła się z tatą o to, czy Alojza i Józefa mają w ogóle wieczorem śpiewać. – Zofia oparła się łokciami o parapet; twarz miała poważną. – Twierdzi, że śpiewanie przed publicznością jest poniżające. Domyślasz się, co odpowiedział tata! Minę miał smutną i poważną i spoglądał w bok, jak zawsze, kiedy się jej przeciwstawia. Powiedział, że to jedynie do czasu, aż zaczniesz nam się lepiej powodzić, że są bezpieczne jak

zakonnice i że żaden mężczyzna nie ośmieli się zbliżyć do nich na odległość mniejszą niż trzy metry!

Konstancja w zamyśleniu gładziła kotarę przy oknie. Odkąd sięgała pamięcią, żyła w otoczeniu trajkoczących i spierających się dziewcząt. Jej matka wyrażała swoją opinię na każdy temat, czy się na czymś znała czy nie; a filozoficznie patrzący na życie przyjaciele ojca raz na tydzień przy kilku butelkach wina rozprawiali na temat problemów tego świata, wykrzykując przy tym i wymachując rękoma. Pośród tego zgiełku ona sama rzadko dzieliła się z kimkolwiek swoimi myślami, chyba że z Zofią, którą następnego dnia po narodzinach umieszczono taką pachnącą mlekiem w jej objęciach i której natychmiast zaczęła mówić wszystko.

Przytuliły się mocno, dla rozgrzewki pocierając się wzajemnie stopą o stopę. Konstancja знаła każdy najmniejszy zakątek ciała Zofii, spała z nią bowiem, odkąd siostra skończyła pięć lat. Dzieliły sekrety; ona sama nigdy nie powiedziała matce o parchatych bezpańskich psach i kotach, którym Zofia wносиła jedzenie, ukrywając je pod fartuchem i wymykając się cicho schodami w dół.

– Uważam, że Alojza mogłaby wyjść nawet za księcia, taka jest piękna – oświadczyła, patrząc nieobecny wzrokiem na pustą ulicę, którą przemierzał jedynie samotny strażnik z latarnią. – Nawet wujek Thorwart, który bywał w najlepszych domach, tak mówi.

– Uroda przemienie – odparła Zofia – natomiast prawdziwe skarby kryją się w duszy.

– Na tym świecie uroda jest bardziej przydatna. Chciałabym być piękna i wiem, że Józefa też by chciała.

– Józefa ma piękną duszę. – Zofia podniosła piegowatą buzię, której krótkowzroczność nadała wyraz takiej powagi, jakby życie nie kryło już



przed dziewczynką żadnych tajemnic. Mała starowinka, tak o niej kiedyś powiedziała babka ze strony ojca.

Konstancja westchnęła.

– Masz rację – przyznała – tyle że nasza Józia jest znacznie wyższa od większości mężczyzn i nie potrafi zachować milczenia; wszystko wypapla. Bardziej kocha książki niż ludzi i potrafi uszkodzić każdy ładny drobiazg, który dostanie się w jej ręce. Wachlarz na pewno rozleci się dziś w kawałki, bo podczas trudniejszych partii będzie go niestrudzenie skręcać w rękach. Lepiej, żeby tak się nie stało, bo przecież dopiero co, na Nowy Rok, Alojza dostała go w prezencie od żony kuzyna Alfonsa. Znowu będzie awantura i znów skoczą sobie do gardeł. Nie znoszę tego, a na dodatek to dobija tatę.

– Rodzina mamy pracowała na roli, zanim im się powiodło, i mama powiada, że Józefa ich przypomina – odparła Zofia – i dobrze byłoby, żeby Józefa przestała wreszcie rosnać, ale naturalnie nic na to nie można poradzić. Bo jak można powstrzymać rośnięcie? – Dziewczęta znów rozgrzewały sobie wzajemnie zmarznięte stopy. – Mama mogłaby zostać damą, gdyby nie zakochała się w tacie; mówi tak za każdym razem, kiedy się kłóca. Wtedy nadal jeszcze mieli rodzinny majątek, zanim większość przepadła. Ale ty, Staniu, naprawdę jesteś urodziwa; twoje oczy są piękne, a twarz ma prześliczny kształt serduszka.

– Jeszcze żaden mężczyzna nie umarł z miłości do kobiecych oczu.

– Cóż więc, twoja dusza jest równie piękna jak dusza Józefy, a to się liczy.

– Skąd ty to możesz wiedzieć? Nie masz nawet dwunastu lat, nie bywałeś jeszcze w świecie! Nie możesz wiedzieć, co się liczy, a co nie.

– Widzę różne rzeczy. Wiem różne rzeczy. Siedzę sobie w kącie, lepiej pierogi i obserwuję. Od zawsze was obserwuję.

Twarz i ciemne oczy Konstancji rozjaśnił ciepły, dziewczęcy, zadumany uśmiech. Czowała się bardzo dobrze w mroku bawialni, w pobliżu klawesynu, pośród stosów nut i wielu książek. Ciężki tom z życiorysami nieżyjących wielkich kompozytorów, niedbale rzucony na stertę innych książek, w każdej chwili mógł się ześlizgnąć na podłogę. To dobrze, że Alojza i Józefa nadal śpiewają, pomyślała. Może dzięki temu będziemy mieli trochę więcej pieniędzy i mama nie będzie się tak zamartwiać i będziemy mogli codziennie rano pić gorącą, pianistą czekoladę. Dlaczego jednak chcą, by było inaczej? Czy nie jesteśmy szczęśliwi teraz, kiedy zbieramy się wszyscy przy stole i mówimy jedno przez drugie o uczniach przychodzących na lekcje muzyki, o maminych srebrach, które przepadły, kiedy powtarzamy ploteczki dotyczące dworu czy nowego repertuaru w teatryku? Jakie wspaniałe są te czwartki, kiedy przychodzą tu wszyscy ci, których najbardziej kocham. Czy oni nie rozumieją, że naprawdę ważne jest tylko to, byśmy zawsze byli razem? Papa trzyma nas razem, i mama, i ja też będę. Taka jest moja rola. Dzięki mojej miłości będziemy się trzymać razem.

Zacisnęła rękę na parapecie; odetchnęła głęboko i stała znieruchomiała, jakby nagle pojęła wagę obietnicy, którą właśnie złożyła.

Po chwili znów była dzieckiem, spoglądającym na matkę, która właśnie pojawiła się w drzwiach bawialni w luźnej, białej nocnej koszuli.

– Dlaczego nie śpicie? Już do łóżka, moje pchełki – przykazała Maria Cecylia.

– Nie mogliśmy zasnąć! Jeszcze troszkę. Chcemy na nie poczekać.

Niski głos matki brzmiał dobrotliwie.

– Okryjcie się więc ciepło. Staniu, nigdy nie zapomnę, jak bardzo chorowałaś w dzieciństwie. Drzę za każdym razem, kiedy zakaszlesz. –



Zniżyła głos do ostrzegawczego szeptu, jakim opowiadała swoje co bardziej przerażające historie. – Moja najdroższa przyjaciółka z dzieciństwa lubiła wystawać przy oknie. Moja anielska przyjaciółka Teresa. To było jeszcze wtedy, kiedy nasza rodzina posiadała najlepsze srebra. I zachorowała na suchoty, i zmarła młodo.

– Przecież mówiła mama, że wyzdrowiała.

– Nic jej nie mogło uratować. Co za szczęście, że jesteście takie zdrowe, gdy tymczasem moje siostry, moje biedne siostry...! – Westchnęła.

Konstancja zaczęła się wiercić, nie miała bowiem najmniejszej ochoty słuchać raz jeszcze tej opowieści. Trudno było wysłuchiwać z uwagą historyjek, które choć bardzo ciekawe za pierwszym razem, z czasem stawały się nieznośnie nudne.

Matka jednak nie kontynuowała tematu.

– Otulcie się kołdrami. – Ziewnęła, a jej głos oddalał się, kiedy wracała ciężkim krokiem do sypialni. – Och, dlaczego muszą zawsze wracać tak późno? Może chociaż za sprawą Najświętszej Paniienki dzisiejszego wieczoru ktoś dostrzeże ich urodę.

Po odejściu matki Zofia wbiła wzrok w podłogę, a kąciki jej ust zadrgały.

– Ciotki – wyszeptała. – Zapomniałam ci powiedzieć! Przyszedł dziś list. Przyjeżdżają na święta.

Konstancja zakryła rękoma usta.

– Och, Zofio, czyż zdarzyło się kiedyś, żeby te staruszki nie przyjechały na Boże Narodzenie? Są takie zabawne, kiedy wdrapując się po schodach, dyszą ciężko i występują na przemian „Święta Elżbieto! Matko Boska! Święty Józefie!”

Zaczęły chichotać, rzuciły się na kanapę i wciskały twarze w poduszki, żeby stłumić śmiech. Siostry matki były stare, zawsze były stare, od początku świata. Elżbieta miała zwyczaj raczyć je różnymi, sprzecznymi ze sobą opowieściami i trzymała w torebce święte relikwie, które przykładała do czoła siostrzenic. Greta natomiast była ograniczona umysłowo, choć nikt nigdy tego tak nie nazwał; obie natomiast twierdziły, że jej pamięć osłabiła kiedyś jakaś tajemnicza choroba. Miały niepohamowany apetyt i były tak otyłe, że rzeczywiście pokonanie tych schodów było dla nich nie lada wyzwaniem, co roku zajmowało im to więcej czasu. Konstancja miała w pamięci porównanie z ostatnich trzech świątecznych wizyt.

– Co też nam przywiozą tym razem?! – wykrztusiła Konstancja z głębi swojej poduszki. – Sukienki o sześć lat za małe, pożarte przez mole i pachnące stęchlizną szale! A ponieważ uważają kąpiel za niezdrową, nigdy jej nie biorą! Bogu dzięki, że nie musimy odwiedzać ich domu.

– Rzeczywiście, zawsze to one tu przyjeżdżają – wyszeptała Zofia, uniósłszy lśniąca twarz. – Całe lata nie byliśmy w Zell, gdzie mieszkali mama i tata, kiedy się poznali. Ale nie należy wyśmiewać się z innych. Będę się musiała z tego wypowiadać. Staram się tego nie robić, ale wiesz, one są... takie...

– ...głupie... i tata powiada...

– ...pachną... jak...

Teraz już dosłownie rżały ze śmiechu i jedynie ostry głos matki z końca korytarza był w stanie zdusić ich rechot, ale i tak po policzkach spływały im łzy, a na koniec obie zatoczyły się na stos książek, który zwałił się na podłogę. Szturchając się łokciami i z najwyższym trudem zachowując ciszę, powędrowały po kołdry. Kiedy już wreszcie udało im się opanować i jedynie czkawka od czasu do czasu wstrząsała ich ciałami, ukłękły przy

oknie, na wszelki wypadek nie patrząc na siebie, i wspólnie z jednego kubka piły zimną, pełną fusów kawę. Ulica rozkołysała się przed oczyma Konstancji, dziewczyna straciła rachubę i nie wiedziała już, ile razy nocny strażnik pojawił się w tym czasie pod oknem.

Obudziły się kilka godzin później, kiedy do pokoju wpadły dwie starsze siostry i otwały przyniesiony ze sobą wiklinowy kosz.

– Triumf, prawdziwy triumf! – krzyczał ich uszczęśliwiony ojciec, a po stole pokrytym nutami, obok kałamarza, potoczyły się owoce oraz małe kremowe czekoladki.

Tego samego wieczoru wysoko pośród dachów, kominów i kościelnych wież Mannheim Wolfgang Mozart, gość Weberów z poprzedniego dnia, siedział na poddaszu, w mniejszym z dwóch pokoików, które wynajęli z matką, i pisał końcowe rondo koncertu fletowego. Palce miał poplamione atramentem, zagryzając wargę, pochylał się do przodu, nucił pod nosem i od czasu do czasu postukiwał nogą w podłogę. Był całkowicie pochłonięty pracą, wartki strumień dźwięków muzyki fletowej przepływał z jego umysłu na papier. Samotna świeca wypalała się krzywo pod wpływem przeciągu. Pióro przebiegało szybko w dół i w górę pięciolinii, wypełniając ją muzyką na wszystkie instrumenty. Chociaż w pokoju panował chłód, to zajęcie tak go rozgrzało, że zrzucił kaftan. Jego delikatna szyja wyłaniała się spod rozpiętej u góry starej koszuli. ....

– Wolfgang – rozległ się szept z sąsiedniego pokoju. – Wolferl?

Ścisnął mocno pióro; małe, czarne znaczki pojawiały się błyskawicznie na kartce, atrament wsiąkał w skórę opuszków palców i wsączał się pod paznokcie.

– Słyszysz mnie, Wolfgang? – ponownie odezwała się jego matka. – Ciągłe pracujesz nad zamówieniem tamtego Holendra?

– Piszę już ostatnią część – rzucił przez ramię.

Matka zakasłała.

– Partii na flet nie zrobisz za trudnej, prawda, skarbie? Nie zapominaj, że to amator i na pewno ma swoją dumę.

Mozart popatrzył na gąszcz znaków.

– Och, chyba uda mu się nabrać powietrza w jakimś momencie – mruknął i przez chwilę zastanawiał się, czy rzeczywiście będzie to możliwe.

– Na miłość boską, tylko się nie przezięb – zawołała Frau Mozart.

Dźwięki szybkiego ronda powoli przestawały pobrzmiwać w jego głowie, zapisane już ciasnym, pospiesznym pismem na muzycznych pięcioliniach. Ile godzin przepracował? Nigdy tego nie pamiętał. Gdyby tak udało się tej nocy zakończyć wszystko, pomyślał. Całe to zamówienie, drugi kwartet, obydwie koncerty. Ale ręka i oczy były już takie zmęczone. Przygarbił się nieco i z jedną dłonią leżącą obok kartki, na której dopiero co wysechł atrament, zasłuchał się w dochodzący z ulicy turkot powozów i wracających do domu rozbawionych birbantów.

Po chwili napił się piwa i zaczął zbierać kartki z zapisaną muzyką. W mieszkaniu poniżej rozległ się śmiech jakiejś dziewczyny. Poczł ów dziwny spokój, jaki zawsze ogarniał go po kilkugodzinnej pracy.

W pokoju obok, również przy świetle pojedynczej świecy, Frau Mozart siedziała w łóżku z przenośnym pulpitem na kolanach; podniosła wzrok znad pisma i zamruwała. Potem na chwilę przymknęła oczy, poruszyła z ulgą wargami i wróciła do listu, który pisała do domu do Salzburga.

Drogi Mężu,

Zgodnie z Twoim zaleceniem poszliśmy ubiegłego wieczoru do tego kopisty nut. Posłuchaj. Weber to porządny jegomość, ale bez grosza, a jego

żonie nie ufam; interesują ją wyłącznie własne korzyści. Dwie starsze córki śpiewają nieźle. Wieczór nie był najgorszy, mimo to wydaje mi się, że są w Mannheim ważniejsi ludzie, których warto by poznać. Z całą pewnością nie spotkaliśmy tam nikogo, kto mógłby pomóc w karierze naszemu synowi. Co dziwne, tutaj, podobnie jak w Augsburgu, zdają się nie pamiętać, jakim był cudownym dzieckiem, jak podziwiała go cała Europa. Zupełnie jakby to się w ogóle nie wydarzyło.

Szkoda, że nie ma Cię z nami i że musisz pozostać w tym nędznym zatrudnieniu u arcybiskupa.

Wolferl dzisiejszego wieczoru pracował kilka godzin nad zleceniem Holendra, po dwóch dniach narzekania, jak to nie cierpi pisać muzyki na flet, szczególnie kiedy rezultat ma być zniweczony grą takiego amatora jak DeJean. W każdym razie trzy dni temu ukończył pierwszy kwartet i przyrzekł zrobić z niego kopię i przesłać Ci ją; prosi, żebyś zwrócił szczególną uwagę na część środkową, gdzie flet ma w tle skrzypcowe pizzicato. Mężu, dwieście srebrnych florenów za ukończone zamówienie! Dziękuję Bogu za ten uśmiech losu; wystarczy tego na wiele.

Jutro wybieramy się w pewne miejsce, gdzie zbierze się śmietanka towarzystwa, a Wolferl ma grać do tańca. Nie wiemy, czy będzie za to jakieś honorarium. Ufam jednak, że zdarzy się coś, co pomoże mu rozwijać talent. Mam nadzieję, że dostanie zamówienie na operę, udana opera bowiem bardziej niż cokolwiek innego da mu nazwisko albo przynajmniej posadę kapelmistrza na dworze. (O obecnym powiadają, że już niedługo pożyje.) Tymczasem staramy się oszczędzać i kiedy tylko możemy, jadać na koszt innych, i rozpalać ogień, jedynie gdy się ubieramy.

Najbardziej zależy mi, żeby trzymać go z dala od Salzburga. Ciągle słabo mi się robi na myśl, co mogłoby się wydarzyć, gdybym przypadkiem

nie nakryła Twojego syna z tą podłą dziewczuchą; ona już miała kieckę zadartą powyżej kolan...

Resztę zdania pisała, przytrzymując kartkę wolną dłonią, przez co mokry atrament zostawił widoczny jeszcze po kilku dniach ciemny ślad na jej małym palcu. Dokończyła list i podpisała.

Twoja kochająca i oddana żona, pokładająca ufność w boskim miłosierdziu.

Maria Anna Mozart

Wiele stóp poniżej poziomu miejskich ulic mieściła się jedna z najbardziej popularnych piwnic Mannheim, w której strumieniami lało się lokalne piwo i podawano tłuste kotlety, tak grube, że z trudem dawały się ugryźć. Na stołach parowały misy z owsianką i kapustą, kusiły dojrzałe, żyłkowane sery, ogromne półcie szynek z zachęcająco wbitymi w nie nożami i wiele innych specjałów. Było to miejsce, w którym zapominano o godzinie, nie odróżniano dnia od nocy, jako że naturalne światło nie docierało do tych sklepionych, podziemnych sal, skąpo jedynie oświetlonych kilkoma świecami, które jednak wystarczały, aby postaci apetycznie kształtnej gospodyni oraz patykowatego gospodarza rzucały wokół siebie cienie. I był jeszcze jeden cień, należący do ich zaperzonego młodego pomocnika. Wszystkie trzy, razem z cieniami rzucanymi przez ich tace, podskakiwały i tańczyły na kamiennych ścianach. Odór piwa był tak wszechobecny, jakby jego strumienie wzbierały pod kamienną podłogą i można było sobie wyobrazić jak przesączają się wszędzie, w całym mieście, ulica za ulicą, by znaleźć ostatecznie ujście w korycie rzeki.

Żeby wejść do owego lokalu, trzeba było otworzyć ciężkie drzwi w zaułku za skupiskiem kilku stajni i na własne ryzyko zapuścić się dalej po stromych, wytartych przez stulecia stopniach. Stały tam kobiety, które



wybuchały śmiechem i znieńcka podciągały do kolan spódnice, ukazując w przyćmionym świetle białe pończochy. Zaglądali tu studenci, a także aktorzy i ubodzy muzycy. Tydzień po ukończeniu pierwszego koncertu fletowego pojawił się Mozart ze swoim przyjacielem Leutgebem, waltornistą.

Rozsiedli się z jednej strony długiego stołu z tyłu sali, gdzie powietrze było aż gęste od dymu. Mozart siedział z rozpiętą pod szyją koszulą; Leutgeb dolewał wina. On również pochodził z Salzburga, gdzie grał na rogu w kościelnej orkiestrze; miał dwadzieścia pięć lat, był zażywny i postawny, a grzmiący i chrapliwy śmiech wstrząsał całym jego ciałem. Jego mięsista twarz była niedokładnie ogolona, jakby chciał rzec całemu światu: Popatrzcie tylko, jaki to ze mnie równy chłop.

– Więc powiadasz, szelmo, że twoja kuzyneczka już miała opuszczone gatki – zawołał, przekrzykując muzykę i gwar głosów. – Mój Boże, Mozart, jak długo mam cię poić, żebyś mi wreszcie wszystko opowiedział. Wiele uzyskałeś?

– Niemalże wszystko, słowo daję.

– Leżeliście na kanapie, u twojego wuja, a ona trzymała rękę...

– Tam, gdzie chciałem, żeby trzymała, przyjacielu, dokładnie tam, gdzie chciałem. W każdym razie cała ta historia kończy się zupełnie niedorzecznie. Usłyszeliśmy, jak otwierają się drzwi, i kiedy uniosłem głowę ponad oparciem kanapy, zobaczyłem moją własną sakramencką matkę. Dzieliło nas od niej to wysokie oparcie; jestem pewien, że nie widziała, jak daleko się posunęliśmy. Byłem przekonany, że wyszła do modystki, a tymczasem stała tam, nade mną.

– A niech to licho, chybaby mi fiut odpadł jak uszko od stłuczonej filiżanki, gdyby moja matka nakryła mnie w podobnej sytuacji. – Leutgeb ryknął donośnym śmiechem.

Mozart zacisnął powoli drobne dłonie, jakby nadal czuł w nich dziewczęce ciało, i odchylił się leniwie do tyłu, niczym księżę dokonujący przeglądu swoich włości.

– Przed tobą nie będę owijał w bawełnę, powiem ci samą prawdę. Mogłem ją mieć do końca, wiem, że tak, ale za godzinę miałem ruszać z matką do Mannheim i teraz nie mogę spać, kiedy zacznę tamto rozpamiętywać. – Zapatrzył się gdzieś przed siebie. – Gdyby pisanie listów było równoznaczne z kopulowaniem, to można by rzec, że już z tuzin razy zrobilibyśmy to z kuzyneczką. Powiadam ci, to była najlepsza część naszego pobytu w Augsburgu! Tamtejsza orkiestra bowiem może, mój przyjacielu, doprowadzić człowieka do wymiotów.

Odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się grupie hałaśliwych studentów, po czym pochylił się powoli do przodu i oparł ramiona na stole.

– Nie wolno mi o niej myśleć – oświadczył nagle poważnym głosem. – Podpuściłeś mnie, draniu. Jeszcze długo nie będę mógł się związać z żadną kobietą. Nie chcą, żebym się żenił przed trzydziestką. Ojciec liczy na to, że będę miał przyzwoite dochody, bo bez nich oni będą żyć bardzo nędznie. Nie mogę zawieść oczekiwań. – Sięgnął po kość, na której tkwiły jeszcze resztki mięsa, i zaczął ją ogryzać.

– Jakich oczekiwań? – zdziwił się waltornista, wycierając chusteczką zatłuszczone wargi. Odrzucił do tyłu jasne, przedwcześnie przerzedzone włosy.

– Dobrze wiesz jakich, stuknięty obwiesiu! Mam już dwadzieścia jeden lat, a usiłuję spełnić nadzieje, które wzbudziłem jako mały chłopiec.



Dobry Boże, kiedy mój szanowny ojciec zabierał mnie i siostrę na tournée po Europie, myślał, że zapewni nam wszystkim przyszłość. – Mozart wyjął chusteczkę z ręki Leutgeba i wytarł nią zamasyście usta. – Miałem pięć lat, gdy rozpoczęliśmy tę podróż. W tamtej malutkiej, białej peruczce byłem ulubieńcem wszystkich. Podaj mi ocet.

Leutgeb posłał mu zwinnie buteleczkę po blacie stołu. Mozart spryskał octem kość.

– Mówiono mi, że w Wiedniu cesarzowa Maria Teresa wzięła mnie na kolana i ucałowała; niewiele pamiętam. A teraz moja siostra dorosła, ojciec wrócił do Salzburga i liże po tyłku arcybiskupa, u którego od lat zarabia grosze jako skrzypek w jego kapeli. Daje mi do zrozumienia, że jeśli mi się tutaj nie powiedzie, będę zmuszony tam wrócić i za nędzną jałmużnę grać na organach w kaplicy jego arcytłustości oraz jadać przy jednym stole z jego kuchcikami. Co za los... prędzej dam się powiesić.

– Nie będziemy cię wieszać. – Leutgeb podał mu miseczkę z cebulkami. – Ja znalazłem tu jakąś pracę, tobie też się to uda.

– Jakąś pracę to i ja mam. – Mozart pokręcił głową. – Ale nie dość. Dostałem to zamówienie na koncert fletowy i może jeszcze skomponuję jakąś mszę dla dworskiej kaplicy. Na nieszczęście wydoroślałem, a ludzie nadal spodziewają się cudownego dziecka. Nie wiedzą, co zrobić z mężczyzną poniżej średniego wzrostu ze zbyt dużym nosem. Za tydzień mam grać w pałacu elektorskim. Jeśli Bóg będzie łaskaw, to może nie obdarzą mnie kolejnym złotym zegarkiem, do czego książęta miewają skłonności. Żartuję sobie, przyjacielu, ale przyznaję, że mam poczucie, iż czas mi ucieka.

Mozart zaczął układać kości na stosik, przez chwilę tak tą czynnością pochłonięty, jakby rozgrywał partię szachów o wysoką stawkę. Kładł

właśnie delikatnie ostatnią kostkę na szczycie, wciągając ze świstem powietrze, kiedy cały ten stos rozsypał się nagle obok cebulek. Z krzywym uśmiezkiem zwrócił twarz do starego przyjaciela.

– Obawiam się, że jeśli nie zarobię dość pieniędzy, ojciec będzie nalegał na mój powrót do Salzburga, miejsca moich narodzin, i każe mi błagać arcybiskupa, żeby zatrudnił mnie tak, jak Jego Świątobliwość raczy zatrudniać jego samego, podczas gdy w rzeczywistości Jego Świątobliwość serdecznie mnie nie znosi i wie, że ja nie cierpię tej parszywej, prowincjonalnej miściny. Może pojedę do Paryża, a może zostanę tutaj. W każdym razie ze względu na rodzinę muszę odnieść sukces. Moi rodzice i siostra zawsze poświęcali się dla mnie. Leutgeb, stary druhu, że też człowiek musi się rewanżować.

Leutgeb gwizdnął na chłopaka, żeby podał im więcej piwa.

– Daj spokój! – zawołał beztrosko. Nachylił się nad stołem i poklepał dłoń młodego kompozytora. – Jesteśmy młodzi, po co mielibyśmy się frasować? Posłuchaj, jeśli zawiedzie nas muzyka, zawsze możemy udać się do Wiednia, do sklepu mojego dziadka, który handluje serami, i żyć z sera i serem, po czym zaprosić tamtą kuzyneczkę i się nią podzielić. Wygląda na to, że ma chętkę obdzielić sobą kilku. Wiedeń to najcudowniejsze miejsce na świecie; w porównaniu z nim Mannheim to śmierdząca dziura. – Objął Mozarta i potrząsnął nim lekko. – Czy twoja rodzina rzeczywiście oczekuje, że będziesz wiódł żywot mnicha w najlepszych swoich latach? To przynajmniej naciesz się teraz towarzystwem niewiast, skoro przez następne dziewięć lat twoje spodnie mają być szczelnie zapięte. Znam tu urocze panienki. Wspomniałeś mi, że byłeś u Weberów na muzykującym wieczorze. Dwie z córek to jeszcze dziewczątka, ale wierz mi, Alojza, druga z kolei, to najbardziej smakowite ciasteczko z kremem, jakiego

kiedykolwiek próbowaleś; można by ją schrupać na dwa kęsy i oblizywać palce. Oczywiście to porządne dziewczęta i przyzwoity mężczyzna nigdy by nie... – Leutgeb wstał nagle. – Na Boga, spójrz! – zawołał, wyężając wzrok w zadymionym pomieszczeniu. – Właśnie zbliżają się dwie ślicznotki. Tylko nie idź potem z nimi, bo mogą cię zarazić – (klnę się na Boga! Znam biedaka, który z powodu syfilisu stracił nos!) – ale piwo możemy im postawić.

Dziewczęta podbiegły do nich z piskiem; w potarganych włosach sterczały pióra, głębokie dekolty ukazywały wilgotną od potu skórę, pokrytą grudkami pudru, a u jednej z nich brzeg sterczącego, brązowego sutka. Pośrodku wszechobecnego dymu dwóch muzyków i dziewczęta w splewiałych sukniach splepli palce. To mroczny, kipiący życiem, sekretny świat, pomyślał Mozart. Można się tu stać kimś zupełnie innym.

Dwadzieścia czy trzydzieści stóp wyżej ulice przemierzali stójkowi, a grupa mężczyzn i kobiet wracała do domów z wykładu na temat wolności sumienia i wolnej miłości.

W tym samym czasie matka Mozarta siedziała w wąskiej sypialni na poddaszu. Na toaletce stał obrazek przedstawiający twarz Jezusa, a także miniatura męża i córki. Kobieta miała na sobie nocną koszulę i czepek i trzymała stopy na stołeczku. Wydmuchując od czasu do czasu zakatarzony nos, po raz trzeci odczytywała list, który wcześniej tego dnia otrzymała od męża.

Droga Żono,

Opierając się na Twoich podejrzaniach, wydobyłem całą prawdę od mego brata i jego córki i błagałem, by ją zamknięto o chlebie i wodzie, zanim zwiedzie podstępem kolejnych uczciwych młodych mężczyzn. Bo ta dwójka, jak się obawiam, znajdzie sposób, by do siebie pisywać. Przejmuj

wszelkie listy. Lękam się, ponieważ krew w nim płynie gorąca, a jeszcze przez wiele lat nie wolno mu się angażować. Więcej w nim emocji niżli rozwagi, chociaż ode mnie tego nie usłyszy. Poświęciliśmy mu całe nasze życie i nie wolno pozwolić, by cokolwiek odciągało go od pracy.

Owszem, kwartet fletowy jest wyjątkowy, podobnie jak ten mały duet na fortepian i skrzypce, który posłał Nannerl. Jego talent rozkwita teraz gwałtownie, zatem należy starannie rozważyć, jak długo winniście pozostać w Mannheim. Jeśli nie poznają się wkrótce na geniuszu Wolfganga, proponuję, byście udali się jeszcze dalej. Załączam tyle pieniędzy, ile udało mi się oszczędzić, choć jest tu drożyzna. Nasza córka zamęcza się, udzielając lekcji gry na klawesynie; to prawdziwa święta. Dłuższy list, który dołączam, dasz Wolfgangowi; to moje uwagi na temat doskonałej środkowej części kwartetu fletowego oraz nowiny dotyczące najnowszej muzycznej intrygi i jej związku z nami, napisane szyfrem. Żyjemy w okropnym świecie, można chyba sobie z nim poradzić, jedynie będąc jak najsolenniejszym katolikiem, nie ufając nikomu oprócz osób sobie najbliższych.

Twój oddany mąż, Leopold Mozart

Maria Anna Mozart zerknęła na zaszyfrowany list. Roztropnie, pomyślała, kiwając głową. Któż mógłby komukolwiek zaufać w takim świecie, a w Salzburgu arcybiskup wszędzie ma swoich szpiegów.

Wziąwszy świeżą kartkę papieru, odpisała:

Drogi Mężu,

Tak, dzięki Bogu, że jest z dala od Augsburga. Jeśli zaś chodzi o młode kobiety, mój mężu, to nie ma od nich nic bardziej wszechobecnego. Są dosłownie wszędzie i dlatego musimy być czujni. Jeśli on rzeczywiście nie przestanie myśleć o swojej żalösnej kuzynce (wybacz nieuprzejme słowa

w stosunku do członka Twojej rodziny), to przynajmniej jego serce pozostanie zajęte i nie będzie zauważał innych dziewcząt. Dlatego uważam, że najlepiej będzie nie przejmować tych listów dopóty, dopóki będziemy mieli szczęście przebywać tak daleko; cóż złego bowiem może się zdarzyć, kiedy młodego mężczyznę i młodą kobietę dzieli podobna odległość?

Staram się dbać o swoje zdrowie.

Posypała list piaskiem, żeby wysuszyć atrament, i złożyła kartkę. Na jej zatroskanej twarzy malowało się znużenie. Złożyła ręce, zakasłała kilkakrotnie i rozpoczęła swoje wieczorne modły.

Pewnego zimnego listopadowego dnia, jakiś tydzień po spotkaniu z Leutgebem w piwiarni, Wolfgang Amadeusz Mozart siedział o zmierzchu przed lustrem w swoim pokoju na poddaszu. Szykował się na swój pierwszy i dawno oczekiwany występ, w ramach uroczystości organizowanych w pałacu, z okazji dnia patrona elektora, świętego Karola Boromeusza.

Mozart miał złożoną naturę i mieścił w sobie kilka różnych osób, może nawet większą ich liczbę, niż sam sądził, w każdym razie te wszystkie, które znał dobrze, pieczołowicie oddzielał jedną od drugiej. Nic zatem nie łączyło mężczyzny, który hulał w piwiarni i zaciskał palce na brązowym sutku dziwki, z poważnym, młodym muzykiem, który z wielką pedanterią zajmował się obecnie swoim strojem. Tak jak przedtem w piwiarni jadł w sposób niechlujny kotlety, tak teraz z wielką starannością ubierał się w ozdobioną wspaniałą koronką koszulę, haftowany kaftan i spodnie, wyjąwszy przedtem każdy fragment garderoby z opakowania, jakim było zwykle płótno, ochraniające ubranie przed sadzą z kominka i kurzem z ulicy. Nałożył na policzki odrobinę różu. Już wcześniej, po południu, wyszczotkował białą perukę. Teraz umieścił na niej trójrożny kapelusz, zszedł po wysokich, ciemnych schodach i stukając o bruk trzewikami na

niskich obcasach, pieszo wyruszył do pałacu. Z nieba zaczęły powoli spływać pierwsze płatki śniegu.

Przy bramie pałacu przecisnął się przez mrowie przybywających gości, a lokaj zaprowadził go do małego, niczym nie ogrzewanego pomieszczenia. Po jakimś czasie zaczął dla rozgrzewki chodzić w tę i z powrotem, zacierając jednocześnie dłonie, żeby mu nie zgrabiałały. Kiedy odsunął ciężkie kotary przy oknie, zobaczył, że sypie już gęsty śnieg i osiada na górnej krawędzi bramy.

Z odległych pokoi dochodziły go odgłosy radosnego śmiechu; obok przeszedł pospiesznie służący z koszem białych świec, a inny przetoczył wózek wypełniony butelkami z winem. W korytarzach unosił się zapach gorącego jada. Jego dłonie zdążyły już tak zmarznąć, że prawie ich nie czuł. Jakiś inny lokaj zajrzał do pokoiku.

– Jesteś muzykantem? – rzucił z niesmakiem. – Co tutaj robisz? Nie masz dość rozumu, żeby pójść tam, gdzie inni czekają?

I ustawić się na samym czele kolejki jeszcze gorszych głupców, pomyślał Mozart. Założył zmarznięte ręce do tyłu i poszedł za lokajem, który wskazał mu drogę do jakiegoś przedpokoju.

Ktoś tam rzeczywiście był. Jakaś wyjątkowo wysoka kobieta, mnąc w rękach wachlarz, chodziła w tę i w tę, za każdym nawrotem odsuwając energicznie nogą kraj szerokiej niebieskiej sukni. Mimo pudrowanej na białło, usztywnionej, wznoszącej się wysoko fryzury, rozpoznał w niej jedną z córek Webera, które przed kilkoma tygodniami śpiewały duety w niewielkiej rodzinnej bawialni. Stanik sukni miała głęboko wycięty, gorset mocno ściągnięty w talii i od czasu do czasu gwałtownie robiła głęboki wdech, jakby brakowało jej powietrza.



Przypomniał sobie, jak po zakończeniu tamtego wieczoru, biorąc dwa stopnie naraz, zbiegła po schodach, żeby oddać jego matce zapomnianą torebkę, i popędziła z powrotem. Dzisiejszego wieczoru przywodziła na myśl jakieś imponujące, dzikie stworzenie, skrepowane fiszbinami i satyną. Jej upudrowane włosy pachniały lawendą i kwiatem pomarańczy.

Złożył przed nią konwencjonalny ukłon, a ona odpowiedziała dygnięciem, nie pochylając wszakże przy tym głowy, by nie wyrządzić szkody fryzurze.

– Niestety, nie przypominam sobie, z którą z sióstr Weber mam przyjemność – powiedział Mozart.

– Jestem najstarsza, Józefa. Śpiewam tu dzisiaj z moją młodszą siostrą, Alojzą. W tej chwili ojciec i ona z kimś rozmawiają. Jesteśmy tu pierwszy raz... a pan?

– Pierwszy od lat. – Zniżył głos i nadstawił ucha, chwytając zza szumu rozmów i szurania krzeseł dźwięki tria smyczkowego. – Powiedz mi, panno, proszę, czy słuchali, kiedy śpiewałaś?

– Och, wie pan, jak to jest! – szepnęła. – Oni nie zwracają uwagi na mnie, a ja na nich. Jest tam mnóstwo jedzenia, a nas nie poczęstowano niczym. Wychodziliśmy z domu w takim pośpiechu, że zapomniałam zabrać koszyk, który przygotowała dla nas najmłodsza siostra. Ale to dopiero nasz czwarty koncert. Oni cały czas gadają, mówi mój ojciec, i rzadko kiedy przychodzi im do głowy, że moglibyśmy mieć ochotę na łyk wina czy kęs kurczęcia.

Oboje mówili szeptem, zdawszy sobie nagle sprawę z obecności lokaja, który w błyszczącej peruce i ozdobnej liberii w barwach elektorskich tkwił przy drzwiach niczym figura woskowa.

Kiedy wezwano ponownie Józefę, Mozart stanął przy uchylonych lekko drzwiach i patrzył na oświetloną rześnicę salę, wypełnioną ludźmi siedzącymi na złożonych krzesłach. Siostry stały tak blisko siebie, jak tylko pozwalały na to sute spódnice ich sukien. Światło świec przebijało przez kilka pojedynczych, luźnych pasemek ich pudrowanych włosów i można było odnieść wrażenie, że płoną żywym ogniem. Przy klawesynie widział ich ojca, kopistę Webera; mężczyzna podskakiwał rytmicznie na taborecie, akompaniując córkom do włoskiego miłosnego duetu. Głosy dziewcząt wznosiły się coraz to wyżej. Alojza poruszała drobnymi dłońmi; Józefa zaciskała mocno palce na złożonym wachlarzu. Jeden z głosów był bardziej wyrazisty i brał najwyższe dźwięki, a te toczyły się gładko i czysto ponad głowami publiczności. Alojza. „Alojzo, Alojzo”, strofowała ją łagodnie matka. Pamiętał ciepłą i radosną atmosferę, jaka panowała w tamtej licznej rodzinie.

Miał grać ostatni.

Usłyszał wymówione cicho nazwisko, a potem odgłos obcasów swoich trzewików na posadzce. Wszędzie stały świece; powietrze przesiąknięte było wonią wyperfumowanych strojów i pudru do włosów, przemieszaną z nieuniknionym zapachem potu. Jakże był przyzwyczajony do takich sytuacji – wchodził do podobnych sal pałacowych w całej Europie, kiedy był taki mały, że trzeba go było sadzać na taborecie przed klawiaturą, a jego odziane w białe, jedwabne pończochy nóżki zwisały w powietrzu wysoko nad podłogą.

Teraz patrzyli na niego tak samo jak wówczas i zachowywali się ciszej niż w przypadku sióstr Weber. Możliwe, że niektórzy pamiętali, kim jest. W samym środku sali, w wysokich fotelach wyściełanych czerwonym aksamitem, zasiadały dwie osoby, posepny elektor Palatynatu, Karol



Teodor, mężczyzna w średnim wieku, którego smutnej twarzy nieustanna obfitość jadała pewnej ciężkości, oraz jego małżonka, Maria Elżbieta, z głową wspartą na ręce, na tyle delikatnie, żeby w żadnym razie nie naruszyć wypiętrzonych wysoko kunsztownej konstrukcji upudrowanych włosów. Przyłożył dłoń do serca i skłonił się nisko.

– Pan "Wolfgang Amadeusz Mozart z Salzburga – zaanonsował śpiewnym tonem majordomus, patrząc prosto przed siebie.

Mozart ponownie się uklonił.

– *Si son Excellence daigne le permettre!* – Za pozwoleniem Jego Ekscelencji! – Licząc na łaskawą pobłażliwość, mam wielki zaszczyt przedstawić swoją nową kompozycję, czteroczęściową sonatę, w tonacji C–dur.

Kilka kolejnych osób, które nadal rozmawiały, zwróciło ku niemu zaciekawione spojrzenie. Mozart usiadł i popatrzył na dobrze sobie znaną długość białych i czarnych klawiszy. Świece migotały w drewnianych, rzeźbionych w róże kinkietach. Jaki był ten instrument? Nigdy się tego nie wiedziało, zanim człowiek go wypróbował; a wtedy, jeśli klawisze się zacięły albo reagowały z opóźnieniem, wydawało się, że to wina grającego. Frydolin Weber grał drętwo, na podstawie jego gry nie był w stanie ocenić tego instrumentu. Potarł dłonie, żeby je rozgrzać, zaczął grać.

Instrument dobrze reagował pod jego palcami. W czasie andante czuł na sobie wzrok stojących przy uchylonych drzwiach sióstr. Ktoś coś mówił. Zagryzł wargę i dokończył ostatnią część, jak mu się zdawało, odrobinę za szybko, po czym wstał i uklonił się.

Elektor Karol Teodor i jego małżonka przywołali go gestem, podszedł więc do nich bez zwłoki i ucałował kolejno ich wiotkie, wyperfumowane dłonie.

– Czy naprawdę minęło już piętnaście lat od twojego pobytu tutaj, Mozart? – spytał elektor. – Przypominam sobie ciebie jako chłopczyka z ceremonialnym rapierem i w eleganckim dworskim stroju, kiedy ledwo sięgałeś do kolan mojej małżonki! Przypominasz sobie tamtego malca, moja droga?

– *On ne peut pas jouer mieux!* – „Nikt nie gra lepiej” – z fotela opodal wyjąkała elektorska córka. – Pamiętam, że papa tak mówił!

Mozart uśmiechem odpowiedział na ten dowód dobrego serca i ucałował piegowatą rączkę.

– Czy jaśnie panienska też grywa?

– *Un peu.* Być może, gdybyś pozostał pan jakiś czas w Mannheim, mógłbyś udzielać mi lekcji.

To przybliży mnie do uzyskania posady, pomyślał i ucałował jej palce w miejscu wolnym od pierścieni.

– Byłby to dla mnie ogromny zaszczyt, łaskawa księżniczko! – I wtedy majordomus wcisnął mu do rąk mały, aksamitny mieszek, a on, przyłożywszy dłoń do serca, ponownie się uklonił.

Wyprowadzono go dosłownie w tej samej chwili, w której wniesiono do sali ogromną, srebrną tacę z ciasteczkami; umysł miał wypełniony myślami o ewentualnych lekcjach i przekonaniem, że zbliży go to do uzyskania stanowiska. Ciągłe zamyślony, zauważył, że siostry Weber oraz ich ojciec nie wyszli jeszcze i dopiero zapinają peleryny.

– Ach, młody Mozart! – wykrzyknął Frydolin Weber. – Miło mi znów pana widzieć. Wspaniały utwór, pięknie zagrany. Goście, jak należało, byli pod odpowiednim wrażeniem. Czy ma pan powóz? Nie? My go wynajęliśmy, żeby ochronić suknie córek przed tą pogodą. Pozwoli pan, że odwieziemy go na kwaterę. Gdzie pańskie nuty?

– W głowie, Herr Weber. – Przez okno dostrzegł, że śnieg coraz grubszą warstwą przykrywa podwórzec. – Z wdzięcznością przyjmę pańskie zaproszenie.

– Chodźcie, moje drogie.

Cała czwórka pobiegła w padającym śniegu do powozu. Na jego podłodze leżało kilka owiniętych w słomę gorących cegieł do ogrzania nóg. Z trudem usadowili się na wyściełanych kanapach naprzeciwko siebie, ponieważ szerokie suknie zajmowały dużo miejsca. Dziewczęta niemal dotykały sufitu wysokimi perukami. Wreszcie powoli mały powozik zaczął torować sobie drogę pośród wspaniałych karet odjeżdżających gości.

„Ustąpić miejsca, miejsce dla biskupa, dla hrabiny!” – dochodziły okrzyki z zewnątrz.

Józefa sięgnęła ręką do tyłu, pociągnęła za coś i westchnęła z ulgą.

– Nienawidzę tych godnych pożałowania, ciasnych gorsetów – wykrzyknęła. – Gdyby to ode mnie zależało, śpiewałabym w koszuli nocnej. Głupi, pretensjonalni ludzie! Jeden mężczyzna tak się na mnie zagapił, że mało mu ta jego drewniana szczeka nie wylądowała w kieliszku. Czy nigdy wcześniej nie widział wysokiej kobiety? A na domiar wszystkiego umieram z głodu... gdzie jest ten koszyk, który nam dali, tato? Bo jeśli nie dali, to przysięgam, że wcisnęłabym z tuzin kurzych udek pomiędzy nasze nuty.

– Zapłacili nam, moja droga, nie możemy wymagać więcej.

– Tak, a kochany tatuś świetnie nam akompaniował. Teraz zaś niech będzie tak dobry i poda nam jedzenie.

– Przekąsimy coś, jeśli przyłączy się pan do nas, Mozart. – Frydolin Weber zdjął lnianą płachtę z kosza i trzymał ją w powietrzu niczym kelner obsługujący eleganckich gości. – Będzie pan uprzejmy? Doskonale. To

prawda, po muzykowaniu koniecznie trzeba coś przekąsić. Proszę, sięgajcie, bez ceregieli.

Ciskani jedno na drugie za każdym szarpnięciem powozu, wyciągnęli kure, ryby oraz ciasta i wzięli się do jedzenia, zachowując tyle schludności, ile w tych warunkach było możliwe, i dzieląc się lnianą płachtą, która zastępowała im serwetki. Konie człapały z wolna, droga była zatłoczona, doszły ich słuchy, że gdzieś z przodu zepsuł się jakiś pojazd. Frydolin sięgnął na spód kosza i wyciągnął butelki wina, które z braku kieliszków podawali sobie z rąk do rąk; na zewnątrz miękki, puszysty śnieg pokrywał miasto, od czasu do czasu jego płatki wpadał przez lekko uchylone okno i lądował im na kolanach.

Mozart zerknął na Józefę, kiedy podawał jej chleb. W jej pociągłej twarzy było zadumanie, z oczu wyzierało ciepło i śmiała się równie chętnie jak jadła. Miała paznokcie obgryzione do żywego ciała i szparę między przednimi zębami.

– Czy często grywa pan w takich domach, Herr Mozart? – spytała z zaciekawieniem pomiędzy kęsami. – Takich z dwudziestką czy pięćdziesiątką służących, co to wyglądają, jakby umarli, a potem zostali wypchani i zaszyty w liberach?

– Trudno byłoby mi zliczyć, mademoiselle Weber. Niestety zapłacono mi tak, jak się tego spodziewałem. – Drwiącym gestem wyciągnął z aksamitnego woreczka złoty zegarek i trzymając go w powietrzu, pozwolił, by kołysał się zgodnie z ruchem powozu. Uśmiechnął się. – Wyczułem kształt, kiedy mi go wręczano, i powstrzymałem jęk zawodu. Czyż mogą to być złote dukaty? – pytałem się w duchu. Niestety nie, odpowiedziałem sobie.

Alojza wybierała tylko słodczyce; właśnie odgryzała delikatnie kęsy z kawałka czekoladowo–migdałowego tortu. Niebieski pantofelek zsunął się do połowy z jej stopy, ukazując białą pończoszkę, lekko zafarbowaną na niebiesko. Mozart z ciekawością przyjrzał się dziewczynie; to ta, z której powodu jego przyjaciel Leutgeb tracił zmysły. Jaka drobniotka! Podobna do porcelanowej figurki, którą widział niegdyś, kiedy podróżował jako chłopiec, w jakimś pustym przedpokoju, posadzoną na wielkim, pokrytym czerwonym aksamitem fotelu, z wyciągniętymi przed siebie nóżkami, z przechyloną główką. Zastanawiał się, czy gdyby kiedyś ponownie tamtędy przejeżdżał, wciąż by tam siedziała.

– Herr Mozart – odezwała się dźwięcznym głosem.

– Tak, mademoiselle Weber.

– Wspomniał pan, kiedy spotkaliśmy się kilka tygodni temu, że jako chłopiec grał pan w Londynie... Ja również gram doskonale; wszystkie gramy, z wyjątkiem najmłodszej siostry, która chce zostać mniszką... Ojciec mówi, że podróżował pan po całym świecie, do Wiednia, do Monachium i do Paryża. Och, Paryż! Naprawdę był pan w Wersalu?

– Naprawdę, mademoiselle.

– Och, jakie to musi robić wrażenie! Chybabym zemdląła, zbliżając się do tak znakomitego, najbardziej kulturalnego dworu na świecie... ściany zdobione złotem, porfirem, kobiety z fryzurami przypominającymi żaglowce albo ozdobionymi piórami czy kwiatami! Widziałam w książce rysunki i pewna nasza znajoma krawcowa tam była. Czy to prawda, że grał pan dla samego króla? – pytała drżącym z przejęcia głosem. – I że widział pan nawet Wenecję i Canal Grande, i Pałac Dożów? Czy Doża rzeczywiście chodzi ze złotym parasolem? Czy to możliwe, żeby nie było ulic, a tylko

woda i mosty, i prześlizgujące się pod nimi nocą gondole? *Mon Dieu*, ma pan cudowne życie.

– Chwilami tak, chwilami nie – odparł i dłonią przykrył otwór butelki, żeby wino nie rozchlapało się wokół. – W takich miejscach rzadko mogę być sobą, a większość ludzi, dla których gram, nie słucha albo nie rozumie mojej muzyki. Wolałbym już muzykować z przyjaciółmi. Gdybym nie musiał zarabiać na życie, właśnie to bym robił. Gra u państwa w domu, w ubiegłym miesiącu, dała mi dużo radości.

– Wielkie dzięki za te słowa, mój panie! – wykrzyknął ojciec, rozochocony winem.

Alojza pochyliła się do przodu, jakby to gwałtowny podskok powozu rzucił ją w jego stronę.

– Śmiem twierdzić, Herr Mozart, że można sobie pozwolić na nieposzanowanie tego, czego ma się w nadmiarze – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Ależ naprawdę atmosfera tych miejsc bywa sztywna i nieprzyjazna.

– Rzeczywiście? Skoro tak pan mówi, to widać tak jest, zresztą ja sama nie mam o tym wszystkim pojęcia, bo będąc kobietą, przebywam głównie w domu. Pomimo to muzycznie jesteśmy bardzo dobrze wykształcone. Właściwie nie chodziłyśmy do szkół, żyłyśmy sobie, cała nasza czwórka, tylko z matką i ojcem. Papa nauczył nas czytać i pisać, i oczywiście mówimy po włosku i francusku, jak każdy wykształcony człowiek, ale przy muzyce wszystko to odgrywało drugorzędną rolę, prawda papo? *Mon Dieu*, czasami robimy sobie konkurs, w którym trzeba zaśpiewać lub zagrać jakąś trudną melodię a vista. – Tak długo wywijała stopą, aż niebieski pantofelek spadł na podłogę. Teraz już śmiała się otwarcie, radośnie. Mozart widział, jak pod rozpiętą peleryną drga jej odsłonięta szyja.



Nie była niczym przyozdobiona; żadnej perły na złotym łańcuszku, dosłownie nic. – Ja zawsze wygrywam.

– Nie zawsze – zaprotestowała Józefa.

– Pan się musi mylić, Herr Mozart! – Alojza wróciła do poprzedniego tematu. – Jestem przekonana, że atmosfera tak pięknego miejsca jak Wersal nie wydałaby mi się wcale sztywna! Na początku czułabym się zagubiona w tych tysiącach pokoi, ale to trwałoby króciutko. Jakiś uprzejmy arystokrata wskazałby mi łaskawie drogę. Jak by to było wspaniale mieć służące, które zrobią dla nas wszystko, nawet nas ubiorą. Mieć dwadzieścia sukien i osobistą pokojówkę, która wypierze jedwabne pończoszki i każdego wieczoru dwieście razy przeczesze szczotką włosy.

– Och, te twoje fantazje i wspaniałe plany! – Józefa surowo strofowała siostrę. – Pamiętaj, że jutro żadna służąca nie wyniesie naszych nocników ani nie rozpali ognia i same będziemy musiały to zrobić. – Jej brązowe oczy pociemniały. Położyła jedną rękę na ramieniu ojca, jakby chciała go pocieszyć, zapewnić, że żaden z tych braków nie jest jego winą. Potem owinęła się mocniej peleryną i cofnęła w mrok powozu.

Tymczasem Weber ani myślał się smucić.

– Ale, ale, któż może wiedzieć, co jutro przyniesie? – zawołał beztrosko. – Często powtarzam tę maksymę. Moje córki codziennie jej wysłuchują, aż do znudzenia! A oto i pańska ulica, Herr Mozart. Tak, mamy nadzieję, że zaszczyci nas pan jutro swoją obecnością. Mogę spodziewać się pana o siódmej? Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

„Dobranoc, Mozart, dobranoc, drogi Mozarcie”, zegnano młodego kompozytora, kiedy wysiadał z powozu, a potem dochodził go już tylko oddalający się śmiech.



Nad miastem przetaczał się głęboki dźwięk bijących zegarów, odbijał się echem od murów domów, dachów, kościelnych wież. Duchowni przewracali się na drugi bok w grubej, lnianej pościeli; kupcy naciągali na uszy szlafmyce. Muzycy delikatnie pochrapywali; śpiewacy i fleciści wtulali się w puchowe poduszki. Przed skromnym, prowincjonalnym teatrem mokry śnieg rozmazał nieco informacje o nowych spektaklach na ręcznie wypisanych afiszach. Miejski bruk pachniał końskim łajnem, wąskie uliczki zaś ściekami i zjełczalym jadłem. Za parę godzin, tuż przed świtem, wstaną służące, rozpalą ogień i przygotowują mocną kawę i gorącą czekoladę, a potem wybiegną na ulicę po świeże, ciepłe pieczywo od pobliskiego piekarza. Teraz jednak była głęboka noc, każdy z zegarów wybijał nieco inną godzinę, tak że północ przychodziła na jedną ulicę wcześniej, na inną później.

Kiedy powóz odjechał, nieco podchmielony Mozart przeszedł pustą ulicą, pogwizdując, otworzył drzwi wejściowe do kamienicy, zdjął trzewiki, wspiał się po skrzypiących schodach, otworzył kluczem drzwi na górze i wszedł do swojego obskurnego pokoiku na poddaszu, który służył mu jednocześnie za salonik, gotownię i sypialnię. Czeką na niego wąskie łóżko. W pomieszczeniu było bardzo zimno, ale przynajmniej czuł, że w pokoju matki pali się niewielki ogień, za który zapłacił pieniędzmi otrzymanymi z domu, licząc już na to, co miał otrzymać za zamówiony koncert fletowy oraz za inne utwory. Zdjął perukę i położył ją na stole. Kiedy wyjmował zegarek, na jego twarzy pojawił się grymas. Może sprzeda go w jakimś innym mieście, bo przecież nie tutaj. Tak, sprzeda go w jakimś odległym mieście, gdzie książęcy lokaj nie będzie miał szans zobaczyć, jak wisi z zaniżoną ceną na wystawie u jubilera.

– To ty, Wolfgangu? – usłyszał rozespany głos matki; zakasłała raz czy dwa. – Dlaczego wracasz tak późno?

– Kazali czekać w nieskończoność, zanim mnie wreszcie wezwali. Lepiej się czujesz? – spytał, wchodząc do jej pokoju.

– Boli mnie w piersiach. Gospodyni przyniosła mi gorczycznik i owinięty we flanelę gorący kamień pod stopy. Ten ogień tak dobrze mi robi. Ale ty przecież dajesz rano lekcję mademoiselle Cannabich. Och, że też wstydu nie mają, żeby kazać ci tak długo czekać. Czy miałeś sposobność rozmawiać z Jego Wysokością o skomponowaniu nowej opery dla miasta Mannheim.

– Nie było czasu, ale znajdę inną okazję.

– Ojciec napisał, że twój stary przyjaciel, padre Martini z Italii, przesyła ci uściski i modli się za ciebie. Bardzo prosi, żebyś do niego napisał, jak sobie radzisz.

Mozart słuchał z niepokojem jej kaszlu, potem na tym pełgającym ogniu zagrzał nieco wina i kiedy je piła, siedział przy niej na łóżku, gładząc jej rękę. Od ostatniego razu, kiedy patrzył na tę dłoń, pojawiło się na niej kilka nowych starczych plam. Po jakimś czasie matka zasnęła, a on pocałował ją w policzek i wrócił do swojego pokoju.

Tam, w samej koszuli, położył się na łóżku, podłożył ramię pod głowę i myślał o rozkołysanej jeździe powozem do domu, o pudrze na włosach dziewcząt, proszącym na ich ciemne peleryny. Pomyślał o poobgryzanych paznokciach Józefy i o tym, jak cofnęła się raptownie w cień, a także o oczach Alojzy, kiedy mówiła o Wenecji.

Druga w nocy. Pieśń na sopran i instrument klawiszowy już prawie gotowa w jego głowie. Kiedy wysoko znad domów świt zajrzy do jego pokoiku, zapisze ją z pamięci i podpisze W A. Mozart, jak zwykle zamasyście. Do siódmej wieczorem, kiedy to będą go oczekiwać u Weberów, zostało jeszcze wiele godzin.

Późnym czwartkowym popołudniem od winiarza przyniesiono butelki z winem; z kuchni rozchodziła się woń szarlotki; było tuż po szóstej, co oznaczało, że jeszcze przez godzinę goście nie zaczną się gromadzić. Alojza Weber zamknęła się w wąskim pokoju, który dzieliła z siostrami. Oba łóżka zostały skromnie ukryte za tandetną, białą, bawełnianą draperią. Była tam jeszcze szafa, dziesiątki haczyków z zawieszonymi na nich sukniami, porozrzucane po podłodze pantofle i duża szkatułka, zawierająca głównie sztuczną biżuterię. Kiedy Zofia miała sześć lat, opróżniła szkatułkę, żeby zrobić z niej domek dla swoich ulubionych białych myszek. („One też mają uczucia. Jak by wam się podobało mieszkać w jakiejś paskudnej dziurze w ścianie?”) Szkatułkę wprawdzie odzyskano, już nigdy jednak nie była taka sama; od tamtej pory miała dziwny zapach, w jednym narożniku ciemny aksamit został wygryziony.

Alojza zdjęła właśnie z włosów papiloty. Nigdy nie było wiadomo, czy fryzura się uda. Czy gęste loki na karku nie ułożą się krzywo? Nie, wyglądały idealnie, lepiej niż poprzedniego wieczoru. Ale i tak wczoraj wyglądała ślicznie; mówił to i jej ojciec, i inni. „Cóż za smakowite dziewczę”, usłyszała w pałacu głos jednego z mężczyzn, kiedy skończyła śpiewać swoją arię. A ten sposób, w jaki niektórzy z nich na nią patrzyli! Nie, żeby ją specjalnie interesowali, ale, jak powiadała matka, to oni właśnie stanowili potencjalną możliwość, ich nazwiska należało dodać do listy w niewielkim notesie, gruntownie przedyskutować przy kawie. Rzeczony notes był oprawiony w skórę i ozdobiony tłoczonymi kwiatkami, a matka ukrywała go w sekretnych miejscach (ostatnio za puszką z mąką). Żadnej z nich nie wolno było do niego zaglądać ani nawet go dotknąć. Tymczasem, poprzedniego wieczoru, Alojzie pozwolono przyjść do kuchni i dodać nazwiska tych kilku mężczyzn, którzy wysłuchali jej śpiewu. Większość

potrafiła jedynie opisać; nie знаła ich nazwisk. Nie wiedziała też, czy nie byli przypadkiem żonaci.

Kilka lat wcześniej, kiedy Józefa zaczęła się zaokrąglać tu i ówdzie, matka przywołała dwie starsze córki i omówiła z nimi kwestię małżeństwa. Możliwość pozostania starą panną napawa grozą; nic nie może być gorsze od takiego losu. Nie zostać wybraną to przecież okropność! Czyż śmierć nie byłaby lepsza? Nigdy nie jest za wcześnie, mówiła matka, na myślenie o przyszłości. Rzadkie były przypadki, aby dziewczyna mogła się sama utrzymać, wykorzystując swoje muzyczne wykształcenie. Czasem jakaś kobieta zarabiała na życie pisaniem czy szyciem, ale nawet i wówczas jej prawdziwym celem było wyjść jak najlepiej za mąż. Alojza pamiętała tamten wieczór w kuchni; obie siedziały tuż przy matce, obie wsłuchiwały się w każde jej słowo.

Z początku nazwiska konkurentów ograniczały się do przedstawicieli skromnych zawodów; drukarza, tapicera z własnym niewielkim warsztatem, nauczyciela. Jednak dwa lata później Maria Cecylia Weber, przyjrząwszy się swojej świeżo rozkwitłej, drugiej z kolei córce, cmoknęła z uznaniem. „Moja dawna koleżanka ze szkoły ma córkę bez posagu, która właśnie wyszła za hrabiego – zauważyła. – A daleko jej do ciebie, jeśli chodzi o urodę. O tak, złotko, daleko jej do ciebie. Gdyby i tobie tak się poszczęściło, to miałabyś te wszystkie piękne rzeczy, na które zasługujesz, Alojzo, moja pchelko”.

Tamten dzień odmienił wszystko. Była wtedy wiosna, a ona biegła schodami na górę z naręczem gałązek lipy i wdychała zapach jej kwiatów. „Wiem, jak marzysz o różnych rzeczach, moja Alojzo”, rozbrzmiewały jej w uszach słowa matki.

Dzisiaj, wracając do domu po odniesieniu klientowi stosu przepisanych nut, stała długo przed oknem pracowni francuskiego krawca i przez małe szybki wpatrywała się w kupon bladuróżowego brokatu. Przyciskając czoło do zimnego szkła, Alojza oczyma duszy widziała, jak spowija ją zwój tej tkaniny. Tak bardzo chciała mieć taką suknię, a potem kolejną, skrojoną w rustykalnym stylu, z najcieńszego, białego muślinu, z szeroką, bladuróżową, jedwabną szarfą, która przepasywałaby talię, a z tyłu była związana na wielką kokardę, której długie końce trzepotałyby swobodnie. Widziała rysunek takiej sukni, modnej rzekomo na francuskim dworze.

– Idziesz już, Alojzo? Wyczyściłaś lichtarze? Wiesz, że mamy dziś czwartek! – przywołano ją do rzeczywistości.

Dlaczego cały świat ma stawać w miejscu dla tych czwartków? Czy muszą co tydzień się krzątać, pucować bawialnię, gromadzić świece, poświęcać się temu wszystkiemu bez reszty, skoro i tak nikt szczególny nie przychodzi? To w pałacu elektorskim ubiegłego wieczoru widziała kobiety z przyklepionymi na twarzy maleńkimi, ciemnymi muszkami w kształcie gwiazdek czy półksiężyców. Jak Józefa mogła się z tego wyśmiewać? Dzisiaj rano, ćwicząc nowy duet, pokłóciły się o to. I czy dla Józefy nie jest ważne, że ma dziewiętnaście lat i jeszcze się nie zaręczyła? Zachowuje się zupełnie jak młodsze siostry, które w ogóle o tych sprawach nie myślą.

– Alojzo! – wołały siostry i matka.

Będzie mogła przynajmniej włożyć swoje różowe pończoszki, z wyhaftowanymi na kostkach szkarłatnymi kwiatuskami, które ojciec kupił jej przed pierwszym publicznym występem. Gdyby przypadkiem jej suknia uniosła się o cal czy dwa, Leutgeb by je zauważył. Ten hałaśliwy waltornista

był w niej zakochany i choć matka nigdy nie wspomniała jego nazwiska, ona sama czuła, że kiedy na nią patrzy, całe jej ciało oblewa fala żaru.

Teraz jednak grzebała w pudełkach pod łóżkiem i bezskutecznie szukała swoich haftowanych pończoszek. Uklękła wyrzuciła stos rzeczy, które leżały na dnie szafy.

– Na pewno któraś je sobie pożyczyła – mruknęła. – Czy kiedykolwiek przestaną ode mnie pożyczać, a ja nie będę musiała nosić przerabianych i pożyczanych rzeczy?

Święci pańscy, czy to możliwe? Wciśnięty głęboko pod trzewiki i pantofelki zawinięty w kawałek płótna, leżał wachlarz, który podarowała jej żona kuzyna Alfonsa. Józefa błagała poprzedniego wieczoru o pożyczenie go, utrzymując, że bez niego nie potrafi śpiewać. Najwyraźniej go zniszczyła i po powrocie głęboko ukryła. Spod wachlarza Alojza wyciągnęła swoje pończoszki z kwiatuskami, ochlapane błotem.

Zerwała się, odziana jedynie w koszulę i spódnicę spodnią, i wybiegła na korytarz, gdzie zderzyła się z Józefą, która niosła obrus na stół.

– Ty wieśniaczko... zniszczyłaś go, poszarpałaś, spójrz! – Alojza kipiała gniewem. Otworzyła wachlarz z wymalowaną panoramą Wenecji, pokazując kilka złamanych listewek. – Niszczysz wszystko, wszystko, czego się dotkniesz! Canal Grande jest rozerwany. Nie wiem, kto cię sprowadził do tej rodziny, Józefo Weber, jaki to okropny Cygan przywiózł cię swoim wozem i sprzedał za dwa grajcare, ale robisz, co możesz, żeby zrujnować mi życie, i na Przenajświętszą Panienkę, chciałabym cię na powrót odsprzedać.

– Nie zepsułam tego wachlarza, sama go tam wcisnęłaś! – zawołała Józefa, rzucając obrus. – Schowałaś go, żeby nie musieć się z nikim dzielić, i przy tej okazji go złamałaś. Bo co niby robi wachlarz pod takim stosem trzewików?



Alojza uderzyła siostrę, a ta chwyciła ją za włosy i pociągnęła korytarzem. Im bardziej Alojza próbowała się uwolnić, tym mocniej starsza siostra ciągnęła ją za loki w stronę bawialni. Alojza wrzeszczała – jej przeszywający, czysty głos rozbrzmiewał we wszystkich pokojach – i już zamierzała wbić zęby w ramię siostry, kiedy ojciec, na pół ogolony, z naga, zarośniętą siwą szczecina piersią, ruszył ku nim.

– Puść ją, Józiu, puść ją! – krzyknął.

Straciwszy nagle równowagę, Alojza wpadła na krzesło, na którym ułożono stos nut.

– Wzięłaś go, wzięłaś! – szlochała. – A teraz doprowadzasz mnie do krzyku i przez ciebie nadwerżyłam sobie głos, ty wredna jędzo. Nie możesz się doczekać, żebym straciła głos, co? – Wyrzuciła ręce ku potarganym włosom na obolałej głowie, a z jej niebieskich oczu popłynęły łzy. Głos jej drżał. – I jeszcze zrujnowałaś moje loki. Nie wyjdę dziś wieczorem z pokoju. To już koniec; straciłam głos, przepadł, przepadł.

Zofia, która usłyszała te wrzaski w kuchni, wyfrunęła stamtąd jak porwana wiatrem roślinka; widząc, że ojciec rozdzielił już jej siostry, podniosła spod stołu wachlarz.

– Och, Alu – wyszeptała, zacinając się troszkę, jak zawsze, kiedy dochodziło do kłótni – popatrz, wystarczy tylko wymienić dwie listewki. Dlaczego musicie wpadać w taki szal z powodu rzeczy, które można naprawić, rzeczy nieistotnych? – Sięgnęła po swoją wymiętą chusteczkę i wytarła nią twarz Alojzy.

– Jedwab się naderwał od Canal Grande do Bazyliki Świętego Marka.  
– Alojza wciąż łkała.

– Zaniosę go do Hoffmana z pierwszego piętra. On wszak zajmuje się naprawą wachlarzy i parasolek. Bardzo chętnie to dla nas zrobi, bo przecież



odnalazłam jego psa. Nie płacz. Sza, sza, skarbie – uspokajała ją Zofia, kiedy z kuchni wypadła Konstancja, trzymając przed sobą niczym proporzec wyprasowaną koszulę ojca z powiewającymi rękawami.

– Dziewczęta! – przywoływała siostry do porządku. – Mama mówi, że macie być cicho, bo jeśli nie, to przyjdzie tu z drewnianą łychą, a przez to nigdy nie dokończy wypieków! Popatrzcie na zegar na kominku: jest prawie siódma i za dziesięć minut zaczną się schodzić goście. A jeszcze nikt z nas nie jest ubrany. Papo, proszę, twoja koszula. Masz mydło na nosie. Co sobie ludzie o nas pomyślą? Całe miasto o tym usłyszy.

Alojza tkwiła jednak uparcie przy krześle.

– Wachlarz nie jest czymś nieistotnym – jęczała, ściskając w dłoni zwiniętą w kulkę chusteczkę. – Jest nieistotny dla was, bo wam na niczym nie zależy. A może niektórym z nas zależy, może ktoś chciałby wypaść jak najlepiej. *Mon Dieu, c'est terrible!* I pończochy są utyłane. Staniu, obiecałaś mi je wyprać, dałam ci przecież dziesięć grajcarów z moich pieniędzy zarobionych za śpiew. Żadnej z was na mnie nie zależy i na dodatek nie mam teraz pończoch.

– W kuchni są jakieś pończochy. Bądź cicho, to polecenie mamy.

– Och, naturalnie, ta jej łycha! – wykrzyknęła Alojza. – Czy myśli, że jesteśmy dziećmi, żeby straszyć nas łyżką? Wczoraj wieczorem zarobiłam piętnaście srebrnych florenów i płacę za ten chleb na stole, a ona ciągle uważa, że jestem dzieckiem! – I wybiegła, nie obdarzając nawet spojrzeniem Józefy, która wzruszyła wściekle ramionami i pomaszerowała, żeby podnieść obrus z podłogi korytarza.

Pozostawiona na chwilę samej sobie, Zofia stanęła przy oknie, odwiązała fartuch i patrzyła na ciemniejące wieczorne niebo. Jej serce nadal tłukło się niespokojnie z powodu kłótni sióstr. Przejechało kilka powozów.

Wyteżając wzrok, była w stanie dostrzec sylwetki dwóch osób kierujących się ku frontowym drzwiom ich kamienicy; na tyle jedynie pozwalała jej krótkowzroczność.

– Ktoś już przybył, Staniu, pomóż mi – zawołała, kiedy otworzyły się drzwi na dole.

Z kuchni dobiegały rzucane przez matkę groźby, słowa modlitwy i polecenia. Piernik jeszcze się nie upiekł. Konstancja wybiegła z sypialni w niekompletnym stroju, jej palce aż śmigwały przy sznurówkach stanika sukni, i zaczęła zapalać świece. Alojza pojawiła się w pełni wyszykowana. Nigdy nie pasowałam do tej rodziny, pomyślała, tłumiąc szloch.

A przecież jednocześnie odczuwała tamtą dawną dumę, która pozwoliła im wszystkim pokonać tyle trudności. Były córkami muzyka Frydolina Webera, z rodziny Weberów. Był czwartek i jak powiedział kiedyś ojciec, łaskocząc ją i drapiąc swoim nie ogolonym policzkiem jej policzek, tego wieczoru w tym domu nikt nie może być nieszczęśliwy. Podeszła zatem do sióstr i wszystkie stanęły teraz obok siebie: dotykając się rękoma, tworzyły jedną całość. Pachniały czystymi, wyszczotkowanymi, perfumowanymi lawendą strojami, dwie młodsze dziewczynki miały włosy zwyczajnie ściągnięte z tyłu, Alojza całe w lokach, a Józefa, która zasiedziała się w księgarni i nie miała czasu na takie fanaberie, wcisnęła je po prostu pod czepek.

Ubrana w bezpretensjonalną, ciemną suknię Konstancja wpatrywała się w drzwi.

Otworzyła je Zofia.

Leutgeb wmaszerował do pokoju i ucałował dłonie pańienek; u jego boku pojawił się Mozart i życzliwym spojrzeniem dużych oczu próbował ogarnąć je wszystkie.

– Jesteśmy za wcześnie – zadudnił Leutgeb swoim charakterystycznym basem – ale wierzymy, że zostanie nam to wybaczone, kiedy pokażemy, jakie to ciasta i wino mamy ze sobą.

Zofia podbiegła, by zajrzeć do postawionego na stoliku kosza.

– Och, tort czekoladowy z wisienkami! – wykrzyknęła, podskakując. – I słodkie wino... ojciec uwielbia słodkie wino. – Jej piegowata buzia przepelniona była wdzięcznością, kiedy mrużąc oczy, spoglądała na obu muzyków.

Z sypialni rodziców dobiegł ją głos ojca, który upuścił coś na podłogę i wzywał na pomoc świętą Elżbietę. Na pewno, postępując, schyla się teraz, żeby to podnieść. Matka trzaskała jeszcze garnkami w kuchni, kończąc ich wycieranie.

Mozart tymczasem wyciągnął ku dziewczętom ręce, w których trzymał wąski papierowy pakiet.

– Ja też coś przyniosłem – oświadczył.

– Czy to także ciasto? – spytała Zofia.

– Nie, to nie ciasto. To wyzwanie. Chcę rzucić wyzwanie mademoiselle Alojzie.

– Co to? Co to takiego? – wykrzykiwały siostry, wszystkie naraz, podnosząc wokół niego wrzawę, ale on tylko kręcił głową. Nagle cała jego nieśmiałość gdzieś zniknęła, a na twarzy pojawił się psotny uśmiezek.

– Musicie być cierpliwe i poczekać, aż przyjdą wszyscy goście – oznajmił.

Pół godziny później w pokoju było już tłoczno; pojawił się jeden z uczniów ojca i kościelny muzyk, po nich zaś kilku członków orkiestry dętej, a za nimi niezawodni Heinemann i Alfons, jak zwykle ze skrzypcami i z wiolonczelą. Młodsze dziewczęta pobiegły szukać dodatkowych kieliszków

i talerzyków, po czym przy dźwiękach muzyki ustawiono na honorowym miejscu tort – glazurowane wisienki pobłyskiwały w aksamitnie gładkiej warstwie czekolady. Zofia z radością patrzyła, jak goście pochłaniają tort, a ojciec z każdą chwilą staje się coraz weselszy. W końcu zjawił się też najstarszy przyjaciel rodziców, poczciwy wuj Thorwart, którego dziewczęta znały od zawsze; zwalisty mężczyzna wszedł, sapiąc ciężko, i mrugnął do nich figlarnie. Od najlepszego kupca czekoladowego przyniósł drewnianą, malowaną bombonierkę z czekoladkami, najpewniej wypełnionymi likierem jeżynowym, nadzieniem z kasztanów, a także marcepanem, którego słodko migdałowy smak godzinami czuło się na języku. Bombonierka była duża i mieściła co najmniej cztery warstwy czekoladek. Jeśli goście zajmą się przede wszystkim upieczonym przez matkę piernikiem ze śmietaną oraz tymi kilkoma butelkami wina, które jeszcze były w zapasie, to pozostanie dość czekoladek, by móc później się nimi raczyć.

Thorwart, nienagannie ubrany, położył upierścienioną dłoń na sercu.

– Te wasze schody! Zabrakło mi tchu! Dziewczęta, ucałujcie starego wuja.

Zmienił się układ pokoju: poprzestawiano krzesła, goście się przemieścili. Mozart usiadł przy klawesynie i ze swojego pakietu wyciągnął kilka luźnych kartek pokrytych nutami. Frydolin nakazał spokój i w bawialni zrobiło się tak cicho, że jedynymi słyszalnymi dźwiękami było trzaskanie ognia na kominku oraz szum listopadowego wiatru za oknem.

– A teraz – zaczął Mozart – rzucam wyzwanie mademoiselle Alojzie w obecności jej rodziny. Mademoiselle, słyszałem wczoraj wieczór w powozie, jak powiedziałaś, że potrafisz zaśpiewać najtrudniejszą melodię a vista. Zatem doskonale! Napisałem tę pieśń do słów Metastasia i jeśli

potrafisz ją odczytać i zaśpiewać bezbłędnie, otrzymasz ją w prezencie. Jeśli zaś nie, podrę nuty.

Zapanowało poruszenie, czyjeś ręce przyciągały Alojżę bliżej do instrumentu.

– To zabawne, zapewne rzecz specjalnie utrudnił. Alojzo, stań za nim, żeby dobrze widzieć nuty. Światło jest słabe, kto potrzyzyma świecę?

Przez chwilę Alojza nie mogła sobie przypomnieć, że rzeczywiście chełpiła się w podobny sposób w powozie. Była wtedy podniecona sukcesem i duszkiem wypitym winem oraz jakimś nieznanym uczuciem, biorącym się z tego, że siedziała niemal kolano w kolano z tym poważnym młodym człowiekiem, który pływał kiedyś gondolami po weneckich kanałach. Cokolwiek dla niej napisał, ona musi sobie z tym poradzić albo będzie się wstydzić swego muzycznego wykształcenia.

Mozart poprawił nuty, żeby mogła je lepiej widzieć, po czym gestem przywołał jeszcze bliżej Zofię, która trzymała świecę.

Zagrał kilka pierwszych taktów.

Alojza zaśpiewała wstępny wers recytatywu cichym, drżącym głosem, jakby nigdy wcześniej nie śpiewała przed publicznością, jednak już zaraz, niesiona łagodną linią melodyczną *andante sostenuto*, zachęcona gestami obecnych, którzy zorientowali się, że dotąd nie popełniła żadnego błędu, nabrała odwagi.

– *Non so d'onde viene quel tenero affetto Quel moto, che ignoto mi nasce nel petto*

Muzyka zawsze była dla niej oczywistością; słuchała jej już w łonie matki i potem, leżąc w kołysce. Wyśpiewała łagodnie serię szesnastek i kiedy zaraz potem wyciągnęła górne b, usłyszała szmer uznania, który przetoczył się falą przez otaczającą ją gromadkę, i głos jej zabrzmiał

zdecydowanie pewniej. Zapominając o wszystkim oprócz nut, zgrabnie przeszła w allegro agitato. Jej głos otworzył się niczym zakochane serce, a ona i melodia stały się jednością. Suknie, tort, zabłocone pończochy odeszły zupełnie nieważne w zapomnienie. Śpiewała jak nigdy przedtem. Stała wyprostowana, jedną ręką opuszczoną wzdłuż boku niemal niezauważalnie wybijając rytm. Pieśń wróciła do początkowego tempa, a jej srebrzysty głos wzniosł się olśniewająco do górnego es. Dłonie Mozarta śmigały po klawiszach, unosząc ją do nowych wysokości. Już nie odczytywała nut pieśni; sama stała się pieśnią.

Kiedy w ciemnych kątach pokoju, za stosami starych nut i pustymi kieliszkami, wybrzmiał ostatni tryl, stała w bezruchu, zaskoczona i niepewna.

– Cóż za krystaliczna czystość głosu – usłyszała czyjeś słowa. Chwilę wcześniej znajdowała się w zupełnie innym świecie. Teraz nagle poczuła, że ktoś unosi jej dłoń i składa na niej delikatny pocałunek. W roztargnieniu cofnęła rękę, zupełnie jakby ten ktoś przez pomyłkę wziął sobie coś, co należy tylko do niej. Miała ochotę się rozplakać – jakie to dziwne. Czy to możliwe, że pieśń dobiegła końca? Dobiegła końca i ją opuściła?

Wszyscy bili brawo; Zofia objęła ją w talii.

Słowa wraz z melodią wirowały jej w głowie; poruszała wargami, przysuwając się bliżej do instrumentu, jakby zamierzała zaśpiewać od nowa.

– *Non so d'onde viene quel tenero affetto...* –

(„Nie wiemy, skąd przychodzi tkliwe uczucie...”)

Mozart też wstał i bił brawo, ona jednak patrzyła na niego, jakby był kimś obcym. Cóż on mógł mieć wspólnego z tą chwilą? A co sobie myślała? Przecież to była jego muzyka. Jednak bez jej głosu, czyż nie były to tylko



zwykle, obojętne znaczki na papierze? Ale czy tak mogło być? Stała tam zupełnie zdezorientowana. Czyja to była pieśń? Jego czy jej?

– Mademoiselle – odezwał się kompozytor – wygrała pani zakład. Pieśń należy do pani. Zorkiestruję ją, tak że będziesz ją mogła śpiewać na koncertach i wszyscy słuchający będą tak samo zadziwieni jak my tutaj.

Poczuła gwałtowny przypływ tkliwości. Spoglądał na nią. Przez chwilę nic nie było zwyczajne, a ona sięgała po jego ciepłą dłoń. Och, pomyślała, pójdź ze mną. Tymczasem naciskano na nich ze wszystkich stron i ojciec, kochany głuptas, wołał głośno, żeby natychmiast odkurżono i przyniesiono pozostałe trzy butelki najlepszego wina. Jak on mógł w takiej chwili myśleć o winie?

Rozbrzmiewająca w niej muzyka umilkła, a ona wiedziała, że znów jest zaledwie szesnastoletnim dziewczęciem w dusznej bawialni. Czy to możliwe, że tak szybko postradała tajemnicę tamtych chwil oraz szczęście śpiewaczki, która czuje, jak sama staje się pieśnią i dotyka wieczności? Jednak rodzina i goście cisnęli się wokół, świece wyginały się i kapały woskiem.

– Uwaga na świecę – zawołała Józefa, odbierając od ojca butelki z winem.

Teraz już wszyscy ją ściskali; czuła gorące spojrzenia kilku mężczyzn, nawet Thorwarta, którego siostry nazywały wujkiem, chociaż tak naprawdę nie był ich krewnym. I jeszcze ten opanowany kompozytor, z lewą ręką nadal spoczywającą na klawiaturze, także bacznie na nią patrzył. Gdyby go teraz objęła, odzyskałaby tamtą chwilę. Wymknij się, mówiły jej oczy; wymknij się i pójdź ze mną. Pójdź ze mną, drogi Wolfgangu Mozarcie. Serce jak oszalałe tłukło się w jej piersi.



Kiedy zaczęło się trio na smyczki, wyszła z pokoju, uciekła do nie pościelonych łóżek i rozrzuconych ubrań wspólnej sypialni, przymknęła nieco drzwi, ale nie do końca, żeby usłyszeć kroki kompozytora w korytarzu. Drzwi bawialni skrzypnęły cicho, ona otworzyła szerzej swoje. W mroku zobaczyła mężczyznę idącego bezgłośnie pod portretami dawno zmarłych przodków, Weberów, pozujących w okropnych, bezbarwnych strojach.

Wyszła mu lekkim krokiem naprzeciw i poczuła czyjeś dłonie na swoich; nie były to delikatne dłonie Mozarta, ale szersze, pełniejsze. To Leutgeb przyszedł tu za nią.

– Czy wiesz, co się dzieje z pocałunkami, których się pożałuje? – spytał cicho, stając tuż przy niej, górując nad nią. – Stają się smutkiem, podobnie jak nie wypowiedziane słowa. Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie i masz głos anioła.

Uniosła twarz i pozwoliła, by pocałował ją w usta. A kiedy ją całował, poczuła, jak wraca do niej cała wspaniałość tamtej pieśni.

Po kilku chwilach poprawiła suknię i wślizgnęła się z powrotem do bawialni, gdzie właśnie zaczęła się druga część tria. Patrzyła, jak ojciec kołysze zaczął głową, grając na skrzypcach.

Jakiś czas po odśpiewaniu pieśni, kiedy wokół rozbrzmiewały jeszcze pochwały dla Alojzy, Józefa Weber wymknęła się z pokoju i przysiadła na zimnym stopniu klatki schodowej. Widziała, jak wychodziła jej siostra, wkrótce po niej Leutgeb; a teraz ona siedzi tutaj, obejmując rękoma kolana. Dlaczego zawsze na to pozwala? Tutaj, w ich własnej bawialni, Alojza została nagrodzona powszechnym podziwem, gdy tymczasem głos Józefy był silniejszy, miał w sobie więcej pasji, powodował drzenie obrazów na ścianie i migotanie płomieni świec. Ona mogła równie dobrze zaśpiewać a

vista, ale skoro nie zaproszono jej do współzawodnictwa, została pokonana. Och, zawsze tak było, zawsze, od chwili przyjścia Alojzy na świat.

Józefa pamiętała, jak spoglądała do kołyski, na kruche maleństwo, które, jak szeptali zaniepokojeni krewni, tkwiło gdzieś między życiem a śmiercią. Przez całe tygodnie po urodzeniu Alojzy Józefa potykała się o klęczące ciotki, które odmawiały szeptem różaniec. Dziewczynka przeżyła i już nigdy nie było tak jak przedtem.

Józefa była oczkiem w głowie rodziców jako to pierwsze, jedyne dziecko tylko przez kilka lat. Nawet później, kiedy już było wiadomo, że Alojza przeżyje, Józefa wciąż była tą pierwszą i najważniejszą, kiedy uczyła się czytać, brała lekcje muzyki, śpiewała dla ciotek i babć, stojąc na krześle, podtrzymywana przez zachwyconą matkę, a potem wystrojona w najlepszą sukienkę, śpiewała w czwartki dla muzyków, przyjaciół ojca. Nie spodziewanie pojawił się jednak inny mały śpiewak, dziewczynka o wyższym, delikatniejszym, czystszy głosie, która szarpała ją za sukienkę, kiedy Józefa śpiewała, niemal ściągając ją z krzesła. W wieku siedmiu lat Józefa miała już tego dość i pewnego razu, na dziesięć minut przed przybyciem gości, popchnęła i przewróciła siostrę, za co wymierzono jej klapsa. Przyjaciele, którzy wcześniej brali ją na ręce, teraz żartowali, jaka jest ciężka, i podnosili maleńką Alojżę. Młodsza dziewczynka śmigła niczym wróbelek; miała więcej wdzięku. A przecież Józefa kochała tę śliczną, urzekającą istotkę, jaką sama nigdy nie była. Czyż nie udowodnił tego ponad wszelką wątpliwość tamten dzień w menażerii?

Tygrys był stary i ospały. Trzymając się za ręce, Józefa i Alojza podeszły do drewnianej klatki na kołach, każda popychana odwagą tej drugiej. Ile mogły mieć wtedy lat: jedna sześć, druga prawie trzy? Alojza miała na głowie czepeczek, a przejście tych kilku stóp, dzielących je od

ciężkiej klatki zdawało się trwać bez końca. Nagle bestia zaryczała. Tygrys wstał, wbił w nie wzrok i wystawił gwałtownie łapę przez pręty klatki. Alojza dosłownie skamieniała o kilka cali od wielkich, zakrzywionych pazurów; ktoś krzychał, ale zanim postawny dozorca zdążył do nich podbiec, Józefa mocno chwyciła bezwładne ramię siostrzyczki i odciągnęła ją tak szybko, że Alojza upadła. Józefa tak się trzęsła, że musiała oprzeć się o ścianę. Ciągle rozdygotana, podniosła płaczącą siostrę i otrzepała z kurzu. Czy trwało to kilka minut czy godzin, zanim rodzice je odnaleźli?

– Dlaczego nie pilnowałaś siostrzyczki?! – krzychała potem matka. – Wiesz, że musisz jej strzec. Jak mogłaś pozwolić, żeby podeszła tak blisko?

– To nie jej wina, Cecylio – rzucił gniewnie ojciec. – Przecież ją uratowała. – Józefa wciąż jeszcze pamiętała jego wąsy na swoim policzku, kiedy przykląkł i ją przytulił.

Teraz, po wielu latach, siedziała na podeście przed rodzinnym mieszkaniem i próbowała powstrzymać łzy. Słyszała, że zakończono trio, że ktoś akompaniował teraz skrzypcom. Potem wszyscy zaczęli wołać o duet.

– A gdzie Józefa? Gdzie nasza Józefa? – rozległy się okrzyki.

– Gdzie moja córeczka? – dopytywał się ojciec. Zaskrzypiały drzwi i na podeście pojawiła się Zofia.

– Józiu? – wyszeptała.

Ukryta w ciemnościach najstarsza siostra wstrzymała oddech. Głos najmłodszej przepojony był siostrzaną miłością. Nie mogła się oprzeć błagalnemu tonowi tego głosu i zerwała się na równe nogi.

– Było mi za ciepło – oświadczyła. – Wyszłam się ochłodzić.

W środku podeszła z uśmiechem do Alojzy. Siostry objęły się i zaśpiewały tak czysto i szczerze, jakby w ogóle nic się nie stało: jakby jednej nie całowano przed chwilą w ciemnym korytarzu pod surowymi

spojrzeniami przodków, a druga wcale nie chowała się ze swoim nieszczęściem na schodach. Ich głosy wznosiły się tercjami ku najwyższym tonom, skrzyły w blasku płomieni świec, dźwięcznie odbijały echem od pustych butelek po winie. I wkrótce zakończył się jeszcze jeden z owych magicznych wieczorów, a goście z ociąganiem zaczęli się rozchodzić.

Bawialnia opustoszała, kompozycja Mozarta leżała na samym wierzchu stosu nut, a cztery siostry przeniosły się na swoje dwa żelazne łóżka. Z twarzami pozbawionymi różu, z bosymi nogami, obciążając na kolanach wełniane, znoszone koszule nocne, dziewczęta wędrowały z łóżka na łóżko, dzieląc się filiżanką zimnej kawy, podczas gdy Zofia szperała w malowanej, drewnianej bombonierce, gdzie pozostało jeszcze półtorej warstwy czekoladek. Właśnie skończyła jeść marcepan z subtelną jeżynową nutką, w czarnej, gorzkiej czekoladzie.

– Nie zjedz wszystkich.

– Zjadłam tylko sześć.

– Och, jak możecie być takimi żarłokami! – oburzyła się Alojza. – Utyjecie i nie będziecie modnie wyglądały, obojętnie jak mocno zasznurowacie gorsety!

Dziewczęta wybuchnęły śmiechem. Matka zza ściany natychmiast przywołała je do porządku, ponieważ ojca bolała głowa.

– Oni już zaraz zasną – wyszeptała wówczas Konstancja do młodszej siostry. – Tylko ich nie obudź. Zofio, udało ci się to zwędzić?

Wytarłszy palce w kołdrę, Zofia sięgnęła pod łóżko i z szelmowskim uśmieszkiem wyciągnęła spod stosu odzienia oprawny w skórę notes z nazwiskami potencjalnych kandydatów na mężów.

Na ten widok Alojza wyprostowała się z oburzenia.

– Nie powinnaś była tego brać – szeptwała ostrym głosem. – Wiesz, że matka nie pozwala nam tego ruszać. – Postawiła ostrożnie filiżankę na toaletce i wyciągnęła rękę po notes, ale Zofia przeturlała się dalej na łóżku.

– Dlaczego nie miałybyśmy tego ruszać? – spytała Konstancja. – Sama to onegdaj zrobiłaś. Widziałam.

– To był pierwszy raz, kiedy powiedziała, że mogę podać potencjalnego kandydata, i patrzyłam tylko na tę jedną, jedyną stronę. Gdzie go dzisiaj znalazłaś? Bo go przeniosła, sprawdzałam. No cóż, rzeczywiście zajrzałam.

– Po co? Żeby wpisać nazwisko tego waltornisty? – wyszeptała Józefa.  
– A Zofia znalazła go pod baryłką z mąką.

– Nie mamy prawa go otwierać! Zawiera sprawy osobiste! Należy do mamy.

– J a go otworzę! – oświadczyła Zofia. – Sza! Siedźcie cicho! Tylko rzucimy okiem, a potem zakradnę się na paluszkach i odłożę go na miejsce. To są jej plany dotyczące naszej przyszłości i mamy prawo je znać.

Zofia, Konstancja i Alojza zbliżyły się do siebie, Alojza z zakłopotanym wyrazem twarzy, który jej nie opuszczał, od czasu kiedy tego samego wieczoru zniknęła w głębi korytarza. Wysunięta dolna warga sprawiała, że jej mina była jednocześnie dziecięca i arogancka. Z niechęcią spoglądała na Józefę, która siedziała bez ruchu z założonymi rękoma.

Zofia przewracała ostrożnie kartki, trzymając nad nimi świecę. Kawalek rozżarzonego knota opadł na jedną ze stron i dziewczynka zgmiotła go w palcach, a potem starła ślad z papieru. Już kilka dni temu Konstancja i Zofia postanowiły, że ukradną notes tego właśnie wieczoru. „To nasza przyszłość”, oznajmiła Konstancja. Józefa oświadczyła, że nie chce mieć z tym nic wspólnego, i nawet teraz siedziała nieco na uboczu i z miną pełną

dezaprobaty rozcierała palce dużych stóp. Rozpuszczone ciemne włosy spływały aż do pasa, tak że jej skupiona twarz robiła wrażenie jeszcze bardziej pociągłej.

Pierwsze strony zapełniały rysunki sukien modnych dwadzieścia lat wcześniej oraz kilka starych rodzinnych przepisów kulinarnych. Spomiędzy kartek wypadło dziwaczne, drukowane zaproszenie na bal, razem ze skrawkiem jakiejś tkaniny. Zaczęły szybciej przewracać kartki, przelatując w pośpiechu nadzwyczaj starannie prowadzone i ostatecznie porzucone rachunki, aż dotarły do nazwisk potencjalnych konkurentów; wtedy popatrzyły na siebie z szelmowskim uśmiechem. Na pierwszej z tych istotnych stron znajdowała się lista kupców, imiona ich ojców i w przybliżeniu ich roczne dochody.

– Och, te są sprzed jakiegoś czasu – szepnęła Konstancja. – Popatrzcie, jak atrament zbladł. Siedźcie spokojnie. Patrzcie, jest tutaj Weidman. Pamiętam go, ale teraz jest już żonaty i ma trzech synów. Jest Lorenz Holsbauer – jemu z kolei przydarzyło się coś dziwnego. Chyba posłano go do wojska, zaplątany był w jakiś skandal.

– Skąd to wiesz? – spytała Józefa, przysuwając się bliżej i zerkając siostrze przez ramię.

– Słyszę różne rzeczy. Ty natomiast nie. Zawsze tylko czytasz filozofię albo Rousseau.

– Ja zauważam to, co ważne, a nie jakieś bzdury. Uważaj, żeby włosk nie skapnął! Kiedy dokonano tych zapisów? Nie miałam wtedy nawet dwunastu lat. Matthias Aldgasser. O, słodki Boże, Matthias! Został księdzem, musiał, ponieważ wołał... nie słuchaj, Zofio. On wołał...

– Co wołał? – wykrzykiwała najmłodsza siostra, skacząc po łóżku.



– Bądź cicho albo zatkam ci buzię poduszką. On był... wybuchł skandal. Nieważne... to by cię zdemoralizowało, gdybyś się dowiedziała.

– Już jestem zdemoralizowana, skoro wykradłam ten notes – oświadczyła Zofia. – Będę musiała się wypowiadać i odprawić pokutę, odmówić co najmniej raz cały różaniec, na kolanach, na kamiennej posadzce kościoła. Nie pchaj się, Alojzo.

– Przecież się nie pcham – szepnęła Alojza. – Uważam, że w ogóle nie powinniśmy do tego zaglądać. A ty mogłabyś przecież klęczeć na zwiniętym szalu, Zofio. Od kiedy to cię interesuje, panno Mario Józefo?

Nadal przewracały kartki.

– Aha, mamy tu nowszą listę – zauważyła Józefa. Reszta pokoju pogrążyła się w mroku, tylko mgliste kształty wiszących na ścianach sukien wraz z kapeluszami unosiły się nad dziewczętami jak opiekuńcze duchy. Józefa zerknęła w kierunku lustra, gdzie zobaczyła jedynie odbicie ciemnych twarzy i migotliwego światła świecy.

– Nawet jeśli jest ona nowsza, to i tak połowa tych mężczyzn jest już żonata. – Konstancja naciągnęła na nogi kołdrę. – Ci przyzwoici są rozchwytywani i znikają z półek tak szybko jak świeże bułeczki na rynku, a z tymi, którzy pozostają, nie miałybyśmy nawet ochoty dotknąć się bosymi stopami pod kołdrą.

– Oni na pewno chcieliby dotykać czegoś więcej! – wyszeptała z uśmiechem Józefa. – Zofio, czy zjadłaś tę ostatnią marcepanową czekoladkę?

– Bądźcie cicho! – Konstancja przesuwiała palec po kilku kolejnych stronach. – Nie, to już przechodzi granice wyobraźni! – wymamrotała z powagą. – Spójrzcie tutaj. Oto dotyczące ciebie plany, Alojzo. Twoje imię figuruje u góry tej strony. Mamy tu nazwisko jakiegoś szwedzkiego barona.



Mama chyba nie traktuje tego poważnie. Skąd ona bierze takie pomysły? Szwecja zimą jest lodowata i powiadają, że dzień trwa tam wtedy jedynie kilka godzin. Nie mogłabyś pożyczać od nas strojów, Alu, gdybyś mieszkała tak daleko.

– Nie musiałabym niczego pożyczać, gdybym wyszła za barona. – Alojza kręciła włosy palcami. – A mama wcale nie wzięła sobie tego nazwiska z jakiejś przeczytanej książki. Ten baron zjechał tu kilka miesięcy temu. Możliwe, że był wczoraj na koncercie u elektora, nie widziałam przecież tych wszystkich twarzy, skoro koncentrowałam się na szesnastkach duetu. Mama tylko raz mi go opisała, dość zresztą ogólnikowo. Czy tylko po to wykradłyście ten notes, żeby mi dokuczyć? Może was nie obchodzi, co się z wami dzieje, ale dla mnie to bardzo ważne! Mogłabym wtedy mieć wszystkie suknie, jakich bym zapragnęła, dosłownie wszystkie!

– A co z panem waltornistą Leutgebem, panienko chowająca się w ciemnościach?

Alojza gwałtownie szarpnęła notes i dało się słyszeć wyraźny odgłos rozdieranego papieru. Siostry utkwiliły w kartce przerażone spojrzenia. Konstancja zaczęła grzebać w pudełku pod łóżkiem, gdzie znalazła trochę kłajstru. W największym skupieniu, z głowami nisko nachylonymi, przykleiły kartkę i wygładziły palcami, jakby była jakąś relikwią.

Nawet kiedy już skończyły, w oczach Alojzy wciąż błyszczały łzy.

– Nie przejmujcie się. Powiem, że rozdarłam kartkę przypadkiem. Może zresztą nie zauważy. Odłóżcie ostrożnie na miejsce. A Leutgeb nic dla mnie nie znaczy. Nie chcę, żeby wszyscy znali moje myśli, zresztą i tak nie możecie ich poznać. Nawet byście ich nie zrozumiały. Nie jesteście mną. Nie macie takich powodów jak ja. Zobaczycie, że wyjdę dobrze za mąż i będziecie mieć szczęście, jeśli pozwolę wam się odwiedzać!

Nakryła się kołdrą, odwracając od nich, i nawet nie podniosła wzroku, kiedy Konstancja wróciła z wyprawy do kuchni. Mimo że drzwi zamknęła najciszej, jak mogła, to i tak słychać było, jak podłoga skrzypiała pod jej bosymi stopami.

– Wszystko w porządku? – spytała jedna z sióstr. Konstancja skinęła posępnie głową.

– Czy została może jakaś czekoladka z kasztanowym nadzieniem? – Pochyliła głowę nad bombonierką jak w modlitwie, zakrywając ją długimi, rozpuszczonymi włosami. – Świeca za chwilę się wypali.

– Już gaśnie!

Wszystkie patrzyły, jak strzeliła w górę płomieniem, po czym knot powoli przechylił się, zanurzył w resztkach roztopionego wosku, błysnął i zgasł. Pachniało dymem woskowej świecy i słodkimi kasztanami. W ciemności słychać było jedynie szelest papieru, kiedy dziewczęta szperały po omacku w pudełku z resztą czekoladek.

– Tata mówi, że zęby Herr Heinemanna szerniały od nadmiaru cukru – wyszeptała Zofia pełnymi ustami. – A wujek Thorwart zjadł całą górną warstwę. Okropnie tyje. Nosi te angielskie surduty i teraz będzie musiał sobie zamówić obszerniejszy. Och, ależ jest zimno na dworze. Czujecie, jak wieje spod parapetu?

Konstancja otuliła się ciaśniej kołdrą.

– Posłuchajcie – odezwała się najcichszym szeptem. – Nie śpijcie jeszcze. Prawie że zapomniałam. To takie okropne i smutne! Kiedy poprzednio zbiegałam po schodach, żeby pożegnać kuzyna Alfonsa, zobaczyłam córkę krawca, której już od tygodni nie widziałyśmy, i teraz już wiem dlaczego. Bo na pewno jest przy nadziei. Tego już się nie da ukryć.

–Co takiego? – Teraz Alojza przysunęła się bliżej. – Bez kościelnego błogosławieństwa i bez sakramentu małżeństwa? Musimy podziękować Bogu, że nas dobrze wychowano i nie umiałybyśmy tak postępować, żeby przynieść wstyd rodzinie.

Światło księżyca, które wpadało przez nie zasłonięte okna, rozjaśniało nieco wnętrze pokoju. Nachylone ku sobie, z koszulami nocnymi obciągniętymi tak, żeby zakrywały stopy, spoważniały, rozważając los córki krawca. Co za okropność! Każda porządna dziewczyna wie, że musi się powstrzymać, aż spełnione zostaną pewne warunki, finansowe i towarzyskie. Oczywiście, flirt jest dozwolony, nawet przy rzadkich okazjach namiętny pocałunek w usta. (Siostry poczuły, jak Alojza nagle zeszytniała.) Jednakże w pustych zaułkach, w garderobach wielkich domów, w pobliżu każdego pokoju z miękkim, zachęcającym łóżkiem należy zachować szczególną ostrożność.

Krażyły opowieści o winie wypitym w nadmiarze, o półprzytomnych dziewczętach, wymazanej z pamięci nocy i o spódnicach splamionych krwią, której nie można sprać. (Krew nie poślubionych dziewic nie daje się sprać. Ich matka zawsze je o tym zapewniała, a ciotki potakiwały z powagą i zaklinały się na niebiosy, że to prawda.)

Zofia wydmuchała nos i oplotła palce różańcem.

– Jak właściwie papa poznał mamę? – spytała z przejęciem. – Obie ciotki opowiadają to inaczej. W każdym razie zawarli małżeństwo z miłości, utrzymuje mama. Chyba razem uciekli. Ciotka Elżbieta mówi, że rodzice mamy byli przeciwni. Oni byli zamożni, a tata był biedny, choć miał widoki na przyszłość.

– Myślałam, że rodzina mamy straciła pieniądze, kiedy ona miała dziesięć lat.

- Ależ skąd, siedemnaście.
- Spytam ją.
- Za każdym razem odpowie ci inaczej.
- Och, przestańcie! Rozmawiamy o małżeństwie w sensie ogólnym.

Siedziały wyprostowane i w ciemnościach, mówiąc jak najciszej, toczyły rozmowę o uświęconej instytucji małżeństwa. Opowiadały sobie różne historie o zalotach i małżeństwie: małżeństwa zamożnych kobiet i ich eleganckie suknie, małżeństwa pomywaczek, zdrady małżeńskie i małżeńskie pojednania, wierność i niewierność, wielkie posagi, wielkie zapisy oraz prawdziwa miłość, z tego wszystkiego najrzadsza. Wyczerpane tak wielką różnorodnością, Konstancja i Alojza zasnęły jedna po drugiej i tylko jeszcze Zofia oraz Józefa nie spały; leżały na osobnych, ustawionych obok siebie łóżkach, dotykając się niemal twarzami i rozmawiały szeptem.

– Ty, Józiu, też umiałabyś zaśpiewać tę pieśń – powiedziała Zofia.

– Tak. I zrobię to, kiedy napisze kolejną.

– Podoba mi się Mozart, ma taki sympatyczny uśmiech. Myślałam, że pójdzie za Alą na korytarz, ale nie zrobił tego. Ciekawe dlaczego. Może jest w kimś zakochany. Może w tobie. Jak sądzisz, czy ona kocha Leutgeba? Była z nim za drzwiami przez całą pierwszą część tria, może więc go kocha. I co mama na to powie?

– Och, naprawdę, nie obchodzi mnie to. To bzdury.

– Coś zauważyłam w tym notesie. Ktoś wyciął kilka pierwszych kartek... te wcześniejsze zapiski.

– Kolejne bzdury. Dobranoc.

Zofia nie zasypiała jeszcze przez jakiś czas. Odwróciła głowę, żeby popatrzeć na siostry, które spały różnie ułożone, obejmując poduszkę,

zwinęte w kłębek pod kołdrą, z dłonią o obgryzionych paznokciach zwisającą obok żelaznego wezglowia. Jakie to uczucie być zakochaną?

Przyszłość była jednak nazbyt skomplikowana. Rano trzeba było zrobić tyle rzeczy: powiesić pończochy do suszenia, wyprasować koszule, ciągle to samo. Cichutko odmówiła wieczorną modlitwę, którą dzieliła z Konstancją, by wszyscy mogli pozostać razem i by nigdy nic ich nie rozdzieliło. Te różowe pończochy z kwiatuskami się wypierze; zreperuje się też wachlarz. Rozejrzała się po ciemnym pokoju, popatrzyła na poniewierające się wszędzie części garderoby, na rzucone na oparcie jedyne krzesła suknie, a wszystko to z powodu jej krótkowzroczności było zasnuwane mgłą. Wyciągnęła rękę, by dotknąć sióstr, upewnić się, że tam są, i otoczyć je opieką.

W sypialni małżeńskiej, w której spodnie i koszulę również porzucono tam, gdzie akurat znalazło się wolne miejsce, Frydolin Weber oraz jego małżonka, leżąc w łóżku, rozmawiali ściszymi głosami. Mężczyzna miał na czole zimny okład, mający mu ulżyć w jednym z jakże częstych ataków bólu głowy.

– Ach, te twoje czwartki – westchnęła Cecylia Weber z czułością, bo przecież ich stary przyjaciel Thorwart przyszedł z wieloma butelkami wina, które zastąpiły te wcześniej wypite, a poza tym Alojza zaśpiewała jak anioł. – Muszę jutro porozmawiać z Alojzą – dodała jednak po chwili surowo. – Widziałam, jak Leutgeb za nią wyszedł. A ja mam względem niej własne plany. Nie uśmiechaj się, Frydolinie. Thorwart obraca się w wyższych kręgach i może nam pomóc. Znajdzie dobrych kandydatów. Przysięgam, że nim rok się skończy, ktoś noszący zasłużone nazwisko poślubi naszą córkę. W tych sprawach nie można zwlekać, jeśli się nie chce, żeby jakaś niegodna dziewczyna wykorzystwała nadarzającą się sposobność.

– Mam nadzieję, że nie myślisz o angielskim księciu?

– Kpisz sobie ze mnie, Frydolinie.

– Zbyt wieloma sprawami zaprzątasz sobie głowę, moja droga. Przecież mi też zależy tylko na jej szczęściu. Jest bardzo utalentowana, choć lekkomyślna. – Frydolin podał jej okład, który ona ponownie zamoczyła w wodzie i wykręciła. – A może któraś z dziewcząt poślubi Mozarta? Podoba mi się ten młody człowiek, moja żono. Naprawdę mi się podoba.

– Tak, jest miły w obejściu – zgodziła się Cecylia. – Tyle że nie wie, jak sobie radzić w tym świecie. Thorwart ma wątpliwości, czy powiedzie mu się w Mannheim. Ma nadzieję uzyskać zamówienie na operę, jednak źli ludzie sprzysięgli się przeciw niemu. Chciałby też uzyskać stanowisko zastępcy kapelmistrza u dworu, ale chyba mu się to nie uda. Ma wrogów.

– Dlaczego ma wrogów?

– Bo nie wie, jak postępować z ludźmi. Ludzie nie bardzo wiedzą, co o nim sądzić. Jakoś tu nie pasuje. Tak utrzymuje Thorwart. Nie możemy jednak brać go pod uwagę jako potencjalnego starającego się o rękę którejś z dziewcząt. On sam złożył sobie przyrzeczenie, że się nie ożeni, dopóki nie odniesie sukcesu. Słyszałam, jak to mówił.

– Dla jego własnego dobra, miejmy nadzieję, że nie potrwa to długo. Wiem, jacy niecierpliwi są młodzi ludzie. Ale, ale, moje złotko, nasza Józefa opuściła nas na chwilę dzisiejszego wieczoru. Myślałem, że dziewczęta już się pogodziły, a tymczasem ona nagle znika. Nie wiesz dlaczego?

– Och, zdarza jej się popadać w zły nastrój i wtedy się dąsa! Wiesz, że nigdy mnie nie słucha. Tak, pogardza mną, za to wszystko, co dla niej zrobiłam. Jest moją najstarszą córką, na której najbardziej powinnam polegać, tymczasem w ogóle nie mogę jej ufać. Przekręca wszystko dla własnego widzimisień, po czym znów odwraca kota ogonem. Pod tym



względem jest bardzo podobna do mojej siostry Elżbiety. Nie wiem, czy ona sama potrafi odróżnić prawdę od kłamstwa, na dodatek jest taka wysoka i taka niezdarna. Nie śmiałybym nikomu powiedzieć, jaki nosi rozmiar pantofli. Musiałam błagać naszego szewca, żeby zatrzymał tę informację dla siebie. Możliwe, że będzie musiała śpiewem zarabiać na utrzymanie, bo wątpię, by udało jej się znaleźć jakiegoś męża.

– Bóg nam pomoże, jak zawsze. Zgasisz świecę, moja droga? Jestem już zmęczony, a rano daję lekcje. – Ucałował jej pachnący policzek, musnął odkrytą wełnianą koszulą pełną pierś, po czym z wielką czułością przytulił małżonkę do siebie.

Trzy dni przed Bożym Narodzeniem, zupełnie sama w kuchni, Maria Cecylia piekła ciasta; fartuch ze śladami mąki i jajka zsunął się z jej obfitego biustu. Poza nią w domu nie było nikogo.

Od kilku tygodni czwartkowe spotkania nie odbywały się z powodu wielu koncertów, w jakich wszyscy muzycy uczestniczyli podczas tego krótkiego mannheimskiego sezonu. Zofia była na lekcji łaciny, Konstancja natomiast w domu przyjaciółki przepisywała nuty. Starsze siostry śpiewały u kogoś, co zresztą zdarzało się ostatnio dość często, a Maria Cecylia wdzięczna była losowi, że nie musiała nigdzie iść. Prawdę powiedziawszy, nie była osobą muzykalną. Podobało jej się kilka ludowych melodyjek, jednak już nic bardziej skomplikowanego do niej nie docierało.

Przez cały ranek zajmowała się mieszaniem jajek z mąką i przyprawami, ścieraniem imbiru i gałki muszkatołowej, ubijaniem brandy z cukrem. Zdążyła już mnóstwo upiec. Na płycie zaczynała wrzeć woda. Nadstawiła ucha, raz i drugi spoglądając w stronę drzwi, i zgarnęła ze stołu skorupki jajek i ostro pachnące korzenie imbiru. Pierwsze blachy gotowych ciast stygły przy oknie.



Zdażyła jeszcze zaparzyć kawę w żeliwnym garnku, kiedy do drzwi zapukał Jan Franciszek Thorwart.

Wszedł, pobrzękując ostrogami przy robionych na obstalunek, błyszczących, wysokich angielskich butach, i zdjął kapelusz. Był dobrze zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu; szpakowate włosy miał zwinięte w pukle po obu stronach głowy, a resztę związaną porządnie na karku. Ustawił starannie swój rapier przy szafce z naczyniami.

– Ach, ten aromat kawy i świeżo upieczonego ciasta! – zachwycił się i pocałował ją w policzek. – Te wszystkie wspaniałe uczyty – a zapewniam cię, moja droga, że uczestniczyłem w wielu takowych w ostatnich latach! – to dla mnie furda w porównaniu z kawą i ciasteczkami. Nie, nawet nie myśl o przejściu do bawialni! Twoja ciepła kuchnia to najlepsze miejsce w całym mieście! Lepsze od pałacu! Owszem, mam powody do dobrego humoru! Interesy stoją dobrze, wręcz wyśmienicie.

Maria Cecylia zdjęła z półki dwa ze swoich najlepszych talerzyków i przetarła je rąbkiem fartuchem.

Zarówno ona sama, jak i Frydolin znali Jana Franciszka Thorwarta z ich rodzinnego miasta Zell; jego rodzina mieszkała po drugiej stronie podwórka, i to właśnie Thorwart, kiedy miała siedemnaście lat, poznał ją z Frydolinem. Szczerze go podziwiała. Zaczynał skromnie i ustawicznie piął się do góry. Był kiedyś chłopcem na posyłki, potem sekretarzem i księgowym; usługiwał zamożnym ludziom w sprawach osobistych; dyskretnie pomagał przenosić pieniądze z jednej kieszeni do innej. Kiedy szedł ulicą, nucił sobie radośnie pod nosem, ubrany w angielski surdut – ostatni krzyk mody; i jeszcze te wysokie buty z ostrogami. Kieszeń kamizelki wypełniały mu starannie złożone papiery i w każdej chwili był w stanie odnaleźć ten właściwy i potrzebny. Dłonie miał duże i

wypielegnowane. Był człowiekiem interesów, a ona miała o wiele większe zaufanie do interesów niż do muzyki. Pojawił się w Mannheim dwa lata temu i Weberowie z zadowoleniem włączyli go do swojego rodzinnego kręgu.

– Życzysz sobie jak zawsze podwójną porcję śmietanki do kawy? – spytała.

–Jak zawsze, Mario Cecylio.

Otrzeпаła z kurzu najlepsze, wyściełane krzeselko, a on usiadł, położył kapelusz na kolanie i wziął do ręki książkę, która leżała na stole.

– Na pewno należy do Józefy, bo któż inny może czytać Rousseau – oświadczył, a spojrzawszy na tytuł, zmarszczył brwi i sięgnął do kieszeni po okulary. – Niebezpieczna lektura – zawyrokował. – Autor bez końca pisze tu o prawach biedaków, a przecież ubodzy, jak powiedział Chrystus, zawsze są wśród nas! Roją się jak robactwo na ulicach Paryża. Widziałem ich podczas jednej z moich podróży i modliłem się za nich. To oczywiste, że są nicponiami i to, co zarobią, wydają na alkohol. – Popukał palcem w książkę. – Rousseau się myli. Jeśli będziemy mądrzy, to nie będziemy rozważać pozbywania się tych, którzy nas utrzymują przy życiu. To właśnie ten starodawny porządek rzeczy utrzymuje nas przy życiu. Niech Bóg zachowa w zdrowiu naszego elektora i naszego cesarza. Żaden żebrak nie napęlnia moich kieszeni i nie płaci mojego czynszu! – Brzegiem dłoni odepchnął od siebie książkę, która wylądowała w resztkach mąki. – Powiadam ci, zupełnie nie wiem, co się wyprawia na tym świecie. W ubiegłym roku kolonie Nowego Świata zbuntowały się i zapragnęły utworzyć nowe państwo, i odwróciły się plecami do Anglii. Stany Zjednoczone, też coś! Zapamiętaj moje słowa, nawet jeśli im się to uda, to po jakimś czasie wrócą na

kolanach. Jestem przekonany, że na naszej ukochanej europejskiej ziemi nigdy nie będziemy mieli podobnej rewolucji.

– Teraz nawet moja mała Zofia czytuje takie rzeczy. – Maria Cecylia przygotowywała poczęstunek.

– Nie pozwól jej. Młodzi ludzie są szaleni i niemądrzy.

– Miejmy nadzieję, że wkrótce z tego wyrosną. Przyjdziecie do nas z żoną na świąteczny obiad? Będziemy gościć przez kilka tygodni moje siostry; spodziewam się ich przyjazdu w każdej chwili. Zjedz kawałek ciasta do kawy. Weź też trochę do domu. Pamiętam, że jako chłopiec uwielbiałeś słodycze.

– Ty też za nimi przepadałaś, wciąż przepadasz. Ach, ten twój *Lebkuchen*.

Siedział przez chwilę, wdychając zapach parującej kawy, a potem ugryzł kęs ciasta.

–Moja droga Cecylio – odezwał się – jesteś taka zaradna. Przez wszystkie te lata udaje ci się wiązać koniec z końcem przy tak ograniczonych środkach. Wiesz, zawsze cię podziwiałem, odkąd tylko się poznaliśmy. Ależ była z ciebie dziewczyna! Taka ładna, taka cnotliwa, taka pobożna! Do dziś widzę cię, jak wychylasz się z okna wczesnym rankiem, w koszulce z różowymi wstążeczkami. Nie wiedziałaś, że cię widzę; było jeszcze szarawo, a ty w tym oknie. Rumienisz się.

– Mój drogi Janie, bardzo to miłe, że po tylu latach jeszcze pamiętasz.

– Podniosła do policzka umączoną rękę.

– Pamiętasz, jak w Zell zabrałem twoje siostry i ciebie na ciastka. To było krótko przed tym, jak poznałaś Frydolina. Cóż, czas szybko mija, a za godzinę oczekują mnie w pałacu w interesach. Pozwól, że przejdę do sedna

mojej wizyty. Mieliliśmy mówić o Alojzie i o tym szwedzkim baronie. Dowiedziałem się nieco więcej na jego temat.

– Ach tak? – Opadła na krzesło naprzeciwko, oddychając szybko i nerwowo. – Jest jakaś szansa, że mogłoby się to ziścić?

– Całkiem spora, moja droga.

– Janie, zaklinam cię, opowiedz mi wszystko, co wiesz! To moja największa nadzieja! Sześć razy zaniosę modły dziękczynne do świętej Anny, jeśli przynosisz dobre wieści.

– Jest wdowcem i jak słyszę, robią na nim wrażenie uzdolnione muzycznie cnotliwe niemieckie dziewczęta. W ubiegłym miesiącu był w pałacu elektorskim, kiedy Alojza śpiewała tam z siostrą. Jak tylko rozpoczną rozmowy, natychmiast dam do zrozumienia, że może ją dostać wyłącznie w rezultacie świętego związku małżeńskiego, naturalnie pod pewnymi dodatkowymi warunkami, które wynagrodzą rodzicom brak jej towarzystwa.

– Drogi przyjacielu! Zatem słyszał, jak ona śpiewa?

– Jak najbardziej, słyszał i widział. – Thorwart przyłożył na chwilę do ust chusteczkę, wypił kolejny łyk kawy i oparł się wygodnie. – I był, jak utrzymują pewni moi znajomi, pod dużym wrażeniem. Oczywiście, nie miałem przyjemności poznać go osobiście, ale znam takich, którzy mieli. Rozpytam się dyskretnie. Zapewniam cię, moja droga, nie jest to ani pierwsze, ani ostatnie małżeństwo, które pomogę zaaranżować.

– Jakże ci się kiedykolwiek odwdzięczymy? – Pani Weber była zbyt wzruszona, by choć spróbować swojej kawy.

– Wystarczy mi ten zaszczyt, że mogę przysłużyć się córce starego przyjaciela Frydolina.

Potem porozmawiali o jeszcze innych sprawach. Jego małżonka miewa się dobrze, córka również, lecz nie mogą przyjść na świąteczny obiad. Przed

nim samym otwierają się możliwości finansowe na dworze mannheimskim, za co dziękuje Bogu;choć może się tam długo nie utrzymać. Elektor Bawarii jest chory i jeśli umrze, Karol Teodor, elektor Palatynatu, przeniesie się tam ze swoim dworem, przejmując książęcą sukcesję monachijską, a Thorwart podąży w ślad za nim. To samo zrobią muzycy.

Jadł ciasto i sympatycznie plotkował; nogę założył na nogę i bawił się drewnianą polerowaną sprzączką u bryczesów. Potem wstał, wymawiając się interesami. Cecylia dygnęła; on się uklonił, wziął kapelusz, rapier i pelerynę i wyszedł na zaśnieżoną ulicę.

Jeszcze długo po tym, jak umilkły jego kroki, Maria Cecylia stała obok ciepłego pieca i wpatrywała się w pustą filiżankę, z której pił kawę, i w okruszki na talerzyku. Thorwart przypomniał jej czas, kiedy miała siedemnaście lat; przypomniał ją taką, jaka była kiedyś. Zamyślona, zaczęła przemierzać szorstką podłogę tej kuchni, w której ugotowała tyle setek posiłków. Choć była w średnim wieku i kryła pod czepkiem siwiejące włosy, poczuła w sobie tamtą urodę oraz bogactwo możliwości, jakby teraz pączkowały i miały ponownie rozkwitnąć. Nawet kiedy zwróciła twarz do ułamka lusterka stojącego na półce między garnkami, zobaczyła się taką, jaka była, kiedy miała siedemnaście lat i rozmarzona wyglądała przez okno w koszuli przetykanej różową wstążeczką. Cała przyszłość rozciągała się wtedy przed nią. Obraz ten przemknął przed jej oczyma jak cień, bo gdy chciała przyjrzeć mu się bliżej, już go nie było.

„Wróć”, wyszeptała z oczami pełnymi łez, ale czas nie mógł się cofnąć”. Na szczęście istniał inny sposób.

Mogła przecież przeżywać swoją młodość za pośrednictwem córek; jakkolwiek trudne by się to wydawało, za ich sprawą mogła znowu mieć to wszystko, co utraciła. Stałyby się jedną całością z tamtą dziewczyną, którą

była przed laty, kiedy wyglądała z ojcowskiego domu w Zell i w łagodnym, wilgotnym powietrzu wyczuwała, że świat jest pełen obietnic. Bo skoro Alojza może dobrze wyjść za mąż, to czyż nie mogą pozostałe córki?

Pochylając się nad rozpaloną blachą z wielką, cynową łychą w ręce, wyobrażała sobie córki za kilka lat, mieszkające w wytwornych domostwach z pokojówkami i służbą przybiegającą na dźwięk dzwonka. Każdego ranka będą się otulać szlafrokami zdobionymi wenecką koronką. Pojawi się fryzjer, powtarzający piskliwą francuszczyzną świeże ploteczki. Potem, koło południa, kiedy już pokoje przesiąkną wonią lawendy, przybędzie z wizytą Maria Cecylia. Każda córka będzie wybiegać jej naprzeciw, całować serdecznie i częstować gorącą czekoladą w ozdobionej kwiatuškami porcelanowej filiżance.

Tak, od dawna już było to jej skrytym marzeniem, które podnosiło ją na duchu, kiedy objuczona ciężkim koszem brnęła z rynku przez błoto na ulicy. Nawet jeśli przez ostatnie kilka lat zapisywała nazwiska jakichś zwyczajnych mężczyzn, to przecież nie robiła tego bez wahania, bo pamiętała o swoich prawdziwych nadziejach. Może teraz wreszcie zaczną się one spełniać.

Wytarła ręce w fartuch. Zapomniała już, gdzie ostatnio schowała notes z nazwiskami potencjalnych kandydatów, i dopiero po kilku minutach prowadzonych na kolanach poszukiwań odnalazła go na najniższej półce szafy, pod bielizną pościelową. Z niecierpliwością przewracała kartki z rachunkami oraz przepisami na domowe, ziołowe medykamenty, by dojść wreszcie do strony, której szukała. Dziwne, wyglądała, jakby ją wydarto i przyklejono. Zbyt była przejęta napisanymi tam słowami, zbyt przepelniona czymś na kształt niemalże świętego uczucia, by się nad tym zdumiewającym faktem zastanawiać. Bo tu właśnie figurowało nazwisko szwedzkiego



barona. Odsunęła na bok blachę z ciastem, wzięła pióro i kałamarz i starannie dopisała wszystko, czego się niedawno dowiedziała: czterdzieści lat, wdowiec, miłośnik muzyki, dom z czterdziestoma pokojami w Goteborgu; zapakować najcieplejsze ubrania dla Alojzy. Mufka, koniecznie musi mieć futrzaną mufkę. Ciepłe spódnice; wszak to okolica nadmorska. Listy raz na tydzień, co roku długie odwiedziny. Wyda dobrze swoją piękną córkę, a potem pozostała. Maria Cecylia odetchnęła z ulgą.

Ze schodów dobiegły ją głosy własnych sióstr, postękiwanie i narzekania, jakie zawsze towarzyszyły ich wizytom. Kiedy ponownie wsuwała notes pod prześcieradła, cofnęła się pamięcią dwadzieścia czy więcej nawet lat, do Zell i do balu w ratuszu. Zobaczyła swoją młodszą siostrzyczkę, Gretę, świeżutką jak pączek róży z tymi złocistymi warkoczami opadającymi na plecy, tak bardzo adorowaną przez oficerów, oraz Elżbietę, śliczną niczym Madonna, skromną, wysoką, pobożną, której nogi same rwały się do tańca i która pośród dźwięków orkiestry dętej posłała Cecylii radosny uśmiech. A potem wszystkie trzy, trzymając się pod ręce, wracały ze śmiechem do domu. Teraz, kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła dwie niezgrabne, bezkształtne postaci wspinające się z najwyższym wysiłkiem po schodach, w zdefasonowanych, przekrzywionych kapeluszach, ciągnące za sobą koszyki, z których wystawały końce wełnianych pończoch. Z jednego kosza wytoczył się ranny pantofel.

–Jezu Chryste! – zakrzyknął syn sąsiadów i podbiegł, żeby go podnieść.

Maria Cecylia poczuła, jak uśmiech zastyga nagle na jej wargach. Co się stało z nimi wszystkimi? Młodości nie wolno marnować; należy przedłużać ją w nieskończoność. Alojza będzie szwedzką baronową rezydującą nad morzem.



Wyszła naprzeciw siostronom z rozwartymi ramionami i łzami w oczach.

Jak zawsze w Boże Narodzenie wznosiły się ku niebu głosy chórów śpiewających msze, a w domach odbywało się pieczenie ciast i ciasteczek oraz gęsi na złocistobrazowy kolor. Potem następował ten najgorszy okres zimy. Zimny wiatr hulał po ulicach; nie było świeżych warzyw ani owoców; zamknięto stragany z piernikami; a kominki i piece, nieważne jak mocno rozpalone, nie ogrzewały dostatecznie domowych pomieszczeń.

Minęły trzy tygodnie.

W tej sytuacji jedynym rozsądnym rozwiązaniem było pójść do łóżka z owiniętą we flanelę gorącą cegłą, która pomagała się rozgrzać. Spadł śnieg i niewielu podróżnych docierało do miasta. Wcześniej wiele osób z niego wyjechało, żeby spędzić ten okres w cieplejszych okolicach. A teraz siostry Marii Cecylii wracały do Zell.

Za drzwiami, na zimnym podeście, otarły się o siedzącą z podciągniętymi pod brodę kolanami Alojżę. Rzuciły zasepione spojrzenia za siebie, ku mieszkaniu, z którego goniły je głośnie krzyki.

Ciotka Elżbieta wyprostowała się na całą wysokość, sięgając niemalże sufitu sfatygowanym, wygiętym piórem, które zdobiło jej przekrzywiony kapelusz.

– Uważam za rzecz nieprzystojną, że twoi rodzice tak gromko się spierają, moja siostrzenico! Gdzież są owe krzepiące radości, jakie niesie ze sobą bycie mężem i żoną?

– Mam własne teorie na ten temat – dodała Greta charakterystycznym, zacinającym się, niewyraźnym głosem. – Wspominałam ci o nich, kochana Alu? – Czekwała z nadzieją na płaskiej twarzy.

– Tak sędzę, ciociu – odparła Alojza apatycznie.

– Owinęłaś porządnie stopy, Greto? W powozie będzie zimno. –  
Elżbieta pociągnęła nosem.

Obie kobiety nachyliły się i złożyły lepkie pocałunki na bladym policzku siostrzenicy. !

– Do widzenia, droga Alojzo – żegnały ją, kreśląc nad nią znak krzyża.  
– Nie przesiaduj tutaj za długo; miałyśmy serdeczną przyjaciółkę, która umarła od wysiadywania na zimnych schodach. Nie można było jej uratować, chociaż wezwano medyków. Wystawiono ją potem w salonie pośród świec. Przyjedziemy na twój ślub. Matka napomknęła o bardzo obiecujących perspektywach. Noście, dziewczęta, te czarne suknie spodnie, które dla was uszyliśmy. Czerń to kolor praktyczny... nie widać na nim brudu, nie wymaga tak częstego prania.

– O tak, ciociu, oczywiście. Do widzenia, kochane ciotunie.

Ciotki już dawno wytoczyły się na ulicę, nie przestając wrzeszczeć na chłopaka, który im pomagał, a Alojza wciąż siedziała pod drzwiami zagraconego, rodzinnego siedliska, obejmowała ramionami kolana i dygotała. Siedziała dokładnie tam, gdzie dwa miesiące wcześniej Józefa, ale nic w tym dziwnego, jako że ten podest zawsze był miejscem ucieczki, kiedy któraś z sióstr chciała być sama. Ścianę nadal zdobiła wypisana drobnym, wyrazistym druczkiem Józefy lista dziesięciu rzeczy, które mogłyby uczynić życie idealnym. (Własne łóżko, nigdy nie być zmuszonym do klepania listy francuskich czasowników, być najbardziej kochaną...) Trzeba było mocno się schylać, żeby te słowa odczytać. Jedynie chude, brudne dziecko, skulone na skrzypiącym stopniu, mogło to napisać. Doprawdy irytujące! Józefa nigdy nie umiała mówić płynnie po francusku, chociaż Rousseau czytała bez trudu.

„Matka napomknęła o bardzo obiecujących perspektywach”. „Przyjedziemy na twój ślub”. Alojza bawiła się pasemkiem włosów. Szwedzki baron wrócił do swojej ojczyzny; wujek Thorwart wyrażał skruchę. W morzu są też inne ryby, oświadczył. Jeśli dwór przeniesie się do Monachium, możliwości będzie jeszcze więcej.

Alojza potarła dłonie i dla ogrzania wtuliła je głębiej w materiał spódnicy. Nazwisko barona w gniewnej atmosferze zostało wykreślone z notesu. Uroczą serią występów w domach oświetlonych setkami świec też już się skończyła, a pieniądze zarobione w ten sposób przez rodzinę wydano na przyjęcia i na życie. Wczoraj Zofia znów podreptała z biżuterią matki do lombardu.

Właśnie w tej chwili najmłodsza z sióstr wyślizgnęła się z ponurą miną z mieszkania; w niedawno kupionych okularach o złotych oprawkach wyglądała jak młodziutki student. Za nią pojawiła się Konstancja, która usiadła na stopniu i zajęła się szyciem.

– Jak ty w ogóle jesteś w stanie utrzymać igłę? Jest tak zimno! – szepnęła do niej Alojza. – I skąd bierzesz cierpliwość?

– Coś przecież muszę robić. – Siostra pochyliła drobną twarz nad robotą.

– Mam nadzieję, że sąsiedzi nas tutaj nie zobaczą.

– Niby dlaczego? Już i tak wszystko słyszeli. Matka potłukła dwa talerze i rzuciła w ojca stosem nut. Udało mi się uratować tę niebieską salaterkę. Ukryłam ją w naszej szafie razem z kieliszkami do wina.

– Nie mruż tak oczu, Staniu, to cię postarzy.

– Ja już się zestarzałam – poskarżyła się Zofia. – Kłopoty postarzają człowieka, ale cóż robić? Żyjemy w upadłym świecie. Gdyby miejscem naszego pobytu był nadal rajski ogród, niepotrzebne by nam były pieniądze.

Możesz mi użyczyć kawałka maminego szala, Alojzo? Przesiedzimy tu z godzinę albo i dwie, a ja zmarłam na kość.

– Przysuń się do mnie. W bawialni została jeszcze odrobina węgla, ale nie jestem w stanie tam wytrzymać. Wydawało mi się, że ty potrafisz powstrzymać ich kłótnie, Zosiu! Nie mogłabyś spróbować?

Najmłodsza siostra pokręciła głową i wytarła nos.

– Ty tam pójdz – szepnęła cicho. – Dla ciebie mama jest miękka jak wosk.

– Próbowałam, ale nie zwracali na mnie uwagi. Nawet płakałam. Nie wrócę tam, chociaż wiem, że się przeziębnię i nie będę mogła śpiewać, nawet jeśli dostaniemy zaproszenie, co zresztą od Bożego Narodzenia się nie zdarzyło.

– Zimą zawsze jest gorzej – oświadczyła Zofia. – Zauważyłyście, że to się zawsze dzieje o tej porze roku? Musimy jakoś przetrzymać do wiosny, kiedy będzie więcej pracy. Przypuszczam, że nasi rodzice nie są jedynymi, którzy się kłócą. – Westchnęła, rozglądając się wokół, jakby zdumiewało ją, że w okularach widzi świat tak dokładnie. – Ale wujek Thorwart nie kłóci się ze swoją żoną.

– Bo z nią nie rozmawia – rzuciła ostro Alojza. – Od lat ma kochankę. Jak ojciec i matka mogą mu tak łatwo wybaczyć, że rozbudził we mnie nadzieje na to szwedzkie małżeństwo, a potem je zdruzgotał? Powinien był wiedzieć, że baron jest żonaty. Nie ważcie się tylko ze ranie wyśmiewać, żadna z was!

W mieszkaniu zrobiło się jeszcze głośniejsze, ojciec bronił się łamiącym głosem, a matka wykrzykiwała oskarżenia. Alojza przycisnęła mocno dłonie do uszu.

Tymczasem z dołu nadeszła Józefa; w jednej ręce niosła rozkołysany koszyk, używany w wyprawach na targ, w drugiej trzymała otwartą książkę. Czytała nieustannie, wyciągnięta na łóżku, przycupnięta na dachu, odnajdując w lekturach lepszy świat. W tej chwili była tak zaczytana, że wpadła na ścianę, po czym podniósłszy wzrok, przyjrzała się jej z niesmakiem. Jeszcze większy niesmak pojawił się na jej twarzy, kiedy zobaczyła swoje trzy siostry skulone na schodach i usłyszała dochodzące z mieszkania wrzaski.

– O święci pańscy – zawołała. – Cała ulica będzie o nas gadać. Domyślam się, że obiadu też nie będzie. Dlaczego ona zawsze musi tak łąjać tatę? Przecież on stara się, jak może.

– Mama jest przygnębiona, bo cały czas musi się bardzo starać, żeby związać koniec z końcem. – Konstancja przycisnęła robótkę do piersi. – Mimo to uważam, że mąż i żona nigdy nie powinni zwracać się przeciwko sobie, nawet w najcięższych chwilach. To wszystko przez to, że muszą nas utrzymywać. Gdyby wydali nas za mąż, nie musieliby nas karmić i ubierać.

Zofia wstała. Od Gwiazdki jej drobne piersi zaokrągliły się nieco, nie na tyle jednak, by siostry mogły mieć nadzieję, że nabierze prawdziwie kobiecych kształtów, na czym zresztą jej samej zupełnie nie zależało.

– Protestuję przeciwko widzeniu w nas jedynie gęb do wyżywienia – oświadczyła. – Każda z nas posiada jakiś własny święty cel.

– Małżeństwo? – Józefa z trzaskiem zamknęła książkę. – Nie, dziękuję pięknie, dość się napatrzyłam na małżeństwo, żeby nie mieć na nie ochoty. Tak się ono bowiem kończy: wrzaski słychać na końcu ulicy. Brr! A mama to nie żadna święta, otwórz oczy, Konstancjo Weber. Papa jest taki, jaki jest, i nigdy niczego więcej nie obiecywał. Skoro chciała dostatku, nie powinna

była za niego wychodzić. Natomiast jest wielce prawdopodobne, że był tym jedynym, który ją poprosił o rękę; tak powiedziała ciocia Greta.

– To nieprawda! Dziesiątki mężczyzn się o nią starało! – krzyknęła Alojza.

– I znowu te niezgodności w opowieściach.

– Ziemia nie obiecuje nam szczęścia – podsumowała Zofia. – Czytałam tego Rousseau Józefy. „Garść ciemżycieli gnębi ludzkość, wygłodzone masy giną od cierpień i głodu, rzesza, której krew i łzy bogacze spijają ze spokojem...” Och, zresztą nieważne. Powiedz nam lepiej, co robić, Józiu.

Józefa rzuciła spojrzenie na drzwi mieszkania.

– Ja zrobię, co muszę, i niech Bóg ma mnie w swojej opiece – oświadczyła. – Konstancjo, zabierz to jedzenie do środka. Zofio, powiedz im, że wyszliśmy. Alojza pójdzie ze mną do brata ojca, do naszego stryja Józefa. Czas, żebym wreszcie wprowadziła w czyn swoje plany.

Biuro Józefa Webera mieściło się na pierwszym piętrze jego dużego domu, usytuowanego w jednej z bardziej eleganckich dzielnic Mannheim. Urządzone było ciężkimi, starymi niemieckimi meblami, na ścianach, obok półek z wytartymi księgami rachunkowymi stojącymi w sąsiedztwie książek o tematyce teologicznej i prawniczej, wisiały duże portrety nieznanymi mężczyzn o surowym spojrzeniu. Gzyms nad kominkiem zdobił puchar z wygrawerowanym napisem, dar gildii kupieckiej. Nic się nie zmieniło od naszego ostatniego pobytu, pomyślała Józefa. Nawet ta karafka z winem i talerz z pasztecikami nadziewanymi wieprzowiną.

– Panny Weber – monotonnym głosem oznajmił służący, zamykając za nimi drzwi.



– Dzień dobry, drogi stryju – powiedziały siostry, dygając. Mężczyzna w wełnianej czapce z frędzlami, który pracował przy biurku, podniósł na nie wzrok. Był starszym o jakieś dziesięć lat bratem Frydolina, wcale nie mniej zwawym, tyle że całkowicie łysym.

– No cóż, moje bratanice! – rzucił bezceremonialnie. – Trafiłyście na chwilę, kiedy jestem bardzo zajęty. Trzeba było napisać słóweczko. Czy przyszłyście zapytać o moje zdrowie? Mało prawdopodobne. Tak rzadko się kontaktujemy z bratem od naszej kłótni, że nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tutaj był. Może to on was przysłał. Nie? Jesteście zdrowe? Świetnie. Poczęstujcie się pasztecikami. Ile chcecie dzisiaj pożyczyć?

Józefa uśmiechnęła się, ponownie wykonując głęboki dyg.

– Najdroższy stryju – zaczęła tym swoim dźwięcznym głosem śpiewaczki. – Zwracasz się do nas bez ogródek jedynie dlatego, że przeszkodziłyśmy ci w pracy, za co bardzo cię przepraszamy. Niemniej nie potrafisz ukryć dobroci swojego serca, bo przecież jeszcze teraz, przy każdym niedzielnym obiedzie, nasz papa powtarza, jaki byłeś dla niego dobry, kiedy był małym chłopcem, i jak bardzo cię podziwia i miłuje. Bez wątpienia stryj rozumie doskonale, że nie wszystkim ludziom szczęście jednak dopisuje we wszystkich dziedzinach ich działalności. Pamiętam, jak kiedyś stryj kupił mi kapelusz. Niestety, dawno już z niego wyrosłam. – Raz jeszcze wykonała maleńki dyg. – Owszem, przyznaję – powiedziała, spoglądając skromnie w bok. – Potrzebne nam są fundusze. Najdroższy stryju, nie ośmieliłabym się prosić, żebyś się rozstał z jakąkolwiek sumą w sposób nierozsądny. Nie przyszłoby mi do głowy, by prosić stryja o pieniądze, gdybym nie była w stanie zaoferować solidnego zastawu oraz kwitu z warunkami płatności. – Przyjmując pozę królowej, zwróciła wzrok na krewnego.



Stryj wpatrywał się w nie ze zdumieniem.

– Płatności? – wykrztusił, kiedy wreszcie odzyskał głos. – Zastaw? Cóż takiego możesz mi zaproponować, co mogłoby spowodować, że jakiegokolwiek pieniądze włożone do twoich rąk zobaczą ponownie wnętrze mojej szkatuły, he? Powiedz mi. – Stryj Józef odłożył skrzypiące pióro i zmrużył małe oczka. – Mogłem dokładnie przewidzieć waszą wizytę na podstawie pory roku – oświadczył. – Czy to nie ubiegłego roku wasza dwójka pojawiła się równie niespodziewanie u moich drzwi? I, na świętą Elżbietę, o jakimże to zastawie mówisz?

Józefa z wysoko podniesioną głową spoglądała mu prosto w oczy.

– O mojej pracy – odparła wyraźnie. – Planuję rzecz już czas jakiś. Zamierzam otworzyć sklep muzyczny, z tatą jako doradcą. Będziemy sprzedawać nuty, struny do instrumentów klawiszowych, do skrzypiec i wiolonczeli.

– I gdzie znajdziesz pieniądze na rozpoczęcie podobnego przedsięwzięcia?

– U drogiego stryja... a także odrobinę więcej, żebyśmy mogli przetrwać do czasu, aż odniesiemy sukces i przybędzie pracy dla papy. Widzi już stryj, że nie proszę o zwykłą pożyczkę, ale o kapitał na mój sklep. Proszę, zechciej rzucić okiem na tę kartkę. Wyraźnie tu widać i koszty, i zyski; od tygodni je wyliczałam. Raty, odsetki... naturalnie ich spłata zaczęłaby się za rok. Nasi przyjaciele Heinemann i Alfons również nam pomogą.

Józef Weber uniósł się nieco w fotelu i wsparł dłonie na blacie biurka.

– Co? Co takiego? Jak? – wyjąkał. – Czy mój brat wie o tym? Skąd ty możesz cokolwiek wiedzieć o tym świecie? Z książek, które jak słyszę, nieustannie kupujesz za twoje skromne muzyczne honoraria? Jezu Chryste,

nieodrodna córka tatusia! To oczywiste, że mój brat nie może utrzymać tak dużej rodziny, na dodatek z takim ogromnym apetytem na książki, francuskie kapelusze, czekoladki i wino! Powiedziałem mu dwa lata temu, żeby wyjechał z Mannheim i znalazł pracę gdzieś indziej. I zrobił tak? Nie. A robi coś praktycznego dla swoich córek? Nie. Czy pośle was, byście terminowały na szwaczki czy modystki? Wyśle na służbę do jakiejś porządnej rodziny? Nigdy w życiu. Ma szalone, ambitne pomysły dotyczące was i siebie samego, pomysły, które nigdy się nie urzeczywistnią, a teraz ty odziedziczyłaś je po nim.

Obecny w biurze kancelista ukrył chudą twarz w papierach, a stryj Józef uniósł się jeszcze wyżej i utkwiał zimny wzrok w dziewczętach.

– Muzyka, muzyka, nic, tylko muzyka! – wykrzyknął. – A teraz, Boże ratuj, jeszcze więcej muzyki! Głodujecie przez nią, ale wciąż przy niej trwacie. Pożyczki w ubiegłym roku, dwa lata temu i nic z tego nie spłacone. Ja sprzedaję tkaniny i dobrze z tego żyję, podczas gdy on jest coraz uboższy i udaje, że to nieważne. Poprowadzi ze mną interes? Nie. Czy zaprzestanie tego nedorzecznego i kosztownego przyjmowania gości? Nie. Przynajmniej mógł pozostać kawalerem, ba, mógł wybrać stan duchowny, zamiast żenić się z waszą matką.

Na te słowa Józefa tak się wyprostowała, że robiła wrażenie jeszcze wyższej, niż była w rzeczywistości.

– Możesz mówić, co chcesz przeciwko naszej matce, choć są to słowa niesprawiedliwe, bardzo niesprawiedliwe, ale nie wolno tak mówić o naszym kochanym papie! – wykrzyknęła. – Nie widzisz, że jestem szczerą? Rzeczywiście tego nie widzisz, nie wierzysz mi.

– Za szczerą nie kupi się drewna na opał. Ani trochę ci nie wierzę.

– Przyjście tutaj nie miało sensu, ty nie masz serca. Papa to święty człowiek. Obejdziemy się bez ciebie. Ja sobie poradzę w świecie, przysięgam, a i nie odwrócę się plecami do rodziny. Alojza zostanie wielką śpiewaczką i świetnie wyjdzie za mąż, podobnie jak moje młodsze siostry. I stanie się to niezadługo... popatrz tylko, jaka ona jest piękna.

Stryj Józef obdarzył je krzywym, smutnym uśmiechem.

– Wielka śpiewaczka? – wymamrotał. – Świetne małżeństwo? Przez tę muzykę będziecie głodować jak wasz ojciec. I gdzie niby jest ów wspaniały zalotnik, który zechce pokonać te piętra, żeby poślubić jedną z was? Mężczyźni zamożni pragną skromnych kobiet, a skromne kobiety nie śpiewają publicznie. Heinrich, spakuj paszteciki dla panienek.

– Wsadź sobie w tyłek te swoje paszteciki!

– Piękne słowa, młoda kobieto! Wyoście się! Żegnam.

Józefa wybiegła na ulicę, Alojza tuż za nią. Po kilku przecznicach Alojzie udało się zatrzymać siostrę.

– Tak mi zimno, tak bardzo mi zimno – dyszała Alojza. – Nie mam takich długich nóg jak ty, nie mogę biegać tak szybko. Napijmy się kawy. To nie jest co prawda prawdziwa kawa, a tylko zbożowa, z syropem, ale podają tam do niej rogaliki. Jadłaś śniadanie? Bo ja nie. Mam dwa grajcare. To wszystko, co mi zostało z ostatniego śpiewania.

Dygocząc, piły kawę w drewnianej budzie, a stary handlarz rozmawiał ze znajdującymi się tam robotnikami. Alojza jadła rogaliki powoli, odgryzając malutkie kęsy.

– Trzeba było zabrać te paszteciki stryja Józefa – odezwała się smutnym głosem.

– Niech się nimi zadławi!

– Przeraziłaś mnie tam, Józefo. Naprawdę przeraziłaś.

– Nienawidzę go. To byłby taki cudowny sklep muzyczny. Zamierzałam go nazwać Weber i Córki – Nuty, Instrumenty i Rozmaitości. Nazwę go tak jeszcze. Znajdę jeszcze kogoś, kto chętnie wyłoży na to pieniądze.

– Józiu, nie możemy tam wrócić i prosić. Przecież okropnie się wyraziłaś, kiedy powiedziałaś, żeby je sobie wsadził w ... – Zerknęła na robotników i zjadła ostatni okruch rogalika. – *Que tu es bombe de dire a notre oncle de s'enculer avec sa tourte au porc! C'est terrible, c'est tres impoli!* To było bardzo nieuprzejme. – Alojza zaczęła nagle chichotać, po czym z trudem spoważniała.

– Prędzej bym umarła, niż tam wróciła. To niegodziwiec.

– W każdym razie sprawiłaś mi przyjemność, mówiąc, że jestem piękna.

– Bo jesteś, żebyś wiedziała – rzuciła Józefa gniewnie i serdecznie uścisnęła ramię siostry. – Choć razem z matką wymodzicie z tego coś okropnego. Zbierajmy się stąd. Nie możemy wracać do domu bez odrobiny dobrych wiadomości. Trzeba coś wymyślić.

Wzięły się pod rękę i ruszyły spiesznie, aż peleryny fruwały za nimi. Dotarły do Christuskirche, gdzie archanioł Michał wznosił wysoko w niebo trąbę. Ich ojciec często grywał tam aa skrzypcach z okazji uroczystych mszy.

Zadyszana Józefa rozpamiętywała urazę.

–Jak stryj śmie mówić źle o papie? Tak ciężko dla nas pracuje: kupuje nam pończochy, choć jego własne są w strzępach, siedzi przy nas przez całą noc, kiedy chorujemy, a potem rano idzie do pracy. Nikt nie widzi, jak on się stara, ale ja owszem. Widziałam to, odkąd tylko sięgnę pamięcią.

Skrzyżowała ramiona i zapatrzyła się na trąbiącego archanioła. Przymknęła powieki.

– W jednym stryj ma rację – mruknęła. – Jaką mamy szansę, żeby poprawić sytuację w domu? Może ten sklep muzyczny za dużo by kosztował. Nie ma nawet za wiele śpiewania w kościołach, księża woła śpiew tych starych kastratów. Chodź, wejdźmy do środka. Przynajmniej schronimy się przed tym wiatrem.

Pchnęły ciężkie drzwi i dygnęły grzecznie przed kilkoma starszymi księżmi w wąskich czarnych sutannach. Jeden ze zgrzybiałych kastratów, z szyją owiniętą kilkakrotnie bardzo długim szarym szalem, prychnął na ich widok podejrzliwie, jakby usłyszał uszczypliwą uwagę Józefy. Płomyki świec migotały tu i ówdzie przed figurami świętych, ale nie panował tu spokój. Przez zimny kościół niósł się głos organów, na których wysoko, na chórze, przy akompaniamencie kłopotu miechów, ktoś grał.

Usiadły z tyłu kościoła, nadal trzymając się za ręce. Kastrat, mężczyzna około siedemdziesięcioletni, z twarzą jak zwiędłe, pomarszczone jabłko, ponownie spojrzał na nie złym wzrokiem. Po kątach, starając się być jak najmniej widoczni, kryli się żebracy. Przy tylnych drzwiach, za złotym ołtarzem, zebrała się ich mała grupka w oczekiwaniu na jałmużnę.

–Mogłybyśmy im dać te paszteciki stryja – odezwała się cicho Józefa, właściwie do siebie. – Jeśli naturalnie, ty żarłoczku, nie zjadłabyś wcześniej ich wszystkich.

Omali nie zauważyły, kiedy organy umilkły, a w powietrzu zawisło na chwilę przeciągłe buczenie i kiedy na stopniach rozległy się kroki, nie wiedziały, że zbliża się młody przyjaciel ich ojca, Mozart, dopóki nie dotknął ich ramion i nie uklonił się.

Rzadko go widywały od tamtego czwartkowego wieczoru, podczas którego Alojza śpiewała jego pieśń. Słyszały, że odwiedza rezydencje poza miastem, gdzie gra. Raz zauważyły go na rynku, a on do nich pomachał.

Teraz wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy skończył grać na klawesynie, tamtego pierwszego wieczoru w ich domu, na wpół nieobecny, drobny i zadbany, z włosami o jasnokasztanowym odcieniu, nie skreconymi i związanymi wstążkami z tyłu głowy.

– Panienci Weber, co się stało? – zapytał. – Czemu się tutaj kulicie? Odnoszę wrażenie, że spotkała was jakaś przykrość. Czy mogę wam potowarzyszyć? – Co powiedziawszy, z galanterią zajął miejsce obok sióstr.

Łzy wypełniły oczy Alojzy. Jej życie, które, jak czuła, miało właśnie cudownie rozkwitnąć, poszarzało od czasu tamtego magicznego wieczoru, kiedy stała pośród cisnących się ku niej, pełnych podziwu krewnych i przyjaciół i śpiewała jego liryczną pieśń. Teraz te nuty leżały pod innymi, bo nie mogła znieść ich widoku. Przypominały jej bowiem, jak otwierając swoje serce tamtego wieczoru, zgodziła się na potajemne spotkania z Leutgebem i jak podczas tych spotkań pozwoliła mu kłaść rękę tam, gdzie żadna porządna kobieta nie powinna pozwolić się dotknąć. Nigdy nie powinna była dawać tak wiele; niewierny waltornista, pomimo zapewnień o swoim gorącym uczuciu, powrócił bowiem nagle do Salzburga i dotąd nie napisał do niej ani słowa. Naturalnie nigdy nikomu słowa o tym nie pisnęła, bo palił ją wstyd. Teraz, przygnieciona ciężarem niepowodzeń związanych z tamtym przeżyciem oraz z utraconą szansą na małżeństwo z baronem, a także z reakcją stryja Józefa, wypaplała całą historię obecnych rodzinnych niepowodzeń. W innych okolicznościach nie ujawniłaby tego wszystkiego, co opowiadała teraz, szarpiąc róg chusteczki i wycierając nią co chwila kąciki oczu.

Józefa kiwała jedynie ponuro głową. Ten młody kompozytor z Salzburga, mimo całej swej uprzejmości oraz życzliwości, jaką obdarzył go ich ojciec, nie należał do rodziny, a zarówno matka, jak i ona uważała za



niegodne pranie własnych brudów przy obcych. Zacisnęła mocno usta; czuła się tak, jak wówczas w powozie, kiedy próbowała ukryć się w najciemniejszym kącie. W końcu ukradkiem wymierzyła siostrze porządnego kuksańca, żeby powstrzymać ten strumień wypowiedzianych wysokim, żalonym tonem skarg.

Kiedy Alojza mówiła, Mozart przypatrywał się obu dygoczącym z zimna siostrzom z taką samą uwagą, z jaką godzinę wcześniej wsłuchiwał się w siebie samego, aby odtworzyć fugę nieodżałowanego Bacha, którą raz tylko słyszał, lata temu. Współczuciem napawał go widok ich zaczerwienionych, wysmaganych wiatrem twarzy, rozwichrzonych włosów, których kosmyki opadały im na kark, spierzchniętych warg, zaciśniętych, bladych dłoni. Pomyślał o porządnym rękawiczkach swojej matki. Młodsza z dziewcząt dygotała spazmatycznie z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Mesdemoiselles Weber – wyszeptał. – To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że powierzacie mi swoje sekrety. Możecie być pewne, że nie zawiodę waszego zaufania. Dla muzyków, z wyjątkiem tych, którzy grają w orkiestrze, pracy tutaj niewiele. Myślimy z matką o wyjeździe stąd, kiedy tylko wróci z Salzburga, dokąd pojechała odwiedzić mojego ojca i siostrę. Mimo to musi się znaleźć jakiś sposób na wydobycie waszej rodziny z kłopotów. Śpiewacie przecież czarująco, pięknie. Same jesteście czarujące i piękne. – Ujął ich dłonie i zaczął rozcierać je giętkimi palcami. – Teraz wracajcie do domu, jesteście zupełnie przemarznięte. Znam pewnych ludzi i mam pewne wpływy. Może będę mógł wam pomóc.

Kilka godzin później Mozart jadł w zadymionej restauracji obiad składający się z zupy i sznycli cielecych. Towarzyszyli mu dyrygent orkiestry Cannabich oraz kilku innych kolegów muzyków, którzy akurat byli w tym mieście przejazdem. Rozmawiali o symfoniach, muzyce kameralnej,



mszach, o tym, gdzie można znaleźć pracę; wymieniali tych innych, którym jakimś cudem udało się objąć dobre posady. Siedzieli wokół stolika przy oknie, za którym pobrużdżone koleinami błoto zachowywało ślady kół pojazdów, tak długo aż zrównała je z resztą otoczenia miotła żebraka lub ciągnące się po ziemi, obszarpane spódnice podpitej ulicznicy.

Kilka tygodni wcześniej Mozartowi udało się przenieść z matką do wygodnego domu tajnego radcy, gdzie matce było wreszcie ciepło, była zadowolona i mniej kasłała. Traktowano ją tam jak członka rodziny, nawet plotkowano w jej obecności przy stole, dzięki czemu była zdecydowanie mniejszym (skulił ramiona, kiedy o tym pomyślał) dla niego brzemieniem. Mimo to nadal brakowało im pieniędzy, ponieważ nie dokończył jeszcze drugiego koncertu ani kwartetów fletowych zamówionych przez Holendra, i dlatego nie otrzymał honorarium. W kieszeni miał natomiast list od ojca, który nadszedł dzień wcześniej. „Mój szlafrok jest w strzępach. Gdyby dwa lata temu ktoś mi powiedział, że będę musiał nosić wełniane pończochy i nakładać twoje stare filcowe bambosze na swoje, żeby nie marznąć...” Odpisał bez zwłoki, tego samego ranka: „Wiesz przecież, najdroższy tato, że to nie moja wina”. Czy rzeczywiście? To pytanie nieustannie go dręczyło.

Klawesynista i skrzypek, grający do tej pory w kącie lokalu, poszli już sobie i Mozart wstał od stołu i zasiadł do instrumentu. Poprzedniego wieczoru był z przyjaciółmi na operze Holsbauera *Gunther von Schwarzburg* i teraz zaczął z pamięci grać co piękniejsze z niej melodie. Cannabich słuchał czas jakiś, po czym stanął obok niego. Jego ściągnięte do tyłu i przewiązane wstążką włosy nosiły jeszcze ślady białego, pachnącego lawendą pudru z ostatniego występu. Był żonaty i miał trójkę utalentowanych dzieci.

– Już dość tej opery! – wykrzyknął gromko. – Posłuchajmy czegoś lepszego. – Nie wyjmując fajki z ust, nachylił się nad drobnym kompozytorem i zaczął grać prawą ręką. – *La finta giardiniera* – oświadczył, a jego słowa i dym z fajki wraz z muzyką popłynęły w górę. – Skomponowałeś to trzy lata temu na występ w Monachium. Przywołuję fragment z pamięci. Ile miałeś wtedy lat, mój ty starcze? Osiemnaście? A ile, kiedy ułożyłeś tę uroczą śpiewogrę *Bastien*? Czy to możliwe, że dwanaście?

– Nie ma dla mnie nic lepszego od opery – westchnął Mozart. – Jest w niej muzyka, dramat, poezja. Zagraj jeszcze raz ten kawałek. Obiema rękoma; ja zaśpiewam.

Cannabich przyciągnął drugie krzesło i zaczęli rywalizować, przekładając ręce.

– A tutaj wchodzi instrumenty smyczkowe. Och, to bardzo przyjemny tenor! A co w ogóle, Wolfgangu? Ani słówka na temat jakiegoś stanowiska dla ciebie?

– Nic i jeszcze raz nic. W pałacowym korytarzu udało mi się zbliżyć do księcia elektora, kiedy wracał z kaplicy, i ponownie spytałem go o posadę. „Przykro mi, moje drogie dziecko”, oznajmił majestatycznie, „ale nie ma żadnych posad”. Moje drogie dziecko... co za słowa. – Mozart zagrał bardziej dynamicznie, pochylił się do przodu i ponownie zaczął śpiewać.

– To aria dziewczyny. Z tym głosem mógłbyś konkurować z kobietami! Wiesz, że w zeszłym roku spotkałem Józefa Haydna; księżę Esterhazy objął nad nim mecenat. Haydn bardzo podziwia twoje kompozycje. Czy to nie jego szwagierka śpiewała w *La finta semplice*?

– Owszem, a jego brat jest koncertmistrzem w Salzburgu. Nigdy nie spotkałem Haydna. O, tutaj właśnie zmienia się tempo.

– Znasz jego kwartety?

–Wielce je podziwiam. Tu tempo jest wolniejsze. Nie potrafię jednocześnie i śpiewać, i grać! Jaka według ciebie powinna być opera, Cannabich, he? Komiczna i poważna, zwyczajna i niebiańska?

O wczesnym zimowym zmierzchu Mozart wrócił do swojej nowej kwatery w wygodnym domostwie tajnego radcy. Obejrzał partyturę jednej ze swoich nie dokończonych oper; z westchnieniem odłożył ją na bok i ponownie zaczął pracować nad drugim kwartetem fletowym. Kiedy wreszcie odłożył pióro, nie miał pojęcia, czy dzwony kościelne biją na wieczorne nabożeństwo, czy też na poranne.

Wstał, wyprostował obolałe plecy i zaczął się przechadzać w tę i z powrotem po pokoju. I wtedy zauważył, że przy misce do mycia leży kolejny list; tym razem nadawcą była kuzynka z Augsburga. Któraś z udzielających im gościny osób musiała go tu przynieść. Poczul tamto dawne podniecenie i jednocześnie wzbierający w gardle śmiech. Rozerwał pieczęć i zakrywając usta jedną ręką, czytał list. Na Boga, dziewczyna była inteligentna, ponętna, istny skarb; następnym razem będzie miał ją do końca. Jakoś tam dotrze, a wtedy zedrze z niej te niezliczone spódnice i ozdobione koronką majteczki. Czemu nie? Przecież była chętna.

Ale co potem? Oboje narażą na szwank swoją reputację. Będzie musiał ją utrzymywać, a może nawet dziecko, a przecież nie potrafił zadbać o byt matki, ojca i siostry, zawsze tak cierpliwych w spełnianiu oczekiwań. Nie, nie poradziłby sobie z tym wszystkim. Po chwili, odczytując słowa napisane małutkimi literkami na marginesie, zmarszczył brwi, zaklął i odrzucił list. Co takiego, ona ma... zaparło mu dech, ponownie wziął list do ręki. „Mam teraz kochanka”, napisano czarno na białym. „Jaka szkoda, że to nie ty, Wolferl! Czekanie jest takie okropne. Nie martw się. Będę ostrożna. Mój

tępy ojciec niczego się nie domyśla; nigdy nie miał w tych sprawach wyczucia. Starzy ludzie nigdy go zresztą nie mają. Chyba nie masz mi tego za złe, kuzynku! Jesteśmy przecież przyjaciółmi".

Mozart stał nieruchomo i patrzył w przestrzeń. Miotła nim wściekłość i nie było to tylko uczucie zazdrości o powabną kobietę, której brakło cierpliwości. Był urażony, że to ona zrobiła krok naprzód i doświadczyła czegoś nowego, a jego pozostawiła z tyłu. Położył list, pismem do dołu, na swoim kwartecie i zaczął się przechadzać po wąskim pokoju. Po co w ogóle było zawracać sobie nią głowę? Nawet gdyby doszło do pełnego zbliżenia, po jego wyjeździe szukałaby przyjemności z kimś innym.

Jeśli już ma kogoś kochać, to musi to być dziewczyna porządna. Stał tak przez chwilę, przypominając sobie dwie siostry Weber, kiedy siedziały w kościele i zwierzały mu się ze swoich trosk, a potem pomyślał o ich doskonałym śpiewie, jeden sopran ciemniejszy i bardziej zmysłowy, drugi wysoki i anielsko czysty. One przynajmniej były porządne; w ich głowach pojawiały się jedynie cnotliwe i bezinteresowne myśli.

Józefa była za wysoka; nie chciał, by kobieta górowała nad nim wzrostem... ale była jeszcze Alojza. Przywołał jej obraz, łagodnie zarysowaną linię szyi aż do piersi, śliczną, małą rączkę wznoszącą się i opadającą, kiedy mówiła, piękne oczy. Ten gbur Leutgeb bawił się jej uczuciami. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu Mozart dostał od niego list z Salzburga.

Mozarcie, mój drogi durniu,

Pomiędzy mną a mademoiselle A. wszystko skończone. Nie wydaje mi się, żebym mógł związać się na zawsze ze śpiewaczką, nawet tak smakowitą jak ta mała. Nie, żebym naraził na szwank jej reputację: był tylko pocałunek i karesy w ciemności, a to przecież nic. Głównie wszakże, stary przyjacielu,

moja niechęć wiąże się z jej rodziną. Oni mają na nią ogromny wpływ. Jeśli się ożenię, będę miał na głowie ich wszystkich, a sklep mojego dziadka w Wiedniu aż takich ilości sera nie sprzedaje. To męczące towarzystwo, szczególnie zaś ta jej mamuśka. Ojciec to jakiś dziwaczny święty, chodząca dobroć. Ma najlepsze chęci, ale niewiele rozsądku. Radzę ci, stary druhu, zakochaj się we wdowie po jakimś zamożnym kupcu. Nie mamy przecież pieniędzy, żaden z nas. Ja mam ser, a Ty geniusz. Zapomnij o miłości i szukaj mamony. Wierz mi, to właśnie robi Frau Weber.

Mozart stał bez ruchu. Słowa listu wirowały mu w głowie, by zblaknąć pod wpływem wspomnienia dwóch sióstr w kościele, ich oddechów w zimnym powietrzu, spierzchniętych, bladych warg Alojzy, poobgryzanych paznokci jej starszej siostry. Czyż świat nie roił się od nieskalanych kobiet pełnych nadziei i oczekiwań? Cóż to jednak miało wspólnego z nim samym?

Czym w takim razie było to, co zaszło w tamtym pokoju pomiędzy nimi dwojgiem, kiedy ona śpiewała jego pieśń? Co zaszło, a co nie? Mozart nadal stał nieruchomo, myśląc o Alojzie, jedynie jego palce bębniły po stosie nut. Co zaistniało tamtego wieczoru, w małej bawialni, pomiędzy kompozytorem pieśni i śpiewaczką? Czy powinien był za nią pójść, kiedy wyszła z pokoju? Czy właśnie tego oczekiwała? Nie, naturalnie, że nie; po prostu była zbyt piękna, a do tego cnotliwa. Wokół takich kobiet należy nieśmiało krążyć, marzyć o nich. Poza tym wiedział, że matka chciała dla dziewczęcia utytułowanego męża ze starego rodu, a zważywszy na jej wdzięk i urodę, było wielce prawdopodobne, że takowego dostanie. A cóż on miał do zaoferowania? Właściwie nie był najgorszy. Mógł przecież wdawać się w romanse, a jednak coś go powstrzymywało.

Był ten wypełniony pijackimi zwierzeniami czas spędzony z Leutgebem w piwnicznej piwiarni, kiedy przyszły tamte dziewczyny i kiedy

zarówno on, jak waltornista tak otwarcie mówili o swoich nadziejach. Dlaczego nie powiedział Leutgebowi, któremu ufał, że jeszcze nigdy nie wziął kobiety do łóżka?

– Na Boga – wymamrotał teraz do siebie – jakże mógłbym mu powiedzieć. – Rumienił się na samą myśl, że wzorzysta tapeta tego ładnego pokoju, te książki, jego rzucony na krzesło surduty, mogłyby być świadkami takiego wyznania.

Późną nocą padł na łóżko, odrzucając pościel na podłogę. Rano zerwał się nagi i stał, dygocząc w zimnym pokoju; narzucił szlafrok, wyjął korek z kałamarza i napisał pośpiesznie. „Mademoiselle Alojza Weber, z uczuciem ogromnej przyjaźni, proszę o spotkanie w cukierni o trzeciej. We wszystkim służą panny, W.A.M.” i posłał liścik przez posłańca.

Nie przyjdzie, myślał.

Przyszła.

Alojza lekkim krokiem weszła do cukierni. W lustrach pod złotobiałym sufitem Mozart widział jej odbicie, jak sunęła w ciemnej pelerynie z ubłoconym dołem, mijała marmurowe stoliki, kredens z górą ciastek. Była tak doskonała, że mógłby wziąć ją pod ramię i porwać hen daleko. Kiedy do niego dotarła i dygnęła, nie pamiętał już, jakim był człowiekiem, zanim ona pojawiła się w drzwiach.

Uklonił się, a ona ponownie dygnęła; podsunął jej krzesło.

– Przyszedłem tu z planem rozwiązania waszych kłopotów – oświadczył po chwili tak spokojnym głosem, jak zamierzał.

– Proszę mi zatem opowiedzieć – odparła. – Ojciec będzie niezmiernie wdzięczny. Bo nikt nam nie przychodzi z pomocą, dosłownie nikt, a tu proszę, pan, osoba nie związana z naszą rodziną. – Pochyliła się do przodu.



Nie mógł oderwać oczu od unoszonej oddechem skóry w zagłębieniu nieskazitelnej szyi niewinnego, niespełna siedemnastoletniego dziewczęcia.

– Będziemy dawać wspólne koncerty: razem objedziemy całą Europę.

– Och, byłoby to możliwe? Co też pan mówi? Całą Europę? I ja bym śpiewała, a pan grał, tak jak tamtego wieczoru w naszym domu? Pojechalibyśmy do Paryża? Och, Herr Mozart, dalibyśmy koncert w samym Paryżu? – Miała kłopoty z mówieniem; jej biała szyja drgała. Nitka wysnuta z sukni wiła się po odsłoniętym dekolcie.

– Tak – potwierdził. – Paryż jak najbardziej. Dlaczego nie? Właśnie zacząłem to wszystko układać sobie w głowie. Napiszę mnóstwo pieśni, które pozwolą najwspanialej wykorzystać panny głos. Wpierw objedziemy Austrię i damy koncert w Wiedniu; mam tam przyjaciół, którzy nam pomogą. Stamtąd pojechalibyśmy do Wenecji, Florencji, do Rzymu, a potem do Wersalu.

– Wersal – szepnęła. Luźna nitka poruszała się w rytm oddechu. Mozart widział odbicie Alojzy we wszystkich lustrach nad paterami pełnymi ciastek.

– Wersal – powtórzył. – Mademoiselle, ręczę honorem, że gdziekolwiek zaśpiewasz, obcy błagać będą o bilety. Potrafię tego dokonać, bo moje nazwisko jest znane. Zabiorę również twojego ojca i mademoiselle Józefę. Powrócimy z taką ilością złota, że rodzina panny już nigdy nie będzie musiała się kłopotać. – Mówił z pełnym przekonaniem, choć serce waliło mu jak młotem. Nachylił się nad stolikiem i zbliżył twarz do jej twarzy, tak że widział wyraźnie kropeczki kilku jasnych piegów na policzkach, i mówił dalej: – A potem, kiedy już cię usłyszą, obydwie wiedeńskie opery zechcą, byś dla nich śpiewała. Nie było dotychczas takiego głosu, będą powtarzać.

– Paryż – wyszeptwała. – Wiedeń. Czy to możliwe?

– Bez wątpienia. Daj mi kilka dni, a przyjdę z bardziej sprecyzowanym planem.

Alojzie zabrakło słów z wrażenia i po chwili położyła dłoń na jego dłoni.

– Nie będziemy mogli się doczekać – wykrztusiła. – Szczególnie moja siostra i ja. Potrzebna mi będzie nowa suknia na koncerty, być może z różowego brokatu. Nie uważa pan, Herr Mozart, że w takiej właśnie sukni byłoby mi do twarzy?

Po kilku godzinach wyszli z cukierni, niemal trzymając się za ręce. Ona pocałowała go w policzek i zniknęła za rogiem kościoła w tej swojej ciemnej pelerynie i w trzewiczkach na płaskich obcasach, gdy tymczasem on stał i długo patrzył za nią, z dłonią przy policzku, w miejscu, w którym dotknęła go wargami.

Frau Mozart zawsze po podróży natychmiast rozpakowywała bagaże, tym razem jednak poszła prosto do łóżka. Nadszedł ranek i mroźny dzień napierał na żelazne kraty za oknem. W nocy śniła o domowych roślinach, pozostawionych na parapecie w Salzburgu; jedynie ona potrafiła z taką delikatnością usuwać ich martwe liście, szepcząc do nich niegdysiejsze austriackie czule słówka. Nie obudziła się wszakże u siebie, ale w goszczącym ich domu mannheimskim, w którym nie odnajdywała już żadnego uroku.

Jej syn zdążył wyjść.

Wstała, włożyła szlafrok i zaczęła chodzić po pokoju, obok wciąż zamkniętych podróжных toreb; zaczęła słać łóżko, po chwili dała sobie z tym spokój, aż wreszcie opadła na krzesło i zaczęła pisać.

Drogi Mężu,

Wróciłam po dwutygodniowym pobycie z Tobą i zastałam tu katastrofalną sytuację. Jakżeby inaczej? Chodzi o Twojego syna. Wczoraj nie poczekał nawet, aż zdejmę opończę, a już przedstawił mi coś, co jak założył, wezmę za dobre wieści: otóż zamierza wyjechać w tournée koncertowe z tymi zubożałymi Weberami, szczególnie zaś z mademoiselle Alojzą, w której się najwyraźniej podkochuje, czemu oczywiście zaprzecza. Zamiast dokończyć utwory fletowe dla Holendra, co przyniosłoby pieniądze, czy sonaty na skrzypce i fortepian na cześć małżonki elektora, żeby zyskać Jej przychylność, nie robi nic, tylko pisze pieśni dla tej panny. Ba, dał z nią koncert w jakiejś rezydencji, po czym wręczył jej i rodzinie połowę honorarium! Cóż zatem będzie z naszymi planami wyjazdu do Paryża, gdzie na pewno odniósłoby sukces, na jaki zasługuje? Już zapomniał, że to planowaliśmy; zbywa rzecz gestem ręki i wraca do wyjaśniania swojego nowego pomysłu. Weberowie! Ma nadzieję zapewnić im dobrobyt, a co tymczasem, zapytuję Cię, z naszym dobrobytem? Skończymy wszyscy jako żebracy na ulicach Salzburga.

Usłyszawszy kroki, podniosła wzrok, dmuchnęła szybko na list, żeby wysuszyć atrament, i odwróciła kartkę pismem do dołu. W drzwiach pojawił się syn, z włosami rozwianymi we wszystkie strony. Najczęściej, jeśli tylko nie był wystrojony na koncert, wyglądał jak strach na wróble. Co ona miała z nim począć?

– Wolfgangu, nie zmrużyłam przez całą noc oka – oświadczyła. – Zakładam, że wrócił ci rozsądek i porzuciłeś ten nedorzeczny pomysł, który przedstawiłeś mi wieczorem.

– Ależ matko, jak możesz tak mówić! – wykrzyknął, zbliżając się do niej; na jego twarzy malowały się silne uczucia. – Wszystko zaaranżowałem.

To tournee z Weberami przyniesie mnóstwo pieniędzy, starczy dla nich i dla nas.

– Nadal się przy tym upierasz? Twój ojciec wpadnie w gniew, kiedy otrzyma mój list. Czy sądzisz, by sama informacja o tym, że ta nie znana nikomu smarkula wraz ze swoją prostacką siostrą będą śpiewać, mogła zapęłnić setki miejsc? Jesteś wśród nich jedynym, którego nazwisko w ogóle jest znane, a przecież sam masz mnóstwo kłopotów, żeby dać koncert i znaleźć mecenasa. Twój ojciec chodzi tak obszarpany, że wstyd mu pokazać się arcybiskupowi – własnym oczom nie mogłam uwierzyć, kiedy zobaczyłam stan jego koszul, zupełnie nie nadających się już do naprawy – a teraz ty proponujesz podział tego, co zarobisz, pomiędzy nas i nich. – Odwróciła się, żeby dokończyć ścielenie łóżka, lecz wzniosła w górę rękę i zakryła twarz. – Nie masz dość mocy, żeby dźwignąć ich w górę – odezwała się zza palców – a cała ta rzecz ściągnie nas samych jeszcze niżej.

– Matko, znam się na głosach. – Odciągnął jej dłonie od twarzy. – Alojza ma zadatki na wielką śpiewaczkę. Może być jedną z najwspanialszych primadonn Europy.

– A cóż mnie obchodzą jej uzdolnienia? Jej zależy jedynie na tym, co może zyskać na znajomości z tobą, i nie ufałabym ani jej, ani nikomu z nich. Wiedziałam to od chwili, kiedy wdrapałam się na szczyt tamtych schodów.

– Jak możesz tak mówić o kimś, kogo wielce cenię? Jak możesz? Cóż, pójdę sobie. Nie wiem, czy w ogóle wrócę. Ją oczerniłaś, a mnie zraniłaś.

Wybiegł i długo przemierzał ulice w podmuchach mroźnego wiatru, aż przyszedł czas na lekcje. Nim je skończył, nadszedł zmrok. Jego roztargnienie nie pozostało nie zauważone. Powrót do domu nie wchodził w rachubę. Gdyby chociaż Leutgeb był tutaj. Z takiego czy innego powodu wszyscy jego przyjaciele wyjechali z miasta; nawet Cannabich był w

podróży. Wyglądało na to, że sam dwór wkrótce przeniesie się do Monachium.

Zaczął padać mokry śnieg, poszukał więc schronienia w dobrze mu znanej restauracji. Kupił papier, pożyczył pióro oraz atrament i rozpoczął pracę nad sonatą na skrzypce i fortepian.

– Mistrzu, musimy już zamykać – odezwał się do niego gospodarz.

Mozart rozejrzał się wokół, zaskoczony, że jest jedynym gościem, i tylko bardzo zmęczony, na pół śpiący chłopak zmywa podłogę. Wybiegł na dwór w rozpiętej pelerynie, mokry śnieg wciąż padał. Gospodarz pobiegł za nim, wołając: „Mistrzu, mistrzu”, i wręczył mu trzepoczące na wietrze, zapomniane kartki. Dwie wyslizgnęły się z ręki mężczyzny i pofrunęły ulicą. Mozart złapał mokre kartki, kiedy zatrzymały się na słupku do wiązania koni, i stał, patrząc na rozmazane nuty w świetle gazowej latarni. Żałował, że musiał opuścić ciepły lokal, że nie znajdzie żadnego innego cichego miejsca, gdzie mógłby napisać więcej i zapomnieć pobladłą twarz matki, jej żalony i jednocześnie oskarżycielski wzrok, który wyrażał sprzeciw wobec jego ambitnych i pomysłowych zamiarów.

Oparł się o drzwi jakiegoś domu.

Tyle zdążyło się wydarzyć od złożonej w tamtej cukierni obietnicy. Napisał dla Alojzy dwie kolejne pieśni, pamiętając przy tym o wyjątkowym brzmieniu oraz skali jej głosu, która rozciągała się od dźwięków poniżej średniego c i sięgała daleko ponad sopran, poprzez e i f, do roziskrzonego g, co udawało się jedynie wyjątkowym śpiewaczkom. Był muzykiem i znał wartość jej głosu, a uczucie, jakim ją darzył, nie przeszkadzało mu dostrzec, że głosy obydwu starszych panien Weber były głębokie, pełne i godne podziwu.

Jakże ciepło go wtedy powitała ta bezpretensjonalna rodzina. Najważniejsze jednak było wspomnienie ramion Alojzy, kiedy objęła go na tamtych schodach, pośród zapachów rozchodzących się z kuchni sąsiadów, jej miękkich ust na jego ustach, drobnych piersi przyciśniętych do niego oraz jej łez radości, kiedy nagle zaczęli raptownie wyznawać sobie miłość. „Z początku nie zauważyłam, Mozart, nie wiedziałam...” Dobry Boże, ona go rzeczywiście kochała. Najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu spotkał, kocha właśnie jego. Jakby czekała na niego przez całe jego dotychczasowe życie. Potem zaciągnęła go na górę, do rodziny, do pokoju, gdzie stał klawesyn i płonął ogień na kominku, gdzie nalewano wino do wypolerowanych kieliszków. Nagle uderzył go kontrast pomiędzy przytłaczającą posępnością własnego, wypełnionego obowiązkami życia a promienną pogodą tych dziewcząt i całej rodziny. Zaczny Frydolin Weber gotów był zawsze serdecznie go przyjąć pośród porzrzucanych nut i ubrań. Wtedy właśnie przyjęto go jako starającego się o rękę Alojzy; zobaczono w nim oblubieńca.

Szczelniej owinał się peleryną; przechodzący nocny strażnik zainteresował się, czy nie jest przypadkiem pijany.

– Idź do domu, młody człowieku – poradził mu, przekonawszy się o jego trzeźwości.

Mozart wyprostował się i ruszył powoli w kierunku domu, w którym matce i jemu udzielono gościny.

Czy zaplanowane przez niego tournee pozwoli wyciągnąć Weberów z cienia i z kłopotów? Czy rzeczywiście zdoła tego dokonać? Przecież tyle zawdzięcza swojej rodzinie. Czy to nie oni poświęcili się dla niego? Może matka miała rację. Powinien najpierw sam odnieść sukces, a dopiero potem zająć się losem dziewczyny. Po kilku miesiącach pobytu w Paryżu będzie



już rozrywany i wtedy mógłby po prostu posłać po nią i pomóc jej w zrobieniu kariery. Tak, wtedy będzie mógł rozslawić ten słodki głos o ogromnych możliwościach.

Zatopiony w myślach doszedł do domu; znużona pokojówka wpuściła go do środka, a on wszedł po schodach do zajmowanych z matką pokoi. Matka już się położyła; na głowie miała czepek do spania, ale on wiedział, że jeszcze nie śpi.

– Jedziemy do Paryża – oznajmił. – Postanowiłem.

– Wobec tego przyrzeknij też, że o niej. zapomnisz – nie odwracając głowy, powiedziała matka; jej głos, stłumiony przez granatowe draperie, wydał mu się zaledwie szeptem.

Stał nieruchomo z namokłymi nutami pod pachą.

– Nigdy jej nie zapomnę – odpowiedział stanowczo. – Jest moją mużą. Pojadę z tobą, zdobędę dla nas fortunę, a potem wrócę po nią. Wtedy będzie kimś więcej niż tylko mużą, będzie moją żoną.

Zofia za niczym nie przepadała tak bardzo jak za spaniem; starannie układała poduszkę, wsuwała pod nią jedno ramię, podciągała jak najwyżej kolana pod wełnianą nocną koszulą i tak dokładnie kryła się pod starą kołdrą, że znikał cały świat. Śniło jej się, że słyszy głosy, uniosła głowę, rozejrzała wokół. Było jeszcze ciemno i lodowaty deszcz zacinał w okna. Padający poprzedniego wieczoru śnieg, nieprzewidywalnie, jak to z pogodą bywa, przeszedł w deszcz.

Na pewno było za wcześnie, żeby wstawać, ale gdzie podziały się siostry? Ich pościel leżała odrzucona i na nierównych materacach pozostał jedynie odcisk ciał. Z zewnątrz dochodził wyłącznie jednostajny szum deszczu, nie słychać było nawet dzwoneków starego konia ciągnącego wóz z pieczywem. Dziewczynka usiadła, przetrzała oczy i podreptała do drzwi.

Wieczorem obchodziła dwunaste urodziny i dostała z tej okazji nowe wełniane bamboszki, teraz jednak nie mogła ich znaleźć. Być może, pomyślała rozespana Zofia, któraś z sióstr już zdążyła je sobie pożyczyć.

Gdzie Konstancja i Józefa? Owinęła się kołdrą i ruszyła boso korytarzem, w kierunku dochodzących z bawialni głosów. Kto mógł tam być o tej porze? Na pewno jest za wcześnie na uczniów. Uchyliła skrzypiące drzwi i rozglądała się zdumiona, zastanawiając się, czy nie pomyliła poranka z wieczorem. W pokoju zebrała się bowiem cała rodzina, a wszyscy mieli bardzo poważne twarze. Otulona kołdrą Konstancja siedziała z podwiniętymi nogami na kanapie, Alojza opierała się o nią; Józefa i ojciec spoglądali za okno, a matka, z zaciśniętymi ustami i czepkiem okrywającym nakręcone na papiloty włosy, zajmowała najlepszy fotel. Kominek ział pustką, klawesyn stał otulony wełnianym szalem. Pośrodku pokoju zobaczyła Wolfganga Mozarta, w pelerynie i w kapeluszu, nie ogolonego i przemokniętego, a na podłodze mokre plamy pozostawione przez jego trzewiki. Ani śladu jej nowych wełnianych bamboszy.

– Ojej, co się stało? – wymamrotała i sięgnęła po chusteczkę; już zaczynało jej cieknąć z nosa.

Matka odwróciła ku niej smutną twarz.

– Mozart zjawił się tak wcześnie z niepomyślnymi wieściami. Musi na jakiś czas wyjechać do Paryża. Tournee z twoimi siostrami należy tymczasem odłożyć.

– Wyjechać do Paryża? Jak musisz, to musisz. Przecież to nie twoja wina – zareagowała bez wahania Zofia, podchodząc do niego i ujmując jego rękę.

– Ruszamy dyliżanssem za godzinę – wyjaśnił Mozart – inaczej nie budziłbym was tak wcześnie. Chciałem przyjść osobiście, żeby nie przesyłać

wiadomości przez posłańca. Po przyjeździe bez zwłoki, jeszcze tego samego dnia, napiszę do was wszystkich. – W tym momencie najwyraźniej zabrakło mu słów. Ucałował kolejno ich policzki, nawet Marii Cecylii, mimo że odwróciła lekko głowę w drugą stronę; uściskał Frydolina Webera. Potem wziął za rękę Alojzę i wyszedł z nią z mieszkania, zamykając za sobą drzwi. Słyszeli ich głosy, choć słów nie dało się zrozumieć, a potem szybkie kroki w dół po schodach.

Kiedy Alojza wróciła, jej twarz była mokra od łez.

– Przecież obiecał – żaliła się i zaciskała mocno usta. – Obiecał mi, a teraz prosi, żebym poczekała. Minie co najmniej rok, nim będziemy mogli się pobrać. Wszystko jest już co prawda ustalone, ale pozostaje pytanie kiedy. Jedzie do Paryża beze mnie. Och, czy ja już zawsze będę musiała czekać, całe moje życie? Czy mam skończyć dwadzieścia lat, nim cokolwiek mi się przydarzy? – wyrzuciła jednym tchem, po czym pomaszerowała do wspólnej sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Po chwili dobiegło ich ciche łkanie i Konstancja z zatroskaną twarzą pobiegła, żeby ją pocieszyć.

Maria Cecylia nie powiedziała już ani słowa i udała się ciężkim krokiem do swojej sypialni, a za nią jej zasepiony mąż. Te drzwi też zamknięto.

Józefa i Zofia, same w bawialni, skuliły się pod wspólną kołdrą, starsza rozcierała stopy najmłodszej siostrzyczki. Z początku obie milczały.

– Wróci – odezwała się po jakimś czasie Józefa, patrząc prosto przed siebie. – Jest człowiekiem honoru; wróci i będzie się starał dotrzymać słowa, ale mnie i tak jest go szkoda, bo on ją kocha, a ona jest bez serca. Niech Bóg mi wybaczy te słowa, bo zrobiłabym dla niej wszystko, ale to prawda. To prawda, Zosiu, nie zaprzeczaj, ty moja pocziwa duszyczko... a do tego ma już dość fantazjowania matki, własnego zresztą też. On jest przynajmniej

kimś rzeczywistym. A teraz rozpalę ogień i zaparzę kawę. To zadziwiające, wyobraź sobie, że stryj przysłał wczoraj trochę pieniędzy, choć czyn ten zapewne skrócił mu nieco życie. Thorwart też obiecał jakąś sumkę. Przez jakiś czas poradzimy sobie.

– Wszystko dobrze się skończy – oświadczyła z przekonaniem Zofia, kiwając głową.

– Bardzo możliwe, ale jak to rozpoznamy, skarbie? Skąd wiadomo, co jest pomyślne? Skąd któraś z nas może to wiedzieć?

Z dołu, poprzez szum deszczu, dobiegł Zofię dźwięk dzwonek przy furgonie z pieczywem, a pod stołem ze stosami nut stały sobie jak gdyby nigdy nic jej nowe wełniane bamboszki. Z błogim westchnieniem wsunęła w nie stopy i narzuciwszy na siebie szlafrok, który ktoś zostawił na klawesynie, zbiegła schodami na dół. W szarości poranka stał ociekający wodą nieszczęsny koń, połyskiwały mokre mosiężne dzwonki przywiązane przemoczonymi już kolorowymi wstążeczkami. Ulica budziła się powoli do życia. Dziewczynka wzięła dwa ciepłe bochenki i pobiegła z nimi na górę, gdzie przywitała ją woń świeżo zmielonej kawy. Żałowała, że wydarzenia tego wczesnego ranka nie były jedynie snem i że ona sama, suchotka, nie leży nadal pogrążona we śnie w ciepłe swojego wygniecionego łóżka.

## *ZOFIA WEBER, MARZEC 1842*

Wczoraj monsieur Novello powtórnie odwiedził mnie w salzburskim mieszkaniu, żeby wysłuchać opowieści potrzebnych mu do biografii Mozarta. Wbiegł po schodach tak szybko, że ledwie zdążyłam sięgnąć po treskę, które dopinam do włosów, a już pukał do moich drzwi. Od lat nie zakręcam już włosów na papiloty. Zasiadłam zatem wygodnie, z laską pod ręką, spoglądając na tego miłego, łysiejącego muzykologa, który odbył taką daleką podróż, żeby się ze mną zobaczyć, i który zawsze przynosił mi czekoladki. Podejrzewam, że delektowanie się słodyczami przez całe lata przyczyniło się do mojej obecnej znacznej wagi, choć jako dziewczę byłam chuda jak szczapa.

- Zatem mieszkacie z małżonką w Londynie, monsieur?
- Owszem, i zbieramy tam na koncertach wielu muzyków.
- Słyszałam, że panuje tam dżdżysta aura.
- W rzeczy samej.

Powiódł wzrokiem po książkach, strojach, listach, pozbawionych strun skrzypcach, stosach papierów... po części przewiązanych, po części leżących luzem. Czasami mam uczucie, jakby życie moich sióstr oraz moje własne, mimo że potoczyło się tak różnymi drogami, właśnie tutaj znalazło swój wspólny kres. Jest tu przecież owalna kamea babki, czarny jedwabny, lekki czepek matki, rękopis pierwszej pieśni napisanej przez Mozarta dla Alojzy i naturalnie na dnie szafy to pudło na kapelusze, a w nim przewiązane lawendową wstążką listy.

Monsieur Novello wziął oprawny w skórę notes i oparł na kolanach swoje malutkie, przenośnie biureczko.

– Ostatnim razem – powiedział – przerwała pani w miejscu, kiedy Mozart złożył pani siostrze Alojzie deklarację i wyruszył do Paryża, by święcić tam triumfy.

– Była to z mojej strony niedyskrecja, za dużo powiedziałam. – Odwróciłam głowę.

– Droga madame, jakżeby mogła pani powiedzieć za dużo?

W rzeczywistości od czasu jego ostatniej wizyty raz po raz dręczyło mnie sumienie.

– Mama zabraniała nam opowiadać innym zbyt dużo o sobie – oświadczyłam surowo, spoglądając na niego znad okularów i wygladzając swoją obszerną spódnicę. – Nie życzyłaby sobie, żebym wyjawiała pewne sprawy. Zatem, monsieur Novello, myślę, że powinniśmy odłożyć sprawy osobiste. Zamiast tego opowiem panu o jego muzyce, o tym, jak komponował. Tworzył to wszystko w głowie, a potem w niemal ostatecznej wersji zapisywał na papierze. To prawda, sama to widziałam.

– Owszem, madame – monsieur Novello próbował ukryć rozczarowanie – ale to rzecz znana, inni już mi dużo na ten temat opowiadali. Natomiast tego, co pani może mi przekazać, nie znajdę w żadnym innym miejscu na świecie, nigdzie. Naprawdę zadziwiająca jest bowiem owa złożoność i subtelność psychologiczna w ukazywaniu kobiecych postaci w jego operach; nikomu się to nie udało nawet w połowie tak dobrze. Skąd czerpał wzorce? Te postaci są z krwi i kości, omylne, niedoskonałe, a jednocześnie takie figlarne i zmysłowe. Wierzę, że zrozumienie, w jaki sposób jego życie splotło się z życiem pani i jej sióstr, kiedy on miał dwadzieścia kilka lat i kiedy jego wyobraźnia była tak żywa, rzuci na to nieco światła.

– Mama byłaby niezadowolona, że się wypowiadam na te tematy.



– Ja jednak panią proszę, błagam! Musi mi pani powiedzieć to, co pani wie. Opowiedzieć o jego życiu z wami wszystkimi, w tych poprzedzających jego małżeństwo latach.

Położył nawet pełnym szacunku gestem dłoń na moim kolanie.

– Z drugiej strony – powiedziałam – papa zawsze powtarzał, byśmy były szczerze i że nie istnieje nic, z czego należałoby robić tajemnicę. – Uśmiechnęłam się, tamtym swoim dawnym uśmiechem. To dziwne, ale po tych wszystkich latach, w moim podeszłym wieku, wciąż potrafię się uśmiechać w sposób, który może oznaczać wiele różnych rzeczy, a nauczyłam się tego, będąc jeszcze dzieckiem. Powinam się wstydzić, bo wcale nie zamierzałam przerywać tych moich opowieści; zapewne tylko jeszcze raz chciałam usłyszeć, jak bardzo mu na nich zależy. – Jakież to wspaniałe czekoladki przyniósł pan dzisiaj! – zachwyciłam się. – Czy mówiłam już, że moje siostry i ja wprost przepadałyśmy za czekoladkami? Oddałybyśmy wiele za bombonierkę.

– Zatem opowie pani więcej?

– Na tyle, na ile pamięć mi pozwoli.

– Dziękuję z całego serca! – wykrzyknął.

Zjadłam dwie czekoladki i wytarłam palce w lnianą chusteczkę z monogramem, którą mi zaoferował, chociaż gdybym była sama, zwyczajnie bym je oblizowała. Trochę mi było szkoda tych smakowitych okruchów, kiedy je zawinałam w chusteczkę i wcisnąłam do kieszeni.

– Pani matka... – przypomniał mi delikatnie.

– A tak. Nic by nie miało takiego finału, jaki miało, gdyby nie nasza mama. Ona popychała nas zdecydowanie w jedną stronę, a my uparcie szłyśmy w przeciwną. Nie, gdyby nie ona, wszystko potoczyłoby się inaczej. Proszę popatrzeć na ten rysunek, tam, po prawej stronie kominka. –

Podniosłam laskę i wycelowałam nią w ścianę. – Przyjaciel rodziny wykonał go któregoś wieczoru, kiedy wreszcie udało mu się oderwać ją od pieczenia i od snucia planów. Była tęga, ale miała delikatne ramiona i świeżą skórę, rozkosznie pachnącą.

– Miała skomplikowany charakter.

– Wnioskuje pan z tego, co pan słyszał gdzieś indziej, czy z moich opowieści?

– Prawdę mówiąc, z obydwu źródeł, madame.

Przyglądał się czas jakiś wizerunkowi, po czym znów zaczął skrzypiec piórem po papierze.

– Zatem, wszystko, co się wydarzyło, w dużym stopniu stało się za jej przyczyną? – Podniósł na mnie wzrok.

Otworzyłam szeroko oczy i uniosłam do góry ręce.

– W ten czy inny sposób. Wszystko traktowała bardzo poważnie. Wierzyła w znaki, podobnie jak ja, i w głębi duszy wiedziała, że przynajmniej jednej z jej córek pisana jest wielka przyszłość. Tak właśnie nam mijał jeden za drugim zwyczajny dzień, w nieustannym oczekiwaniu czegoś cudownego, co pojawi się na progu naszego mieszkania...

# *CZEŚĆ DRUGA*

## *MONACHIUM I ALOJZA 1778*

Była już późna wiosna i siostry krążyły po Mannheim, żegnając stare przyjaciółki, wymieniając pukle włosów i błyskotki, obiecując listy. Weberowie przeprowadzali się do Monachium. Elektor Bawarii zmarł i Karol Teodor, elektor Palatynatu, przeniósł się wraz ze swoim dworem do monachijskiego pałacu. Alfons i Heinemann również opuścili miasto. Spodziewali się, że w Monachium otworzą się większe możliwości dla muzyki.

Ostatniej godziny przed wyjazdem Zofia przemierzała puste pokoje, sprawdzając, czy wszystko zabrali. Jakie to dziwne! Czy pozostało tu coś z życia, kiedy już zniknęło każde krzesło i szafa, kiedy na haczykach nie wisały żadne suknie, a w kuchni nie pozostał nawet jeden garnek? Jedną ze ścian w kuchni zdobiła ciemna plama, pamiątka po tym, jak dwunastoletnia Józefa, krojąc jabłka, przecięła sobie kciuk, w rezultacie czego trysnęła fontanna krwi. Podłoga w sypialni nosiła ślady po żelaznych nogach łóżek.

Na parapecie zauważyła resztkę atramentu w kałamarzu, znalazła też świstek papieru.

„Drodzy przyjaciele – pisała – wyjechaliśmy do Monachium, by z Bożą łaską, wieść pomyślniejszy żywot. Przyjedźcie tam nas odwiedzić. Zawsze jesteśmy razem i wszyscy na Was czekamy”. Powiesiła karteczkę na gwoździu wbitym w drzwi, z nadzieją, że nowi lokatorzy nie zdejmą jej natychmiast. Miała już zbiec na dół, gdzie czekała na nią rodzina, kiedy pomyślała o notesie z nazwiskami konkurentów, ale zobaczyła, że matka nie

zapomniała zabrać go z ostatniej kryjówki. Szkoda, że go tam nie zostawiła, pomyślała, krzywiąc się, Zofia, bo kilka dni wcześniej zajrzała do niego potajemnie i nie była zachwycona tym, co zobaczyła. Teraz i tak nie mogła nic na to poradzić. Później, owszem, coś będzie trzeba wymyślić.

Pożegnała znakiem krzyża puste pokoje i pośpieszyła na ulicę.

A już po kilku tygodniach było tak, jakby nigdy nie mieszkali gdzie indziej jak tylko w pięknym Monachium. Ich nowe mieszkanie położone było o jedno piętro niżej od tamtego w Mannheim, co ułatwiało nieco wnoszenie drewna na opał i wnoszenie nocników. Poza tym mieszkali niedaleko wspaniałego kościoła, Frauenkirche, z dwiema okrągłymi wieżami górującymi na tle jasnego nieba nad sąsiednimi budowlami. Szybko się zadomowili, a ich niedbały styl życia się nie zmienił, wszędzie panował nieład. Znajomi przychodzili muzykować w czwartki, często wpadali też w inne dni, na kolację, wino czy rozmowę. Pierwszy raz w życiu mieli niemal dość pieniędzy na utrzymanie, a dwie starsze siostry zaczęły tam śpiewać, i to nie bez sukcesów.

Od przyjaciół z Mannheim przychodziła regularnie korespondencja; każdego tygodnia, czasem nawet częściej, przychodził też gruby list z Francji, który Alojza zabierała do wspólnej dziewczęcej sypialni i czytała w samotności. Zza drzwi słychać było skrzypienie jej pióra; kiedy skończyła, kierowała się natychmiast do biurka ojca i wyciskała w białym roztopionym wosku pieczęć z herbem w kształcie liry. Nie podchodźcie, nie zadawajcie pytań, zdawały się mówić jej mocno zaciśnięte wargi.

Przeprowadzka niewiele zmieniła; kłócili się jak dawniej. Z radością witali gości, ojciec się przepracowywał, a matka nie przestawała snuć planów matrymonialnych dla dziewcząt. Notes w wytłaczanej skórzanej oprawie z zapisaną w nim starannie listą potencjalnych konkurentów co

prawda przeniósł się do Monachium razem z nimi, ale ukryty został w miejscu, którego dziewczęta nie potrafiły odnaleźć. Zofia przetrząsała kiedyś mieszkanie przez godzinę, zbierając przy okazji kurz spódnicą. Matka milczała na jego temat przez kilka miesięcy po przenosinach i przez jakiś czas dziewczęta sądziły, że być może o nim zapomniała.

Nie zapomniała. W samym środku upalnego lata, kiedy wszystkie siostry siedziały w nowej bawialni (która wyglądała dokładnie tak samo jak stara, tyle że podłoga była nieco pochyla i musieli podłożyć zwitek papieru pod jedną z nóg klawesynu, żeby stał równo), usłyszały, jak matka, dysząc ciężko, wchodzi po schodach.

– Dziewczęta – zawołała od drzwi, zdejmując kapelusz, bez którego nie wychodziła nawet na chwilę, żeby kupić zapalki czy rybę. – Moje córeczki, moje pchełki, mam pewne plany.

– Och, tylko nie plany – jęknęła cicho Józefa. Jej twarz wyrażała napięcie; po raz czwarty bowiem czytała *Hamleta* po niemiecku i właśnie doszła do sceny, w której pojawia się duch.

– A jakaż dobra matka by ich nie miała? Posłuchajcie! – Maria Cecylia położyła ostrożnie kapelusz na stole. – W pasmanterii spotkałam Elizę Hoffman; pamiętacie, moje gołąbeczki, chodziła ze mną do szkoły. Spytała, czy jesteście już zaręczone, czy może wręcz zameżne, a ja odrzekłam – tu Maria Cecylia westchnęła – że niestety nie, chociaż najstarsza z was ma już dwadzieścia lat. „Droga Mario Cecylio”, oświadczyła na to moja zacna szkolna koleżanka. „Nie przejmuj się! Mam potencjalnego kandydata. Niedawno poznałam pewnego dżentelmena, właściciela kilku plantacji w Indiach Zachodnich, trzydziestoletniego wdowca z dwójką dzieci”.

Maria Cecylia usiadła zdyszana, lecz triumfująca, i zaczęła się wachlować cienką gazetą, którą przyniosła dla męża.

– Która z nas zostanie wystawiona na licytację? – spytała Józefa i odwróciła się, żeby wrócić do przerwanej lektury. – I kiedy zaczyna się ta aukcja, czy też, jak wszystkim, podzielimy się nim i każda dostanie ćwiartkę? Zatem poligamia czy ćwiartowanie? Mnie proszę z tego wyłączyć. W Indiach Zachodnich jest za gorąco i leżą za daleko. A trzydziestka to podeszły wiek. I pieniądze szczęścia nie przynoszą,

– To prawda, mamó – zawołała Zofia. – Najświętsi ludzie są ubodzy. – Zamrugła za szklami okularów. – Nie możemy go poćwiartować, boby nas powieszono przy wtórze wojskowych werbli, a w całości dzielić się nim też nie możemy. Są dzicy, którzy mają po dziesięć żon, a arabscy paszowie miewają ich nawet sześćdziesiąt, ale nam by to nie odpowiadało. Konstancja chce wyjść za mąż z miłości, a ja mam zaledwie dwanaście lat i chcę się poświęcić dobrym uczynom. Alojza dała słowo Mozartowi, a Józefa zamierza dołączyć do Cyganów albo uciec z jakąś trupą teatralną, jeśli nie uda jej się zostać właścicielką sklepu muzycznego. Tak nam powiedziała. Zatem cały ten pomysł jest zupełnie nierealny.

– Tak naprawdę – wtrąciła Konstancja – to mnie zależy jedynie na tym, żebyśmy zawsze byli razem. Jeśli więc on nie chciałby zatrudnić nas wszystkich na swoich polach, to może sam by się przeniósł tutaj i pomagał przy wynoszeniu nocników.

– Och, co też mam z wami wszystkimi począć?! – wykrzyknęła matka i pospieszyła do kuchni, a za nią udały się trzy młodsze dziewczęta. Z kosza Maria Cecylia wyciągnęła ogromną sałatę, której nadal czepiały się grudki ziemi. – Cóż wy wiecie o życiu, jakich słów mam użyć, żebyście coś zrozumiały? – Ściągała papier z dużej kremowej osełki masła, zagryzając pełną wargę. – Równie łatwo kochać zamożnego jak biedaka – oświadczyła. – Bogaci też zasługują na miłość.



– Nie kochasz papy?

– Cóż za tupet! Niegrzeczne z ciebie dziewczynisko, Konstancjo Weber! Oczywiście, że go Kocham.

Zofia uszczypnęła Konstancję, zauważając ze smutkiem, że oczy matki wilgotnieją.

– Możesz go zaprosić na któryś czwartek, mamó, żebyśmy mu się przyjrzały.

Alojza zsunęła osełkę masła do niebieskiego naczynia z przykrywką, które przywędrowało tutaj z nimi z Mannheim, wstawiła je do kredensu i szczerze zamknęła drzwiczki.

– Tylko mnie uprzedźcie, to pójdę wtedy na wykład w towarzystwie filozoficznym – dobiegł je z bawialni głos Józefy.

Właściciel plantacji przybył na wieczór u Weberów w najbliższy czwartek, w towarzystwie Frau Hoffman, skarżył się jednak, że od muzyki rozboleła go głowa, i wyszedł wcześniej. Dziewczęta śmiały się tak głośno i serdecznie, że musiały przenieść się do sypialni. Jedynie Józefa nie miała z tego wszystkiego uciechy, bo martwiło ją, że ojciec wygląda na bardzo zmęczonego. Przyrzekła sobie dać mu burę, że się zbyt przemęcza, ale nazajutrz znów wydał jej się w pełni sił. Zofia zwierzyła się w końcu Konstancji z tego, co zobaczyła w notesie z potencjalnymi konkurentami, kiedy zajrzała do niego kilka miesięcy wcześniej: pod imieniem Alojzy pojawiły się nowe nazwiska, wszystkie należące do synów zamożnych ojców z monachijskiej socjety. Nazwiska Mozarta tam nie było. Dwie młodsze siostry splotyły palce i przysięgły dochować tajemnicy, od tego czasu jednak spoglądały na matkę z niejakim powątpiewaniem.

Nadeszła jesień i nie przyniosła ze sobą żadnych wartych wspomnienia kawalerów, a jedynie wilgoć i deszcz. Frydolin Weber, ukryty pod

ogromnym czarnym parasolem, biegał z lekcji na lekcję. Miał błędny wzrok i niepewny wyraz twarzy jak zawsze, kiedy nie udawało mu się związać końca z końcem, i dziewczęta znów słyszały odgłosy kłótni zza drzwi rodzicielskiej sypialni. Jakiś czas potem, pewnego ranka, ojciec wynurzył się z sypialni później niż zwykle, w krótkiej nocnej koszuli, która nie zakrywała jego chudych nóg. Oparł się jedną ręką o ścianę dla utrzymania równowagi, a jego ciałem raz po raz wstrząsały ataki kaszlu.

– Nie czuję się zbyt dobrze – stwierdził. – Józefo, złotko, bądź tak miła i weź za mnie lekcje. Ale nie krzycz na te młode niewiasty, kiedy wykażą się głupotą, bo pójda sobie gdzie indziej.

Tamtego czwartkowego wieczoru pojawiła się ta sama co zwykle garstka gości; wprowadzono ich do sypialni, gdzie leżał Frydolin z butelką gorącej wody na piersi i flanelą owiniętą wokół szyi.

– Tutaj będziemy muzykować – oświadczył gospodarz.

Przyjaciele popatrzyli po sobie, ale nie protestowali. Pięciu czy sześciu muzyków stłoczyło się w pokoju pomiędzy szafą a stołem, wciskając krzesła, gdzie się tylko dało. Smyczek Heinemanna zaczepił o draperię przy łóżku. Na toaletce Marii Cecylii, pośród puzderek, szpilek i flakoników, postawiono kieliszki z winem.

– Co mówi lekarz?

– Puścił mi krew i kazał odpoczywać.

Po wyjściu gości Weber wsparł się na poduszce i wsłuchiwał się w szepty córek, które po cichutku wносиły krzesła, sprzątały talerze i kieliszki. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył stojącą w drzwiach Józefę, która tuliła do siebie, jakby chroniąc przed ostygnięciem, szklanicę grzanego piwa.

– Chodź, usiądź przy mnie – poprosił – wpierw jednak przymknij drzwi. – Posłuchaj – kiedy usiadła, wziął ją za rękę – jutro będę gotów wrócić do pracy, dziś jednak, najdroższa córeczko, podczas andante, widziałem was wszystkich jak z pewnego oddalenia i było to bardzo dziwne uczucie. Jakby mnie tu już nie było. Być może nie powinienem ci tego mówić, ale czuję, że muszę. Wiesz, że są pewne rzeczy, których twojej matce nie mogę powiedzieć, ona tak się zamartwia.

Frydolin Weber opadł na poduszkę, a Józefa pomyślała, że wygląda starzej, jakby był własnym ojcem. Jej serce zabiło niespokojnie.

– Zbyt ciężko pracujesz – powiedziała surowo. – Nie mam pojęcia, dlaczego niektórzy ludzie muszą w swoim życiu tyle pracować, a innym jest znacznie łatwiej.

– Nie mam nic przeciwko temu. Muszę utrzymać was wszystkie i waszą kochaną matkę.

– Wszyscy za dużo od ciebie wymagają, to niesprawiedliwe.

– Nie chciałem rozmawiać o sobie, Józiu, ale o tobie. Naprawdę, nie siebie miałem na myśli. Nie chodziliśmy ostatnio na nasze wspólne spacerunki, tylko my, we dwójkę. Bardzo mi tego brakuje. Czasami przy kolacji zerkam ponad świecami na ciebie. Jesteś moją córeczką. Niełatwo być najstarszą i nie jesteś szczęśliwa. Nie wiem, co robić, byś była szczęśliwa, Józiu. Chciałbym, żeby można było tego dokonać podarunkiem, takim jak kapelusz czy czekoladki. To potrafiłbym zrobić. Miałem dziś dużo czasu na przemyślenia. Człowiek czegoś pragnie i nawet sobie tego nie uświadamia. Masz takie pragnienia? Józiu, ty mój prawdziwy muzyku, tak, jesteś prawdziwym muzykiem, o silnym i wybornym głosie. Co się z nim stanie? Czy przyniesie ci szczęście?

– Papo, nie kochają mnie i tyle. – Siedziała pochylona nad nim, z jedną ręką na jego stopie, nawet przez kołdrę czując ostre paznokcie. – Innych tak łatwo jest kochać. Ja nie mogę znieść głupoty. Nakrzyczałam dzisiaj na twoją uczennicę i myślę, że jej matka nie zechce, byśmy ją dalej uczyli. Tak bardzo pragnę, by mnie kochano, ale nie wiem, jak to spowodować. Czasami chciałabym, żeby powróciły tamte dawne czasy, kiedy jeszcze nie urodziły się moje siostry i byliśmy tylko my. – Podniosła żalosne spojrzenie, oblała się rumieńcem. – Tak mi przykro z powodu twojej uczennicy.

– Pójdę tam jutro i ją udobrucham. – Pogłaskał jej dłoń. Rano słyszały, jak się ubiera i pogwizduje przed wyjściem.

Wrócił po kilku godzinach i czekał w bawialni na kolejnego ucznia.

Nagle Józefa, doglądająca w kuchni gotującej się zupy i jednocześnie pochłaniająca scenę, w której Lady Makbet chodzi we śnie, usłyszała odgłos upadku. Zerwała się i pobiegła do bawialni. Ojciec leżał na podłodze obok klawesynu.

– O mój kochany – zawołała, opadając przy nim na kolana.

Spojrzał na nią zdziwionym wzrokiem, jakby zastanawiał się, co robi na podłodze. A potem przestał oddychać i światło w jego oczach zgasło.

Józefa trzymała jego dłoń, głaskała włoski nad kostkami, giętkie palce i stwardniałe opuszki. Szloch wydobył się z jej piersi.

– Obudź się, tatusiu – szepnęła, nachylając się do jego ucha.

Delikatnie poruszyły się miękkie, siwiejące włosy. Skulona, starała się powstrzymać łkanie i miała nadzieję, że nikt nie wejdzie do pokoju. Gdzie podziała się muzyka? – pomyślała. Dokąd odeszła? I dokąd odszedł on, chociaż tu leży, jakby ogromnie znużony zapadł w sen, a przecież nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat? Kiedy się poruszy, wstanie i przebiegnie przez pokój, po drodze zrzucając nuty, i zawoła: „Uczeń idzie”? Może właśnie tyle

miałeś w sobie do dania i kiedy już to oddałeś, wszystko się skończyło. Bo dawał z siebie czterem córkom, ile mógł, kupował im suknie i ciepłą pościel, drewno na opał i cielęcinę. Tak, rozdał się cały.

Jest mój, pomyślała. Ja jestem jego. Pozostałe się nie liczą, nigdy się nie liczyły, nawet mama, która zmuszała go do takiego wysiłku. Byłam jego pierworodną; byłam tu pierwsza. Powiedział to wieczorem; niemal to powiedział. Och, papo, jesteś taki przystojny, nie taki nijaki jak twój brat. W sobie masz muzykę, tylko muzykę. Ona wciąż tam mieszka. Nie wszystka cię opuściła; jest tutaj, w twojej piersi. Nie chodziliśmy tu wiele na spacer. Inni je nam zabrali, ci inni, którzy nigdy nie kochali cię, jak powinni. Ani ciebie, ani mnie nie kochano nigdy we właściwy sposób; oboje o tym wiemy. Nauczyłeś mnie śpiewać, a ja nie śpiewam, w każdym razie niewiele, ale pewnego dnia będę śpiewać, a wtedy każda nutka będzie przeznaczona dla ciebie.

Łzy spływały jej po policzkach; usiadła na piętach. Odetchnęła kilkakrotnie i zaczęła śpiewać drżącym głosem, który przechodził chwiejnie od jednego dźwięku do drugiego, ale kiedy zaczęła oddychać jeszcze głębiej, uspokoił się i popłynął wartkim strumieniem. Odśpiewała fragment mszy za zmarłych, tej, do której jej ojciec tyle razy jako pierwszy skrzypek grywał w mannheimskich kościołach. „Dusze prawych są w rękach Boga”. Jej głos wznosił się coraz wyżej, aż wypełnił każdy najmniejszy kąt pokoju i zatrzęsł szybami w oknach. Może wejdzie w jego ciało i też je wypełni.

Prawie nie zauważyła, kiedy przyszły siostry i wybuchnęły płaczem.

– Przestań śpiewać, przestań śpiewać, głupia dziewczyno, czemu śpiewasz? Zmiłuj się, Chryste, Chryste, zmiłuj się! – Niemal nie czuła, jak matka, wrzeszcząc, szarpie ją za ramię. Usłyszała natomiast, jak matka pada ciężko na kolana, i wtedy przerwała śpiew.

Pojawili się oczywiście żałobnicy. Przyszli wszyscy. Godzina za godziną grała na klawesynie jego ulubioną muzykę, z zaciśniętymi wargami, z niewidzącymi i zapłakanymi oczyma. Łzy przestawały płynąć, by po chwili zacząć od nowa; potem jej twarz przybrała twarde i zdecydowany wyraz. Patrzyła na naznaczone żalem twarze siostr i matki, jakby było to coś, co niezupełnie rozumiała. Najpierw było requiem, a potem kondukt pogrzebowy podążył na cmentarz za trumną, która kiwała się na boki w czarnym karawanie.

Obudź się, tatusiu, pomyślała Józefa. Niedługo znów będzie czwartek.

Wracały z cmentarza w wynajętym powozie, bo nie miały dość sił, by iść. Maria Cecylia szlochała.

– Jak mogłaś śpiewać, kiedy go znalazłaś? Jak mogłaś, Józefo Weber?  
– powtarzała w kółko. – Nie masz serca. Przyznaj się.

– Miała rację, że śpiewała – odezwała się Zofia. – Cóż innego mogła zrobić? On dał nam muzykę, ona ją oddawała. Był jej tatusiem i ona go kochała.

Maria Cecylia pochyliła się do przodu, a jej twarz wyrażała jednocześnie i czułość, i wściekłość.

– Ona nie ma prawa do takiej żałoby, to nie jej ojciec. Nigdy nim nie był – zawołała, przekrzykując stukot kół. Potem cofnęła się, przyłożyła dłoń do ust i opuściła powieki.

Józefa wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma w twarzy tak poblądłej, że Zofia obawiała się, czy nie zemdleje.

– Co masz na myśli? – wyszeptała Józefa. – Co ty mówisz? – pytała, podnosząc swój wspaniały głos. Alojza i Zofia zakryły uszy rękoma, a Józefa pochyliła się raptownie do przodu, jakby zamierzała matkę uderzyć albo zacisnąć swoje duże dłonie na jej szyi.



– Józiu, nie! – krzyknęła Konstancja. – I ty, mamó, słyszysz mnie, przestań już! Teraz wszystkie musimy trzymać się razem, musimy!

Matka podniosła wzrok, twarz miała mokrą od łez; wyciągnęła rękę, żeby dotknąć kolana najstarszej córki.

– Nie chciałam tego powiedzieć – wykrztusiła. Zabrakło jej słów i znów się rozszlochała. – Nie wiem, co mówię. Nie wiecie wszystkiego, co działo się pomiędzy nim a mną. Nazywał mnie swoim kwiatuszkiem. Jestem taka gruba, a dla niego byłam kwiatuszkiem. Uczynił mnie lepszą. Miał złotą duszę, był dla mnie całym światem. Ja nigdy, przenigdy nie byłam go godna, a teraz już nie masz go pomiędzy nami.

Zimowe wiatry, jak zawsze o tej porze roku, owiewały Europę, pędziły przed sobą lodowate rzeki, okrążały góry, ściągaly mróz. W monachijskiej bawialni ciemne liście, które od kilku miesięcy przystrajały portret Frydolina Webera, dawno już zwiędły. Pewnego późnego popołudnia, blisko tego portretu, przy biurku, siedziała Zofia Weber i pisała list do sióstr matki; nachylała się nisko nad kartką papieru i zagryzała wargę.

Najdroższa ciociu Elżbieto i ciociu Greto,

Proszę Boga, by list ten zastał Was w pełnym zdrowiu i pomyślności. Wydaje się, że już tyle czasu minęło od moich ostatnich urodzin, kiedy przysłałyście mi nowe bamboszki i kiedy mieszkaliśmy całą rodziną w Mannheim.

Matka poprosiła, żebym napisała, co u nas słyhać. Ponieważ nie życzyłaby sobie, bym kryła przed Wami naszą trudną sytuację, będę zupełnie szczerą.

Przez chwilę obgryzała brzeg pióra, żeby skupić myśli... te słowa: będę zupełnie szczerą. Czym była szczeróść? Kto mówił całą prawdę, a poza tym,

co to jest prawda? Wyprostowała się, raz jeszcze przypominając sobie słowa wypowiedziane przez matkę do Józefy, kiedy wracały wszystkie razem z pogrzebu. Potrzebne były całe miesiące łagodzenia, przeprosin, rozmów w kuchni do późnej nocy, łez, żeby tamte słowa poszły w zapomnienie.

A teraz mówić prawdę ciotkom. Czy rzeczywistość nie była zbyt gorzka, by przelewać ją na papier? Czy ośmieli się napisać, że ich serca są pełne niepokoju, a w życiu zapanował chaos, że każda z nich próbowała odnaleźć ścieżkę, która zaprowadzi je z powrotem do poprzedniego życia, ale przekonały się, że nie istnieje żadna ścieżka. Przypomniało jej się wydarzenie sprzed lat, kiedy poszli na spacer do lasu. Chociaż ojciec dobrze znał drogę i wszyscy ochoczo wyruszyli na wędrowkę, to przecież po chwili odkryli, że mostek nad strumieniem już nie istnieje. Taka była obecnie prawda o ich życiu.

Matka ostatnio tak niewiele mogła zrobić. A siostry nie chciały pisać albo odkładały ten obowiązek w nieskończoność.

Ojciec nie zostawił pieniędzy, a jego brat przysłał niewielką sumkę, która poszła na drewno opałowe i na jadło. Konstancja zajmuje się przepisywaniem nut, a Alojza i Józefa śpiewają, ile się da, w kościołach i na prywatnych koncertach. Nasz wuj Thorwart, który przeprowadził się do Wiednia, próbuje załatwić niewielką rentę dla mamy, u dworu elektora Karola Teodora, gdzie papa tyle lat był muzykiem. Zgodnie z prawem, my dziewczęta, musimy mieć opiekuna mężczyznę i powierzono tę rolę Thorwartowi, a on wtrąca się we wszystko. Nie lubię go już tak jak kiedyś, choć muszę udawać, że nic się nie zmieniło. Konstancja twierdzi, że nieustannie ociera się o jej biust, a potem powtarza, „Pardon, pardon!” Nie powiedziałyśmy jeszcze o tym matce.

Zofia przestudiowała dokładnie kilka ostatnich zdań, po czym starannie zamazała je atramentem (pewne prawdy, przez roztropność, należy na jakiś czas zachować dla siebie), zamrugła, żeby powstrzymać łzy, i pisała dalej.

Dzielnie bniemy do przodu, jak życzyłyby sobie tego nasz papa. Jestem pewna, że Bóg dopomoże nam przetrwać.

Odłożyła kartkę, bo nie mogła już dłużej powstrzymać płaczu i nie chciała, żeby łzy rozmazały litery, a także dlatego, że ku jej przerażeniu pierwszy raz w życiu ogarnęły ją wątpliwości, czy rzeczywiście może liczyć na Bożą pomoc.

Tego samego wietrznego dnia Mozart szedł powoli monachijską ulicą, wśród wirujących na chodniku papierków i suchych liści, a potem wspiał się na schody prowadzące do ich mieszkania. Raz tylko postawił na stopniu ciężką, wypełnioną nutami torbę podróżną i spojrzał niewidzącym wzrokiem na dłoń ze śladami po wrzynających się w skórę rączkach. Z wahaniem zapukał do jakichś drzwi i podchmielony, nie ogolony mężczyzna, w odpowiedzi na jego pytanie, zrzędząc, wskazał ręką piętro wyżej. Nogi uginały mu się w kolanach, wręcz bolały, kiedy pokonał ostatnie piętro i zbliżył się do drzwi z wywieszoną kartką papieru: **MADMOISELLES WEBER: LEKCJE GRY NA KLAWESYNIE ORAZ ŚPIEWU. PROSZĘ PUKAĆ.**

Kiedy pchnął przymknięte drzwi, zobaczył chudą i bladą Zofię przy biurku. Ten pokój był mu obcy, zupełnie inny niż ten z Mannheim, chociaż i tutaj stał klawesyn, który tak kiedyś podziwiał, leżały nuty i siedziała najmłodsza z panien Weber. Odwróciła się ku niemu.

– Och, Mozart – zawołała, mnąc w dłoni chusteczkę. – To ty, to naprawdę ty! – Zerwała się na równe nogi, lecz uchwyciłszy brzeg biurka,

zawahała się na moment, a potem przebiegła przez pokój i rzuciła mu się na szyję.

– Zosiu – przywitał ją.

Trzymała się go kurczowo, a on zdążył zauważyć, że jej zbyt obszerna, szara sukienka jest pogryziona przez mole. Nosek, tam gdzie go potarła, miała umazany atramentem.

– Co tutaj robisz? – spytała, jeszcze bardziej rozmazując sobie atrament po twarzy. – Myślałyśmy, że jesteś w Paryżu. Nie dałeś znać, że przyjeżdżasz. Pozwól, że zawołam Alojzę. Na pewno chcesz ją zaraz zobaczyć. Jak długo trwała podróż? Była okropna? Musisz być głodny i spragniony. Zostajesz w Monachium? Ona tak się ucieszy. Dlaczego mi nie odpowiadasz? Przytul mnie. Kiedy cię widzę, tęsknię za ojcem, chce mi się płakać. Skąd się tu nagle wzięłeś? Oczywiście, bardzo mnie cieszy twój widok.

Ponieważ nie był pewien własnego głosu, przytulał ją tylko, spoglądając ponad jej rozwichrzoną fryzurą ku drzwiom, za którymi usłyszał najpierw głosy, a potem kroki. Zobaczył jedynie rozmazane kontury trzech postaci w ciemnych sukniach, kiedy siostry wpadły do pokoju. Rzuciły się na niego; czuł bijące od nich ciepło i słodycz.

A wśród nich jego Alojza, jego piękna Alojza.

Cisnęły się do niego, ciągnęły za kaftan, gładziły po ramieniu.

To Józefa przejęła po ojcu rolę gospodarza.

– Och, Mozart, witamy cię w naszym domu! Tak się cieszymy, że przyjechałeś. Wyglądasz na zmęczonego. Podróż musiała cię wyczerpać; mówią, że trwa co najmniej dziesięć dni. Nie jestem pewna, czy mamy wino, ale mogę zrobić kawę. Na wszystkich świętych, czyżbyś był chory?

Oderwał wzrok od znajomego wytartego fragmentu dywanu i patrzył na niewyraźne twarze dziewcząt.

– Nie, nie jestem chory – oświadczył – ale mam nowiny równie mroczne jak te od was. Moja ukochana matka zachorowała, kiedy byliśmy w Paryżu. Lekarze nie mogli nic poradzić i odeszła z tego świata. Moja podróż była długa. Nie mogłem się doczekać, żeby znaleźć się tutaj, z tymi, którym na mnie zależy. A ją straciłem, bezpowrotnie straciłem.

Wzrok miał utkwiony gdzieś w przestrzeni, kształtne usta zaciśnięte. Widział matkę na łożu śmierci, jej nos wyostrzony, szczupłe woskowe ręce zaciśnięte na różańcu. Po powrocie z pogrzebu odczuł pustkę pokoi, wsłuchiwał się w skrzypienie podłogi, kiedy chodził. Ta, która go wykarmiła, zamartwiała się o niego, która zawsze czekała, aż wróci w nocy do domu, odeszła; już nigdy więcej jej nie zobaczy na tym świecie. I czy w tych ostatnich chwilach potrafił utwierdzić ją w przekonaniu, że mu się powiedzie; on, który na dobre i na złe został teraz sam, czyż umiał ją zapewnić, jak bardzo ją kocha?

Siostry otoczyły go jeszcze ciaśniej, co pomogło mu wrócić do rzeczywistości. „Mozart, Mozart”, powtarzały i obejmowały go, ale on się nie poruszył. Któraś pogładziła go po szorstkim, pokrytym bladą kasztanową szczecina policzku. W tym momencie wszystkie były dla niego jednakowo ważne, zlały się w jedną osobę i nadal nie umiał im nic powiedzieć. Żadne słowa nie mogły wyrazić tego, co czuł, jedynie muzyka mogłaby przemówić, ale jej nie było.

Spojrzał w dół i zobaczył, że palce Zofii poruszają się w jego dłoni.

– Oboje są w niebie – powiedziała, unosząc ku niemu wąską twarzyczkę. – Twoja matka i nasz ojciec. Są aniołami.

– Tak – powtórzyła za nią Konstancja. – Są aniołami.

I wtedy słowa same wyrwały się z jego ust, kiedy tak spoglądał to na jedną, to na drugą.

– Wasz zacny ojciec! Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy czytałem wasz list; nadal nie mogę uwierzyć, że go tu nie ma. Ciągle pamiętam tamten mroźny poranek ubiegłej zimy, kiedy się z nim żegnałem. „Wkrótce znów napijemy się wina, Mozarcie!”, powiedział. Nalegał, żebym pożyczył sobie jego brązową teczkę na nuty. A jak się ma wasza biedna matka?

– Dużo czasu spędza w swoim pokoju i płacze – odparła Konstancja. – Może do ciebie wyjdzie.

Siostry popatrzyły po sobie i Zosia pobiegła korytarzem. Po jakimś czasie otwały się drzwi sypialni i usłyszeli szuranie. Pojawiła się Frau Weber, przytrzymując się ściany. Mozart rozplakał się na jej widok i przygarnął ją do siebie.

Sponad jej czepka spojrział na Józefę, która stała sztywno wyprostowana, jakby była strażnikiem tego domostwa. Twarz miała bladą i surową; schudła, zasznurowana suknia wisiała na niej luźno. Wymknęła się z pokoju i wkrótce wróciła z tacą, na której był dzbanek z kawą, filiżanki, talerzyki, widelczyki i ciasto. Już można było w niej dostrzec zadatki na starą pannę. Mozart przypomniał sobie, jak przed rokiem, kiedy Alojza pierwszy raz zaśpiewała jego pieśń, Józefa wybiegła na klatkę schodową i długo nie wracała.

– Proszę, Mozarcie, spróbuj ciasta!

Jedli, dopóki nie pozostały jedynie maleńkie okruszki, a ich rozmowa nie zamarła. Wtedy trzy siostry i ich matka wstały cichutko i wyszły z pokoju, zabierając ze sobą dzbanek do kawy, filiżanki, talerzyki i widelczyki; opuściły ciężkie, chroniące przed przeciągami portiery przy drzwiach i zostawiły Mozarta i Alojżę samych.



Kotara nie zdążyła jeszcze opaść do końca, a on był już przy niej, całował nadgarstek, potem przesunął ustami po wełnianym rękawie do szyi, doskonałego uszka, lekko spierzchniętych warg. Przyciągnął ją do siebie na czerwonej kanapie, przycisnął tak mocno, że poczuł fiszbiny gorsetu i skryte za nim piersi. Jej skóra pachniała jabłkami z cynamonem.

– Bez ustanku o tobie myślałem przez te wszystkie miesiące, Alojzo – wyszeptał. – Twoje listy czytałem wielokrotnie, dziesięć, dwanaście razy, a potem je całowałem. Sto razy chciałem rzucić to wszystko i wrócić do ciebie. Twoje listy... szkoda, że nie było w nich więcej z ciebie. Tak bardzo się starałem odnaleźć cię w nich. Wydawały się pełne rezerwy, a ja przecież wiem, że ty nie jesteś przesadnie powściągliwa. Szukałem cię, czytając pomiędzy wierszami. – Na zmianę mówił i obsypywał pocałunkami jej twarz. – Czasami, Chryste, wybaczyć, odnosiłem wrażenie, że w ogóle cię w nich nie ma.

Odwróciła głowę tak raptownie, że jego usta rozminęły się z jej ustami.

– A co chciałeś, żebym pisała? – spytała, mnąc w rękach spódnicę i wbijając wzrok w biurko, gdzie z porzuconego pióra spływał na nie dokończony list atrament. – Opowiadałam ci o muzyce, której się uczę, i o codziennym życiu. Jeśli było ono nudne, czy możesz mnie za to winić? Nigdy nie byłam dobra w pisaniu.

– Ale nie było w nich uczucia – szepnął, przyciągając ją do siebie. – A ja wiem, że jesteś uczuciowa. Czemu mnie nie pocałujesz? Czy nie tęskniłaś za mną, mój skarbie? Ani trochę? Byłem taki samotny.

Musnęła wargami jego usta, podskoczyła do biurka i przyjrzała się leżącemu tam listowi.

– Wiem, wiem, my też byliśmy samotne, choć miałyśmy siebie nawzajem. Przecież nie ma taty, mama się załamała, całymi dniami nie opuszcza łóżka. – Odwróciła się ku niemu, w oczach miała łzy, a w dłoni złożony już list. Po chwili od niechcienia wsunęła go do szufladki biurka. – Oczywiście, że mi cię brakowało! – oświadczyła. – Głęboko, bardzo głęboko wszystko odczuwam. Naprawdę cię kocham. – Zaczęła chodzić w tę i z powrotem. – Ale to ty wyjechałeś – oznajmiła. – Nie ja. Masz pojęcie, co to znaczy czekać? Przyznaję, że moje listy po jakimś czasie stały się nieco powściągliwe. Proszę bardzo, powiem ci dlaczego. Lepiej, żebyś wiedział. – Zatrzymała się przy oknie. – Najpierw napisałeś... pamiętasz jeszcze?... napisałeś, że najprawdopodobniej przyślesz po mnie, żebym śpiewała w Paryżu w Concert Spirituel albo w Concert des Amateurs, a potem napisałeś, że to niemożliwe. Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo byłam rozczarowana? – Cedziła słowa, a po chwili podbiegła i usiadła obok niego. – Obiecywałeś, że mi pomożesz – uniosła głos. – I co potem? Napisałeś, że zaproponowano ci stanowisko organisty w Wersalu. Och, Mozarcie! Wersal! Mogłeś po mnie posłać... Mogliśmy się pobrać i ja bym tam śpiewała i dygała codziennie przed Marią Antoniną, najbardziej królewską z królowych, prawdziwą wiedeńską księżniczką, córką nieżyjącego cesarza Austrii. Wyobrażasz sobie, co czułam, skazana na pobyt tutaj, w żałobie po ojcu, bez perspektyw, z posepnymi siostrami i szlochająca matką i z tą świadomością, że ominęła mnie szansa zamieszkania w samym Wersalu, w Paryżu, w ośrodku mody i dobrego smaku. To ty mnie skazałeś na pozostanie w prowincjonalnym Monachium, gdzie moje talenty i młodość bledną, ukryte, nieznane, niechciane... bo odrzuciłeś tę propozycję.

Wpatrywał się w nią zaskoczony; nawet nie wyciągnął ręki, choć siedziała tak blisko.

– Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że ostatnia rzecz, jakiej bym chciał, to zostać organistą na francuskim dworze? – spytał. – Pensja zresztą nie była nadzwyczajna. Nie stać by mnie było, żeby cię ubierać tak, jak byś chciała, a mnie samego ubraliby w liberię. Nadworni muzycy mają szczęście, jeśli jadają po lokajach, a przed kuchcikami. Ojciec miał takie życie, byłem tego świadkiem. Uważasz, że tego właśnie chcę? Czy taki los jest mi pisany? Nie, Alojzo najdroższa. Ja chciałem, by zamówiono u mnie operę. Nie możesz pragnąć, bym zadowolił się czymś mniejszym niż to, na co mnie naprawdę stać. Pisałbym dla ciebie wspaniałe arie... tylko dla ciebie. To żywot o wiele lepszy.

– Ale teraz nie masz nic.

– To prawda, że teraz nie mam nic – zawołał, a jego głos omiótł girlandę suchych, kruchych liści wokół portretu jej zmarłego ojca – ale nie zawsze tak będzie. Musisz we mnie wierzyć. Mój ojciec pisze jeden gniewny list za drugim. Już nie jestem rozkosznym chłopczykiem i nie potrafię być służalczy. Najdroższa, moje umiejętności kompozytorskie rozwinęły się, kiedy tam byłem. Pokażę ci symfonię, którą napisałem w Paryżu, oraz koncert na harfę i flet.

– Ale mogłeś znaleźć się pod opieką królowej. – Zacisnęła dłonie na kolanach.

– Tak, ale ja nie chcę być dworskim organistą, i dlatego wróciłem do swojego kraju. Wielbisz Francuzów, ja nie mam powodu i nie będę. W operze stał mi na drodze zazdrosny włoski kompozytor Cambini. Tygodniami czekałem na spotkania, które kończyły się nie dotrzymanymi obietnicami. Czy naprawdę chciałabyś, żebym tam został?

– A ty chciałabyś, żebym była zadowolona, kiedy wracasz z pustymi rękoma? – pytała zarumieniona, nie znoszącym sprzeciwu głosem. –

Wiernie czekałam na twój powrót. Musisz odnieść sukces, jeśli nie dla siebie, to dla mnie. Jesteś mi to winien. Dzięki twoim wpływom świat mógłby usłyszeć mój głos. Wiesz przecież, doskonale wiesz, jak dobrze śpiewam i gram. To twoja wina, że nic nie zrobiłeś, że odrzuciłeś Wersal! Nie zależy ci na naszym szczęściu! Jakże mam ci wybaczyć?

Zaczęła łkać i owinęła mocniej szalem kruche ramiona. Zwrócona do niego delikatnym profilem; nawet bez różu i loków była piękna, z tą wysuniętą żałośnie dolną wargą i spływającymi aż na brodę łzami. Ujął ją łagodnie za ramiona i scałowywał łzy, całował mokre, niechętne, nadal wyrażające protest usta.

– Mogłam mieć kapelusze robione przez modystkę królowej, przynajmniej jakiś skromny kapelusik. Wtedy dopiero byś mnie naprawdę kochał!

Na te słowa przycisnął ją jeszcze mocniej i całował na oślep. Jej drobne piersi ukryte pod gorsetem, to delikatne ciało, które ciągle wydawało się zbyt od niego oddalone, warte było wszystkich bogactw europejskich dworów.

– Nie chcę się z tobą kłócić – szeptał z ustami przy jej szyi. – Przestań płakać, nie płacz, błagam. Obiecuję ci, że odniosę wielki sukces. Przecież mam tylko ciebie, Alojzo. Rozczarowałem ojca i siostrę, straciłem ukochaną matkę i zawiodłem ciebie. Czy to nie dość? Najdroższa, ty musisz we mnie uwierzyć. Musisz wierzyć, że to, co robię, ma głęboki sens. Nic się nie liczy poza tobą, Alojzo. Odebrano mi wszelką nadzieję, ale ja wtedy myślałem o twojej rodzinie i o tobie i z tego tylko czerpałem pociechę.

– Musisz zrozumieć, dlaczego byłam na ciebie zła.

– Więcej już nie będziesz miała powodu. – Otarł chusteczką jej łzy.

Dygotał tak, że drżały mu ręce. – Posłuchaj, posłuchaj, najmilsza – mówił. –

Przychodzę również z dobrymi wieściami, nie tylko ze strasznymi. Z bardzo dobrymi. Jakie to dziwne, że to, co najlepsze, zawsze idzie w parze z nieszczęściem. Dostałem zamówienie na operę dla Residenztheater. Jego ekscelencja jest mecenasem.

– Co? Tu, w Monachium? Dla naszego wspaniałego teatru?

– Myślałem, żeby ci o tym napisać, ale postanowiłem poczekać i powiedzieć ci o tym osobiście. Jak zatem widzisz, nie przychodzę z pustymi rękoma. To opera *seria*, moje jak dotąd najlepsze dzieło. Zatytułowana *Idomeneusz, król Krety*. Mam więc szansę odnieść sukces. Zacznę dużo zarabiać i wreszcie będziemy mogli się pobrać bez zwłoki, moja Alojzo, i już nigdy więcej się nie rozstaniemy. Nie płacz już, ukochana. Zaufaj mi.

– Jesteś bardzo zmęczony. – Patrzyła na niego zupełnie uspokojona i głaskała delikatnie jego policzki. – Jesteś bardzo zmęczony, najdroższy.

Przez trzy dni spał w małym pokoiku za ich kuchnią. Czasami budził się przestraszony, myśląc, że jest w Paryżu lub w jakimś zajeździe, po czym ogarniał go smutek na wspomnienie swojej i ich straty. Były chwile, że ogarniała go obezwładniająca słabość. Tymczasem poza tym pokoikiem toczyło się normalne życie; słyszał pogaduszki sióstr przy porannej kawie. Mimo świeżego jeszcze bólu szczebiały jak dawniej. Rozlegało się pukanie do drzwi i czyjaś ręka podawała mu filiżankę przez szparę. One wszystkie biegały w szlafroczkach po jednej stronie drzwi, a on leżał w koszuli nocnej po drugiej. Kiedyś, wyszedłszy niespodziewanie ze swojego pokoiku, zobaczył, jak ze śmiechem umykają korytarzem, bosy, odziane w biel, zostawiając za sobą krople wody na podłodze, a w powietrzu zapach lawendy. Otaczały go o każdej porze dnia; znajdowały w każdym kącie mieszkania; zadawały mu pytania i opowiadały różne historie. Pomiedzy nimi snuła się ociężała Maria Cecylia; zawsze obdarzała go uśmiechem,

kiedy wchodził do pokoju. Zmysłowość tak zagęszczała powietrze, że zaczynała go dusić. Nie chodziło tylko o Alojzę, ale i jej siostry. Prześladował go nawet widok nagich długich nóg Józefy, kiedy zamajaczyły pomiędzy połami szlafroka. Nawet spierzchnięte usta Zosi, jej drobne, zupełnie nie zaokrąglone ciało. Czuł zamęt w głowie jak po wypiciu dzbana wina i nie napisał ani jednej nuty.

Przeniósł się do domu Cannabicha, jako że sławna orkiestra mannheimska rezydowała obecnie w Monachium. Tam pisał cały dzień bez przerwy, tak długo, aż stracił ostrość widzenia; wówczas zerwał się i w towarzystwie kilku członków orkiestry popędził do mieszkania pań Weber. Z naręczami serów i kielbas owiniętych w stare gazety muzycy wbiegli na górę, przeskakując po trzy stopnie naraz.

We wnętrzu porwał Alojzę w ramiona i zakreślił z nią młynka.

– Cały dzień bez ciebie! – wykrzykiwał. – To nazbyt ciężka dla mnie próba.

Po kolacji zabawiali się, tańczyli i gonili wokół mebli. Siostry uciekały przed nim, a on je łapał, przeskakując przez meble i powarkując. Rozkrzyczani przebiegali pokoje. Kiedy się już tak zadyszał, że nie mógł dłużej biegać, zasiadł przy klawesynie.

– Niech jedna z was zakryje mi oczy, a ja zagram każdą pieśń, jaką tylko znacie, od tyłu do przodu – zawołał.

Uchylając lekko osłonięte powieki, dostrzegł wysuszoną skórę małych paluszków i zgadł, że to któraś z młodszych sióstr. Zaczął grać szybciej, kiwając się coraz gwałtowniej, przy wtórze dziewczęcych pisków. W końcu zsunął się na podłogę, pociągając dziewczę za sobą.

– Konstancja – zawołał, otwierając oczy. – Ani przez chwilę nie sądziłem, że to ty! Chodź, powiedz mi, co lubisz, a ja na ten temat ułożę



jakąś bzdurną piosneczkę. Mów, bo cię połaskoczę! – Przyciągnął ją i Konstancja upadła na niego. Miała poobgryzane paznokcie i rozciętą rękę. – Połaskoczę cię – pogroził i wsunął krawędź dłoni w miejsce, gdzie wyczuwał brzeg gorsetu i zaciśnięty supełek tasiemki sukni spodniej.

– Och, nie, przestań, nie rób tego! – wrzeszczała, wierząc się w jego objęciach.

– Ona lubi szczeniaki – wołała Zofia, podskakując na kanapie. – Łaskocz ją, łaskocz! Ona lubi szczeniaki.

– Szczeniaki! – zawołał. – Oczywiście! Napiszę koncert na kundla w tonacji d–moll, z mocną partią instrumentów dętych. Natychmiast przystępuję do przesłuchań psów z całego Monachium.

Konstancji udało się wreszcie wyrwać, a z jej włosów wysunęły się duże szpile z kości słoniowej. Podał jej jedną, kiedy tam stała i łapała powietrze.

– Zupełnie jak dawne czwartki – powiedziała w zamyśleniu. – Jak czwartki naszego papy, kiedy wszyscy przychodzili pomuzykować.

Ze wzruszeniem zauważył łzy w jej oczach. Rozejrzał się po pokoju, ogarnął wzrokiem wszystkie dziewczęta i odetchnął głęboko, zdziwiony, szczęśliwy. Zmysłowość, jaką emanowały siostry, zlała się w jedno, a jemu pozostało mgliste poczucie zanurzenia w młodości i bieli.

Zbliżał się termin rozpoczęcia prób i przestał przychodzić do pań Weber. Słał w zamian wylewne liściki, pisane na odwrotnej stronie papieru nutowego, uzupełniał je groteskowymi rysunekami nagryzmołonymi jego szalonym piórem. Wyjaśniał przepaszająco, że obsadzono już wszystkie partie i że dla nich nic nie zostało; sopran liryczny to niegdysiejsza kochanka elektora. Jest dobrą śpiewaczką i musi zostać; drugą partię sopranową również obsadzono. Pracował intensywnie, pisał, starając się

zadowolić tych wszystkich, którzy mogli umieścić jego operę na deskach Residenztheater albo jej tam nie dopuścić.

Cannabich przynosił mu papier nutowy, a także zupę na mięsie, która często stała nietknięta, aż tłuszcz na jej powierzchni zakrzepł w białe grudki. Przerывał pisanie jedynie wtedy, kiedy musiał. Pisał przy biurku pod oknem, słysząc muzykę w głowie, a słowa i uczucia wynurzały się spod jego szybko sunącej po papierze ręki: żal; zazdrość; przeznaczenie; Idomeneusz, który w zamian za uratowanie życia na morzu obiecał Neptunowi, że złoży mu ofiarę z pierwszej osoby, jaką napotka po powrocie na ląd. Dzieło rosło na kartach; arie przeplatały się z chórami, scenami zbiorowymi, z marszami wojskowymi; morskie katastrofy i sztormy ze sceną koronacji i obrazem wynurzającego się z morskich głębin potwora.

Cannabich stał obok, odziany w jedwabne spodnie, jedną rękę wsparł na biodrze, drugą przewracał kartki.

– Jest dłuższa, niż się spodziewali – oświadczył – ale elektor słyszał nas na próbie i powiedział, że muzyka jest wielce poruszająca.

Mozart przysunął do siebie kartki.

– Świetnie, bo to oznacza, że zechce mnie zatrzymać! Czy nie nazwał mnie znów w jakimś momencie „drogim dzieckiem”? Niech ten głupiec mówi, co chce. Mój przyjacielu, jeśli tylko będzie zadowolony, to na pewno wyznaczy mi stanowisko na swoim dworze, a wtedy będę mógł sprowadzić tutaj ojca i siostrę i się ożenić.

– Z małą Weberówną?

– A jakże!

Kiedy pojawił się w kanale dla orkiestry, rozległy się brawa w całym Residenztheater, który był prawdziwym klejnocikiem, oprawionym rzędami

łóż, soczyście czerwonych i nadzwyczaj suto złożonych. Cannabich oddał mu premierę; Mozart miał dyrygować od klawesynu.

Na końcu sali zauważył panny Weber. Och, te instrumenty dęte: flet, obój, fagot i róg, rywalizujące ze smyczkami. Już wkrótce na scenie z głębin wynurzy się potwór, żeby zgładzić lud, ponieważ król złamał przysięgę. Pierwszą osobą, która powitała go na ładzie, był jego własny syn, książę Idamante, i król nie złożył go w ofierze. Na tle chóru starzec śpiewał tenorem o rozszalałym żywiole w swoim sercu, bardziej jeszcze gwałtownym od tego, który usiłował wciągnąć go w otchłań.

Soliści stanęli na scenie i rozpoczęli wspaniały kwartet. *Androramingo, e solo...* Samotnie wyruszę w dalszą drogę. Mozart wyznaczał tempo. Smyczki grały cudownie. Był w siódmym niebie.

Tydzień później, o zmroku, Alojza siedziała przy oknie zajęta haftowaniem; na stoliku obok leżał miękki, porządnie zwinięty kłębek zielonej, jedwabnej nici. Mozart stał milczący w drzwiach; wpatrywał się w wygięcie jej białej szyi i łagodną wypukłość piersi. Nuciała melodię z jego opery.

Muszę zapamiętać ją dokładnie taką, jaka jest w tej chwili, myślał, z owiniętym wokół palca pasemkiem jedwabiu i z tym haftem przedstawiającym dzieci z francuskiego dworu leżącym na jej kolanach, tak blisko tego miejsca, gdzie kiedyś, pod sercem będzie nosić nasze dzieci. Wcześniej przez kilka godzin chodził po mieście, kierował kroki w stronę tego domu i zawracał.

Wyczuła jego obecność i zerwawszy się, natychmiast podeszła do niego z otwartymi ramionami.

– Czy to prawda? – spytała szeptem, patrząc na jego pochyloną głowę.  
– *C'est terrible! Mon Dieu!* To niemożliwe, niemożliwe.

– Niestety – odparł. – Zdjęto operę po trzech spektaklach i powiedziano mi, że nie będzie przedstawień gościnnych w innych miastach. Jest zbyt trudna do wystawienia z tą orkiestracją i z tymi dekoracjami. I na dodatek staromodna, mała szansa, żeby chwyciła. „Zbyt głęboka, zbyt mroczna, zbyt trudna. Zbyt dobra”. Cannabich powiedział: „Drogi Mozarcie, jesteś za dobry”. Czy moim przeznaczeniem, Alojzo, jest być zbyt dobrym? Nigdy do końca takim, jak oczekują ludzie?

Popatrzył na klawesyn Frydolina, przebierał palcami po udzie; westchnął, zwiesił głowę. Pukiel włosów z jednej strony głowy miał niezdarnie zawinięty. Oparł się ciężko o futrynę.

– Miła moja, nie wytrzymam tego dłużej – powiedział w końcu. – Nie mogę już więcej pożyczać z domu, a honorarium za operę pójdzie na spłacenie dotychczasowych pożyczek. Na jakiś czas muszę wrócić do Salzburga w służbę arcybiskupa. Poślubiłbym cię teraz i zabrał ze sobą, ale byłabyś tam równie nieszczęśliwa jak ja. Zostań tu z siostrami.

– Chcę jechać z tobą. – Jej głos był pełen pasji.

– Cii, wszystko wiem. O Boże, nawet jedna godzina bez ciebie to za dużo, ukochana!

Położyła mu głowę na ramieniu i powolnym ruchem gładziła po uchu. W pewnym momencie przeszedł ją dreszcz; poczuł to pod ręką, którą obejmował jej plecy. Drżącym głosem zaczęła składać wyrazy w zdania.

– To nie potrwa wiecznie, Wolfgangu. Znajdziesz lepsze stanowisko przy jakiejś operze, gdzie i ja będę mogła śpiewać.

– Tak, znajdę, muszę znaleźć. W ciągu kilku miesięcy znajdę coś innego; wszyscy przyjaciele szukają czegoś dla mnie. I wtedy będziemy już razem jako mąż i żona, a ja będę pisał dla ciebie wspaniałą muzykę. Przysięgam na duszę matki.

– Nie trap się ze względu na mnie, Wolfgangu! Będę czekać bez końca. *Per sempre* – powtórzyła po włosku, prostując się. Jej drobne piersi falowały. Na zawsze... *mio tesoro, amore mio!* Mój skarbie, moja miłości.

Nie mógł się oderwać od jej pocałunków. Pomyślał, by posiąść ją na tej kanapie, pośród zakurzonych, miękkich, wytartych poduszek; miał ochotę zamknąć drzwi i zadrzeć jej spódnice. Istniało przecież coś prostego pomiędzy mężczyzną i kobietą, coś osiągalnego tu i teraz. Ogarnęło go pożądanie; odrzucił głowę do tyłu i tak mocno ścisnął jej rękę, że aż pobieliała. Ona przecież by pozwoliła (każda cząstka jej ciała krzyczała tak), ale gdyby jej kształty zaokrągliły się od dziecka, zanim on dostałby dobre stanowisko, co by wtedy zrobili?

– Do widzenia – powiedział, całując ją raz za razem.

– Nie odchodź, Wolfgangu.

Zbiegł po schodach, ale kiedy znalazł się na dole, usłyszał głosy z okna. Spojrzał w górę i zobaczył odsunięte kotary i wszystkie cztery siostry. Dwie młodsze płakały; musiały usłyszeć o zdjęciu opery i było im przykro. *Per sempre*, powiedziała, z oczami pełnymi łez. Nie odchodź, Wolfgangu. Nigdy tego nie zapomni.

Najwcześniejsze wspomnienie, w którym pojawiał się ojciec, dotyczyło jakiejś choroby. Pamiętał, jak ojciec kładł go rozgorączkowanego do łóżka, widział jego szczupłą postać, czuł twardość kości pod niebieskim wełnianym kaftanem, kiedy tulił go do siebie z taką siłą, że niemal stapiali się w jedno. Całe lata byli nierozłączni, podróżując przez Europę z miasta do miasta. Ojciec sadzał go, małego chłopczyka, przy klawesynie, obserwował grę z boku, potem zdejmował z taboretu... a on raz był gorliwy, kiedy indziej zaciekawiony, a czasem milczący. Ojciec, który nachylał się nad nim, gdy pisał swoje pierwsze dziecięce kompozycje, później oglądał przy świetle

poznaczony papier nutowy, raz po raz wciągając ze świstem powietrze. Zapamiętał też ojca, jak stał przy oknie w Wiedniu i cesał białą peruczkę syna, w której igrały promienie słońca.

I teraz znów, jak zresztą zawsze, Leopold Mozart czekał na niego.

Nie było to mieszkanie, w którym się urodził – jakiś czas temu rodzina przeprowadziła się na drugą stronę rzeki – ale meble były ustawione tak samo. Ma prawie sześćdziesiąt lat, pomyślał Mozart, przyciskając wargi do jego gładkiego policzka. Musiał jednak przyznać, że ojciec niewiele się zmienił.

Mozart rozejrzał się wokół. Na ścianie wisiał portret jego i siostry; on siedział przy klawesynie, nie sięgając nogami podłogi. Był jeszcze mały, wyglądał rozkosznie w jedwabistej peruczce. Na parapecie, gdzie było najwięcej słońca, stały rośliny matki. Brzegi niektórych liści zdążyły już zbrązowieć. Westchnął głęboko.

– Bóg z tobą, mój synu... podróż minęła bezpiecznie?

– Żadnych niespodzianek, nie wywróciliśmy się.

– Mój Boże – jęknął ojciec – twoja matka... nawet teraz mam jeszcze nadzieję, że to nieprawda, że wkrótce wejdzie po tych schodach za tobą. Dawałem na msze.

Mozart rozglądał się z zakłopotaniem.

– Ojcze, ojciec – wymamrotał.

Leopold Mozart zakrył na moment twarz rękoma.

– Oby Bóg dał nam siłę ducha – oznajmił Mozart – byśmy pogodzili się z Jego wolą. Moja matka stoi teraz przed Jego obliczem, poszła tam po należną jej nagrodę. A jak ty się czujesz, ojciec, jesteś zdrowy? Niech Bóg ma was w opiece, ciebie i moją ukochaną siostrę.

– Czuję się tak, jak można oczekiwać.



Mozart opuścił na podłogę torby podróżne. Na półce stało sześć tych samych porcelanowych talerzy z niebieskimi rysunkami wiejskich dziewcząt hasających po polu; jeden miał rysę w miejscu, gdzie został pieczołowicie sklejonny. Lata temu rozgniewany ojciec zrzucił go ze stołu... a może to on sam? Nigdy nie potrafił sobie z całą pewnością przypomnieć, który z nich to zrobił, może obaj; widział tylko plecy matki, jak niemy wyrzut, kiedy schylona zbierała kawałki, i słyszał płacz siostry. Nannerl była płaczliwa. Starali się nie dawać jej powodu do płaczu. Gdzie była dzisiaj?

– Ach, synu, oto list od twojego stryjecznego dziadka. Pisze w nim: „Twoja małżonka przebywa wśród aniołów” i tak dalej, i tak dalej. Pozdrawia cię. Pyta, czy masz już osiemnaście lat. Trochę zapomina. Kochał twoją drogą anielską matkę. I jeszcze jeden, z kondolencjami od starego przyjaciela, padre Martiniego z Bolonii, tego wspaniałego muzyka i oddanego Bogu człowieka, który uczył cię, kiedy miałeś czternaście lat.

Delikatne, niemal pergaminowe, lekko pomarszczone dłonie przebierały wśród kartek – Mozart pomyślał, że ojciec przypomina mu starego mnicha. Cóż, teraz będzie sypiał w łóżu samotnie.

- Chciałem ci pokazać...
- Będzie na to czas, ojczec.
- ... list informujący...
- Mamy czas, mamy mnóstwo czasu!

Otworzyły się drzwi mieszkania i starsza siostra Mozarta, Nannerl, ruszyła ku niemu z przewieszonym przez ramię koszykiem.

- Och, Amade – zawołała.
- Tak mi przykro, moja kochana – wyszeptał. – Tylko ja sam mogę ci być pociechą.

Przytuliła się na chwilę do niego, po czym odsunęła i wytarła twarz.

– Odłożę tylko ser – oznajmiła.

Słyszał ją w kuchni. Kiedy myślał o Nannerl, co zdarzało się niemal codziennie, gdziekolwiek przebywał, pamiętał zarówno tamtą cierpliwą, czułą starszą siostrę z dziecięcych tournée, czekającą ze splecionymi dłońmi, aż on skończy grać, jakby mogła tak stać bez końca, jak i tę kobietę, którą była obecnie, przesiadującą przy oknie i przepisującą nuty. Nie brakowało jej piękna, brakowało jej blasku. Naturalnie otacza ojca opieką, lecz po stracie matki upadła na duchu. Pisała o tym do niego. Teraz już całkowicie zrezygnowała z młodości, pomyślał, usłyszawszy, jak otwiera kuchenne szafki. Odmówiła jej sobie jak czegoś zbyt ekstrawaganckiego, zawinęła starannie w bibułkę i odłożyła. I nosiła tę starą, szarą suknię, którą matka zawsze wkładała do kościoła.

Na kolację jedli dobrze mu znane potrawy, a kiedy pod koniec pojawił się deser, Leopold nachylił się ku niemu i wypowiedział słowa, które ważył w sobie przez cały posiłek.

– Wolfgangu.

–Ojczy?

– Słuchasz?

– Tak, słucham.

– Przygotowałem grunt pod twoje pojednanie z arcybiskupem. Jutro cię oczekuje.

– Pójdę do niego.

– Mam nadzieję, że swój afekt dla mademoiselle Weber pozostawiłeś w Monachium.

– Bynajmniej, ojczy. Zamierzam ją poślubić.

Nazajutrz włożył swój najlepszy surdut i przeszedł mostem na Getreidegasse, ulicę, przy której się urodził, potem mając rzekę Salzach po

lewej ręce, skrzył w Goldgasse i doszedł nią do Domplatz i majestatycznej rezydencji arcybiskupa. Ojciec Mozarta przez niemal trzydzieści pięć lat był w Salzburgu kościelnym i nadwornym muzykiem, w służbie u nieżyjącego już zacnego arcybiskupa, Zygmunta Schrattenbacha, a potem jego następcy. Mój ojciec, pomyślał nagle Mozart, dostrzega tyle aspektów muzyki: cały ten mózół, skrupulatność, precyzję. Umyka mu jednak związana z nią ekstatyczna miłość; nie ufa jej. A co to oznacza zaufać muzyce i tym głębokim uczuciom, które w człowieku wyzwala?

Stukot trzewików o marmurową posadzkę obwieszczał pojawienie się hrabiego Karola Arco, szambelana, chudego, kapryśnego jegomościa z brzydką cerą i nastroszonym koronkowym żabotem.

– Spodziewaliśmy się ciebie wcześniej, Mozart – oświadczył. – Jego ekscelencja spożywa obiad. Nieważne, wejdz, już i tak go zirytowałeś swoim spóźnieniem. – Zniżył głos do ostrzegawczego szeptu. – Twoja nieobecność przez półtora roku nie bardzo mu odpowiadała. Mówię to oczywiście jako przyjaciel. Moja ciotka przesyła ci kondolencje z powodu śmierci matki.

Otworzył drzwi i szepnął coś do lokaja, a ten śpiewnie zaanonsował gościa.

Na samym końcu długiego, wypolerowanego, zastawionego półmiskami z mięsiwem i kluskami stołu, przy którym z łatwością usiadłoby dwadzieścia osób, jadł samotnie Hieronim Colloredo, arcybiskup Salzburga. Jego wielebność, z widelcem w rękę, podniósł wzrok, odchrząknął i zaczął kroić niewielki kawałek mięsa na jeszcze mniejsze porcje. Z namysłem wypił dwa czy trzy łyki wina, a lokaj pośpieszył, żeby mu dolać do kieliszka. Usta arcybiskupa były małe, różowe, kobiece.

– Wasza książęca wysokość, księżę biskupie – odezwał się Mozart pochylony w ukłonie. – Z ogromną radością witam waszą ekszelencję.

– Skoro tak mówisz, to przyjmuję te słowa, chociaż dziwię się, że nie pokazałeś się dwanaście miesięcy wcześniej. Zatem cudowne dziecko odkryło, jaki pokrętny może być ten świat, he? Pełen fałszywych obietnic, płonnych nadziei, którym dawałeś się zwieść we wczesnej młodości. Cieszę się z twojego powrotu. Nie żywię urazy.

– Ekszelencjo. – Mozart ponownie się uklonił. Jego głos rozległ się echem pośród półmisek z potrawami. Stał, bo nie zaproponowano mu krzesła. – Wasza wysokość wie, jakim poważaniem ja i moja rodzina zawsze was darzyliśmy i jak ja sam jestem wam wielce zobowiązany za te wszystkie lata, kiedy mój ojciec pozostawał w waszej zaszczytnej służbie.

– Twój ojciec to porządny człowiek.

– Gdybym mógł poznać obowiązki, których wypełniania oczekuje się ode mnie...

– Cóż, z grubsza te same co ojca: próby z chórem męskim i chłopięcym, pisanie muzyki kościelnej i wszelkich mniejszych utworów, jakie mogą mi być potrzebne, gra na skrzypcach w orkiestrze podczas mszy, tak jak to czyniłeś, kiedy poprzednio byłeś w mojej służbie. Potrzebny mi koncertmistrz.

– Błagam waszą ekszelencję, by zwolnił mnie z tego obowiązku. Jestem skrzypkiem zaledwie przeciętnym. Zapewniam, że moje talenty mogłyby zostać wykorzystane lepiej na innym polu.

– Będzie tak, jak rzekłem, ale jakie to inne pole miałeś na myśli?

Kiedy podeszło kilku służących, żeby zabrać talerze z mięsem i podać kompot, Mozart zacisnął dłonie na blacie stołu.

– Księżę biskupie – odezwał się głosem wyraźnym i pełnym szacunku – podniesienie rangi muzyki wykonywanej na tym dworze dodałoby waszej ekscelencji jeszcze większego splendoru. Mam na myśli pełną i pierwszorzędną orkiestrę, zamiast tej małej, którą mamy obecnie. Gdybyśmy mogli założyć dla uhonorowania waszej ekscelencji taką orkiestrę, a wraz z nią i operę, przyjeżdżaliby tu wszyscy renomowani śpiewacy. Mógłbym komponować według reguł włoskiej lub niemieckiej szkoły. Przyniosłem teczkę z nutami, mogą służyć jako przykład.

– Co takiego? Przecież ja nie lubię opery – odparł arcybiskup, nie podnosząc głowy znad deseru. – Nie jest mi do niczego potrzebna. Potrzebny mi jest natomiast koncertmistrz do mojej małej orkiestry kameralnej podczas mszy oraz kompozytor krótkich utworów muzyki liturgicznej i w tym właśnie celu cię angażuję, by później, być może, awansować cię na stanowisko dworskiego organisty. Opera, fuj! Jeszcze czego, żeby mi zalali dwór ci wydzierający się na całe gardło rozpustni Włosi? – Ani na chwilę nie przerwał jedzenia. – Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jacy pobłażliwi byliśmy ja oraz mój poprzednik dla ciebie i dla twojego ojca? – ciągnął. – Pozwalając zarówno kiedyś, jak i ostatnio, byś spędzał całe lata poza moją służbą, byś w świecie próbował swoich sił? Świat jest jednak bardziej brutalny, niż ci się wydawało, i dlatego wracasz na mój dwór, pod moją opiekę. Przyjmę cię, ale nie pozwolę na dalsze wędrówki. Kontentuj się tym, co masz. Nie spoglądaj wyżej, niż zgodnie z wolą boską jest ci przeznaczone. – Zamilkł na moment. – Będziesz mi służył?

– Będę, wasza wysokość.

– Twój głos jest zbyt cichy. Nie dosłyszałem, co powiedziałeś.

– Będę ci służył, wasza wysokość.

Co powiedziawszy, Mozart wyszedł jak najszybciej. Kiedy już opuścił mury pałacu, przyspieszył kroku, po chwili zaczął niemalże biec obok powozów w kierunku rzeki.

– Ja jestem Mozart. Jestem Mozart – powtarzał zawzięcie półgłosem przez cały czas. Chciał to wykrzyczeć drzewom... – i gdzie jest cała moja muzyka? – Ludzie spoglądali na niego, jakby był szaleńcem. Przebiegł obok wolno posuwającej się kawalkady furgonów, powozów, obok podążających do arcybiskupiej rezydencji suplikantów, księży i gości, mamrocząc: – Jestem Mozart i pewnego dnia wszyscy się tego dowiedzą. Nie, nie jestem szalony. Jestem Mozart. – Nim znalazł się przy końcu mostu, jego głos przeszedł w krzyk. Dwaj księża, którzy mijali go na czele grupy młodych chórzystów, pokręcili głowami. Z wypiekami na twarzy, wymachując teczką z nutami, szedł przez miasto, w którym się urodził.

Tego pierwszego dnia grudnia Monachium ponownie przysypał śnieg; stopniowo wypełniał szczeliny budynków, piętrzył się wysoko, tam, gdzie siedziały skulone przemarznięte gołębie, nad wejściem do Residenztheater, w którym tak krótko wystawiano operę Mozarta. Czepiał się posepnych sutann spieszących na mszę księży i obklejał czarną suknię Zofii Weber. Dziewczyna weszła po skrzypiących schodach, dźwigając ciężki kosz.

Mała bawialnia, z portretem Frydolina, nadal ozdobionym obwisłą i dawno wyschniętą girlandą, była pusta, na stole piętrzył się wysoki niemal na stopę stos nut. Kiedy któraś z sióstr chciała znaleźć jakiś utwór potrzebny na lekcję gry na klawesynie albo do odśpiewania na czyimś ślubie, rozsypywała ten stos po stole, a potem niedbale układała go ponownie. Czerwona kanapa nadal nosiła ślad po przeprowadzce sprzed półtora roku; nikomu nie chciało się zeszyć rozdartego pokrycia. Po śmierci Frydolina skończyło się tradycyjne muzykowanie w czwartkowe wieczory, Mozart



wiosną wyjechał do Salzburga i tak przestali się tu pojawiać jacykolwiek mężczyźni. Wróćę na twoje czternaste urodziny, obiecał Zofii, ale to dopiero za dwa miesiące, a z jego listów wynikało, że jest to mało prawdopodobne. Co pisał w listach do Alojzy, tego Zofia nie wiedziała. O potencjalnych kandydatach na męża już się nie mówiło, a notesu matki nie można było nigdzie znaleźć, mimo że któregoś dnia dziewczęta niemal rozebrały mieszkanie na kawałki. Nadal natomiast korespondowano z Thorwartem, który obecnie przebywał w Wiedniu, i cztery siostry miały poważne obawy co do tego, czy matka rzeczywiście zrezygnowała ze swoich planów. Dwie młodsze dawno już założyły, że każdy wybór matki będzie okropny, niezależnie jakie byłoby pochodzenie i nazwisko kandydata, co gorsza, sama myśl, że mogłyby się rozdzielić na niewielką choćby odległość, była dla nich straszna.

– Gdzie ona się podziewa? – usłyszała głosy z kuchni. – Nie wróciła jeszcze z chlebem? Zosiu, gdzie jesteś?

Alojza, Józefa i Konstancja siedziały jak najbliżej ognia, ale tak, by nie przypalić długich spódnic. Józefa pochyliła lekko długie, szerokie plecy, energicznie nabierając na druty oczka pończochy. Alojza podniosła wzrok znad torebki, którą haftowała.

– Coś ciekawego na mieście? – spytała.

Zofia postawiła koszyk, wytarła nos i przetrzała zaparowane okulary.

– Do Bożego Narodzenia tylko trzy tygodnie. I złapali złodzieja; widziałam afisz. – Zaczęła rozpakowywać mięso, zawinięte w starą kartkę z nutami muzyki mszalnej.

– *Mon Dieu*, cóż za dziwne rzeczy są dla ciebie warte wzmianki. Martwisz się, że jakiś biedak zostawił rodzinę w potrzebie. Co jeszcze?

– Widziałam miauczącego w śniegu kotka. Powinnam była go ze sobą zabrać. Może wrócę i zobaczę, czy jeszcze tam jest.

Alojza upuściła robótkę na kolana i zwróciła zarumienioną od ognia twarz ku najmłodszej siostrze.

– Nie rób tego. Wiesz, że od kotów kicham. W każdym razie dobrze, że wreszcie wróciłaś – czekałyśmy na ciebie z poranną kawą. Matka wyszła.

Piły właśnie kawę, kiedy usłyszały dzwonek na dole. Alojza odsunęła filiżankę i pobiegła do okna w bawialni, przez które dojrzała ośnieżone kapelusze dwóch mężczyzn stojących przy drzwiach wejściowych do domu, jeden był krępy, średniego wzrostu, drugi nawet okryty płaszczem robił wrażenie cherlawego.

– To wuj Thorwart – zawołała. – Przyjechał z Wiednia. Mama mówiła, że może się pojawić.

Ustanowienie Thorwarta ich sądowym opiekunem miało swoje męczące konsekwencje. Na początku wyznaczał im szczegółowy budżet, ograniczając słodycze, drewno na opał, bieliznę i róż. Dopiero kiedy zauważył, że żadna z dziewcząt nie odzywa się do niego, złagodził rygory, nadal jednak, kiedy je widział, posapywał wymownie, jakby chciał powiedzieć: Zważcie moje słowa, to się dla was źle skończy! (Konstancja wyznała kiedyś Zofii, spoglądając na nią z zakłopotaniem, że nie jest pewna, czy przyjaciel rodziny tylko niechęć się o nią ociera, bo korytarz jest wąski, a on sam zwałisty.)

– Jest z nim nasz kuzyn Alfons! – zawołała po chwili Alojza bardziej już radosnym głosem. – Z czym mogą przychodzić? Bo wszelkie wieści są tutaj mile widziane.

Pozostałe dziewczęta odsunęły energicznie krzesła od kuchennego pieca, zrzuciły fartuchy i podbiegły do drzwi. Po chwili na schodach pojawił

się czubek błyszczącej, łysej głowy Alfonsa, a za nim barczysta postać zażywnego Thorwarta, odzianego jak zwykle w angielski surdut i wysokie buty z pobrzękującymi ostrogami. Ocierał ręką czoło.

– Pewnego dnia – jęknął – rodzina Weberów przestanie się wprowadzać na najwyższe piętra. Należy mi się talerz klusek z serem, żebym mógł odzyskać siły po tej wspinaczce. Dziewczęta, chodźcie ucałować wujka – i pocałował młodsze siostry, gdzie mógł sięgnąć, bo dziewczęta wykręcały głowy w bok, a dwie najmłodsze wymieniały spojrzenia, jakby chciały rzec: To w końcu mylimy się czy nie?

Nie podszedł do Józefy, która stała z boku. Wszyscy razem przeszli do kuchni, gdzie było cieplej. Thorwart zasiadł na najlepszym krześle i oparł ciężkie ręce na udach.

– Nasza wizyta ma cel, który was zainteresuje, jako że dotyczy muzyki. – Rozejrzał się wokół z zadowoloną miną; zdawał się wypełniać sobą całą kuchnię, podczas gdy Alfons, nadal chowając duże uszy pod kapeluszem, spoglądał na nie rozbijając.

– Muzyki, wujku?

– Muzyki, moje drogie! Aha, nie macie o niczym pojęcia! Moja przeprowadzka do Wiednia okazała się wielce owocnym posunięciem, znalazłem tam bowiem posadę człowieka do wszystkiego u dyrektora jednego z dwóch teatrów operowych. Cóż to za wyjątkowe miasto, moje dziewczęta, samo serce cesarstwa austriackiego! Wyobraźcie sobie, że widzimy cesarza we własnej osobie podczas niemal codziennych konnych przejażdżek po parku, choć nie przy słońcu. Nie chcielibyśmy, by jego cesarska wysokość się przeziębził. Jak mi Bóg miły, teraz, kiedy już zamieszkałem w Wiedniu, nie wyobrażam sobie, bym mógł mieszkać gdzieś indziej. – Przybrał poważną minę i wychylił się do przodu. Wykonał gest,

jakby wyrównywał stos leżących przed sobą na stole papierów, po czym odchrząknął. – To, co powiem, wielce was zainteresuje – oświadczył uroczyście – bo jako żywo przynoszę wam nie byle jakie nowiny. W operze potrzebny jest sopran, zwolniło się miejsce dla młodej primadonny. Usłyszeliśmy o tym z Alfonsem zaledwie osiem dni temu i oczywiście bez zwłoki poszliśmy prosto do gabinetu dyrektora, gdzie opisaliśmy urodę, elegancję, skalę i ekspresję głosów dwóch spośród córek Webera, dwudziestojednoletniej, posągowej mademoiselle Józefy oraz naszej czarującej Alojzy, która, jak mi się wydaje, właśnie skończyła lat osiemnaście.

Alfons uśmiechał się szeroko, tak jak wtedy, kiedy wchodził po schodach w muzyczne czwartkowe wieczory.

– I on koniecznie chce usłyszeć was obie – mówił Thorwart. – Za kilka dni wracam do Wiednia i bardzo chętnie zabiorę was ze sobą. Posada jest dobrze płatna, prawdę mówiąc, bardzo dobrze płatna, o wiele lepiej niż wszystkie zajęcia, jakie kiedykolwiek miał wasz drogi ojciec. Dałoby się za to utrzymać całą waszą rodzinę. Jeśli Bóg pozwoli, jedna z was ją otrzyma i skończą się wasze kłopoty.

Dwie starsze siostry wyrzuciły wszystko z kufrów, żeby znaleźć ozdoby i pióra. Wywracały całe stosy nut, pozostawiając prawdziwe pobojowisko na czerwonej, aksamitnej kanapie. Nie odbyły lekcji gry z uczniami, tak bardzo były zajęte pakowaniem. „Papiloty, dopinane loki, różańce...”, wykrzykiwała matka, krzątając się wokół córek.

Józefa od ubiegłego lata niezmiennie nosiła grawerowany srebrny medalion; przez te wszystkie miesiące nie zdjęła go ani razu. Błysnął delikatnie, kiedy tego zimnego ranka zakrywała go peleryną, gotowa zejść z bagażem na dół. Niewiele się odzywała, chociaż Alojzie przez te trzy dni po

otrzymaniu nowin usta dosłownie się nie zamykały. Rozpłakała się żałośnie, ponieważ zerwał jej się naszyjnik i uznała to za zły znak.

Konstancja, Zofia i matka pomachały na pożegnanie dwóm starszym dziewczętom, a potem odprowadzały wzrokiem oddalający się dyliżans – w łagodnym, szarym świetle poranka ociężałe kiwał się na bruku ulicy. Wszystkie kufry i skórzane torby umocowane były powrozami na dachu: także mała drewniana skrzyneczka, którą ich prapradziadek zabrał niegdyś na wojnę; swego czasu widniał na niej napis „Augustyn Weber”, ale farba już dawno wyblakła. Pojazd przetoczył się wzdłuż latarni i domów, na których powywieszano ogłoszenia o publicznych egzekucjach oraz o zbawiennym działaniu środków wzmacniających.

Tego wieczoru dwie młodsze siostry wyciągnęły ojcowskie mapy i prześledziły trasę z Monachium do stolicy. Wyliczały, jak daleko mógł dotrzeć tego dnia dyliżans i w jakim zajeździe mogły się zatrzymać ich siostry.

– Będą miały pomięte stroje – oświadczyła Konstancja. – Za dużo wcisnęły do kufra.

– Zatrzymują się u Thorwarta i jego żony; pomogą im.

– Jego żona może się w ogóle do nich nie odezwać, ona z nikim nie rozmawia. Machnęła ręką na ludzki ród. Mama tak kiedyś powiedziała.

Zdjęły z półki jeszcze jedną książkę z rycinami przedstawiającymi Wiedeń i trzymając nad nią wysoko uniesioną świecę, przewracały powoli kartki. Słyszały, jak w swoim pokoju matka przewraca się z boku na bok. Samotność niezwykle jej doskwierała.

Konstancja przyjrzała się baczniej ilustracji, na którą spadła duża kropla białego wosku. Podmuchała na nią przez chwilę, a potem zdrapała paznokciem.

– Myślę, że to najpiękniejsze miasto na świecie – oznajmiła w końcu i uśmiechnęła się. – Och Zosiu, oby to się ziściło! Bo naprawdę wierzę, że byłybyśmy tam szczęśliwe, nawet mama.

Alojza wróciła trzy dni przed Bożym Narodzeniem; pojawiła się nagle na ulicy, ciągnąc za sobą ciężką torbę. Porzuciła ją w połowie schodów i biegiem przebyła resztę drogi do mieszkania. Wniosła ze sobą zapach starej skóry oraz końskiego potu, którym zawsze przesiąkały ubrania osób odbywających długie podróże dyliżansem. Podeszwy jej podróżnych trzewików i dół sukni oblepione były źdźbłami słomy z podwórców zajazdów. Konstancja oraz matka, które właśnie robiły pierogi z mięsem, przywitały ją w drzwiach.

– No i co? Na miłość boską, powiedz nam, co się dzieje, jakie przynosisz wieści? – wykrzyknęła Maria Cecylia. Od wielu dni zbiegały na dół, nie mogąc się doczekać listu.

Zofia, usłyszawszy głosy, przybiegła z okrzykiem, po czym stanęła jak wryta, zdumiona widokiem siostry. Alojza wyglądała dokładnie tak jak tamtego dnia, dawno temu, kiedy miała dwanaście lat i właśnie usłyszała, że jej najbliższa przyjaciółka umarła na szkarlatynę.

– Matko Boska, co się stało? – zawołała Zofia. – Opowiadaj! Czekamy z zapartym tchem od dnia waszego wyjazdu. – Przeżegnała się. – No, mów wreszcie!

– Jakie masz wieści? – powtarzała Maria Cecylia.

– Wysłuchali czterech arii – odparła Alojza zdyszczanym głosem.

–I?

– Przyglądali mi się przez cały czas, kiedy śpiewałam.

– No i... no mów wreszcie.



– Zgodzili się, żebym rozpoczęła próby do swojej pierwszej roli tuż po Nowym Roku.

– Chwała Bogu, chwała Jezusowi – odetchnęła z ulgą matka. – Ale czy masz kontrakt? Czy rzecz jest pewna? Nie masz pojęcia, jak tu na ciebie czekałyśmy. – Wciągnęły Alojżę za lodowate ręce do wnętrza. – Gdzie masz rękawiczki? Jak tam podróż powrotna? W co się ubrałaś do śpiewu?

– W tę zieloną wełnianą suknię.

– Które arie śpiewałaś? – Nie przestając mówić, jedna głośniej od drugiej, zaciągnęły ją do ciepłej kuchni.

– Zaprezentowałaś pełną skalę?

– Pochwalałaś się triolami i ozdobnikami?

– Kto ci akompaniował? Alfons... jest zaledwie przeciętnym klawesynistą. Czy mieli fortepian?

– Mieli piękny fortepian i owszem, to on grał...

– Czy zakreśliłaś włosy z tyłu i upięłaś do góry?

– Nie miałam czasu na takie rzeczy; jeden z koni zachorował w drodze i spóźniliśmy się o wiele godzin. Frau Thorwart wybiegła z krzykiem, że już na nas czekają. Bo wuj Thorwart poszedł tam poprzedniego dnia i powiedział, że przyjeżdżamy. – Dyszała ciężko, jakby przebiegła kilka mil. – Poszłyśmy więc od razu, a oni rzeczywiście czekali.

Zofia odwróciła się i spojrzała ku drzwiom, a potem znów na siostrę.

– Alu – spytała – gdzie jest Józefa? – Po jej słowach w kuchni zapadła cisza i słychać było jedynie bulgotanie wody i trzaskanie ognia pod płytą.

Alojza przymknęła na chwilę oczy, a potem zwróciła wzrok na osmalony czajnik. Ze znużeniem opadła na krzesło przy stole. Zofii nigdy nie przestał zdumiewać fakt, że piękne twarze mogą czasami wyglądać zupełnie pospolicie.

– To było straszne, okropne – wyszeptała Alojza, przełknawszy ślinę. – Nie chciałam, żeby ze mną przegrała. Chciałam wygrać, ale nie chciałam, żeby ona przegrała. Śpiewała po mnie i jej głos popłynął... jest przecież taki silny i pełny, i głęboki, i wysoki, ale to mnie kazali zaśpiewać jeszcze dwie dodatkowe pieśni. Później kuzyn Alfons powiedział, że potrzebny był im delikatniejszy sopran. Śpiewała doskonale, ojciec byłby z niej taki dumny.

Próbowałam ją pocieszyć, ale nie pozwoliła. – Oparła się o stół. – Dziś od rana, nawet w zajeździe i potem w drodze, zupełnie się do mnie nie odzywała, a tuż przed wjazdem do Monachium uparła się, że wysiądzie z dylizansu. Poszła sobie, a ja nawet nie wiem dokąd. Mówiła, że nie przeniesie się do Wiednia i że ja mogę sobie iść do wszystkich diabłów. A to nie moja wina, to nie jest moja wina!

Teraz nawet Maria Cecylia usiadła, tak ciężko, że zaskrzypiało pod nią krzesło.

– Największym radościom towarzyszą kłopoty – wymamrotała. – Cóż my jej powiemy, kiedy tu przyjdzie? – Rozejrzała się wokół; w jej błękitnych oczach widoczna była konsternacja. Córki milczały. W minionych miesiącach matka niewiele miała do powiedzenia najstarszej córce. Zofii wydawało się, że od pogrzebu ojca ona sama jedynie siłą woli ratowała resztki uczucia miłości pomiędzy Józefą i matką, łagodziła różnice, bez końca powtarzała każdej z osobna różne wersje tej samej historii. Możliwe, że jej rola już się skończyła. Przetarła okulary i poszła do okna w bawialni popatrzeć na mroźną, zimową ulicę.

Józefa wróciła do domu po zmroku i natychmiast położyła się do łóżka, odsuwając się i odwracając do nich plecami. Kiedy wyciągały do niej rękę, odsuwała się jeszcze bardziej. Wyczerpane, nazajutrz spały do późna. Budziły się jedna po drugiej i przemykały na palcach do kuchni w nocnych

koszulach. Józefa natomiast spała nadal; jej rudawe włosy rozrzucone luźno na poduszce. Zofia dotknęła jej ciepłego ramienia, a potem na drzwiach mieszkania wywiesiła kartkę z informacją, że dziewczęta są chore i tego dnia nuty nie będą gotowe do odbioru. Torby podróżne obydwu sióstr wciąż stały nie rozpakowane przy wejściu.

Alojza, z nagimi ramionami, ubrana jedynie w narzucony na bieliznę fartuch, myła w kuchni włosy, pochylona nisko nad miednicą z ciepłą wodą. Najciszej jak się dało, dziewczęta otworzyły drzwiczki kredensu i wyjęły naczynia, ser i chleb. Któraś z nich położyła najświeższe listy dla Alojzy z Salzburga tuż obok dzbanka do piwa. Weszła matka; wzniosła do góry oczy, kiedy pokręciły głowami w odpowiedzi na jej nieme pytanie. Alojza uklękła przy rozpalonej kuchni, żeby osuszyć włosy.

Zdażyły usiąść przy stole, kiedy z dala, ze wspólnej sypialni, doszło je skrzypienie łóżka. Usłyszały, jak otwierają się drzwi, a potem kłapanie bosych stóp. W drzwiach kuchni ukazała się Józefa.. Wyglądała bardzo ponętnie – pełne piersi i ramiona ledwie osłonięte rozchylnym szlafrokiem, kaskada opadających włosów – chociaż jej twarz była nadaśana, posepna i nieobecna. Zofia wstrzymała oddech i trąciła kolanem kolano Konstancji.

– Gdzie twoje bambosze, Józiu? – spytała z troską w głosie. – Przeziębisz się.

Józefa skinęła głową, cofnęła się i po kilku chwilach wróciła w starych kapciach ojca. Usiadła markotna, sięgnęła po chleb.

– Sądzę, że Alojza przekazała wam to, co powiedziałam wczoraj – oznajmiła i czując na sobie milczące spojrzenia obecnych, kruszyła kawałek skórki. – No więc, mówiłam poważnie. Nie pojedę do Wiednia. – Przechyliła głowę, wysunęła dolną, pełną wargę, uniosła jedno ramię pod niebieskim wełnianym szlafrokiem. – Pewnie powinnam wam wyjaśnić

dlatego – dodała. – Tu chodzi nie tylko o rozczarowanie. Kuzyn Alfons powiedział, że znalazłby mi tam posadę śpiewaczki. Jest przecież jeszcze jeden teatr operowy i przez cały czas odbywają się koncerty, dziesięć razy więcej niż tutaj. Więc nie w tym rzecz. – Kruszyła skórkę chleba na coraz mniejsze drobiny. Matka i siostry wyczuwały wzbierające w niej emocje. – Zapewne i tak nie mogłabym tam pojechać, nawet gdyby to mnie wybrano! – wybuchła. – Nie zawsze mówię prawdę; przyznaję. – Podniosła wzrok. – Lubię, kiedy ludzie muszą się domyślać. Nie powiedziałam wam, żadnej z was, prawdy o sobie. Prawdziwym powodem, dla którego nie chcę opuścić Monachium, jest to, że mam tutaj kochanka.

Trzy siostry i matka popatrzyły po sobie. Maria Cecylia zakryła dłonią usta; na palcu wciąż miała zmatowiałą ślubną obrączkę.

Konstancja, mrugając, wychyliła się do przodu.

– Na pewno nie powiedziałaś tego poważnie – oświadczyła z przekonaniem. – Bo nie masz pojęcia, co mówisz... powiedziałaś coś okropnego. Dziewczyna nie powinna wypowiadać się w taki sposób i narażać się, że ludzie źle sobie pomyślą o jej reputacji; nie powinnaś stroić sobie takich żartów.

– Staniu, ja nie mam reputacji, mam kochanka.

– Mamy rozumieć, że jest tu, w Monachium, jakiś mężczyzna, który cię wziął do łóżka? To nie może być prawda. To niemożliwe. Znam cię. Jesteś moją siostrą. Porządna kobieta nie kładzie się z mężczyzną przed ślubem. To byłoby po tobie widać. Wiedziałybyśmy od razu. To się nie mogło zdarzyć. Nie wierzę.

Józefa uderzyła gwałtownie otwartymi dłońmi o stół; Zofia podskoczyła.

– Czy naprawdę nie potraficie sobie wyobrazić, że ktoś może mnie kochać? – wykrzyknęła. – Dlaczego się tak na mnie gapicie? To prawda, prawda. Spotkałam go w księgarni. Jesteśmy kochankami od lata. Jest dwa razy starszy ode mnie i pieniędzy mu nie brakuje. – Wstała, otwierała i zamykała duże dłonie, kiedy z jej ust wypływał potok słów; spoglądała na nie zjadliwie. – A niby skąd według was mam ten srebrny medalion, który zawsze noszę? To prezent od niego. Tak, jeśli chcecie wiedzieć, jest żonaty. Jego żona jest chorowita i ciągle jeździ do wód, a on obiecał, że kiedy umrze, ożeni się ze mną. Poślubi mnie; a on dotrzymuje słowa. Rozumiecie więc, że nie pojedę do Wiednia, żeby pomagać siostrze kręcić loki przed spektaklem. Nie, już nigdzie nie będę się za tobą wlokła, Alojzo Weber, nie będę zbierała po tobie okruszków. Ktoś mnie kocha. Ty, matko, nigdy nie wierzyłaś, że coś takiego jest w ogóle prawdopodobne, i za to cię nienawidzę. Teraz udowodniłam, że to jest możliwe.

Dopiero po tych słowach Marii Cecylii udało się podnieść.

– Jak śmiesz stać tutaj – wykrztusiła – w mojej własnej kuchni... i mówić, że odrzuciłaś wszelki honor i godność, że zrezygnowałaś z dobrego imienia? Jak śmiesz się tym chlępić? Kim jest ten człowiek? Oddam go pod sąd. A ty co, stałaś się dziewczką, ladacznicą? Już ja cię wymłócę drewnianą chochlą. Twój ojciec umarłby, gdyby nie to, że już opuścił ten ziemski padół. Tak, umarłby ze wstydu. Że co, kochanek? Jesteś brzemienna? Jesteś brzemienna?

– Bynajmniej – odparła Józefa pogardliwie, stawiając krzesło pomiędzy sobą i matką. – Nie uważasz, że mam dość rozsądku, by nie zająć w ciążę?

Zofia miała fartuszek, powstrzymując łzy; gardło miała zaciśnięte, jakby kazali jej przełknąć coś dużego i gorzkiego.

– Co ty opowiadasz, Józiu? – wyjąkała. – Och, coś ty zrobiła? Co ludzie o nas powiedzą? Zresztą, nawet jeśli masz kochankę, to bez ciebie nie możemy jechać. Nie, matko, daj jej spokój; zawsze mówisz jej same okrutne rzeczy. Och, Józefo, żonaci kochankowie nigdy nie poślubiają dziewcząt, z którymi się zabawiają. Sama nam to kiedyś powiedziałaś.

Tymczasem Maria Cecylia znalazła swoją łychę, Józefa jednak zdołała się uchylić, wywracając przy tym miseczkę z mlekiem, które zalało na niebieski szlafrok ojca, i wybiegła z kuchni. Wrzaski i krzyki odbijały się echem po wszystkich pokojach; dziewczęta słyszały głosy sąsiadów, którzy wychylali się z okien sąsiedniego domu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Zofia, wycierając szmatą rozlane mleko, płakała już zupełnie otwarcie.

– To nieprawda, to nie może być prawda – powtarzała bez końca.

Tego popołudnia Józefa zniknęła, a one przeszukiwały miasto, biegały w górę i w dół po schodach domów, żeby rozpytywać o nią przyjaciół, dowiadywały się w tych trzech księgarniach, które lubiła odwiedzać. W trzeciej sprzedawca, drapiąc się po głowie, powiedział, że przypomina sobie pewną wyjątkowo wysoką młodą kobietę zajętą długą rozmową z jakimś mężczyzną, ale nie zna ich nazwisk. Tamten mężczyzna kupił mnóstwo książek, dodał. Nie ma pojęcia, czy kobieta miała na szyi srebrny medalion. Powiedział, że od lata widział tę parę kilkakrotnie.

Było to najgorsze w ich życiu Boże Narodzenie. Pierwszy raz nikt nie upiekł tradycyjnego *Weihnachtsgebäck*, ciasta na miodzie z imbirem i przyprawami, ani *Springerle*, prostokątnych twardych ciasteczek z postaciami tancerzy albo świętymi obrazkami. Gęś się przypaliła, a przez cały świąteczny posiłek, na którym Józefa w ogóle się nie pojawiła, wszystkie płakały. Nie było jej dwa dni; kiedy wróciła, nie odezwała się ani słowem. Następnym razem próbowały ją śledzić, ale dość szybko zniknęła



im z oczu. Konstancja przyglądała jej się z zaciekawieniem, a nawet lekkim podziwem. Czy szukała jakiejś różnicy? Mówiono, że można poznać, kiedy kobieta upadnie; że można poznać, czy panna młoda przeżyła już noc poślubną. A one niczego nie widziały. Jeśli ta wielka prawda nie istniała, to co wobec tego było prawdą? A Józefa nadal uparcie twierdziła, że do Wiednia nie pojedzie.

Tymczasem nadszedł Nowy Rok i początek kontraktu Alojzy. Musiały zatem albo wysłać ją samą, albo wyjechać szybko razem z nią, a większość rzeczy kazać dostać później. Józefa wciąż przychodziła i wychodziła, kiedy chciała, a między nią i matką padały tak obelżywe i gwałtowne słowa, że pozostałe dziewczęta kuliły się ze strachu. W przeddzień wyjazdu wróciła do domu po północy i nie rozbierając się, padła na łóżko.

– Tylko mnie nigdy o nic nie pytajcie – wyszeptała. – Pojadę. – I przez całą następną godzinę słyszały jej spazmatyczny szloch.

Powoli zbliżały się do niej.

– Proszę, nie gniewaj się na mnie. – Alojza przywarła do siostry. – Też znajdziesz posadę śpiewaczki i wiesz co, ja czasami udam chorą i wyślę cię w zastępstwie. Obiecuj, że zapomnisz tego okropnego człowieka. Życie jest dla mnie nic nie warte, kiedy się do mnie nie odzywasz. Kocham cię z całego serca.

M oj a najdroższa, ukochana Alojzo,

Raduję się razem z Tobą na wieść o odniesionym sukcesie, który pozwoli Ci śpiewać w Wiedniu. Ukochana, widzisz, że nie myliłem się co do wartości Twojego głosu. Jedyne, co mnie boli, to fakt, że te przenosiny jeszcze bardziej oddalą Cię ode mnie. Już i tak minęło zbyt dużo czasu, od kiedy Cię tuliłem. Jeśli Bóg pozwoli, niedługo wezmę Cię w ramiona i już z nich nie wypuszczę.

Moja siostra też nie upiekła ciasta na święta; zbyt była smutna. Zastałem ją nad otwartym pojemnikiem z mąką, z korzeniem imbiru na kolanach, opłakującą naszą matkę.

Odbywam tutaj służbę, która zniechęca mnie do pisania utworów, jakie mam ochotę komponować, a miejsca, w których chciałbym grać, są tak ode mnie odległe. Rozpytywałem o jakieś dobre stanowisko gdzieś indziej, jednak za każdym razem, kiedy o takim usłyszę, okazuje się, że dano je już innemu. Leutgeb wrócił do Wiednia, skąd donosi mi, że cesarz wspiera pomysł opery w języku niemieckim – taką bym skomponował z największą z radością – oraz o tym, że szukają kapelmistrza. Bez zwłoki napisałem do kilku starych znajomych, którzy znajdują się w kręgu Jego Cesarskiej Mości, jednak w sposób dyskretny, bo gdyby mój arcybiskup się o tym dowiedział, natychmiast usunąłby mnie ze swojej służby. Jedną ręką przysięgam mu wierność, gdy tymczasem drugą trzymam za plecami.

Och, ukochana! Oni uważają, że skoro jestem drobny i młody, nie może być we mnie nic wspaniałego i dojrzałego. Już wkrótce się jednak przekonają.

Tysiąc całusów; nie, więcej...

Mozart

Cztery siostry i matka zapakowały na drogę kosz prowiantu i udały się turkoczącym dyliżansem do Wiednia, z kuframi pełnymi odnowionych strojów oraz z kontraktem operowym; wkrótce miały też pojechać ich sprzęty domowe.

## *ZOFIA WEBER, KWIECIEŃ 1842*

Deszczowy kwiecień ani trochę nie odstraszył mojego częstego gościa, monsieur Novella. Otrzeptał ogromny czarny parasol, wytarł starannie wielkie buty i zbliżył się do mnie, zostawiając mokre ślady na podłodze. Po wręczeniu mi czekoladek, co było już stałym zwyczajem, wyjął ze swojego składanego biureczka pióro i notes.

– Dobrze się pani czuje, madame?

– Na tyle dobrze, na ile pozwala mój wiek.

– Zatem ja pozwolę sobie zadać kolejną porcję pytań, a potem cały zamieniam się w słuch.

– Czekałam z posłaniem po kawę na pańskie przyjście. Nie, nie przeszkadza mi zasnąć; mogę ją pić o każdej porze.

Popatrzył na mnie uprzejmie i z zaciekawieniem.

– Zatem to Alojza zdobyła ten kontrakt – powiedział.

– Owszem. Myślę, że wszyscy się tego spodziewali. Widział pan jej portret wykonany kilka lat później, kiedy śpiewała Zemire, prawda? Ten półturban na głowie, włosy w złotych paciorkach, delikatne dłonie, ten uśmiech. Och, gdyby pan wiedział, jaka była piękna. Wszystkim, którzy ją zobaczyli, dosłownie zatykało dech w piersiach, byli oczarowani. W tamtym okresie nawet ona sama nie wiedziała, jakie robi wrażenie.

– Proszę opowiedzieć o podróży do Wiednia.

– Okropność. Drogi pod śniegiem, a ja z gorączką. Józefa przez cały czas milcząca jak głaz.

– Józefa. Mój ojciec słyszał ją raz. Czy Mozart napisał coś dla niej? – Wychylił się do przodu; czubek jego pióra połyskiwał niebieskim atramentem.

– Owszem, kilka pieśni, a lata później wielką rolę operową.

– Naturalnie, już sobie przypominam. Jego niemiecka opera, *Die Zauberflote* – w Anglii nazywamy ją *Czarodziejskim fletem* – pełna mrocznych i dobrych mocy. Ona śpiewała złą królową. Właśnie w tej roli słyszał ją mój ojciec, kiedy przez czas jakiś studiował w Wiedniu; i nigdy jej nie zapomniał. Mówił, że było w niej tyle namiętności.

– Coś panu pokażę – powiedziałam. – Proszę podać mi tamtą szkatułkę. Ostrożnie. Zawsze chciałam wymienić wyściełającą ją tkaninę. W środku znajdzie pan srebrny medalion. Jak pan widzi, opowiadam same fakty. Tak, może pan go dotknąć.

Mój gość, nim wziął do ręki medalion, wytarł dokładnie palce w chusteczkę.

– Więc to należało do niej! – zakrzyknął, ważąc go w dłoni. – I cóż za osobliwy grawerunek. – Odwrócił się do okna i przyjrzał dokładniej medalionowi. – Mocno wytarty. Nie mogę odczytać inicjałów. – Pozwoli pani? – Skinęłam głową, a on otworzył zapięcie i nachylił się nad dwoma kosmykami włosów, dotknął ich opuszką palca. – Zatem to są jej włosy i...

– To jej włosy, owszem.

– Ten drugi kosmyk należał oczywiście do jej kochanka. Mężczyzny z księgarni.

– Niekoniecznie.

– Do kogo, jeśli nie do niego? – Popatrzył na mnie zdumiony. Podniosłam rękę i wskazałam dzwonek na stole, obok jego ręki.

– Proszę zadzwonić na gospodynię, żeby przyniosła nam kawy – poleciłam. – Mam teraz ochotę na dużą, pełną słodczy filiżankę, monsieur Novello. Niech pan dzwoni.

Tak uważnie wsłuchiwał się w moje słowa, że całkiem zapomniał o kawie. Przeprosił za roztargnienie i kilkakrotnie potrząsnął dzwonkiem.

– Wie pan – powiedziałam, kiedy wybrzmiał już ostatni dźwięk – jako młode dziewczęta żywiłyśmy przekonanie, że wiemy o sobie wszystko bez reszty. Natomiast teraz, kiedy jestem stara i samotna, myślę, że było wiele rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Oho, słysząc kroki gospodyni w korytarzu. Jest tyle historii do opowiedzenia i jeśli będzie pan miał cierpliwość i poświęci mi wystarczająco dużo czasu, usłyszysz pan większość z nich i być może zgłębi tę wiedzę, po którą pan tu przyjechał.

# *CZEŚĆ TRZECIA*

## *WIEDŃIAŁOJZA*

*1780*

Alojza zadebiutowała w Burgtheater tydzień po ich przyjeździe, ale rolę swoją opanowała już wcześniej. Nauczyła się jej na pamięć w Monachium, i to pomimo tych wszystkich rodzinnych kłopotów, pospiesznego pakowania i wysyłania świątecznych życzeń do mrowia krewnych. Dwie ciotki ze strony matki przysłały spory kawałek koronki, którą zapewne przechowywały od czasów dziewczęcych, na kostiumy Alojzy, ponieważ miała wystąpić we własnych strojach. Brat ojca przepowiadał klęskę tego nowego przedsięwzięcia; jego list siostry podarły.

Alojza rozpoczęła swoją pierwszą arię, stojąc pośrodku sceny, na tle wymalowanego lasu, ubrana w niebieską suknię, wyszywaną jedwabiem w motyle, rozciętą z przodu i ukazującą haftowaną spódnicę spodnią. Rzędy osłoniętych świec u jej stóp oświetlały scenę. Byli tacy, którzy rozmawiali przez całą arię, uciszyli się jednak przy popisowej, improwizowanej kadencji. Orkiestra umilkła; pierwszy skrzypek, dyrygujący ze swojego miejsca, czekał, aż najwyższe tony jej głosu obiegną całą salę. Niektórzy spośród publiczności z westchnieniem rozsiedli się wygodniej. Inni wychylili się do przodu.

Później, w zimowym powietrzu, pośród setek powozów odjeżdżających ze stukotem spod opery, w cieniu kościołów i wspaniałych kamiennych domów z pochyłymi dachami i mansardowymi oknami, Alojza rzuciła się prosto w ramiona sióstr i matki. Konstancja przyniosła dla niej pojedynczą różę z różowego jedwabiu. Alfons zabrał je wszystkie do



eleganckiej kawiarni, gdzie przepowiadał początek wlotu wielkiej primadonny.

Wróciwszy do wynajętego wcześniej dużego, pustego, skrzypiącego starego domu, siostry włożyły białe, wełniane nocne koszule i zamknęły się w przestronnej sypialni na trzecim piętrze; tak długo sypiały razem, że ciągle jeszcze nie mogły się zdecydować na osobne pokoje. Sypialnia matki mieściła się dwa piętra niżej. Alojza leżała w otoczeniu sióstr, delikatne ramię ułożyła za głową. Święta Cecylia spoglądała z obrazu na całą gromadkę i na fantastyczną niebieską suknię, która rozłożona, jakby wypoczywała, zajmowała jedyny w tym pokoju duży fotel. Alojza była bardzo zmęczona i natychmiast zapadła w sen.

Przez kilka pierwszych tygodni biegały w górę i w dół po schodach, ciągle nie wierząc, że cały ten dom jest ich. Stał w pobliżu kościoła św. Piotra, Peterskirche, w samym centrum miasta, gdzie codziennie przewijał się tłum wiedeńczyków; wystarczyło uklęknąć przy oknie z łokciami na parapecie, żeby oglądać tę procesję arystokracji, duchowieństwa, kataryniarzy, dzieci z obręczami. Tam też, w rogu Petersplatz, znajdowało się stoisko z lemoniadą, zamknięte teraz na zimę, oraz księgarnia, a przed nią głębokie skrzynie. Można było zanurzyć w nich rękę i wyciągnąć grube powieści w języku angielskim albo sfatygowane, złożone tomy wielkich francuskich dramatopisarzy, Moliera i Racine'a. Pod oknem trwała nieustanna parada eleganckich kapeluszy. Alojza jednym rzutem oka rozpoznawała najnowsze modele. Utrzymywała, że po dokładniejszym obejrzeniu potrafi powiedzieć, które są autentykami prosto z Paryża, a które imitacją wykonaną na miejscu, w pracowniach wspaniałych sklepów przy Graben, gdzie kupowały stroje najmodniejsze kobiety. Większość ludzi

mówiła jako tako po francusku, tym jedynym językiem cywilizowanego świata.

Po kilku tygodniach wszystkie siostry uważały się za rodowite wiedenki. Nikt, kto tutaj zamieszkał, nie chciałby już żyć gdzie indziej. Wystarczyło przecież pójść na krótki spacer ulicami miasta, żeby móc otrzeć się o wszystko, co tylko godne jest posiadania na tym świecie, a na dodatek zobaczyć samego cesarza w karecie. Można było wzruszeniem ramion zbyć resztę kraju, od gospodarstw rolnych po prowincjonalne miasta, bo przecież żyjący tam ludzie musieli być głupi, skoro nie mieszkali w Wiedniu, albo wręcz niegodni tego miejsca. Można było rzucić kilka słów po francusku czy włosku i być natychmiast przez wszystkich zrozumianym.

Pojawił się tylko jeden problem: matka chciała uczynić z tego domu pensjonat.

Pewnego ranka dziewczęta siedziały wokół kuchennego stołu, plotkując o sąsiadach i dzieląc się wieściami z Monachium. Nagle zorientowały się, że ich matka ustawia w obszernym kredensie stopy nowych talerzyków i filiżanek, a do tego ogromną, białą wazę.

Maria Cecylia odwróciła się do córek; ręce dostojnie splotła przed sobą.

– Och, wy moje pchełki – odezwała się czule, z wielką satysfakcją przenosząc wzrok z jednej na drugą. – Moje skarby! Odkąd kuzyn Alfons znalazł dla nas ten dom, zadawałam sobie pytanie, co zrobimy z tymi wszystkimi pokojami. I co ja zrobię w sprawie naszych dochodów, bo, niestety, chociaż Alojza zarabia nieźle, potrzebujemy więcej. Modliłam się o uwolnienie z tych finansowych ograniczeń, które zmuszone byłyśmy znosić od waszej maleńkości. Mój Frydolin, który jest teraz wśród aniołów, opiekuje się mną, jako że uzyskałam odpowiedź na swoje pytanie. Byłam za

nią tak wdzięczna, że na kolanach odmówiłam cały różaniec. Co najbardziej lubię robić? Co jest moim prawdziwym darem? To oczywiście, że gotowanie i pieczenie! Zatem, skoro mamy te wszystkie dodatkowe pokoje, postanowiłam zbić fortunę na wynajmowaniu ich wraz z utrzymaniem.

– Wynająć pokoje, mam? Wynająć? – Alojza otworzyła szeroko oczy. Jej kryształowo czysty sopran wzniósł się wysoko. – W taki właśnie sposób mam rozpocząć swoje życie, życie rozrywanej sopranistki, mieszkając w domu, w którym wynajmuje się pokoje?

– Mam swoje powody – odparła jej matka spokojnie, wycierając jakąś plamkę na wazie do zupy. – Zapewni mi to utrzymanie na stare lata, jeśli, jakimś okropnym trafem, nie wyjdziecie dobrze za mąż.

Alojza jednak powtarzała swoje słowa z niedowierzaniem, po czym zerwała się od stołu. Pobiegła do przestronnego salonu i zaczęła grać na klawesynie. Józefa oraz młodsze dziewczęta natychmiast ruszyły za nią, jedna tak blisko drugiej, że niemal nadeptywały sobie na spódnicę.

Józefa usiadła na kanapie i zagryzała palce.

– Ona traci zmysły – oświadczyła, przy akompaniamencie szybkiej melodii sonaty Clementiego. – Nasza matka jest szalona.

Zofia usiadła obok niej.

– Przecież mama jest okropną gospodynią. Jedyne, co umie robić, to gotować. Kto by się zajmował lokatorami?

– Zosiu – odezwała się cicho Konstancja, podchodząc do nich – sądzę, że my. Dziewczęta, dajmy spokój, nie roztrząsajmy tego. Może do jutra o wszystkim zapomni.

Przy kolacji nikt nie poruszył tego tematu.

Nazajutrz, krótko po tym jak siostry zamknęły się w pustym pokoju, żeby szpilkami przypinać wykrój do kuponu różowego brokatu,

przeznaczonego na suknię do nowej roli Alojzy, usłyszały na schodach ciężkie męskie kroki. Nasłuchiwały, jak mijają pokój, w który pracowały. Józefa zerwała się, odłożyła szpilki i ruszyła do drzwi.

– Nie będę tego tolerować – oświadczyła. – Co by papa powiedział?

Najpierw pojawili się pracownicy firmy przewożącej meble; objając ściany, wnosili po schodach używane łóżka i szafy, a następnie wnieśli też stoły, krzesła i wieszaki na kapelusze. Po nich pojawiły się dwie otyłe kobiety handlujące używaną pościelą i draperiami do łóżek; głośno targowały się z Frau Weber; w którymś momencie już prawie odeszły rozzłoszczone, z całym wielkim bagażem poduszek. Pod koniec tygodnia ich duży dom wypełnił się mnóstwem podrapanych mebli i stosami niedobrej bielizny pościelowej i stołowej.

Natychmiast pojawili się pierwsi trzej lokatorzy. Hans Haussman, kupiec jedwabny, który z punktu zaczął narzekać na posiłki; wiolonczelista Giovanni Forza, który od czwartej rano ćwiczył w swoim pokoju gamy i na dodatek cuchnął czosnkiem; oraz trzymający się na uboczu wysoki, dwudziestokilkuletni portrecista, Joseph Lange. Trzeba było zmieniać pościel, przynosić wodę do golenia. Konstancja się nie myliła; ona i Zofia nie miały wyboru i musiały usługiwać przy posiłkach, przynosić sztuce, dolewać piwa, dokładać kolejne porcje cielęciny. Wreszcie przyzwyczyły się, aczkolwiek z oporami, do obecności tych nienawistnych obcych, w ich pobliżu spuszczały wzrok, zwlekały z wyjściem z pokoju, kiedy słyszały któregoś z nich na korytarzu.

Alojza i Józefa nie chciały mieć z tym nic wspólnego.

Przeznaczone do prania rzeczy trzech mężczyzn gromadzono w małym kamiennym pomieszczeniu, do którego dwa razy w tygodniu przychodziła praczka. Tego przedwiośnia Alojza miała codziennie ten ciemny pokoik,

kiedy wymykała się do ciągle jeszcze nagiego ogrodu, żeby tam uczyć się roli.

Kiedyś omal nie wpadła na portrecistę Langego.

– Ach, to powietrze – zagadnął. – Prawie już czuję zapach kwitnących lip. Mademoiselle, nie ma nic piękniejszego od Wiednia wiosną. – Skłonił się jej lekko, a ona bez słowa skinęła mu głową.

Kiedy odszedł, wydawało się jej, że wyczuwa w powietrzu woń lipowego kwiecia, dopóki nie dotarł do niej zapach pokostu lnianego i farb, którym przesiąkło ubranie mężczyzny. Jak pamiętała, jej ojciec przez jakiś czas próbował swoich sił w malarstwie. Kiedy postanowił, że w celu uzupełnienia dochodów rodziny zajmie się malowaniem portretów, w bawialni rozstawiono sztalugi; musiał jednak szybko zarzucić ten pomysł, ponieważ nie miał ani odrobiny talentu malarskiego.

Wolfgang Mozart to geniusz, młoda kobieto – tymi słowami zwrócił się do Alojzy monachijski dyrygent Cannabich, kiedy spotkali się przypadkiem na ulicy po powrocie Mozarta do Salzburga. – Geniusz i zacny, dobry człowiek. Kocha cię, nigdy o tym nie zapominaj. – Twarz dyrygenta była pełna powagi i wydawała się zmęczona. Stali czas jakiś obok piekarni, rozmawiając, po czym on ukłonił się i odszedł.

Alojza myślała o spotkaniu z Cannabichem tego wiosennego dnia, kiedy siedziała na ławeczce w ogródku za ich nowym domem i pisała list do narzeczonego.

Czarujące i pełne szczegółów listy Mozarta przychodziły regularnie. Ileż on miał planów, zamierzeń, projektów; jakież był mądry. Co więcej, odnajdywała w nich rady dotyczące techniki jej własnego śpiewu. Studiowała je pilnie. W pierwszych tygodniach operowych występów, kiedy inne sopranistki warczały na nią i próbowały zepchnąć ją ze sceny albo

zagłuszyć jej delikatny głos swoimi silniejszymi, popadła w przygnębienie, a on ją zrozumiał; wskazał na jej talenty i wyjaśnił, w jaki sposób może je najlepiej wykorzystać. Bo przedtem, bardziej niż sądziła, opierała się na naukach własnego ojca; obecnie zaczęła polegać na zdaniu młodego kompozytora.

Wolfgangu, przyślij mi wszystkie typy kadencji, z jakimi zetknąłeś się w podróżach. I przyjedź szybko, bo tęsknię za Tobą. Nie mogę się doczekać dnia naszego ślubu. Dlaczego nie przyjedziesz i nie wywrócisz tego miasta do góry nogami swoją muzyką i nie zabierzesz mnie z tego nędznego pensjonatu do eleganckich pokoi?

Dwóch nieznajomych przysłało mi kwiaty. Wczorajszego wieczoru, po spektaklu, dyrektor zaprosił kilkoro spośród nas na wytworną kolację. Nie masz pojęcia, jak się czułam, kiedy musiałam wracać do domu po tych wszystkich radościach. Matka wymaga, żebym jej oddawała sporą część zarobków. Koniecznie są mi potrzebne perły do ozdobienia włosów.

Pozdrowienia dla Twojej drogiej siostry i ojca.

Wiesz, nie zapomniałam o Józefie; udało mi się zaangażować ją do niewielkich ról. Och, jak ja kocham operę, z tymi jej plotkami i skandalami, z kochankami i utrzymankami, z obietnicami i zdradami.

Alojza zawahała się; nie dokończony list spoczywał na jej kolanach.

Dlaczego nie przyjechał? Chciała chodzić na bale maskowe i tańczyć do samego świtu, kiedy to gwiazdy znikają, a na firmamencie nieba pozostaje jedynie blady duch księżycy; po prostu musi, zasługuje na to. Przecież dano jej nową rolę i publiczność wykrzykiwała jej imię: Alojza, Alojza.



„Przyjeżdżaj szybko, najdroższy”, zakończyła list, po czym zapomniała go wysłać. Wiele tygodni później znalazła go pod ogrodową ławką, już nie do odczytania po wiosennych deszczach.

Letni upał utrzymywał się do końca września. Kurz pokrywał wszystkie ulice miasta; wzbijał się spod kół pojazdów i nóg przechodniów, unosił z trzepanych dywanów i przedostawał przez okno, by osiąść pomiędzy strunami klawesynu stojącego w salonie na pierwszym piętrze.

Zajęta przepisywaniem nut Konstancja siedziała tam niemal przez cały dzień; teraz wyprostowała obolałe plecy, pomasowała kark i rozejrzała się wokół. Trzeba odkurzyć ten pokój. Odstawiła atrament i właśnie sięgnęła do kieszeni fartucha po skurczawkę, kiedy usłyszała, że ktoś na dole otwiera drzwi, a potem biegnie po schodach.

Zofia wbiegła do salonu, w jasnej kwiecistej sięgającej kostek sukience, i zrzuciła czepek. Twarz miała zalaną łzami.

– Wyjechała, wyjechała. Zostawiła na stoliku w korytarzu list zaadresowany do ciebie, Józefy i do mnie. Wyjechała!

–Kto? Co?

Zofia machała listem w powietrzu, jakby chciała strącić z niego poszczególne słowa.

– Alojza uciekła z Langem, tym malarzem.

– Wielki Boże! – wykrzyknęła Konstancja.

Omali się nawzajem nie poprzewracały, pędząc schodami na górę. Pokój Langego był kompletnie ogołocony. Cichy portrecista nie pozostawił niczego prócz bielizny pościelowej, zdjętej i porządnie ułożonej, zapachu pokostu lnianego oraz małej plamy z czerwonej farby na podłodze, przywodzącej na myśl krew uwiedzionej dziewczycy. Wpatrywały się w nią, trzymając się za ręce. „Drogie myszki”, czytały razem w liście, który

trzymały przed sobą, „możecie się już dowiedzieć, bo dłużej nie potrafię tego ukrywać. On przyszedł do ogrodu i poszliśmy do tej małej szopy. Nie wiem, co mnie opętało. Och, moje kochane, on dosłownie wielbi ziemię, po której stąkam. Nie potrafię bez niego żyć; zupełnie siebie nie poznaję. Jestem piąty miesiąc przy nadziei, czego nie planowałam, ale cóż można na to poradzić? Bądźcie cnotliwe. Kocham was wszystkie całym sercem”.

Piąty miesiąc. A one żartowały z niej, kiedy przybierała na wadze. Jedynie Józefa, co teraz sobie przypomniały, spoglądała drwiąco na rozdrażnioną siostrę, a delikatny uśmieszek błąkał się w kącikach jej ust. Zbyt wiele pierogów, za dużo chleba z masłem, Alojzo. A potem młoda śpiewaczka zażądała osobnego pokoju, gdzie mogła bez ciekawskich spojrzeń męczyć się przy sznurowaniu gorsetu. Teraz już rozumiały.

Trzy siostry zabarykadowały się wraz z matką w kuchni pod wiszącymi garnkami, wokół miski z rosnącym ciastem, wśród łupin po obranej do gulaszu cebuli.

– Och, Alojzo, Alojzo – jęczała Maria Cecylia, kiwając się w przód i w tył. – Moja kochana, moja słodka. Najpierw Józefa odrzuca zacne nazwisko Weberów, a potem w jej ślady idzie nasz skarb, nasza Alojza. Ta dziewczka, ta ladacznica! Co my zrobimy? Co z reputacją naszej rodziny? I co z nami, co będzie z nami? Przecież ona straci tę pracę, śmiechem przepędzą ją ze sceny. Z czego opłacę dom? Co mamy robić?

– Może by go poślubiła – odezwała się cichym głosem Konstancja. Rozłożyła ponownie list i przeczytała go w całości, poruszając przy tym bezdźwięcznie wargami. – Tu, na drugiej stronie, u samego dołu napisała, że się pobiorą. O tutaj, popatrz, mamó! Nie musimy się pogrążyć w smutku. Mężatce jak najbardziej wypada być przy nadziei.

– Wyjść za portrecistę? – Cecylia Weber zmiotła na bok łupiny po cebuli. – Tym mam się teraz zadowolić, skoro miała kiedyś szansę zostać szwedzką baronową? Nigdy tak naprawdę nie przeznaczyłam jej dla Mozarta. Och, nie macie pojęcia, jakie z wami wszystkimi wiązałam nadzieje, a szczególnie z nią: moją pięknnością, moją czarodziejką, moją ukochaną córeczką. Wygląda dokładnie tak, jak ja wyglądałam w młodości, tyle że ja byłam porządna, ja byłam posłuszna. Dlaczego Pan Bóg pokarał mnie takimi córkami? Owszem, on ją poślubi, ale to małżeństwo nie ma żadnej przyszłości. Musi się z nią ożenić i dać mi odszkodowanie, włącznie z tym, co pokryje mi utratę jej dochodów. Przez te wszystkie lata utrzymywałam ją i kupowałam jej wszystko, na co mnie było stać, a teraz taką dostaję nagrodę i jeszcze popadnę w ubóstwo.

Józefa, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, defilowała w tę i z powrotem przed gotującym się na wolnym ogniu gulaszem.

– Mamo, dlaczego ty zawsze myślisz tylko o sobie? Nigdy nie pomyślisz o niczym innym. Nawet kiedy myślałaś o niej, to tak naprawdę jedynie ze względu na siebie samą. Przez te wszystkie miesiące ciągle tylko: Alojza musi to mieć, Alojza musi to włożyć! Uszyjcie siostrze, zróbcie to i tamto dla siostry; wszystkie takie jesteście, ale mama jest najgorsza. Alojza wróci, żeby nie zerwać kontraktu; uwielbia, jak ludzie podziwiają jej śpiew. – Józefa spoglądała surowo na siostry i matkę; dłonie miała oparte na stole obok niebieskiego dzbanka. – Przypuszczam, że będę musiała was wszystkie utrzymywać, ot, czego się spodziewacie, właśnie ja, ta potępiana za swojego kochanka, ja, która może już nie mieć innego, która umrze jako stara panna, co na pewno by ci, mamo, odpowiadało, tobie, która trzymała nas tutaj wszystkie swoimi mrzonkami o znalezieniu godnych nas mężczyzn.

– Dziewczyno, zamilknij, albo się doigrasz – zagroziła jej matka.

Józefa wyprostowała się; niedawno śpiewała partię dziewczyny przebranej za żołnierza i dobrze w tej roli wypadła.

– I kto niby sprawi mi to lanie, ty słaba, głupia, tłusta babo?! – wykrzyknęła. – Och, mam was już wszystkich dosyć! Zawsze ze mnie drwiłyście. Zawsze ją faworyzowałyście, wy wszystkie. Jedynie ojciec mnie rozumiał, a dzięki Bogu nie dożył, żeby być tego wszystkiego świadkiem. – Gwałtownym ruchem porwała łyżkę i zamieszała gulasz.

Ze względu na lokatorów przyciszyły głosy, ale Józefa nie omieszkała trzasnąć drzwiami, kiedy wybiegała z kuchni. Konstancja i Zofia wymknęły się do ogródka wynieść obierki po warzywach do dołu z kompostem; potem objęły się i zmęczone przeżyciami opadły ciężko na ławkę. Nagle Konstancja uniosła ręce do ust i wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Jak w tym wszystkim mogłyśmy zapomnieć o Mozarcie? – spytała. – Och, Zosiu, co też on powie?

W salzburskim mieszkaniu ciepłe popołudniowe słońce oświetlało nuty nowego sekstetu dętego, na oboje, rogi i fagoty, w formie divertimenta stosownego do grania podczas pałacowych wieczerzy. Obok nut Mozart położył pismem do góry list, który przyszedł godzinę wcześniej. Na kartce widoczne były ślady zagięć. Podniósł ją, odwrócił na stronę ze złamaną pieczęcią, po czym odwrócił ponownie, żeby raz jeszcze list przeczytać. Nie był nawet od niej; napisała go Zofia. Donosiła mu, że Alojza i Lange wrócili do Wiednia jako mąż i żona i że mieszkają teraz z dala od rodziny.

Ojciec i siostra znaleźli go tam siedzącego bez ruchu.

– Chyba czas coś zjeść – upomniał się ojciec.

Po odmówieniu modlitwy Mozart w krótkich słowach przekazał im treść listu. Z najwyższym trudem znosił współczujące spojrzenia siostry i wymizerowanego ojca oraz pocieszający dotyk ich dłoni na swojej.

–Podaj, proszę, mięso. I solniczkę.

– Obawiam się, ojcze, że rzodkiewki są bardzo ostre.

– I tak je zjem, moja Nannerl. Przez jakiś czas jedli w milczeniu.

– Ci Weberowie... – zaczął Leopold Mozart. – Nie jestem zaskoczony.

Ojciec był porządny, ale dziewczęta to rozwydrzone panniska. Pensjonat, matka z pretensjami. Na kolanach powinniśmy Bogu dziękować, że nie dopuścił, byśmy się związali z tą rodziną. – Sięgnął po chleb, smarował masłem kromkę i mówił dalej, nie podnosząc wzroku. – Mam nadzieję, że wreszcie zgodzisz się ze mną, że jeszcze nie czas na żeniączkę. Cóż, mogłeś napytać sobie biedy w młodym wieku. Wyrabiaj sobie nazwisko, postępuj krok za krokiem. Miałem prawie trzydzieści lat, kiedy się ożeniłem, i więcej od ciebie wiedziałem o świecie, ale kobieta taka jak twoja matka to rzadkość. Kiedy w przyszłym tygodniu arcybiskup zabierze cię do Wiednia, dokąd udaje się z oficjalną wizytą, mam nadzieję, że noga twoja nie postanie w domu tych kobiet. Rzeczywiście, te rzodkiewki są bardzo ostre.

Znaczoną część podróży do Wiednia spędził Mozart z palcami przy wargach, patrząc przez okno powozu na góry i pola. Skrzypiący pojazd, do którego wsiedli jeszcze przed świtem, był zbyt przepełniony, wszyscy muzycy siedzieli niemiło stłoczeni; na dodatek czyjś fagot w skórzanym futerale kiwał się w tę i w tę, by ostatecznie oprzeć się o jego udo i tam znieruchomić.

Po południu konie zatrzymały się przed wiedeńskim pałacem arcybiskupim – dawną siedzibą zakonu krzyżackiego – w pobliżu katedry św. Szczepana, nazywanej Stephansdom. Lokaj wprowadził Mozarta do wąskiego pokoju z bielonymi ścianami i z dwoma twardymi łózkami, a młody człowiek kopniakiem posłał swoje kufarki w kąt. Jedyne dla niego pociechą stanowił fakt, że zobaczy starego druha, waltornistę Leutgeba,

który wraz z małżonką, w bardzo zaawansowanej ciąży, mieszkał obecnie nad dziadka sklepem z serami i brał czynny udział w muzycznym życiu miasta.

– Wieczorem gramy do mszy celebrowanej przez arcybiskupa – oznajmił wiolonczelista, z którym Mozart dzielił pokój i który właśnie rozpakowywał swoje bagaże i wyciągał wieczorową koszulę. – Zawsze się cieszę, kiedy sprawy państwowe go tu sprowadzają, ale muszę rzec, że ty nie robisz wrażenia rozradowanego. Nie cieszysz się, że jesteś w Wiedniu? Dokąd idziesz?

– Do samego diabła.

W korytarzach minął kilku służących oraz hrabiego Arco, który uśmiechając się z wyższością, skłonił głowę. Arcybiskup przebywał w swojej rezydencji; nawet ściany zawieszane ponurymi portretami nieżyjących od dawna rycerzy i duchownych robiły wrażenie, jakby dyskretnie pochylały się w stronę jego apartamentów z niezliczonymi pokojami i lokajami, w stronę kaplicy, a przede wszystkim w stronę złoconej i bogato ustrojonej w sute draperie sypialni. Arcybiskup będzie składał protokolarne wizyty w całym mieście, w otoczeniu orszaku muzyków, którzy na niemal niewidoczne skinienie jego głowy niezwłocznie podniosą do ust flety i przyłożą smyczki do strun.

Mozart przez godzinę włóczył się po mieście, krążył w okolicy i po samym Petersplatz, gdzie w cieniu zwieńczonego zieloną kopułą kościoła mieszkały panie Weber. Każda dziewczyna, którą zobaczył, wydawała mu się nią, każda drobna kobieta, która odwróciwszy się, rzucała mu uśmiech. Szedł właśnie ścieżką pod drzewami w ogrodach publicznych, kiedy zauważył Zofię Weber, która jadła kawowe lody przy ulicznym stoisku, połyskując szklami okularów. Trwało dłuższą chwilę, nim pojął, że ta



kobieta obok niej – tak nabrzmiała ciążą, że przypominała wygiętą pod ciężarem strąka łądygę – to Alojza.

Podszedł do nich i złożył sztywny ukłon. Odwzajemniono się dygnięciami, opuszczonym wzrokiem. Ładne usta Alojzy zaciśnięte były tak, że tworzyły wąską kreskę, a ona sama miała tę niezdrową, ziemistą cerę, jaką miewają czasami kobiety, kiedy nie narodzone jeszcze dziecko nadmiernie eksploatuje ich organizm. Sześć miesięcy, pomyślał, licząc je wstecz, do czasu, kiedy to późną wiosną jej listy przychodziły coraz rzadziej, aż w końcu wymówiła się brakiem czasu z powodu nadmiaru zajęć i przestała pisać.

– Szczęść Boże; dobrze się czujesz? – spytał lodowatym tonem.

– Nie najgorzej, jak sam widzisz – odparła Alojza ospale.

Trzymam swoje uczucia na wodzy, pomyślał nie bez dumy, ale już w następnej chwili nie miał dość sił, by zachować milczenie. Jego opuszczone po bokach drobne dłonie drżały.

– Jak mogłaś, jak mogłaś? Kochałem cię mocniej, niż można sobie wyobrazić. Czy zdajesz sobie sprawę, że już na zawsze zламаłaś mi serce?

– A czego się po mnie spodziewałeś? – wysyczała, tupiąc. Kilkoro rodziców z dziećmi odwróciło głowy, żeby jej się przyjrzeć. – Czekałam bez końca – mówiła ciszej – aż ci się wreszcie powiedzie. Teraz mnie samej niezgorzej się powodzi. Po urodzeniu dziecka znów będę śpiewać i zarobię jeszcze więcej pieniędzy niż przedtem, gdy tymczasem ty wciąż jesteś tylko jednym spośród wielu kompozytorów. Możesz za to winić jedynie siebie samego. Jak długo miałam karmić się twoimi listami?

Skinał głową ponuro, przypominając sobie, jak dwa lata wcześniej Leutgeb ostrzegał go przed jakimikolwiek relacjami z rodziną Weberów. Teraz Leutgeb był żonaty, gdy tymczasem Mozart... cóż takiego z siebie

uczynił? I pomyśleć, że to dziecko mogłoby być jego! Z największym wysiłkiem złożył pożegnalny ukłon.

Odszedłszy stamtąd szybkim krokiem, zatrzymał się na mostku i spojrzał w dół. Dlaczego po prostu nie skoczyć? Zimna woda wedrze się do płuc. Nadejdzie śmierć, śmierć. Czyż to nie ona jest najlepszym przyjacielem człowieka?

Stojąc tam, stracił rachubę czasu, kiedy nagle usłyszał swoje imię. Obejrzał się i zobaczył pędzącą ku niemu Zofię, piegowatą aż po dekolt sukni.

– Szedłeś tak szybko, nie mogłam cię dogonić – oznajmiła, dysząc ciężko – bo rozdzieliła nas parada jeźdźców i maszerująca orkiestra.

– Czego chcesz ode mnie? – spytał zimno.

Przypominał sobie mgliście, jak wiele łączyło ich dwoje w tamtym monachijskim okresie, wspólne zabawy na podłodze, wspólna gra (ona używała tylko dwóch palców) na klawesynie, wymyślanie bzdurnych powiedzonek.

– Bo – zaczęła, potrząsając jego bezwonną ręką – bo jesteś naszym przyjacielem. Wiesz, jej jest bardzo przykro, chociaż nigdy tego nie powie. I widzę, że masz złamane serce. Serce Alojzy nie jest takie jak twoje. Wokół nas żyje wiele osób obdarzonych sercami, jakich nie znamy i nie rozumiemy. Zbyt późno to sobie uświadamiamy. Ona ma po prostu inne serce, za które my, naturalnie, ją kochamy. Babcia ją rozumiała, ale babcia jest w niebie razem z papą. Oczywiście, że jest piękna. Aniołowie są piękni i przepelnieni miłością, choć musi to być zupełnie inny rodzaj piękna; no, ale przecież ty nie zakochałbyś się w anielicy, prawda, skoro one są bezcielesne? I czy my mamy rozsądek i mądrość aniołów? Czyż możemy, będąc na tym ziemskim padole... – Wygłaszała bez końca tę sążnistą tyradę,

w której nie wszystko było dla niego zrozumiałe. Wpatrywał się w nią w milczeniu.

Z oddali popłynęły dźwięki popularnych melodii granych przez orkiestrę dętą.

– Modłę się do Boga, by dał ci odwagę – mówiła dalej Zofia. – Przysięgam, wiem na pewno, że będziesz miał szczęśliwe życie. Niczyje życie nie jest tak do końca szczęśliwe, ale ty doświadczysz szczęścia. Jestem pewna, że czytałeś *Cierpienia młodego Wertera* Goethego. Józefa zna tę książkę na pamięć, tak jak znał ją nasz ojciec. Utracona miłość. Czegóż jednak oczekiwać. To przecież świat upadły. – Zdjęła okulary, przetarła szklą rękawem. – Przynajmniej chodź ze mną się pomodlić, a potem napijemy się lemoniady. Jest już październik i niedługo zamkną stoiska.

Czuł, jak łzy wypełniają mu oczy, i trwało dłuższą chwilę, zanim się opanował. Potem poszedł za nią z powrotem ku Stephansdom. Weszli do wspaniałej, ozdobnej gotyckiej budowli, która była zarówno jednym z muzycznych centrów miasta, jak i miejscem spoczynku doczesnych szczątków niektórych z długiego szeregu habsburskich cesarzy. Przyklęknęli przy wejściu, a potem opadli na kolana przed ołtarzem i modlili się razem, tak jak niegdyś robił to sam w podzięcie za dobrze przyjętą kompozycję. Kiedy otworzył oczy, widział ją obok siebie ze złożonymi dłońmi, pogrążoną w modlitwie.

– Chodźmy – powiedziała po jakimś czasie.

Wyszli na zalany słońcem plac, gdzie owiewani ciepłym jesiennym wiatrem wypili przy stoisku po dwie szklanki lemoniady. Kiedy już Zofia poszła do domu, Mozart ponownie przeciął plac i udał się do rezydencji arcybiskupa. W swoim nędznym pokoju wyszczotkował żakiet na wieczorny

koncert, który miał się odbyć w domu księcia Galicyna. Paru muzyków nie omieszkało skomentować jego nieobecności na próbie.

Jak co roku w Wiedniu hucznie obchodzono koniec karnawału. Wkładano wymyślne kostiumy i cudaczne maski, wydawano szalone uczyty, ulicznice paradowały śmiało, ukazując tyle gołego ciała, na ile zezwalało prawo, walono w bębny, trąbiono w rogi i tańczono aż do świtu... a wszystko po to, by przegonić zimę. Był to stary zwyczaj, który pamiętał również z Wenecji i Rzymu; miasto obnosiło się z wesołością przed nadejściem Wielkiego Postu – czasu ograniczeń i skromności.

Mozart z trudem przetrwał Boże Narodzenie i zimowe miesiące. Każda napotkana drobna kobieta przypominała mu utraconą miłość i chwilami wydawało mu się, że to wszystko nieprawda i że któregoś dnia Alojza pojawi się u jego drzwi, ze spuszczonego wzrokiem, skromnie odziana. Widział ją ubraną tak, jak nosiła się jego matka, w szarej zgrzebnej sukni, prostej i surowej jak strój zakonnicy. Wyobrażał sobie, jak bierze ją do łóżka, by stracić wreszcie tę swoją nieszczęsną i niechcianą niewinność. Kładł się spać w pokoju, który dzielił z wiolonczelistą, rozmyślając nad tym, i budził się, żeby stwierdzić, że nic się nie zmieniło. Był oto w Wiedniu, gdzie Haydn kiedyś śpiewał w chórze, gdzie Gluck wystawił swojego olśniewającego *Orfeusza i Eurydykę*, gdzie cesarz odbywał codzienny spacer po parku, a tymczasem on niewiele miał okazji, by tworzyć taką muzykę, o jakiej marzył, i występować tam, gdzie chciałby występować.

Nie widywał żadnej z sióstr Weber. Zofia przysłała mu chusteczkę, która należała do jej ojca, z wyhaftowanymi inicjałami FFW Zerkał czasami na nią z pewnym rozczeniem, jednak nie odczuwał pragnienia, by dziewczynę zobaczyć czy choćby podziękować jej za pocziwość. Nazbyt się wstydził i nie był w karnawałowym nastroju.

Pewnego dnia, kiedy pił w cukierni kawę i czytał najnowsze wiadomości, na krześle obok usiadł Leutgeb.

– W ogóle cię nie widzimy – zaczął przyjaciel. – Moja żona wątpi, czy żyjesz, moje dziecko jest przekonane, że nie.

– Aha. Żyję.

– Ale nie za dobrze?

– Nie za dobrze. A jak ty się miewasz, mój druhu?

– No cóż, małżeństwo mi służy! Sprzedaję duże ilości sera i kiedy tylko mogę, gram na rogu. Czasami zachodzę w głowę, gdzie są te koncerty, obiecane przez mojego przyjaciela Wolfganga. Po czym, stwierdziwszy, że zdążyłem obrosnąć pajęczyną, kiedy tak stałem i rozważałem ten problem, zaglądam do wiedeńskiej cukierni, żeby tam znaleźć odpowiedź. No więc, gdzie te koncerty, przyjacielu?

Mozart wzruszył ramionami i wbił wzrok w dno filiżanki po kawie.

– Nieważne, jeszcze poczekam. Posłuchaj! Są tu nasi starzy znajomi, z którymi wybieram się na lalkowe *Krippenspiel* u madame Godl. Jeśli możesz się urwać, chodź z nami. Bardzo im na tym *zależy*. Będzie tam tłoczno, ale te marionetki to istne чудо. Chodź.

Sala teatralna była długa; w jednym jej końcu znajdowała się skomplikowana scena. Czterej przyjaciele zasiedli na wąskich, twardych ławkach jak uczniowie w szkole. Mozart przyglądał się trójwymiarowemu tłu przedstawiającemu Jerozolimę. W kącie bębnił na klawesynie marny muzyk, którego Mozart poznał jeszcze jako mały chłopiec. Usłyszawszy melodię własnego divertimento, wyprostował się.

– To twoje, bałwanie – powiedział Leutgeb. – Naprawdę nie wiesz, ile twojej muzyki grywają? Świsną ci ją, nim zdążysz kichnąć.

Rozmawiali głośno, żeby zagłuszyć harmider wywołany przez gospodynie domowe oraz grupę zamaskowanych dam, którym nie wypadało gustować w tak niewyszukanej rozrywce i musiały ukryć swoją tożsamość, a przede wszystkim przez tupiących głośno uczniów, którzy nie mogli się doczekać rozpoczęcia spektaklu.

– Co porabiałeś poza tym, że grałeś kościelną muzykę dla jego wysokości i obchodziłeś żałobę? Pisziesz w ogóle jakąś muzykę, skoro nie piszesz jej dla mnie? – dopytywał się Leutgeb.

– Owszem, piszę! – wybuchnął. – I co z tego? Chciałem przedstawić coś własnego u hrabiny Thun pewnego wieczoru – był tam sam cesarz – tymczasem mój arcybiskup życzył sobie, bym grał dla jego ojca, powracającego po chorobie do zdrowia, wobec czego zaserwowałem temu koszarnemu starcowi sonatę na skrzypce i fortepian... i tyle. I nawet nie śmiałem okazać swojej wściekłości.

– Więc zamknąłeś się w sobie.

Mozart nie odezwał się; patrzył na marionetki, które widział dokładnie, mimo iż siedział daleko od sceny, takie duże, zupełnie jak żywe, a przecież drewniane. Jakie to dziwne, że tak podskakują i tańczą, kiedy pociąga się za sznurki! Czy to możliwe, żeby na swój sposób coś odczuwały? Jestem jedną z nich, pomyślał nagle. Powoli, poczynając od opuszków palców, zamieniam się w drewno.

Potem zaczęła się właściwa sztuka i oglądali zdobycie Jerozolimy. Waliły się mury. Działa strzelały, sypiąc prawdziwe iskry, i pośród kłębow dymu marionetki–obywatele szły na śmierć, a marionetki–Rzymianie szły po zwycięstwo. Oglądał teatr lalek jako chłopiec i niespecjalnie za nim przepadał, teraz jednak, w tłumie tupiących, krzyczących, duszących się dymem i oplakujących upadek Jerozolimy ludzi, poczuł, jak udziela mu się



ten nastrój. Zerwał się na równe nogi i wykrzykiwał coś, raptownie ogarnięty uczuciem szczęścia. Pisać muzykę do sztuk teatralnych, pisać opery, pomyślał. Komponować to, na co ma się ochotę, być wolnym.

Kiedy wychodzili, tłoczący się uczniowie deptali mu po palcach, a klawesynista wybiegł za nim.

– Proszę przekazać wyrazy uszanowania pańskiej siostrze – zawołał.

Jerozolima padła i pracownicy techniczni sprząтали przed następnym spektaklem, na który już zdążyła się ustawić kolejka.

Czterej młodzi mężczyźni zatrzymali się na ulicy. Ze wszystkich stron dochodziły do nich odgłosy karnawału.

– Chodźmy na piwo i kolację – zaproponował Leutgeb.

W piwiarni flecista czynił daremne wysiłki, by rozmowy nie do końca zagłuszyły jego instrument. Mozart poczuł nawrót smutku, wlewał w siebie piwo i milczał jak zaklęty.

– Baranie – odezwał się w końcu do niego Leutgeb. – Kretynie. Już dwa razy się do ciebie zwracałem, a ty nie odpowiadasz. Siedzimy tu od dwóch godzin; czas iść i muszę rzec, że nigdy wcześniej nie byłeś takim męczącym kompanem.

– Przepraszam, zamieniam się w drewno. Moje serce już się zamieniło. Proszę bardzo. Na następnym przedstawieniu patrzcie uważnie, a zobaczycie, jak wiszę tam razem z innymi marionetkami. – Zerwał się ogarnięty nagłym gniewem. – Dość tego – zakrzyknął – mam tego dość!

Flecista przerwał na moment, żeby zobaczyć, kto tak wykrzykuje.

– Siadaj – wrzasnął ktoś – zamierzasz wygłosić mowę? A może wypijesz za zdrowie cesarza?

– Zamieniam się w drewno – mówił dalej Mozart. – Muszę iść porozmawiać ze swoim świątobliwym pracodawcą. Wybaczcie, panowie. Pójdę, nim będzie za późno.

– Dzisiaj, w przeddzień Środy Popielcowej? zakrzyknął Leutgeb. – O tej porze, po dziewiątej wieczór?

– Mimo wszystko.

Poderwał przyjaciół z miejsc i Leutgeb pobiegł zapłacić rachunek, po czym przeskakując po dwa stopnie naraz, dogonił wychodzących. Stanęli na ulicy, jedną przecnicę od Michaelerkirche, ozdobionego rzeźbionymi w piaskowcu postaciami upadłych aniołów, i odwrócili się przodem w stronę pałacu i katedry. Wiatr znad rzeki i lasów omiatał ulice miasta.

– Szaleniec, istny szaleniec... – wołali towarzysze Mozarta. Strażnik nocny przyjrzał im się uważnie i z niesmakiem, po czym machnięciem ręki kazał im się stamtąd zabierać. Gazowe latarnie oświetlały kamienne elewacje eleganckich budynków. Przed pałacem stało dwóch wartowników.

– Zaczekajcie tutaj – polecił niepewnie Mozart przyjaciółom. – To potrwa tylko chwileczkę. Poczekajcie. – Ruszył do przodu, oglądając się na nich przez ramię, a oni stali z założonymi rękoma i potrząsali głowami.

W pałacu kamerdyner poprowadził go wspaniałymi schodami, a potem korytarzem. Tam natknęli się na hrabiego Arco, który niósł lampę i wino w pucharze z kobaltowego szkła.

– Dokąd to się wybierasz, Mozarcie?

– Jego książęca wysokość życzy sobie mnie widzieć.

– Nie wspominał mi o niczym takim. No cóż, idź więc. Pewnie właśnie odmawia modlitwy.

Rezydencja pogrążona była w mroku, większość świec już bowiem zgaszono.

– O tej porze nikt nie przychodzi – oświadczył kamerdyner, otwierając drzwi komnaty sypialnej i anonsując kompozytora.

Z wnętrza dobiegł pomruk zniecierpliwienia i niewyraźne słowa, a Mozartowi gestem nakazano wejść do środka.

Ściany komnaty wybito czerwonym adamaszkiem; draperie przy łożu były z tej samej, ciężkiej tkaniny. To ogromne łoże z ciemnego drewna, z baldachimem, pomieściłoby całą robotniczą rodzinę. Wysokie sklepienie pokryte było postaciami aniołów, które wyglądały, jakby zaraz miały sfrunąć na dywan. Colloredo, już w szlafroku i szlafmicy, popijał wino przed buzującym w kominku ogniem. Wielebne oblicze przypominało pomarszczone jabłko, oczy wydawały się jeszcze mniejsze niż zazwyczaj.

– To ty, Mozart – mruknął. – W jakiej to ważnej sprawie musisz koniecznie się ze mną widzieć o tak późnej porze?

– Chcę podziękować za okazaną dobroć i oświadczyć z wielkim żalem, że postanowiłem porzucić służbę.

– Co takiego?! – wrzasnął arcybiskup, wyrzucając w górę ramiona. – Zakłócasz moje przygotowania do snu takimi bzdurami, choć przez cały ubiegły rok jadłeś mój chleb? Ty obwiesiu, ty imbecyłu! Zbyt długo cię znosiłem. Widać, że nie umiesz być wdzięczny za służbę u mnie. Tak się rewanżujesz? Dlaczego dałem się twojemu ojcu przekonać, żeby cię zatrudnić?

– A zatem jego wysokość nie jest ze mnie zadowolony?

– Głupcze, tam są drzwi. Wynoś się.

„Na miłość boską, nie porzucaj tej służby”, napisał wiele tygodni wcześniej ojciec, kiedy Mozart zwierzył mu się, jak bardzo jest nieszczęśliwy. „Arcybiskup godził się na twoje i moje wędrówki i przyjął cię z powrotem jedynie na skutek moich usilnych starań. Jeśli znów

odejdziesz, obawiam się, że będzie to ostatni raz. Dokąd bowiem się udasz? Marzenia nie wystarczą za posiłek i dach nad głową, mój synu..."

A teraz jego gwałtowne słowa, przy wtórze trzaskającego ognia, omiały lodowate kąty komnaty.

– Doskonale, mój panie, warunki odpowiadają nam obu, bo tak jak pan nie chce mieć ze mną nic wspólnego, tak ja nie chcę mieć nic wspólnego z panem. Moje największe marzenie to nie musieć już nigdy oglądać pańskiego oblicza.

– Precz, precz! – wrzasnął arcybiskup i zerwał się, przewracając przy tym kielich z winem. Rubinowy płyn spłynął z jego szlafroka i zebrał się w kałużę na podłodze. Żyły nabrzmiały mu na czole, kiedy chwycił za dzwonek i zaczął nim gwałtownie potrząsać.

Nadbiegło kilku lokajów; otworzyły się raptownie drugie drzwi, przez które wpadł hrabia Arco, również w szlafroku.

– Usunąć tego nicponia – rozkazał arcybiskup.

– Na coś ty sobie pozwolił, ty bezczelny smarkaczu, bęcwale jeden? – krzyknął hrabia Arco. – Zakłóciłeś spokój w pałacu. – Chwycił Mozarta za ramię i wypchnął go ze wspaniałej komnaty.

W obecności pobladłych lokajów kompozytor i hrabia ścigali jeden drugiego ze schodów ku wielkim pałacowym drzwiom. W końcu Mozart poczuł wymierzone od tyłu kopnięcie, po którym wylądował na ulicy. Z okrzykiem oburzenia zerwał się na równe nogi i popędził z powrotem w kierunku lokajów, którzy stanęli pomiędzy nim a umykającym przeciwnikiem. Hrabia zniknął już w głębi pałacu, jedynie jego jasny, satynowy szlafrok połyskiwał w oddali.

– Co? Uciekasz, tchórze?! – krzyczał Mozart do pustej, owalnej sali, ale odpowiadało mu tylko echo.

Ktoś chwycił go z tyłu za ramiona. Zaskoczony odwrócił się i zobaczył swoich przyjaciół muzyków.

– Leutgeb, ty bałwanie, puszczaj natychmiast! Zabiję go.

– Nie, durniu! – zawołał Leutgeb, kręcąc głową. – Chodź, póki masz szansę unieść całą skórę. Nie powinniśmy byli pozwolić ci tam iść. Co takiego powiedziałaś swojemu dostojnemu pracodawcy? Cóż mogłeś mu powiedzieć?

– Powiedziałem, żeby mnie w tyłek pocałował, dosłownie.

– Co takiego? Naprawdę tak powiedziałaś, choćby w przybliżeniu? Nie wiesz, jakie to niebezpieczne? Dlaczego to zrobiłaś?

– Bom jest Mozart – odparł kompozytor chrapliwie.

– I będziesz Mozartem w więzieniu, gdzie sprawią ci solidne lanie, wierz mi! Nie słyszałaś, co się stało z tamtym jegomościem, który uderzył wielmożę? Przywilejem szlachetnie urodzonych jest zachowywać się niewłaściwie. My żadnych przywilejów nie mamy. To obrzydliwe, zważywszy, że mamy reformatorskiego cesarza na tronie.

Mozart stracił ręce kolegów, głos miał szorstki, a jednocześnie zawstydzony.

– No to wracaj do domu, głupcze, durniu, ośle. Ja zrobię tak, jak mi się podoba.

Trzej muzycy niemalże siłą powlekli go za róg i spryskali zimną wodą z fontanny, a potem na chwilę zanurzyli w niej jego głowę.

– Na dziś wystarczy – oświadczył Leutgeb. – O świcie daję lekcję gry na rogu, wy też macie swoje zajęcia. Trzymaj więc nerwy na wodzy, Wolfgangu. Nie wiesz, że nie jest to odpowiedni moment, żeby tracić panowanie nad sobą? Idź spać, a potem zastanów się, jak naprawić

zniszczone mosty; masz po nich chodzić, a nie palić je za sobą. Uspokoisz się wreszcie?

– Tak, dobranoc – odparł kompozytor, którego woda zdążyła otrzeźwić.

Patrzyli za nim, kiedy odchodził w świetle ciągle palących się latarni w stronę placu katedralnego. Po jego ubraniu spływały krople wody. Kiedy wrócił do wrót pałacu, zobaczył, że tymczasem zniesiono jego kuferki i postawiono na ulicy. Ubranie i nuty leżały na jednym stosie, a wśród nich symfonia, którą napisał w Paryżu, pomieszana z muzyką na orkiestrę dętą. Zaciekawieni mieszkańcy sąsiednich domów otworzyli okna i zobaczyli, jak na ten stos służący ciska z góry jeszcze jeden trzewik i dwie książki. Bezczelnym smarkaczem i obwiesiem nazwał go hrabia. Chciałby móc wrócić i obić go.

– Dobry Boże, co za drań, co za drań – powtarzał w kółko. – Wyrzucić mnie jak jakiegoś złoczyńcę... o Boże, o Boże. To już do tego doszło...

„Nie odchodź z jego służby, na miłość boską”, zakończył swój list ojciec. „Jakie masz teraz zabezpieczenie? Nie wiesz, jak zarobić na życie; nie wiesz, jak zginać kark. Nigdy nie wątpiłem w twój talent, ale bez tych innych umiejętności szczędziesz”.

„Ojczy najdroższy”, pomyślał teraz, układając swoją odpowiedź. „To ty uczyniłeś mnie tym, kim jestem, zatem muszę taki pozostać. Jeśli się zamorzę głodem, sprzedaj wszystko, co napisałem, ja jednak muszę podjąć tę próbę, nie mogę inaczej. Nie wierzę, by Bóg stworzył mnie na drugorzędnego kompozytora muzyki kościelnej, wykonującego jedynie to, czego życzy sobie jakiś ograniczony klecha. Skomponuję msze, wielkie msze i wspaniałe symfonie, i jeszcze napiszę operę.



Tymczasem teraz, o jedenastej w nocy, siedział na jednym ze swoich dwóch kuferków w pobliżu Stephansdom, którego kunsztowna, zakończona iglicą wieża sięgała niebios. Nie miał dokąd pójść.

TTLR

## *ZOFIA WEBER, MAJ 1842*

W dni wiosenne, takie jak ten, odczuwam namacalność wszystkich pamiątek, które trzymam u siebie w pokoju, zupełnie jak gdyby szykowały się, żeby strząsnąć z siebie kurz i wyjść z pudełek. Powiadają, że ludzie sędziwi mają skłonność, by żyć wspomnieniami. A cóż w tym złego? W moim wnętrzu jest świat, którego nic nie zastąpi.

I znowu przychodzi monsieur Vincent Novello, z laseczką albo z parasolem, zawsze pełen szacunku, zawsze pełen nadziei. Czasami nie czuję się dobrze i wtedy go odsyłam, dzisiaj jednak przypięłam swoje loki i z radością go powitałam, bo odczuwałam wielką ochotę, żeby opowiedzieć mu o tych wszystkich sprawach, które kiedyś zamierzałam zataić, teraz natomiast nie chcę, żeby odeszły w niepamięć.

– Odnalazłam coś, co już uważałam za stracone, monsieur! – oznajmiłam. – Listy Konstancji, jej dzienniki oraz różne pamiątki, obejmujące okres od jej dzieciństwa aż do ślubu Alojzy. Trzymała to pudełko pod łóżkiem, z dala od wścibskich oczu matki. Mama już wtedy była zbyt tęga, żeby tam zaglądać, tak tęga jak ja obecnie.

Odsunęliśmy na bok słodczyce i otworzyliśmy niewielkie pudełko, pod którego lakierowaną przykrywką na zawsze zachowały się prawdziwe kwiaty.

– Mam uczucie, jakbym wścibiał nos tam, gdzie nie powinienem – powiedział mój gość. – Bo czy może być coś bardziej sekretnego i osobistego od marzeń i myśli młodego dziewczęcia? Ogromnie żałuję, że tyle lat zwlekałem z przyjazdem tutaj i że nie poznałem sióstr szanownej pani.

– Dla mnie one są zawsze obecne.

– Ma pani rację – przyznał po chwili, kładąc z szacunkiem swoją dłoń na mojej. – Czy mogę? – Kiedy skinieniem wyraziłam przyzwolenie, zaczął wyjmować zawartość pudełka. Były tam złożone listy, zasuszone kwiaty, kartka z nutami, na której odwrocie napisano jakieś słowa, zawiadomienie o koncercie. – Od kogo są te listy?

– Niektóre od kogoś, kogo kochała, inne to jej własne do osoby, którą kochała wbrew sobie, większość nigdy nie wysłana.

– Nie powiedziała mi pani o tej miłości.

– Konstancja była skryta. Najbardziej z nas wszystkich, choć przecież ja znałam ją najlepiej. Czasami nie wiedziałam, które myśli są jej, a które moje. Musiałyśmy się sprzymierzyć, kiedy dwie starsze siostry poszły swoimi drogami, a może zawsze byłyśmy sojuszniczkami. Bo to my obie trzymałyśmy się w cieniu pozostałych. Śniła mi się ubiegłej nocy; spałyśmy tak jak zawsze, ręce i nogi splecione, ja czasami brałam jej oddech za swój, jej bicie serca za własne. Proszę zadzwonić, żeby przyniesiono kawę. Czuję, że dobrze mi zrobi.

Podniósł dzwonek.

– Opowiem panu o tych drobiazgach z pudełka – oświadczyłam. – Chcę jednak uporządkować pewne sprawy, żeby się panu nie pomieszały. Najpierw powiem, co działo się z naszym Mozartem, kiedy znalazł się razem ze swoimi kuferkami na Stephansplatz, przed pałacem arcybiskupim.

– Och, tak, proszę opowiadać – rzekł mój gość, zasiadając wygodnie, tak że poły jego surduta rozchyliły się, a kamizelka z widoczną dewizką zdawała się rozdymać w pełnym napięcia oczekiwaniu. Z rozbawienia widocznego w jego oczach domyśliłam się, że już wie, dokąd poszedł przytulić głowę nasz dumny i uparty kompozytor.

# *CZEŚĆ CZWARTA*

## *WIEDEN I MARIA ZOFIA*

*1781*

Najdroższy Ojcze,

Moja „paryska” symfonia została wykonana na koncercie benefisowym i przyjęto ją dobrze. Tymczasem otrzymałem pieniądze od wydawcy kwartetów, a wkrótce wystąpię z recitalem w domu baronowej von Waldstatten, która jest dla mnie bardzo łaskawa i która ma doskonały nowy fortepian. Wysłałam Ci trochę pieniędzy, zatem jak widzisz, zaczęło mi się nieco lepiej powodzić. Będziesz mógł sobie kupić nową bieliznę, sprawić suknię mojej siostrze i jeszcze starczy na przyzwoity prowiant dla Was obojga. Serce mi się ściska na myśl, że musicie sobie wszystkiego odmawiać. Mam dwa nowe żakiety (jeden czerwony ze srebrną koronką), które kupiłem wyłącznie z konieczności, bo jak wiesz, nie jestem próżny, jednak trudno się pokazywać w obszarpanym kaftanie, poza tym krawiec zgodził się poczekać na resztę należnej mu zapłaty. Jeśli tylko mogę, jadam na koszt innych. Serce mam niewzruszone, klnę się na Boga; nie interesuje mnie nic prócz pracy. (Całuję nosek siostry sześć, nie, dwadzieścia, dziewięćdziesiąt trzy razy.)

Muszę Ci jednak, najdroższy ojcze, wyjaśnić, jak sobie radziłem od tamtej okropnej nocy. Leutgeb wrócił do swojego mieszkania nad sklepem z serami, zanim zdążył się dowiedzieć, co zaszło, a pijaczkowi, którego za nim posłałem, zajęło dwie godziny, nim tam dotarł i zaczął walić do jego

drzwi. Mój zmordowany druh przybiegł natychmiast i zabrał mnie z sobą. Przybyła do nich w odwiedziny rodzina żony i oczywiste było, że nie ma tam miejsca dla jeszcze jednej osoby.

Jako żywo, nie miałem pojęcia, co czynić, bo pozostawiony sam sobie bywam całkowicie bezradny. Wiesz, że łatwiej mi przychodzi napisać fragment symfonii, niż rozmówić się z praczką, dlatego też wczorajszego wieczoru, kiedy ubierałem się na koncert, jedyne białe pończochy, jakie znalazłem, okazały się zaplamione błotem wiedeńskich ulic. Tak, prawdziwe utrapienie. (Ślę Ci pięćdziesiąt dziewięć uścisków, a ściskam Cię szybciej, niż się wypróżniam, co, zapewniam Cię, czynię całkiem chyżo.)

A teraz ciąg dalszy mojej historii. Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie taki uśmiech losu? Kupując chleb i atrament, spotkałem wdowę po tym doskonałym muzyku Weberze, która oznajmiła, że ma wolny pokój do wynajęcia i chętnie mnie przyjmie. Naprawdę tylko dachu nad głową mi trzeba, żeby dalej odnosić sukcesy w Wiedniu. Jestem pewien, że nie masz nic przeciwko temu. Dwie młodsze siostry, Konstancja i Zofia, są bardzo miłe; kopiują nuty, prowadzą domowe rachunki i gotują. Mogłyby przyszywać mi pourywane guziki i cerować te nieszczęsne pończochy. Wiesz, że sam sobie z tym wszystkim nie poradzę, bo cały mój czas wypełnia muzyka. Starsza siostra patrzy na mnie wilkiem; myślałem, że jesteśmy w przyjaźni, ale ona stała się jakaś zgorzkniała i nie lubi nikogo. Mówią, że to rezultat zawiedzionej miłości. Och, jeśli kiedykolwiek winięm siostry Weber za winę tej jednej, która tak podle mnie potraktowała, proszę je teraz o wybaczenie, bo są one dobrymi, cnotliwymi dziewczętami, a przynajmniej te dwie młodsze... jaka jest ta najstarsza, Bóg jedynie wie. Zapewniam Cię, że jestem jak najdalszy od romansów. Odrzuca mnie sama myśl o małżeństwie. Chcę tylko pracować i to jest moim jedynym zadaniem.

Twój jak zawsze posłuszny syn, W A. Mozart

Odpowiedź nadeszła bez zwłoki.

Najdroższy Synu,

Ogromnie się cieszę z Twojego sukcesu i z wdzięcznością przyjmuję pieniądze, które mi przysłałeś, choć, niestety, posłużą one do spłacenia starych długów i bielizna będzie musiała poczekać.

Jeden fragment Twojego listu poruszył mnie do głębi, a Ty na pewno wiesz, co mam na myśli. Nie podoba mi się pomysł mieszkania pod jednym dachem z panią i pannami Weber. Czy nie dość igrały z Twoimi uczuciami; czyż nie straciłeś głowy dla jednej z nich? I co w rezultacie uczyniła, poza tym, że zrobiła z siebie kobietę rozwiązłą? Cała perfidia tej rodziny bierze się od matki, którą Twoja ukochana matka i święta kobieta uważała za całkowicie niegodną zaufania. Muszę Cię ostrzec, że będą próbować Cię w jakiś sposób zwieść lub złapać w pułapkę. Wiedzą, że masz miękkie serce i że jesteś człowiekiem przepelnionym szczerością. Adieu. Zamierzam teraz uregulować niektóre z długów. Jeśli możesz, prześlij mi kopię tej symfonii. I chodź regularnie do spowiedzi i na msze. Pamiętam, że zwykleś chodzić do kościoła niemal codziennie.

– Twój stary kochający ojciec,

Leopold Mozart

Dwa dni później Mozart wprowadził się na drugie piętro domu pań Weber; z okien jego pokoju widać było zieloną kopułę Peterskirche. Frau Weber powitała go ciepło.

– Ta lafirynda, to zdradzieckie dziewuszysko! – wykrzykiwała, otwierając drzwi jego pokoju dużym, mosiężnym kluczem. – Tak podle się zachowała w stosunku do mnie i w stosunku do ciebie, mój biedny, drogi Mozarcie. Cóż, człowiek nigdy nie wie, jaka zdrada może kryć się w sercach



dzieci, które karmimy własną piersią. – Stała tam z brzęczącymi kluczami przy pasie i pachniała świeżo pieczonym ciastem. Dół spódnicy miała pobielony mąką. Jego serce topniało z wdzięczności, kiedy rozpakowywał swoje rzeczy, wykladał na stół niewielki stos papieru, na którym zamierzał wykreślić pięciolinie. Pokój był widny, wyposażony w łóżko, miskę do mycia i dzban na gorącą wodę z wymalowanymi alpejskimi kwiatkami oraz napisem „Z tych naszych peregrynacji doprowadź nas, dobry Boże, do domu”.

I tak zaczęło się jego życie w tym domu, życie sublokatora w niewielkiej gromadce innych sublokatorów. Konstancja i Zofia spoglądały na niego, czasami się uśmiechały, zupełnie jakby miały nadzieję, że odnowi się dawna przyjaźń, on jednak odwzajemniał się co najwyżej nieprzytomnym uśmiechem. Nie było dawnych śpiewów i zabaw. Ani nie miał na nie ochoty, ani czasu.

Słyszał, jak wymawiają szeptem imię swojej siostry, choć nierozważna, młoda sopranistka nigdy w tym domu nie postawiła stopy. Wiedział, że kilka miesięcy później urodziła dziewczynkę, którą posłała na wieś do mamki, i że sama z dużym sukcesem wróciła do śpiewu. Przemykał pospiesznie przez pokoje, jakby gonił go jej duch, którego drwiącą obecność czuł to tu, to tam. Przez czas jakiś wydawało mu się, że nie wytrzyma już dłużej w tym domu, lecz opuszczenie go oznaczałoby zapomnienie samego dźwięku jej imienia, a na to nie był jeszcze gotów.

Konstancja i Zofia czuły zapach pokostu i farby, idąc po schodach do mieszkania siostry i jej męża, które znajdowało się kilka przecznic od ich domu. Minęło kilka miesięcy, był pogodny czerwcowy dzień. Mąż Alojzy, Józef Lange, natychmiast otworzył drzwi, zupełnie jakby czekał tuż za nimi.

Był wysokim dwudziestokilkuletnim mężczyzną z drobnymi zębami i silnie zarysowaną szczęką. Od czasu do czasu grywał w teatrach.

Dziewczęta rozglądały się nieśmiało. Otoczyła je atmosfera zmysłowości, widoczna w niedbale zgniecionych poduchach na kanapie; w otwartej książce rzuconej na podłogę; w rozstawionych sztalugach, na których stał w połowie ukończony portret ich siostry w jednej z operowych ról – głowę miała przechyloną na bok, wielkie oczy spoglądały przenikliwie. Za uchylonymi drzwiami zauważyły skłębioną pościel na nie posłanym łóżku; właśnie wynurzyła się stamtąd Alojza, również w nieładzie, odziana w mężowski szlafrok, który podtrzymywała z przodu, a z tyłu ciągnął się za nią jak tren. Włosy opadały jej na ramiona, jakby właśnie podniosła się z tamtej przesiąkniętej zapachem męża i żony, ciepłej pościeli. Nosila na sobie ten zapach, kiedy nachyliła się, żeby je pocałować, i kiedy jej splątane włosy ocierały się o ich policzki.

Konstancja i Zofia uściskały siostrę. Jakie to dziwne, że jest z dala od nich; w ich życiu powstała wyrwa, która się nie chciała zasklepić.

Alojza wyciągnęła się na kanapie. Na stopach miała bambosze Zofii, które zabrała całe miesiące temu, gdy z twarzą gniewnie spąsowiałą, z oczami pełnymi łez wpadła do domu jak burza, chwytając i wrzucając do walizki co popadnie, a to koszulę, a to szczotkę do włosów którejś z sióstr, własny zerwany różaniec i wszystko, co wpadło jej w rękę. Teraz, kiedy leżała na kanapie, widać było, że wszelki pośpiech należy już do przeszłości. Ziewnęła.

– Co w domu? – spytała leniwie.

– To, co zwykle – odparła Zofia i westchnęła. – Pięciu lokatorów, włącznie ze Steinerem, który studiuje teologię i nigdy nie płaci w terminie.

A jak malutka? Jaka szkoda, że nie ma jej tutaj i nie mogę jej przytulić. Uwielbiam dzidziusia.

– Zawsze uwielbiałaś wszystko, co małe, ale możliwe, że by ci się odmieniło, gdybyś wiedziała, ile mi sprawiła kłopotów przy porodzie. Myślałam, że umrę. Chyba ma się dobrze. Jej mamka wydaje się poczciwą kobietą. Zamierzamy jutro ją odwiedzić; ktoś, kto ceni mój śpiew, użycza nam swojego powozu. Możecie z nami pojechać, jeśli chcecie. To takie dziwne maleństwo. Mąż twierdzi, że jest do mnie podobna, ale ja jakoś tego nie dostrzegam.

Alojza przeciągnęła się i zerknęła na Józefa Langego, który trzymał w ręku pędzel. Wyczuł jej spojrzenie i odwzajemnił je. Dwie młodsze siostry wzięły się za ręce. Wróc, miały ochotę zakrzyknąć. Kiedy ona wróci do domu? I czy w ogóle wróci?

Alojza sięgnęła po dzbanek, żeby nalać piwa; w tym momencie na jej szyi zabłysło coś srebrnego. Zofia wyteżyła wzrok i pochyliła się do przodu.

– Ojej, to przecież medalion Józefy – zawołała, utożsamiając się z właścicielką. Wyobrażała sobie, jak Józefa na kolanach maca pod łóżkiem i wykrzykuje: „Gdzie mój medalion? Gdzie mój medalion?”

Nalano piwa, kilka kropli spływało powoli po zewnętrznej stronie dzbana.

– Myślisz, że wzięłam bez pytania? – obruszyła się Alojza. – Owszem, pożyczyłam sobie twoje bambosze, przyznaję. Niedługo je oddam, obiecuję. Jeśli zaś chodzi o medalion, to Józefa powiedziała, że mogę go sobie wziąć. W zeszłym miesiącu, kiedy byłam u was po kilka swoich rzeczy, rzuciła nim we mnie, mówiąc: „Już go nie chcę”. Wiecie, ona coraz bardziej dziwaczeje. Jej zachowanie jest okropne, nawet na scenie. Nieważne. Pewnie już przestała oplakiwać swojego kochanka z Monachium.

Usiadła i rozejrzała się po pokoju, jakby ni stąd, ni zowąd zaskoczona, że się w nim znajduje.

– *Mon Dieu* – wymamrotała. – Wszystko układa się całkiem inaczej, niż myślałam... ale dość już tego. Chodźcie obejrzeć moje nowe suknie. Śpiewam nie tylko w operze, ale i w prywatnych domach, co jest bardzo opłacalne.

W sypialni rozłożyła przed nimi dwie nowe suknie, różową i ciemnozieloną, a także spódnicę spodnią, której niezliczone białe falbanki stroszyły się krociem wyhaftowanych różnych kwiatuszków, co będzie widoczne w wyciętym w klin przodzie sukni. Alojza przyjrzała się bacznie siostrze.

– Nie mogę uwierzyć, że masz piętnaście lat – powiedziała, całując Zofię. – Miesiące już minęły od twoich urodzin i bardzo mi przykro, że je przegapiłam. Kupię ci prezent; wiesz, że zawsze to robię, choć często z opóźnieniem. A wy obie... nim się obejrzyście, zakochacie się i wyjdziecie za mąż. Do tego czasu Józefa przestanie być taka irytująca i znajdzie kogoś, kto się z nią ożeni. Ja wówczas będę najślawniejszą śpiewaczką w Europie i będziemy się nawzajem odwiedzać i zachowywać bardzo uprzejmie. Tak, tak właśnie będzie; jestem o tym przekonana.

Zofia stała ze stopami lekko zwróconymi palcami do siebie i masowała grzbiet nosa, żeby rozetrzeć miejsce odcisnięte od okularów.

– Ja nie wyjdę za mąż – oświadczyła. – Chcę być zakonnica i poświęcić się działalności dobroczynnej.

– Och, znowu to samo, ty nudziaro. Wszystkie dziewczęta o tym myślą przez jakiś czas... o owym przedłużeniu dziewictwa, poświęceniu się bolesnym tajemnicom i o wszystkich tych rzeczach, o jakich słyszałyśmy, kiedy papa zabierał nas do kościoła. Ale powiedzcie mi teraz... – Wodziła

palcami po haftach spódnicy spodniej i mrugała odrobinę szybciej. – Jak się miewa matka?

– Jak zawsze – westchnęła Konstancja. – Boli ją w krzyżu, bolą ją nogi, męczą ją sublokatorzy. Pomagam, ile mogę. A skoro o małżeństwie mowa, ona znów snuje swoje plany. Słyszałam raz, jak rozmawiała z wujem Thorwartem za zamkniętymi drzwiami, coś o kuzynie jakiegoś hrabiego, właścicielu niewielkiego majątku. Ona nie daje za wygraną, niczego nie pojmuje. Jeśli ja wyjdę za mąż, to wyłącznie z miłości. – Jej twarz w kształcie serca zajaśniała promiennie. Rzuciła się na łóżko, odsuwając na bok suknie. – Ostatni raz mama próbowała swoich sztuczek jesienią. Jegomość był taki stary, że mógłby być moim dziadkiem – mówiła dalej. – Żeby unieść się z fotela, musiał pomagać sobie laską, a mama utrzymywała, że jest właścicielem czterech kamienic. – Przez rozsypujące się włosy Konstancja zerknęła na młodszą siostrę; w jej głosie słychać było rozbawienie. –

I tak się z Zosią zaśmiewałyśmy, że musiałyśmy wyjść z pokoju. Padłyśmy na schody przed pokojem do szycia. Na pewno nas słyszał, ale nie mogłyśmy się powstrzymać! Zosia powiedziała: „Jeśli sam nie może się podnieść, to jak sobie poradzi w łóżku?”, i to tak mnie rozśmieszyło, że mało ducha nie wyzionęłam. Słowo daję; to dziecko rzeczywiście tak powiedziało. Nie zaprzeczaj, Zofio! Och, na litość boską...

– To ci dopiero – zawołała Alojza. – Zosiu, skąd ty w ogóle wiesz o takich sprawach? Po co ci one w klasztorze? Cóż za marnotrawstwo! Moje kochane, biedne myszki! Posuńcie się, żebyśmy nie zgmiotły sukien.

Trzy siostry przeturlały się po łóżku i ułożyły na boku pomiędzy poduszkami. W sąsiednim pokoju Józef Lange malował i nucił pod nosem.

– Wiecie – odezwała się Alojza – że Józefa nigdy mnie nie odwiedza, a przynajmniej nie odwiedziła mnie ani razu w tym miesiącu. Nie może się zdecydować, czy mnie kocha, czy nie cierpi. Kochanka owszem ma. Znam ludzi, którzy z nią śpiewają. To jeden z tenorów, ten z Pragi. To małe miasto, nie można wydmuchać nosa, żeby ktoś nie zauważył, a plotka to tutaj chleb powszedni. Ona to robi, żeby się odegrać na matce, żeby pokazać mnie i innym, że ją na to stać. – Alojza zawahała się, a jej twarz przybrała zupełnie niezwykły dla niej surowy wyraz. – Jeśli się nie będzie pilnowała, to znajdzie się w takiej samej sytuacji jak ja, przy nadziei, i będzie musiała wyjść za mąż. Nie żebym ja tego nie chciała; nie zamieniłabym Langego na nikogo innego. Ale tak było; utylam, zrobiłam się pękata jak beczka, ledwo siebie poznawałam i w kółko powtarzałam, czy ten pokraczny stwór to naprawdę ja. – Znowu wybuchła śmiechem, odrzucając do tyłu włosy. – Wyobrażacie sobie naszą dumną Józefę w tym stanie? Dzieci są rozkoszne, ale przypomnijcie sobie te wszystkie sprzeczki i boje, jakie o nas toczyli rodzice, tę ich nieustającą troskę o to, jak pokroić mięso, żeby starczyło dla wszystkich. Och, myszki, pamiętacie te długie godziny, kiedy przesiadywałyśmy na klatce schodowej, podczas gdy oni szaleli i wyrzaskiwali? Czy po tym wszystkim powinnyśmy rwać się do macierzyństwa? – Zawiesiła głos i pogładziła stanik swojej różowej sukni.

Zofia leżała pogrążona w myślach. Józefa rzadko bywała w domu. Śpiewała w drugim teatrze operowym – mimo niewielkich ról robiła wrażenie swoim pełnym głosem o głębokim, niskim tonie. Zaprzyjaźniła się z dwiema mieszkającymi razem kobietami; jedna z nich była portrecistką i typem dość męskim, druga młodą kompozytorką. Spędzała z nimi dużo czasu i potrafiła wiele dni pod rząd bez żadnych wyjaśnień nie pokazywać się w domu. Matka piorunowała ją wzrokiem i marszczyła brwi, ośmielając



się atakować jedynie krótkimi, kąśliwymi uwagami, po czym odwracała się, patrzyła w bok, zagryzała wargę, z obawy, że może córkę zupełnie stracić. Czy to w ogóle możliwe, żeby Alojza mówiła prawdę? Drugi kochanek? Co kobieta mogłaby robić z dwoma kochankami? Tracę ją, tracę, pomyślała Zofia. Józefa pójdzie drogą Alojzy i też nas opuści.

– Ona wróci, Zosiu. – Jak przez mgłę dotarły do niej słowa Alojzy, wobec czego odwróciła się i popatrzyła na młodą śpiewaczkę, która rozmarzona, z poduszką w ramionach, spoczywała wsparta o wezglowie. Alojza uklękła na moment i dotknęła piegowatego policzka młodszej siostry, tak samo jak dawno temu, kiedy Zofia była chora, a ona śpiewała jej kołysanki. – Och, myszki, czy zastanawiacie się czasem, jaki sens ma życie? – Jej głos płynął powoli, przepelniony tkliwością. – Czemu ono ostatecznie tak naprawdę służy, jakiemu celowi, i jak winnyśmy się zachowywać... Och, nieważne, zaraz wpadnę w melancholię. – Alojza rozłożyła dłonie, potem sięgnęła po strusie pióro, które leżało na stoliku przy łóżku. – Popatrzcie, to pióro przystroi mój niebieski kapelusz... cały Paryż je teraz nosi! Nie, czekajcie, to ważne! Powiedz mi o sobie, Staniu. Coś się w tobie ostatnio zmieniło. Co to takiego? Masz jakąś tajemnicę? Zakochałaś się? Chyba rzeczywiście, no proszę, jak się rumienisz. Tak długo będę cię łaskotać po brzuchu, aż się przyznasz.

Rzuciły się jedna na drugą. Konstancja się zaśmiewała, a kiedy próbowała umknąć przed łaskoczącymi palcami siostry, suknia jej się zadarła, ukazując ciemne pończochy.

– Och, przestań, daj spokój Alojzo. Przysięgam, nikogo nie ma – wołała.

– Wiem o tobie coś, czego nawet ty sama nie wiesz – przytrzymując ją mocno, szeptała jej do ucha Alojza. – Byłabyś wspaniałą flirciarą, gdybyś

sobie na to pozwoliła, Konstancjo Weber, podobnie zresztą jak i ty, Zofio, mimo całego twojego gadania o klasztorze. Głuptaski, kiedy się wreszcie nauczycie? Flirtowanie jest smakowite, pyszne; daje nam taką moc. Och, to jedna z najwyborniejszych rzeczy.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi, po chwili powtórne.

– Najmilsza – zabrzmiał niski i spokojny głos Langego – za godzinę masz próbę z orkiestrą. Zegar właśnie wybił pełną godzinę, a przed wyjściem musisz jeszcze coś przekąsić.

Alojza zerwała się raptownie. Stała i patrzyła ze zmarszczonymi brwiami na suknie codzienne, zastanawiając się, którą z nich włożyć. Młodsze siostry zsunęły się z łóżka, zaczęły obciągać spódnice i poprawiać fryzury.

– Kochanie – usłyszały wołanie.

– Dobrze, już dobrze, idę. – Alojza zrzuciła szlafrok i została w samej bieliźnie; usiadła na krześle, żeby wciągnąć pończochy i przypiąć je do paska. Z sąsiedniego pokoju dobiegały odgłosy przestawiania sprzętów. Alojza wygładzała pończochę. – I jakże się miewa nowy lokator mamy, Herr Mozart? – rzuciła bezceremonialnie. – Słyszałam, że komponuje i daje lekcje, i trochę koncertuje, a mimo to z trudem wiąże koniec z końcem. Szkoda. Niektórzy powiadają, że jest wybitnie uzdolniony, inni, że przesadnie dumny i upiera się, że życie ma wyglądać tak, jak on sobie je wyobraża.

Zofia skinęła głową, kąciki jej ust opadły.

– Nigdy się do nas nie odzywa, jeśli nie musi – powiedziała niepewnym głosem. – A ja chciałabym, żebyśmy nadal byli dobrymi przyjaciółmi! Czy śpiewasz czasem pieśni, które dla ciebie napisał?

– Owszem, śpiewam je; to piękne pieśni. To całe tournée, jakie zaplanował! Ma dobre serce, ale niewiele zdrowego rozsądku. Zofio Weber, chcesz wiedzieć, czy żałuję tego, co zrobiłam? Nigdy, ani przez chwilę nie żałowałam. Józef i ja jesteśmy w sobie zakochani i myślę, że wybierzemy się za granicę. Może do Paryża, gdzie będę śpiewała i gdzie on mógłby malować. Jest duży popyt na jego prace. Widziałyście ten śliczny portret, który właśnie maluje, przedstawiający mnie w roli Zemire, z piórami we włosach? Och, dziewczęta, widziałyście go? Stoi pod ścianą.

Była już ubrana i wsuwała we włosy ostatnią spinkę z kości słoniowej. Poszły za nią do niewielkiego, słonecznego pokoju, gdzie stał jej klawesyn, i przyglądały się, jak zbiera nuty, słuchały, jak wyśpiewuje pasażę. Jej piękny, delikatny głos rozdzwonił stojące na parapecie porcelanowe figurki. Kiedy się odwróciła, obie młodsze siostry wyczuły, że już je całkowicie opuściła, a te wybuchy śmiechu i łaskotanie należą do przeszłości, mimo że bawiły się tak zaledwie kilka minut wcześniej.

– Nie pozwólcie, żeby mama zmarnowała wam życie – przykazała surowo. Potem ucałowała ich policzki, trzymając przez krótką chwilę dłonie na ich ramionach. – Do widzenia, moje kochane – wyszeptała. – Tęsknię za papą, a wy? Czasami tak mi go brak, że trudno mi to znieść.

Deszcz spływał po drewnianym sklepowym szyldzie, zalewał wypisane na nim słowach: JAN I WENZEL SCHANTZOWIE, BUDOWNICZY FORTEPIANÓW I KLAWESYNÓW, DOSTAWCY UTWORÓW MUZYCZNYCH Z FRANCJI, AUSTRII I ITALII. Zaglądając przez mokre szyby, Konstancja skupiała uwagę nie na instrumentach, ale na niewyraźnej postaci dobrze zbudowanego mężczyzny w skórzanym fartuchu. Potem otworzyła drzwi, które trąciły wiszący u góry dzwonek, weszła do środka i zaczęła strząsać pelerynę.

– Bonjour, mademoiselle Weber – zabrzmiał ciepły, głęboki głos.  
– Bonjour, Herr Schantz – odpowiedziała i leciuteńko dygnęła.  
– Przychodzi panna mimo deszczu! Mam nadzieję, że cała rodzina w porządku.

– Och, jak najbardziej! Przyszłam w sprawie nut tej pieśni, o której mówiliśmy.

– Tak, oczywiście! Przez chwilę niepokoiłem się, że mój pracownik nie naprawił należycie starego klawesynu ojca panny. Wyznał mi, że instrument najlepsze czasy ma już niestety za sobą. – Uśmiechnął się do niej. – Poszukam tych nut, mademoiselle – oświadczył i wszedł do małego pokoiku, gdzie energicznie zaczął przestawiać pudła i jednocześnie nucić jakąś melodię.

Mimo że opuścił pomieszczenie, w którym się znajdowała, nadal czuła jego obecność.

Śniade, muskularne ramiona Jana Schantza, widoczne spod zawiniętych rękawów, były owłosione; jego klatka piersiowa szeroka, głos głęboki. Pachniał wnętrzem fortepianów i klawesynów; zapamiętała z dzieciństwa ten delikatny, tajemny aromat drewna. Mężczyzna przypominał jej Cygana z pewnego malowidła, które kiedyś widziała. Od miesięcy szukała pretekstu, żeby go zobaczyć, zastanawiała się przez cały dzień, co ma powiedzieć, a po spotkaniu żałowała, że nie wykazała się większą błyskotliwością i że nie było w niej nic rzucającego się w oczy.

Alojza zawsze utrzymywała, że afekt można zdefiniować albo w kategoriach miłości, albo głębokiego uczucia, dla niej jednak taka opinia była nazbyt uproszczona, za mało subtelna. Kiedy Konstancja miała dwanaście lat, pewien chłopiec, który mieszkał w tej samej co oni mannheimskiej kamienicy, zostawiał jej liściki w szparze pod jednym ze

stopni. Kiedy zbliżała się do czternastych urodzin, pojawił się tamten kancelista z biura prawnika. Zmarł bardzo młodo, a ona miesiącami go opłakiwała.

Teraz miała lat siedemnaście, żyła w nieustannie zmieniającym się świecie przelotnych lokatorów, unikała, jak mogła, matczynych wybuchów. Kilka miesięcy wcześniej jeden z takich wybuchów wypłoszył z ich domu pewnego łagodnego okularnika, studenta języków starożytnego Wschodu, którego darzyła szczególną sympatią. Umykając w popłochu, pozostawił książki z bardzo dziwnym pismem. Jego pokój zajął ktoś zdecydowanie mniej ciekawy i raz jeszcze Konstancja odwróciła się plecami do całego tego towarzystwa. Podawała posiłki, grzała wodę do golenia, zmieniała pościel... między innymi porzuconemu narzeczonemu Alojzy. Nie znaczyli dla niej nic i nie miała zamiaru odkrywać przed nimi swojej prawdziwej natury.

Wiele lat wcześniej doszła bowiem do wniosku, że najlepszym sposobem prześlizgnięcia się przez własny chaotyczny świat będzie zachowywać się jak najciszej i nie pozwalać nikomu, by poznał jej prawdziwe uczucia. Dawniej, kiedy kłótnie pomiędzy ojcem i matką stawały się nieznośne, zmykała na klatkę schodową, zakrywała uszy rękoma; po wszystkim zbierała z Zofią kawałki potłuczonych talerzy. A przecież pod pełnym biustem, który zawsze usiłowała zamaskować, ciasno sznurując gorset, miała bardzo miękkie serce. Płakała nad martwymi ptakami, litowała się nad samotnymi starymi ludźmi... i wszystko to chowała głęboko w sobie. Czasami tylko wybuchała gniewem czy żalem, jeśli w ogóle pozwoliła sobie na uzewnętrznienie uczuć. Dawniej, w dzieciństwie, nie było dla niej w domu miejsca. W centrum zainteresowania znajdowały się utalentowane starsze siostry oraz ta rozkoszna i pobożna młodsza siostrzyczka, za którą

chętnie oddałyby życie; wszystkie trzy towarzyskie i oryginalne, a Alojza ponadto wyjątkowo urodziwa. Konstancja kryła się po zakamarkach domu i właśnie w tych zakamarkach stworzyła sobie własny świat.

Teraz tkwiła w sklepie muzycznym pośród instrumentów; stała sztywno, bo miejsce to, choć bardzo ją pociągało, było też niebezpieczne. Muzyka była w stanie ją całkowicie otworzyć. Niektórym ludziom muzyka sprawiała przyjemność; innym przynosiła nadzieję na szczęście i ukojenie; dla niej natomiast była czymś szaleńczym, brawurowym i głębokim. Kiedyś weszła przypadkowo do kościoła podczas próby chóru chłopięcego. Śpiewano chorał Bacha, a ona skuliła się samotnie w najdalszej ławce i łkała pod wpływem wzruszenia. Rzecz w tym, że kiedyś bardzo pragnęła śpiewać. Chciała śpiewać głęboko, pełną piersią, soczyście, ale nie śmiała. Nie była tak dobra jak siostry; nigdy im nie dorównywała, wobec czego wybrała milczenie. Teraz nie umiała sobie z nim poradzić.

Przesunęła dłoń po pokrywie klawiatury jednego z instrumentów; nadal słysząc przestawianie pudeł, usiadła na taborecie i cichutko zagrała gamę.

– Szczerze polecam rodzinie, mademoiselle Weber, rozważenie kupna fortepianu – usłyszała jowialny głos Jana Schantza z sąsiedniego pomieszczenia. – Oddałbym paniom jeden z tych na najbardziej dogodnych warunkach. Widzi pani, o ile jest lepszy od klawesynu, w którym nie można zmienić nasilenia dźwięku. – Po chwili był już bliżej. Staął tuż za nią. – Proszę coś zagrać, a sama panna zobaczy. – Proszę grać.

Pierwsze akordy przepełniły ją muzyką i łzy napłynęły jej do oczu. Cofnęła ręce, zagrawszy z pamięci zaledwie mały fragment, i zacisnęła je mocno na podołku, pośród fałd szarej sukni.



– Proszę posłuchać! – rzucił mężczyzna, usiadł obok niej i zaczął grać. Jego duże dłonie były nieco owłosione, a tu i ówdzie miały blizny po związanych z pracą skaleczeniach. – Sama pani teraz widzi, co potrafi ten pedał – powiedział. – Czyż to nie jest niezwykły instrument? Może jeszcze posłucha go panienka innym razem.

Odezwał się dzwonek. Wszedł kolejny klient i strząsał krople deszczu z parasola. Konstancja podeszła do okna, gdzie leżały stosy nut; zaczęła je przeglądać. Tria, muzyka na orkiestrę dętą, muzyka klawesynowa i fortepianowa. Za oknem padał deszcz i postaci spieszących ludzi były rozmazane i niewyraźne. Minał jakiś czas.

Potem on znów znalazł się obok niej.

– Proszę, oto te nuty, mademoiselle; znalazłem je. Zgubiła panna swój egzemplarz podczas przeprowadzki? Tych proszę pilnować.

Jan Schantz dotknął jej ramienia, ale ona się nie odwróciła. Wiedziała, że w tym momencie jej wewnątrz wypełnia jakaś inna młoda kobieta, a jeśli pozwoli tamtej się uwolnić, kim stanie się ona sama, gdzie będzie jej miejsce? Nie była przecież nikim innym jak tylko sumienną, pełną szacunku córką, z dłońmi złożonymi na fartuszku; tą, która zbierała potłuczone talerze i wносиła śmieci. Wiedziała, kim jest: poczciwą, miłą, przyćmiewaną, mało widoczną Konstancją, której nie udało się utrzymać rodziny razem.

I wtedy najmłodsze dziecko właściciela wbiegło do sklepu i rzuciło się w ramiona ojca.

Konstancja szła kilka przecznic w deszczu, trzymając nuty pod peleryną. Wytwórca fortepianów był człowiekiem żonatym. Jak mogła o nim marzyć? Co by na to powiedział jej ukochany ojciec?

A przecież przez kilka następnych dni rozważała każdą chwilę, jaką spędziła z Janem Schantzem, odkąd go poznała, każdą wizytę w jego

sklepie, gdzie kupowała nuty albo skarżyła się na kolejne kłopoty ze starzejącym się instrumentem. Myślała o dniu, w którym on przyszedł do ich domu naprawić klawesyn, a ona, usłyszawszy jego głos, nie zdobyła się nawet na wejście do bawialni.

Dwa dni po ostatniej wizycie w sklepie stała właśnie przy stoliku tuż przy drzwiach wejściowych do domu i przeglądała korespondencję, wśród której jak zawsze znajdował się cotygodniowy list od ciotek, kiedy zauważyła list zaadresowany do panien Weber. Jej serce zabiło mocno i zabrała całą korespondencję do kuchni.

– Co tam masz? – spytała Zofia, wałkując ciasto. – Już wiem. Kalkulacje mamy odniosły wreszcie skutek i rosyjski kuzyn hrabiego poprosił o twoją rękę. Przeprowadzasz się do Moskwy.

– Nie, to zaproszenie na wieczorek taneczny u Schantzów, w ich mieszkaniu nad sklepem. Alfons też się tam wybiera, może więc pełnić rolę przyzwoitki.

Zofia rozglądała się w poszukiwaniu miseczki z konfiturą, którą miała rozsmarować na cieście.

– Co takiego ukrywasz przede mną, Staniu? – spytała żałośnie. – Zresztą nieważne. Powiesz mi, kiedy znajdę się na łożu śmierci, umierając z ciekawości. Niech pomyślę. Józefa z nami nie pójdzie, bo nigdzie z nami nie chodzi. Przypuszczam, że mama pozwoli nam pójść, skoro będzie tam kuzyn Alfons.

Zjawiły się dość późno, bo musiały jeszcze pomóc w domu przy podawaniu kolacji lokatorom. Pokój na piętrze był już pełen ludzi, znajdowało się tam kilkadziesiąt osób, głównie muzyków – niektórzy z nich byli znani dziewczętom od wielu lat. Bufet ugiął się pod ciężarem ciemnych butelek z winem, pochodzącym z winnicy braci Jana i Wenzla

Schantzów, jako że rodzina ta zajmowała się również produkcją dobrej jakości wiedeńskich win. Naszykowano też sery, kiełbasy i pieczywo.

Konstancja trzymała wzrok utkwiony w podłogę albo stół. Czuła obecność budowniczego fortepianów i słyszała jego donośny, głęboki bas. Tego wieczoru była pewna, że jego wzrok podąża za nią, czuła jego spojrzenie na sobie.

Zofia zostawiła ją i pobiegła porozmawiać ze starym przyjacielem ojca, Konstancja zaś odnalazła Alfonsa i jego przystojną, pochodzącą z włoskiej wsi żonę, którzy siedzieli na krzesłach w jednym z pokoi sypialnych, gdzie zrobiono miejsce specjalnie na tę okazję. Twarz Alfonsa była zarumieniona, głos ożywiony: Konstancja mogła się domyślić, że sporo już wypił. U jego boku, kiwając się miarowo w przód i w tył, tkwił jakiś nieśmiały młody człowiek.

– Mój młody geniusz – wykrzyknął Alfons wylewnie. – Odkryłem go w orkiestrze w Stephansdom, gdzie po swoim przyjeździe z Francji grywał do mszy, i wydaje mi się, że znajdę dla niego miejsce pośród muzyków księcia Esterhazyego, kiedy tylko zjadą tutaj na zimę. Mój drogi przyjacielu, mój Henri, znam Konstancję i jej siostry od maleńkości. Ich ojciec był zacnym człowiekiem i moim najbliższym druhem.

– Rzeczywiście – potwierdziła Konstancja, świadoma jedynie dochodzącego z pokoju obok jowialnego śmiechu Herr Schantza.

Kilka minut później w drzwiach pojawiła się Zofia.

– Właśnie zaczynają zabawę. Chodź wreszcie – zawołała niecierpliwie.

W dużym pokoju odsunięto krzesła i fotele pod ścianę, z wyjątkiem jednego, pokrytego czerwonym aksamitem, który został pośrodku pomieszczenia.

– Będą mierzyć wstążką łydki pań, żeby sprawdzić, która jest najpulsniejsza. – Zofia trzymała Konstancję za rękę i łaskocząc oddechem, szeptała jej do ucha. – Najpierw zgadują i robią zakłady. Potem rzucają kości, żeby wybrać osobę, która dokonuje pomiarów.

Była to stara zabawa i Konstancja przyglądała się jej raz przed wielu laty we własnym domu; jej ojciec zajmował się wtedy mierzeniem łydek, a matka ze zmarszczonym czołem stała obok. Ta rola przypadnie dziś Janowi, pomyślała. Dotknie mojej nogi. Poczowała ciepło wzbierające w piersiach, których nie ścisnęła dziś gorsetem tak ciasno, jak to miała w zwyczaju.

Rzucono kości i okrzykiem powitano zwycięzcę. Konstancja przymknęła oczy. To Jan, pomyślała, ale kiedy je otworzyła, okazało się, że to ten młodociany geniusz, Henri, otoczony wianuszkami tłoczących się gości, trzyma w ręce jaskrawoczerwoną wstążkę.

Jedną po drugiej sadzano roześmiane panie na fotelik, a one zakładały nogę na nogę, podciągały suknie wierzchnie, spódnice spodnie, a na końcu zwykłe, białe koszule. Mężczyźni trącali się łokciami i pogwizdywali. Zofia podeszła, nie zwlekając, usiadła, podciągnęła wszystkie warstwy razem i wystawiła na widok publiczny białe, cienkie, wełniane pończoszki. Henri przyklęknął przed nią i owinał wstążkę w najszerszym miejscu jej łydki. Piórem zapisał na jedwabiu inicjały i uniósł wstążkę wysoko nad głowę.

Wreszcie na fotelu posadzono Konstancję, która spojrzała w krąg na zaciekawione twarze, po czym uniosła jedną po drugiej wszystkie warstwy ubioru, aż odsłoniła białą pończochę. Poczowała na łydce rękę Henriego i spojrzała obojętnie w dół na jego złociste włosy. Wszyscy się w nią wpatrywali. A potem młodzieniec uniósł triumfalnie wstążkę do góry i wybuchły brawa. Wygrała; wstała z krzesła, jej spódnice opadły na swoje miejsce. Uśmiechała się do wszystkich, a widziała wyłącznie budowniczego

fortepianów. Po chwili znalazł się obok, z wyciągniętą ku niej ręką z kieliszkiem wina.

– Za śliczną nóżkę – powiedział, puszczając oko. Był lekko podпиты. W świetle świec kilka srebrnych pasemek połyskiwało w jego ciemnych włosach. – Za śliczną dziewczynkę.

Teraz odstawiono pod ścianę również ten czerwony aksamitny fotel i flecista zaczął grać jakiś ludowy taniec. Konstancja natychmiast wyczuła rytm i rzuciła się do tańca; wirując, podobnie jak reszta kobiet, od partnera do partnera, nie było jednak jej dane z nim zatańczyć. Wyglądało na to, że nigdy do niej nie dotrze; za każdym razem znajdował się po tej drugiej stronie. Tuż obok pojawiła się z radosnym śmiechem niepomna na nic Zofia, ale on zawsze był tak daleko.

A potem nagle wyrósł tuż obok niej.

– Przyniosłem pannie lemoniady – powiedział, kiedy Konstancja odpoczywała krótką chwilę z ręką na oparciu krzesła. – Doskonale tańczysz. Nie miałem pojęcia, że jesteś tak utalentowaną osobą, mademoiselle Weber. – Nachyliwszy się ku niej, dodał szeptem, który poruszył pukle włosów nad jej uchem: – Pójdź, moja droga, chcę ci coś pokazać.

Kiedy schodzili po cichu do pracowni na parterze, wziął ją za rękę. Wokół majaczyły bryły nie dokończonych instrumentów. Obok wysokiej szafy, gdzie przechowywano struny oraz inne części, przyciągnął ją do siebie. Nachylił się ku niej; usta miał parzące i pachniał winem. Nigdy wcześniej żaden mężczyzna nie pocałował jej w usta. Całe jej ciało zaczęło pałać, kiedy najpierw jego palce, a potem wargi, dotknęły piersi pod gorsetem. To temu właśnie Alojza dała się porwać; to działało tak na kobiety, że traciły wszelki rozsądek. Znikało gdzieś poczucie osamotnienia,

odrzućenia, wrażenie, że jest się tą jedyną, na której nikomu nie zależy. To wszystko było równoznaczne z wyjściem z ciszy.

Mężczyzna sapał i ocierał się o nią. Jego męskość stwardniała. Zadarł do góry jej spódnice i wsunął rękę głęboko pod majtki.

– Tak – wyjąkała dziewczyna.

– Więc mówisz „tak”? – upewnił się. Dotknął miękkich włosów pomiędzy jej nogami, a ona wydała stłumiony okrzyk; drugą dłoń położył na jej ustach. – Ach, ty dzikie kocię – wyszeptał. – Pragnąłem cię, odkąd pierwszy raz weszłaś do mojego sklepu.

Pchnął ją na stół, z którego spadły jakieś materiały. Prawie nie czuła, że coś ostrego wbija jej się w plecy, jak z bardzo daleka dochodził ją tupot tańczących piętro wyżej. Przygniatał ją, a ona leżała tam pod jego ciężarem, jednocześnie wstrząśnięta i rozradowana.

– Ale co to znaczy, Janie? Zostawisz żonę i uciekniesz ze mną? – udało jej się wykrztusić.

– Ach, cóż ja bym dla ciebie zrobił!

Raptownie otworzyły się drzwi od ulicy i weszło kilku mężczyzn, ciągnąc za sobą wielki kontrabas w futerale. Przetoczyła się w bok, obciągnęła spódnice. Pozbawiona ciepła jego ciała, czuła się naga i osamotniona. On postąpił kilka kroków do przodu, żeby powitać nowych gości, głos miał serdeczny, wyciągniętą rękę; oszołomiona Konstancja cofnęła się, zaczęła zbierać ułamki kości słoniowej z podłogi, by po chwili je rzucić. Pobiegnęła prędko na górę, do pokoju z pustymi już półmiskami i butelkami po winie. Gdzie on się podział? Czuła, jakby przestała być całością, odebrano jej jedną połowę. Po chwili pojawił się na schodach w otoczeniu przyjaciół.



Z kąta pokoju wpatrywała się w Konstancję jego żona: twarde spojrzenie kobiety i beztroski śmiech jej męża. Wydawał jej się teraz całkiem innym człowiekiem niż ten, który nieomal odebrał jej dziewictwo na tamtym stole, gdzie części instrumentów wbijały się jej w plecy. Jej dziewictwo... dobry Boże! Krążyła wśród innych gości, zastanawiając się, czy wszyscy odczytują z jej twarzy, co się wydarzyło. Oprócz patrzącej z goryczą Frau Schantz nikt nie zwracał na nią uwagi.

– Czas iść – szeptała Zofia, szarpiąc Konstancję za ramię. Oddech młodszej siostry przesycony był zapachem wina i ciastek; chwiała się lekko na nogach i wybuchała pełnym zażenowania chichotem. – Zrobiłam z siebie idiotkę! Pozwolić, by ktoś dwa razy ode mnie starszy obmacywał moje piersi! Chyba jestem pijana. Obiecałyśmy, że wrócimy do domu przed dziesiątą. Alfons też jest pijany i nie mam pojęcia, jak żona doprowadzi go do domu. Te wieczory mącą mi w głowie, życie zakonne na pewno jest łatwiejsze. Mogę się chwycić twojego ramienia? Moja kochana, jestem całkiem...

Podpierały się wzajemnie, schodząc po schodach, mijając ukryte w mroku instrumenty, wychodząc na wiosenną ulicę.

– Niedobrze mi – jęknęła Zofia, zakrywając ręką usta.

– Odpocznij tutaj chwilę.

– Musimy wracać do domu. Na świętą Annę, ktoś nadchodzi. Odwróciły się i zobaczyły, że biegnie za nimi złocistowłosy geniusz kuzyna Alfonsa. Podbiegł zgrabnym truchtem.

– Pozwólcie, że będę wam towarzyszyć! – Na jego twarzy malowała się życzliwość. – Wszyscy zupełnie potracili głowy! Przecież nie powinnyście wracać do domu same. – Obrzucił spojrzeniem Zofię, ale

zachował się dyskretnie i nic nie powiedział, chociaż sprawiał wrażenie nieco rozbawionego.

Konstancja pozwoliła ująć się pod ramię, z niepokojem zerkając na siostrę, która szła z drugiej strony. On coś mówił, ale niewiele z tego słyszała. Myślała o ciemnej pracowni, o zapachu nie obrobionego drewna, o błyskach czarnych i białych klawiszy z kości słoniowej, dziwnie skręconych strunach, nacisku ciała tamtego mężczyzny, dochodzącym z góry tupocie tańczących. Jak miała rozumieć tamten pocałunek, tę rękę myszkującą nad podwiązką? Cóż ja bym dla ciebie zrobił, powiedział. Spojrzała na Zofię, która ostrożnie stawiała nogi obute w pantofelki na płaskim obcasie i paplała o udanym wieczorze. Im wcześniej pójdzie do klasztoru, tym lepiej, pomyślała Konstancja. Powinnam zrobić to samo. Będę musiała się z tego wypowiadać.

Paplanina Zofii stawała się coraz mniej zrozumiała i w końcu podążali dalej w milczeniu, aż wysoko sponad domów wyłoniła się niewzruszona, zielona kopuła Peterskirche. Konstancja wyzwoliła ramię i dygnęła.

- Stąd już poradzimy sobie – oświadczyła.
- Czy mogę złożyć wam kiedyś wizytę, mademoiselle?
- Owszem – odparła bez zastanowienia i wzięła siostrę pod rękę.

Kiedy odchodził, odwracał się raz za razem i posyłał im uśmiech.

Dziewczęta przystanąły na chwilę, opierając się o ciemne okno warsztatu szewskiego, i do Konstancji zaczęło docierać, że Zofia bardzo pilnie jej się przypatruje.

– Konstancjo Weber – odezwała się nagle młodsza siostra, jakby właśnie się ocknęła. – Jakże ja mogłam tyle opowiadać o sobie! Zapomniałam o wszystkim, kiedy zrobiło mi się niedobrze. Ale przecież widziałam, jak schodzisz na dół z Janem Schantzem, a potem zobaczyłam

twoją twarz, kiedy wróciłaś na górę. Górna warga nabrała dziwnego wyglądu. Nawet teraz to widać. Czy on cię ugryzł? Powiedz mi, koniecznie mi opowiedz.

– O mój Boże, myślisz, że inni też to zauważyli? – wyszeptała Konstancja, dotykając ust. – W domu chyba nikt nie zauważy, prawda? Opowiem ci, ale musisz przysiąc na swoją duszę, że nikomu nie powtórzysz. Całował mnie, dotykał. Nagle poczułam, że tkwi we mnie inna nieznana osoba, która pragnie wydobyć się na zewnątrz, i on to też wyczuł. Nosłam to już w sobie, zanim poszłyśmy na tańce, od wielu miesięcy. Gwałtownie zapragnęłam odrzucić wszystko, porzucić swój cały dotychczasowy sposób postępowania i stać się kimś zupełnie innym. Już od pewnego czasu wiedziałam, że go kocham. – To ostatnie zdanie wypowiedziała z zaskakującą, pełną powagi godnością, obrzucając jednocześnie obojętnym wzrokiem biegnące zgrabnym klusem konie i ciągnięty przez nie powóz. – Tak, wiedziałam to od dawna.

– Byłam pewna, że coś się dzieje! – wykrzyknęła Zofia. – Ale Staniu, przecież on jest żonaty.

– Owszem jest, ale czy ty nie rozumiesz, że mnie to zupełnie nie obchodziło? Nic mnie nie obchodziło, dopiero kiedy wbiegłam na górę, przestraszyłam się nagle, że skończę jak Alojza i że będę musiała wyjść za mąż. Z drugiej strony, jakie to może mieć znaczenie, jeśli w grę wchodzi miłość?

Przeszły kawałek, przystawały, a Zofia potykała się i czepiała rękawa siostry. Kiedy zbliżyły się do Petersplatz, jakiś ksiądz wyprowadzający na spacer małego pieska skinął im głową. Spoglądając prosto przed siebie, Zofia wzięła kilka głębokich wdechów, jej szczupła twarz przybrała raptownie ów wyraz dojrzałości, który zawsze tak zaskakiwał Konstancję.

– Myślę – wyszeptała Zofia – że powinniśmy wejść po schodach najciszej jak się da, a o tym wszystkim porozmawiać jutro. Tylko nie płacz. Przecież widzę, że zbiera ci się na płacz. Obiecuję, że się postaram nie wymiotować na schodach. Ojej, ależ mi się kręci w głowie!

W ciemnościach zsunęły pantofelki, weszły na górę po omacku i do późnego ranka spały kamiennym snem.

Ledwie wstały, a już usłyszały głos matki piętro niżej. Najpewniej wrzeszczała na któregoś z lokatorów za to, że pozwolił, by świeca się przewróciła, a воск zachlapał dywan, ale zdawało im się, że słyszą swoje imiona. Józefy nie było już w domu. Wybiegły na podest i spojrzały w dół, prosto w zaczerwienioną twarz matki.

– Rankiem spotkałam na rynku żonę Alfonsa – zawołała. – Pozwoliłyście obcemu mężczyźnie mierzyć sobie łydki? I wypiłyście tyle wina, że, jak twierdzi pani Alfonsowa, zachowałyście się obie bardzo swobodnie i dopominałyście u jej męża o więcej. Zepsute dziewczuchy, zepsute jak wasze siostry. To krew waszego ojca, nie moja... waszego nieodpowiedzialnego ojca, który nie dał wam odrobiny rozsądku, wyłącznie muzykę!

– To była tylko taka zabawa. – Zofia wychyliła się przez poręcz.

– Obie skończycie tak jak wasze siostry i nigdy nie wyjdziecie za mąż, szczególnie zaś ty, mademoiselle Konstancjo. Twoje imię będzie tak samo zbrukane jak ich.

Konstancja milczała. Co matka tak naprawdę wiedziała? Zawsze robiła wrażenie, jakby starała się sięgnąć prosto do serca córki, żeby wyrwać stamtąd wszelkie sekrety, zmiażdżyć je, wyrzucić.

– My przecież nigdy... – wymamrotała w końcu, ale na nic więcej nie mogła się zdobyć.

Dziewczęta wbiegły z powrotem do swojego pokoju, zamknęły drzwi, odcinając się od rozwścieczonego głosu, który niósł się schodami w górę i zapewne docierał do uszu każdego lokatora, który jeszcze nie zdążył wyjść do pracy. Zofia oparła się o drzwi, zastawiając je swoim drobnym ciałem, a jej zazwyczaj spokojna twarz wyrażała wielkie przejęcie.

– Nie ustępuj matce – wykrzyknęła. – Nie bój się. Staw jej czoło, bo odbierze ci wszelką radość. Wiesz, że to robi, jeśli jej pozwolisz.

Tymczasem Konstancja poczuła, że cała namiętność i tęsknota z ubiegłego wieczoru zapada się w niej coraz głębiej, a potem więdnie i znika. Czowała, jak twarz jej staje się równie bezbarwna i oschła jak twarze pogrążonych w staropanieństwie ciotek.

– Uspokój się, Zosiu – wyszeptała.

– Miałyśmy taki uroczy wieczór. – Zofia goniła siostrę wokół łóżka. – O co jej chodzi, dlaczego nie możemy czuć się szczęśliwe? Nieważne, co zrobiłaś. I tak Henri się zjawi. Bo tak ma być, dlatego za nami pobiegł. Zabierze cię stąd.

Siostry spojrzały sobie znacząco w oczy, przyznając tym samym, jak bardzo są nieszczęśliwe. Każda z nich bez trudu dostrzegła to w oczach tej drugiej.

– I nawet nie mam swoich bamboszy. Gdzie są moje bambosze? – żaliła się najmłodsza z sióstr Weber. – Alojza nie raczyła ich zwrócić. Dlaczego ona sobie wszystko bierze? Przecież już wszystko ma. Któregoś dnia Józefa też odejdzie i zostaniemy tylko my dwie. Nie mogę już tu wytrzymać, nie mogę. Naprawdę pójdę do klasztoru.

Konstancja podbiegła do niej, strącając rzucone na fotel suknie, potykając się o pantofelki.

– Nie, Zosiu, nie! Co ja zrobię bez ciebie? Jeśli ty pójdziesz, to ja też pójdę. Bo miłość prowadzi jedynie do nieszczęścia.

Usiadły na podłodze pośród leżących tam sukien i objęte szlochały. Potem Konstancja puściła siostrę i usiadła przy stoliku.

– Napiszę do Jana Schantza – oświadczyła. – Jego lubię najbardziej. Poproszę go, żeby mnie stąd zabrał.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Tak, bo wiem, że mnie kocha.

– Powiedział ci to?

– Zaraz, zaraz, tak, wydaje mi się, że powiedział, albo właśnie zamierzał. Poszłabym gdziekolwiek, byle się stąd wyrwać! Ty też byś mogła. – Konstancja zaczęła pisać.

– Ale to przecież szaleństwo. Zrobiłabyś to? A on? A co z jego żoną? Dokąd byście poszli?

– Gdziekolwiek. – Pióro pędziło, skrzypiąc o papier, i już po chwili Konstancja podpisała list i cisnęła kartkę na blat. Siostry spojrzały na siebie i zaczęły nasłuchiwać odgłosów zza drzwi.

Maria Cecylia weszła na górę, przystanąwszy raz dla złapania tchu. Wiedziały, że matka zatrzymała się na chwilę pod ich drzwiami, a potem usłyszały, jak delikatnie w nie poskrobała.

– Chodźcie, moje kurczaczki, moje pchełki – odezwała się tym swoim dobrze im znanym, niskim, czułym głosem – w kuchni czeka na was kawa i ciasto. Wszyscy już sobie poszli i w domu panuje całkowity spokój. Czyżbyście nie wiedziały, moje kochane, że ja znam życie i że chcę wszystkiego, co najlepsze dla tych, które własną piersią wykarmiłam, pielęgnowałam i chroniłam przed tym okropnym światem?



Dziewczęta wstały, otarły łzy i trzymając się za ręce, stanęły w drzwiach. Wzięły matkę pod ramiona i razem zgodnie zeszły na dół. Przy kawie rozmawiały o sprawach codziennych: o ploteczkach z ulicy, cenach cielęciny, tegorocznych koncertach w parkach, humorach dochodzącej pomocy kuchennej, którą niedawno zatrudniono. Nie wspomniano już ani słowem o zabawie w domu budowniczego fortepianów.

Pewnego wieczoru, mniej więcej sześć miesięcy później, kiedy miasto zasypał gęsty styczniowy śnieg, Mozart wszedł do głównej sali zimowej rezydencji księcia Mikołaja Esterhazyego i zatrzymał się na chwilę, żeby posłuchać książęcej orkiestry, która w oddali grała właśnie allegro symfonii. W kryształowych żyrandolach migotało mrowie świec. Piękne kobiety, z fryzurami utrwalonymi pomadą, obrzuciwszy go spojrzeniem, od niechcenia odpowiadały skinieniem głowy na jego ukłon, po czym odwracały wzrok. Strzepnął rękawem śnieg z kapelusza, nim podał go lokajowi, nie wszedł jednak do sali balowej, gdzie grała orkiestra, a poszedł przez komnaty do biblioteki, mijając grupki licznie zgromadzonych gości. W kieszonce jego kamizelki bezpiecznie spoczywało nie przemoczone zaproszenie na dzisiejszy wieczór.

W niewielkiej bibliotece, z głową pochyloną nad książką, siedział franciszkanin Giovanni Battista Martini, maestro di capella z Bolonii. Mozart pospieszył ku niemu. Natychmiast przypomniał sobie, jak to mając czternaście lat, przebiegał sale klasztoru w Italii, z nutami pod pachą. Padre Martini postarzał się od tamtego czasu i do Mozarta dochodziły słuchy, że z jego zdrowiem nie jest najlepiej.

– Padre Martini! – zawołał. – Z wielką radością przyjąłem wiadomość, że ojciec zjechał do tego miasta.

– Wolferl Amade – odezwał się zakonnik głosem słabym i matowym.  
– Pozwól, że ci się przyjrzę. Nie widziałem cię od lat. Odległości, które dzielą ludzi, są dla mnie trudne do pokonania. W niebie ich nie będzie.

Przesunął się, robiąc gościowi miejsce na pokrytej niebieskim jedwabiem kanapie, obok tacy z winem i kieliszkami.

– Onegdaj z ogromną przyjemnością wziąłem do ręki ofertorium, które przysłałeś mi kilka lat temu. Ty natomiast dzisiejszego wieczoru przegapiłeś własny sekstet na instrumenty dęte. Muzycy już go odegrali i przenieśli się gdzieś indziej, żeby zarobić jeszcze kilka dodatkowych florenów. Subtelny utwór – fagoty, rogi i klarnety – cały ty, ze swoją wrażliwością. Wśród muzyków był twój przyjaciel, postawny młody człowiek, głośny śmiech, duże zęby. Nazywa się chyba Leutgeb.

– Ten gbur, ten dzikus! Znam go z Salzburga – oświadczył Mozart uradowanym tonem. – Zatem utwór przyjęto ciepło? Bardzo się starałem.

– Jak zawsze. Twój ojciec pisze, że się o ciebie martwi, ale czyż nie taki jest los wszystkich ojców? Powiedział, że minionej wiosny porzuciłeś służbę u arcybiskupa, że zerwałeś okowy i wydostałeś się na wolność. Mam nadzieję, że jadasz przyzwocie? A gdzie mieszkasz?

Przez drzwi słyszeli muzykę i gwar rozmów. Mozart usiadł na kanapie.

– Nie masz, ojcze, pojęcia, jak bardzo raduje mnie twój widok! Gdzie mieszkam? Mam pokój w pewnym pensjonacie, ale staram się w nim przebywać jak najmniej. Potrzebne mi jest własne mieszkanie; spodziewam się, że za kilka miesięcy dopnę swego.

– Doskonale. Masz zatem dostateczną liczbę uczniów? Spotkałem tu wcześniej rodzinę Aurnhammerów, których córka bierze u ciebie lekcje gry na fortepianie. Powiedzieli, że dałeś z nią wzorcowy wręcz koncert w ich domu, że graliście twoją nową sonatę na dwa fortepiany. Szukali cię tutaj.

Mozart wzruszył lekceważąco ramionami, wziął kieliszek z czerwonym winem i zapatrzył się w odbity w jego wnętrzu płomyk świecy, potem wyciągnął przed siebie nogi i spojrzał w kierunku drzwi. Ogarnęło go raptownie takie zadowolenie, że nie potrafił usiedzieć spokojnie.

– A tak, mademoiselle Aurnhammer! – wykrzyknął. Jego nie pudrowane, bladokasztanowate włosy zwinięte były w pukle po obu stronach głowy i połyskiwały w świetle świec. – Mademoiselle Barbara Aurnhammer... – powtórzył z szelmowskim uśmiechem.

– Z tego, jak wymawia twoje imię, wnoszę, że jest w tobie zakochana. Twój ojciec pisał o jakiejś młodej kobiecie; czy to ta panna? – Mnich z zaciekawieniem obrócił ku niemu pomarszczoną twarz.

– Nie, inna.

– Będę dyskretny i nie zapytam o nic więcej. Cóż to za zgromadzenie mamy tu dzisiaj! Połowę wiedeńskiej socjety, prawda? Daj się im poznać i podążaj własną drogą. Przy odpowiedniej liczbie koncertów, lekcjach dla tych, których będzie na nie stać, zamówieniach oraz publikacjach utworów poradzisz sobie zupełnie dobrze. To jedyna droga, jeśli nie chcesz włożyć liberii. Jesteś już bliski sukcesu. Czuję to. Tak, oczywiście, masz moje błogosławieństwo. Zawsze cię miłowałem, i nie ja jeden, Amade. – Zerknął na rozbiegane palce Mozarta i uśmiechnął się. – Nawet w tej chwili nie potrafisz usiedzieć spokojnie.

– Nie potrafię, to prawda! – roześmiał się Mozart radośnie. Symfonia dobiegła końca i przez pokoje popłynęła fala braw.

Mozart słuchał przez chwilę, twarz rozjaśniła mu się jeszcze bardziej.

– To dzieło Józefa Haydna – oświadczył. – Rozpoznaję jego styl.

– Tak, Józef Haydn, niezwykły kompozytor. Nie wiesz zapewne, że kiedy spytał księcia, czy mógłbym przyjść tutaj dzisiejszego wieczoru, to

poprosił także o zaproszenie dla ciebie. Jest kapelmistrzem naszego gospodarza, księcia Esterhazyego, i bardzo dobrze zna twoje kompozycje. Pisałeś mi, jakim podziwem darzysz jego kwartety. Nawet przed chwilą...

– On tu jest i dzięki jego wstawiennictwu mnie zaproszono? – Mozart zerwał się na równe nogi.

W tym samym momencie Józef Haydn we własnej osobie pojawił się w drzwiach biblioteki. Mozart rozpoznał go natychmiast, mimo że nigdy go nie spotkał. Widział kiedyś portret młodego Haydna, a teraz miał przed sobą mężczyznę zapewne pięćdziesięcioletniego.

– A więc to pan dyrygował! – Mozart ruszył w kierunku kompozytora, niemal jękając się z wrażenia. – Herr Kappelmeister, gdybym tylko pomyślał, że to pan dyryguje, natychmiast udałbym się do sali balowej, żeby pana wysłuchać. Znam pańskie dzieła. I od wielu lat marzyłem o tym, żeby pana poznać.

Złożywszy ukłon, Haydn ujął dłoń młodego kompozytora obiema rękoma i z zainteresowaniem przyglądał się jego twarzy.

– Zatem to jest Wolfgang Mozart z Salzburga. Ja też znam pańską muzykę. Kiedy nie mam możliwości jej wysłuchać, pożyczam sobie zapis nutowy.

Żeby odgrodzić się nieco od wrzawy, trzech mężczyzn przymknęli drzwi i usiedli przy półkach z książkami, pod portretem cesarza Józefa. Mozart był tak podekscytowany, że nie mógł spokojnie usiedzieć; z szerokim uśmiechem na twarzy kołysał się do przodu i do tyłu.

Haydn był znacznie spokojniejszy; siedział nieruchomo, położywszy rękę na wygiętym oparciu kanapy.

– Więc mieszka pan teraz w Wiedniu – rzekł. – Wie pan, jako chłopiec śpiewałem w chórze, w Stephansdom. Głos miałem anielski, ale kiedy

przechodziłem mutację, wyrzucili mnie na ulicę. Nie potrafię powiedzieć, czy profesja muzyka jest trudniejsza od innych; to jedyna, jaką znam.

– Czy na długo się pan tutaj zatrzymał, sir?

– Na całą zimę, co zdarza się czasem, kiedy towarzyszę swojemu mecenasowi. A wie pan, już od dawna nosiłem się z zamiarem napisania do pana. Przestudiowałem bowiem pilnie partyturę pańskiego *Idomeneusza*, opery tak bogatej i tak głębokiej, że ci, którzy oczekują, że opera ich rozbawi, czują się nią przytłoczeni. Tamten kwartet i ta aria księcia: *Androramingo e solo...* Samotnie wyruszę w dalszą drogę. Wzruszyłem się do łez. Żałuję, że nie okazała się ona sukcesem, przeczuwam jednak, że to właśnie dzięki operze zyska pan ostatecznie uznanie. Może dzięki takiej, która nie będzie wyłącznie *seria*, co? Nie tak tragiczna w tonie, ale która będzie jednocześnie wyrażała radości i smutki życia splecione ze sobą, i żaden z tych motywów nie zostanie pominięty.

– Tak, panie kapelmistrzu! Taka mogłaby być opera i potrafiłbym taką napisać, gdybym wiedział, że zostanie wystawiona, gdybym dostał zamówienie. Marzę o takim zamówieniu.

– Cóż za szczęśny przypadek. – Haydn otworzył szeroko oczy. – Dopiero co rozmawiałem z dyrektorem opery dworskiej, hrabią Orsinim-Rosenbergiem, który powiedział, że rozgląda się za jakimś nowym dziełem. Rosyjski wielki książę planuje bowiem na jesień oficjalną wizytę w Wiedniu i chcieliby wystawić coś, co by mu przypadło do gustu.

Mozart zerwał się, zaczął chodzić szybko po pokoju, potem z wypiekami na twarzy wrócił do Haydna. Przebierał palcami po szkarłatnym żakiecie.

– Czy to możliwe? Starłem się, by mnie mu przedstawił, pisałem nawet dwukrotnie, ale mój list pozostał bez odpowiedzi.

– Więc teraz szczęśliwie nadarza się okazja, żeby pan sam mu się przedstawił. Jest jeszcze w sali balowej. Wie pan, jak wygląda? Doskonale. My tu jeszcze zostaniemy. Moja orkiestra już grała i dzięki Bogu, bo to znaczy, że ja już jestem dzisiaj po pracy.

Spiesząc do sali balowej, Mozart słyszał początek sonaty na flet i fortepian. Kiedy mijał mniejszą komnatę rozświetloną blaskiem świec, zobaczył baronową von Waldstatten, w której domu dał kilka koncertów, grając na jej godnym pozazdroszczenia fortepianie. Ta przystojna, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta, podniosła się z kanapy z wygiętym oparciem i pozeglowała kokieteryjnie w jego kierunku. Jej wspaniała suknia na szerokiej, sztywnej rogówce ocierała się o kilku nadskakujących jej młodych ludzi; jeden z nich szedł za nią krok w krok, inny niósł szal. Na jej kształtnych ramionach widoczne były delikatne drobiny pudru do włosów, głowę miała lekko przechyloną na jedną stronę, dzięki czemu wdzięcznie układał się jeden z białych pukli jej fryzury. Bez wątplenia któryś z tych młodych ludzi był jej obecnym kochankiem. Mozart przemknął wzrokiem po jej lekko spierzchniętych, uszmińkowanych wargach, po czym zwierzył się, dokąd zmierza.

– Och, hrabia! – westchnęła. – Hrabia. Znam jego żonę, to nudziara. Liczy się jednak to, że on zna dobrze cesarza, przez co staje się osobistością jeszcze znakomitszą. Ostatecznie, ukontentowanie cesarza znaczy o wiele więcej niż zadowolenie mojej niemądrej osoby! Kiedy znów pan dla mnie zagra? Chodźmy, zaprowadzę pana do niego.

W sali balowej panował nieład. Biało–złote foteliki zostały niedbale poodsuwane przez tych, którzy wyszli po zakończeniu koncertu. Na końcu Mozart dostrzegł pulpity na nuty z wygaszonymi świecami oraz porzucone instrumenty; smyczek od skrzypiec walał się po podłodze. Pośród tego



pobojowiska stał Orsini–Rosenberg, mężczyzna średniego wzrostu, w jedwabście białej peruce, z odrobiną szminki na wargach. Koronki żabotu spływały obfitą falą po jego gorsie.

– Ach, Mozart, słyszałem już o panu – oznajmił, kiedy w końcu odwrócił się do kompozytora. – Haydn nie przestaje pana wychwalać, podobnie jak obecna tu piękna baronowa. Cenię pańskie utwory, musi pan jednak zrozumieć, że kompozytorów jest wielu, a cesarz przywiązany jest do tych, których dzieła już zna. Bardzo lubi maestra Salieriego, którego włoskie opery, jestem tego pewien, nie są panu obce.

– Znam naturalnie kapelmistrza Salieriego. To świetny nauczyciel.

– Mimo wszystko pewne możliwości mogą zaistnieć. Zależy to od wielu czynników, chodzi między innymi o to, żeby tematyka pańskiego utworu okazała się frapująca. Proszę zostawić adres, żebym mógł po pana posłać, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zna pan mojego sekretarza, Thorwarta, prawda? Mówił, że się już spotkaliście.

Thorwart stał bez ruchu obok hrabiego; pierś wypięta, podbródek wysunięty do przodu. Angielska kamizelka opięta na wydatnym brzuchu. Mozart widywał go od czasu do czasu w pensjonacie. Co on tutaj robi? – pomyślał teraz. Czy jego obecność pomoże czy zaszkodzi moim staraniom?

Uklonił się, a w odpowiedzi sekretarz skłonił lekko głowę. Tymczasem podeszły do nich inne osoby, co bezpowrotnie uniemożliwiło dalszą rozmowę z hrabią.

Kłaniając się to tu, to tam, Mozart minął osamotnione pulpity i udał się pospiesznie z powrotem do niewielkiego pokoju obstawionego książkami, żeby podzielić się dobrymi wiadomościami. Nie zastał tam nikogo. Haydn czekał na niego u stóp biegnących dwoma łukami schodów, nad którymi wisiały rzędy portretów.

– Rozmawiał pan z Orsinim–Rosenbergiem? – dopytywał się, ujmując go pod ramię. – Zrobię, co będę mógł, żeby nie zapomniał pańskiego nazwiska.

– Jakże się panu odwdzięczę, sir?

– Odwdzięczy mi się pan, kiedy dana mi będzie przyjemność wysłuchania pańskiej opery – odparł starszy mężczyzna.

Przez jakiś czas podekscytowany Mozart kręcił się tu i tam, kłaniając się osobom, które znał. Orsini–Rosenberg udał się do jadalni na wieczerzę, a baronowa odjechała w swojej karecie, ścisnąwszy pierwszej jego dłoń i puściwszy oko na pożegnanie. Padre Martini również odjechał, ale zostawił mały, złożony liścik, informujący, że zatrzyma się na plebanii przy Stephansdom.

W niewielkiej komnacie, oświetlonej jedynie małym żyrandolem, którego świece paliły się nierówno i wyginały pod wpływem powietrza wiejącego od jednego z wysokich, ozdobionych portierami okien, ktoś grał na klawesynie. Mozart nadstawił ucha i po chwili jakiś czysty sopran zaczął śpiewać po angielsku przeróbkę tradycyjnej pieśni. Ktoś powiedział, że śpiewaczka nazywa się Nancy Storace, pochodzi z Londynu i że zaczyna być znana w Wiedniu. Słyszał już o niej wcześniej. Teraz stał oparty o drzwi i patrzył, jak układają się jej ładne usta.

Kiedy pieśń dobiegła końca, odwrócił się. Mam dość na głowie, nie potrzeba mi żadnego nowego romansu, pomyślał. Ludziom dość łatwo przychodzi łączyć moje nazwisko z takim czy innym i potem plotkować. Wszyscy już założyli, że jestem zakochany w pannie Aurnhammer, która nie ma za grosz wdzięku i nosi tak głęboko wycięte suknie, że nie można się powstrzymać od zaglądania, nawet jeśli człowiek nie ma na to ochoty... a ja, ku mojemu zażenowaniu, rzeczywiście zapuszczam tam wzrok i odczuwam

coś, czego wolałbym nie odczuwać. Pójdę już i zastanowię się, jaki temat obrać sobie na operę. Nic innego mnie nie obchodzi.

Odebrał pelerynę oraz kapelusz i wyszedł przez wielkie podwójne drzwi frontowe. Ze skrzypieniem przejechał powóz jeszcze jednego odjeżdżającego gościa. Przed pojazdem szedł lokaj, trzymając wysoko w górze pochodnię. Koła pozostawiły świeże ślady na śniegu, którym pokryty był dziedziniec. Przeszedł obok koni wypuszczających nozdrzami obłoczki pary, poczuł zapachu nawozu. Był już niemal przy bramie, kiedy za plecami usłyszał pierwszy akord Es–dur swojej serenady na instrumenty dęte.

Obejrzał się i poprzez wirujące płatki śniegu z trudem wypatrzył sześciu muzyków z rogami, klarnetami i fagotami, zbitych w ciasną gromadkę pod osłoną portyku. Jakaś siła pociągnęła go w tamtym kierunku; zatrzymał się kilka stóp od nich i patrzył, a wokół niego padał nieustannie śnieg. Toż to sam Leutgeb! Mozart uśmiechnął się szeroko, prawdziwie rozradowany, słuchając, jak tych sześciu mężczyzn gra pierwszą część jego serenady. Kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki, podbiegł do nich, klaszcząc w dłonie.

– Brawo, brawo, maestro! – Uśmiechali się, odpowiadając mu oklaskami. – Odnieśliśmy niezgorszy sukces dzisiejszego wieczoru. Graliśmy w trzech rezydencjach.

Stanął z nimi, chroniąc się przed śniegiem.

– I ja mam nadzieję odnieść wielki sukces. Brawo, Janie! Doskonale, wy wszyscy! A ja może zyskam szansę na operę. Spróbuję znaleźć jakąś opowieść napisaną po niemiecku; cesarz by taką wolał. Będziecie jeszcze gdzieś grać?

– Och nie, jest już za późno.

Muzycy zapakowali instrumenty i razem z młodym kompozytorem szli jakiś czas pośród padającego śniegu, ich głosy unosiły się pomiędzy cichymi domami, a kiedy doszli do Petersplatz, życzyli mu dobrej nocy.

Wszedł do domu, otwierając drzwi dużym żelaznym kluczem, i wchodził po schodach najciszej, jak potrafił, kiedy z saloniku na pierwszym piętrze dobiegł go płacz kobiety. Zawrócił cichutko i uchylił skrzypiące drzwi. W pokoju panowała ciemność, jedynie w otwartym oknie wirowała biel.

– Kto tu? – wyszeptał, a na dźwięk jego głosu szloch ustał. Przeszedł ostrożnie obok klawesynu i zamknął okno.

Ktoś klęczał obok kanapy. Podeszedł bliżej i zobaczył opadające niemal na podłogę długie, gęste włosy. Józefa spojrzała na niego i odwróciła wzrok.

– Co się stało? – zawołał.

– Dziecko Alojzy zmarło u mamki na wsi.

Mozart podniósł głowę, zapatrzył się w tańczące za oknem płatki śniegu, po czym opadł na krzesło obok Józefy. Och, pomyślał, co ja mam teraz zrobić? Co mogę zrobić? Jakże obojętny i okrutny jest świat, w którym nie mamy odwagi okazywać sobie wzajemnie współczucia.

– Tak bardzo mi przykro – oświadczył w końcu.

– Naprawdę, Mozart? – Mówiła zduszonym, niewyraźnym głosem. – A może nadal odczuwasz złość?

– Przecież dziecko nie żyje. Jak mogłoby nie być mi przykro? Jej dziecko. Nie było moje. Nawet jeszcze nie bardzo wiem, co odczuwam.

– Dowiedziałam się po południu. Kiedy zmarł mój ojciec, śpiewałam, ale teraz nie mogę. Potrafię tylko płakać; nie mogę przestać i nienawidzę się za to. Od małości powtarzam sobie, że nie chcę płakać.

Jej pociągła twarz była zalana łzami i Mozart wyjął chusteczkę, ale ona pokręciła głową.

– Dlaczego to musi tak boleć? – spytała i zaczęła znowu szlochać. – Przecież dzieci ciągle umierają z jakichś powodów. Papa i mama mieli dwoje po mnie, które umarły. I to nie jest żadną pociechą, że ludzie na całym świecie doświadczają tego samego cierpienia.

– Ja też nie chcę już nigdy więcej płakać – oświadczył kompozytor. – A przecież i tak wiem, że będę. Kiedy byłem chłopcem, mój przyjaciel ksiądz powiedział mi, że jeśli cechuje mnie wrażliwość w jednej dziedzinie życia, to nie ulegnie ona osłabieniu w innych.

Józefa ponownie się zgięła, głową niemalże dotykając podłogi.

– Dlaczego kochamy ludzi, których mieć nie możemy? – wyszeptała. – Kiedy Alojza była dzieckiem, była moja, tylko moja. Bywałam co prawda zazdrosna, ale przez pewien czas ona należała wyłącznie do mnie. Teraz jest niczyja. Nie pojęłaby mojego żalu. A jej dzieciątko, jej Maria, była dla mnie...niczym takim dla niej, ale wszystkim dla mnie... i tego już nie ma.

– Będziesz miała własne dzieci.

– Czyżby? Naprawdę tego nie wiesz? Mnie nikt nie będzie kochał w taki sposób, a nawet ty teraz jesteś taki zimny dla nas wszystkich.

– Muszę, żeby jakoś żyć dalej. Nie rozumiesz tego? Uniósł rękę, zawahał się, a potem położył ją delikatnie na jej

włosach. Józefa znieruchomiała. Po chwili usiadła wyprostowana, strząsnęła jego dłoń i utkwiała wzrok przed sobą.

– Nie dotykaj mnie. Nie chcę, żebyś mnie dotykał.

– Józefo, aż tak bardzo mnie nie lubisz?

– Nie, po prostu nie jestem w stanie tego znieść. A teraz odejdz, proszę, zostaw mnie samą. Och, moje maleństwo, moje ukochanie.

Powlókł się ciężko na górę, do swojego pokoju. Przez nieszczelne okno wiatr nawiał na parapet warstewkę śniegu. Na stole leżały nuty z jego sonatą na dwa fortepiany i z serenadą Es–dur z dwoma rogami. Stał jakiś czas nieruchomo w półmroku, potem ukrył twarz w delikatnych, drobnych dłoniach.

TTLR



## *ZOFIA WEBER, CZERWIEC 1842*

Rozmawialiśmy sobie z monsieur Novello przez całe popołudnie, aż nadszedł wieczór i zaczęło się zmierzchać. Słowa płynęły same, bez ładu i składu, wspomnienie śmierci mojej maleńkiej siostrzenicy przypomniało mi bowiem wiele szczegółów z tamtych kilku tygodni. Siedzieliśmy obok siebie, a on wziął mnie za rękę i wspólnie opłakiwaliśmy zmarłych.

– Czy ta żalność zbliżyła waszą rodzinę? – spytał. Tego dnia nie wyjął przyborów do pisania, jedynie słuchał.

– Tak, Alojza i matka pojednały się, zalewając strumieniami łez. Nie trwało to jednak zbyt długo, po dwóch tygodniach wyrzaskiwały na siebie jak dawniej. Moje serce ścisnęło się bólem, ale przecież to było do przewidzenia. Wcześniej Józefa kilkakrotnie jeździła sama odwiedzać małą. Zachowywała się, jakby była jej matką. Nie spodziewaliśmy się, że po śmierci dziecka będzie tak rozpaczać. Ale Józefa zawsze była nieprzewidywalna w swoich reakcjach.

– Dokąd pobiegła tamtego wieczoru, kiedy Mozart zostawił ją w pokoju? Czy dobrze zrozumiałem, że opuściła dom, nie bacząc na śnieżycę.

– Nie dowiedzieliśmy się nigdy, dokąd poszła. Może do tych swoich dziwnych przyjaciółek, tych zmeżczyźniałych kobiet. W owym czasie nie miała szansy na zrobienie kariery śpiewaczki w Wiedniu – ta ładna Angielka ją uprzedziła. Cóż to jednak znaczyło wobec dziecięcia, które umarło? A potem, kilka dni po tym, jak usłyszałyśmy o śmierci dziewczynki, odeszła na dobre. I wtedy czułam, jakby mi serce pękło z bólu.

– Kto odszedł?

– Józefa.

# CZEŚĆ PIĄTA

## WIEDŃ I KONSTANCJA

To mój dziesiąty dzień w Pradze, a już dwukrotnie śpiewałam w operze. Alfons oraz jego małżonka, którzy tu ze mną przyjechali (wiecie, że go tu zaangażowano), znaleźli mi przyzwoite lokum. Czuję się nieszczęśliwa, że jestem od Was obu tak daleko, ale przecież musiałam wyjechać. Och, siostrzyczki, odwiedźcie grób naszej siostrzenicy i zanieście jej kwiaty, kiedy tylko zakwitną. Tymczasem mogą to być gałązki jakiegoś wiecznie zielonego krzewu pokryte kolorowymi owocami.

Staniu, musisz mi obiecać, że zachowasz się rozsądnie i nie będziesz postępować pochopnie. Twój nowy adorator, Henri, wydaje się istnym błogosławieństwem i nie zdziwiłoby mnie, gdybyś uciekła z nim do Paryża i zostawiła mamę z jej misternymi intrygami. Ale czy aby na pewno dobrze go znasz? Czy zakochałaś się w nim – jak mężczyźni często zakochują się w kobietach – tylko dlatego, że jest przystojny? Właśnie dlatego nasz papa poślubił mamę. Był chory z miłości do niej, bo ona była taką pięknnością. Bądź ostrożna; w życiu potrzeba jeszcze czegoś więcej. I nie myśl, że brak ci urody. Ty tylko wzbranasz się przed dostrzeżeniem tej urody, bo nie jest taka, jaką sobie wymarzyłaś.

Aż boję się pytać, jak się miewa nasza mama. Zona Alfonsa podejrzewa, że pomieszało jej się w głowie i że za dużo pije. Zbytńio polega na starym przyjacielu ojca, Janie Franciszku Thorwarcie, co może doprowadzić do tego, że będzie żyła jeszcze większymi złudzeniami i wplącze Was, wbrew Waszej woli, w swoje szaleńcze plany. Wiecie, że „wujek” Thorwart namówił ją, żeby zainwestowała swoje niewielkie

oszczędności w jedno z jego przedsięwzięć, i że straciła wszystko. I właśnie dlatego Alfons przestał się z nim przyjaźnić. Teraz obawiamy się, że ten pozbawiony skrupułów T będzie robił wrażenie, że chce jej to wynagrodzić, i zacznie kusić jeszcze bardziej zwariowanymi pomysłami. Fuj! Nie znoszę dziada.

To niegodziwe z mojej strony tak wyjechać i zostawić Was z całą tą pracą, ale cóż mogłam zrobić? Dusłam się w tym domu, byłam w bezgranicznej rozpacz, a przecież jestem najszczęśliwsza, kiedy mam możliwość śpiewać dobre partie. Jest we mnie tyle uczucia, które mogę wyrazić w muzyce. Jeśli nie uda mi się Was namówić, byście obie tu przyjechały, to ostatecznie wrócę kiedyś i znów zamieszkamy razem.

Sercem jestem z Wami i nie zapomnę o Was.

Kochająca jak zawsze, J. Weber

W niedzielę wielkanocną Konstancja usiadła przy stole w saloniku. Przesunęła na bok stos nut i podparłszy ręką głowę, pisała list do siostry.

Józefo,

Bardzo mi Ciebie brakuje. Zosia i ja po prostu tłuczemy się po tym domu. Alojza nas unika, a kiedy nie występuje w operze, to śpiewa nieustannie na prywatnych koncertach i zarabia mnóstwo pieniędzy. Jeśli chodzi o matkę, to ma takie humory, że wczoraj lokator, który wynajmował nasz najlepszy pokój, pozbierał swoje rzeczy i poszedł sobie. Pewnego dnia weszłam do salonu i zobaczyłam przy klawesynie ducha naszego ojca. Podniósł wzrok i popatrzył na mnie. Gdzie są moje córki, gdzie moje córeczki? – zdawał się pytać. Po czym zniknął.

Razem z tym listem wysyłam dwa inne, które przyszły do Ciebie z Monachium i które starannie ukrywałam, żeby ich nikt nie otworzył. Czy są od tego, którego kochałaś? Niestety, czymże jest miłość siostrzana w

porównaniu z atrakcjami, jakimi kusi świat? Ja tej pokusy nie odczuwam, więc i zrozumieć mi trudno. Nie jestem szczególnie utalentowana. Chciałabym być szczęśliwa i móc uszczęśliwić tych kilka drogich mi osób. Zawsze chciałam, żebyśmy trzymały się wszystkie razem. Przynależałam sobie solennie, że jeszcze kiedyś do tego doprowadzę.

Tak, Henri twierdzi, że mnie kocha. Nie myślałam, że ktoś mógłby mnie pokochać; zawsze miałam poczucie, że mnie kochać się nie da. A potem, nagle, niewiele brakowało, bym pokochała bardzo nieodpowiedniego mężczyznę, i od tamtej pory omijam ulicę, przy której mieszka. Henri kupił mi mały pierścionek, choć o terminie zaręczyn nie było jeszcze mowy. Moim jedynym kłopotem jest to, że go nie Kocham. Lubię go, ale swoją miłością głupio obdarzyłam już kogoś innego i nic mi nie zostało. Czy sądzisz, że ona kiedyś powróci? Zatem on mnie kocha, a ja udaję, że Kocham jego. (Gdyby tylko nie był taki próżny.)

Poza tym oraz złym nastrojem nic mi nie dolega. Nie mam pojęcia, dlaczego teraz zrobiłam się taka gwałtowna; kiedyś tak się nie zachowywałam, a teraz nie potrafię się opanować. Onegdaj nakrzyczałam na Henriego, kiedy wpadł, żeby zaprosić mnie na kawę. Odszedł bez słowa i musiałam pobiec za nim.

Zosia prosi, żeby Ci powiedzieć, że wzięła kolejnego kota, którego przemarzniętego na kość znalazła w śniegu. W Wielki Piątek widziała też świętych i cherubinów w kościele, kiedy spacerowała sobie kościelną nawą. Wspomniała o tym od niechcienia, pytając, czy też ich widziałam. Skoro jednak ja widziałam naszego ojca, to ona pewnie może zobaczyć świętą Annę i świętą Brygidę. Co jeszcze nowego? Lokatorzy pojawiają się i znikają, jednak Mozarta nie widzimy prawie w ogóle; jest taki zamknięty w sobie, i taki nieobecny duchem, że niemal nas nie zauważa. Listy od jego

ojca przychodzą co tydzień albo i częściej, a on czyta je bardzo uważnie. Słyszę, jak przechadza się w tę i z powrotem po swoim pokoju. Właściwie już nigdy się nie śmieje. Myślę, że zamierza gdzieś wyjechać. Och, gdyby nie Zofia, uciekłabym z Henrim, ale przecież ktoś musi zostać z mamą. Może kiedy Ty wrócisz, zamieszkamy tu wszystkie i ona nie będzie się musiała ciągle martwić o pieniądze, i wtedy złagodnieje.

Dzwony zwiastują Wielkanoc, ale nadal jest zimno. Tęsknię za Tobą. Zofia mocno cię ściska. Nie narażaj gardła na chłód po śpiewaniu; osłaniaj szyję i usta tym ciepłym szalikiem, który mama zrobiła na drutach w zeszłym roku. Wychłodzenie gardła po śpiewie jest bardzo niebezpieczne. Papa zawsze Cię przed tym ostrzegał.

Z tysiącem całusów, Twoja siostra na śmierć i życie,

Konstancja

„Konstancjo, twoje imię oznacza stałość”, powiedział kiedyś jej ojciec. „W najgorszych chwilach to właśnie ty trzymasz nas razem”. Czy rzeczywiście? Czy miała szansę tego dokonać? Dwie siostry odeszły, a w domu zapanował gniew i chaos, matka płakała w kuchni nad panierowanym mięsem, oświadczając, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej i że nie ma w tym żadnej jej winy. Czasami, kiedy znalazły się naprzeciwko siebie, starsza pani spoglądała na nią posepnie, jakby chciała rzec: Widzisz, jaka jestem nieszczęśliwa? Widzisz, że ani trochę nie udało ci się mnie zadowolić?

Konstancja zapieczętowała list i wyszła na dwór. Padał śnieg i ani jej uszyta z grubej flaneli spódnica spodnia, ani wierzchnie okrycie nie chroniły przed przenikliwym zimnem. Wysłała list, a potem wślizgnęła się do kościoła, gdzie długo siedziała z nisko pochyloną głową.

Cukiernia przy ulicy Graben była najpiękniejszym lokalem Wiednia: na niezliczonych wielopoziomowych półeczkach z marmuru spoczywały srebrne tace pełne ciasteczek; lustra w złożonych ramach odbijały zwielokrotniony obraz żyrandola; w jednym z narożników sali trio złożone z klawesynisty, skrzypka i wiolonczelisty grało popularne melodie. W chwili otwarcia drzwi buchała stamtąd mocna woń kawy i cynamonu. Thorwart wykazywał się gestem i hojnością; toporną dłonią, w której palce głęboko wrzynały się pierścienie, równomiernym łukiem nalewał parującą kawę. Zamówił trypoziomową paterę ciasteczek oblanych czekoladą, posypanych orzeszkami oraz różowo lukrowanych i ozdobionych cukrowymi różyczkami.

Maria Cecylia Weber podniosła chusteczkę do lekko tylko pociągniętych szminką ust.

Pomimo błędu, jakiego się dopuścił w sprawie jej niewielkiej inwestycji, Maria Cecylia nadal przekonywała rodzinę i przyjaciół, że Jan Thorwart jest jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich zna. Obecnie osiągnął on pozycję człowieka do specjalnych poruczeń w wiedeńskiej operze pod dyktando hrabiego Orsiniego–Rosenberga, a ponieważ Orsini–Rosenberg znał dobrze cesarza, także Thorwart uważał się za osobę bliską cesarskiemu dworowi. To wszystko powodowało, że Maria Cecylia darzyła go obecnie jeszcze większym szacunkiem.

– Musisz oderwać się od swoich trosk – oświadczył mężczyzna, kiedy zaszedł do niej niespodziewanie i zastał krzątającą się nerwowo po domu. Kazał jej nałożyć kapelusz i przyprowadził właśnie tutaj.

Teraz rozparł się wygodnie, rozchylił surdut, żeby odsłonić kamizelkę i srebrną dewizkę.



–I jak się miewają twoje córki? Jakież one wszystkie były śliczne, kiedy przychodziłem w te czwartkowe wieczory w Mannheim, podczas których nieustannie rozbrzmiewała muzyka. Byłem o nie w pewnym sensie zazdrosny, bo moja córka odzywała się do mnie równie rzadko jak moja żona.

– Potraktowano cię niesprawiedliwie, Janie! – oświadczyła Maria Cecylia.

Grymas urazy nie zniknął z jego pełnych ust jeszcze przez dłuższą chwilę. Oparł łokieć o stół i powiódł wzrokiem po sali, jakby chciał rzec: Czy jest tu ktoś, kogo aż tak skrzywdzono?

– Po tym wszystkim, co im ofiarowałeś! – ciągnęła. – Jesteś przecież takim zacnym człowiekiem! Przykro mi, że ogarnął cię smutek.

Odwrócił się ku niej, wypinając do przodu szeroką pierś.

– Bynajmniej! – wykrzyknął. – Chwila zadumy, to wszystko. Nie zaprosiłem cię tutaj dzisiaj, żeby mówić o swoich drobnych niepowodzeniach, ale żeby porozmawiać o tobie. – Obrócił patere, podsuwając jej różowe ciasteczka z cukrowymi różyczkami. – Wiesz, obiecałem Frydolinowi, że się tobą zaopiekuję, a to oznacza coś więcej niż tylko zapewnienie ci tej marnej renty.

– Owszem, jest marna – zgodziła się. – Ledwie wystarcza na opał. Czy rzeczywiście tylko tyle mi się należy za te wszystkie lata, kiedy mój mąż służył elektorowi? Przy tym, ile moi lokatorzy zjadają... cielęciny, chleba, ich komorne z trudem pokrywa czynsz za dom! Pomoc ze strony Alojzy jest często spóźniona i mniejsza od obiecywanej, a od Józefy rzadko kiedy przychodzą listy, a co dopiero mówić o pieniądzach. Rozpacz mnie ogarnia, że jestem zależna od tych dwóch pozbawionych sumienia dziewczuszek, ja, która zawsze chciałam dla nich wszystkiego, co najlepsze.

– Oboje się staraliśmy – oświadczył Thorwart, kiwając z powagą głową. – Ja mam tylko jedną córkę. Ale przecież Bóg cię obdarzył jeszcze dwiema.

– Tak i muszę je wydać za mąż i wyposażyć. Nie chciałabym, by były zmuszone zarabiać na chleb. Zupełnie jednak nie mam pomysłu, co zrobić z Zofią.

Thorwart dolał do filiżanek gorącej kawy, śmietanki, dosypał aromatycznego cynamonu. Nachylili ku sobie głowy, żeby lepiej się słyszeć pośród zgiełku rozmów dochodzących od innych stolików i głośniejszych fragmentów granych przez trio utworów.

– Nasza mała Zosia – zamyślił się z grubym paluchem przy wargach. – Tak, co można by z nią zrobić? Nie ma żadnego majątku, żadnego posagu, a co najgorsze, żadnej godnej uwagi figury... Nie bardzo pojmuję, Cecyljo, jak ona, będąc twoją córką, może być tak bezkształtna!... Nie mogłabyś jej zachęcić, żeby nosiła specjalne poduszeczki na biodrach i biuście, jak czyni wiele kobiet w dzisiejszych czasach? Cóż zatem można zdziałać?

Zrobił sobie nieco wolnego miejsca na stoliku, a na jego nalanej twarzy pojawił się taki wyraz, jaki widywała, składając mu wizytę w biurze opery.

– Należy też rozwiązać problem Konstancji. Być może nie zechce poślubić tego francuskiego wiolonczelisty, czy raczej on nie zechce poślubić jej. Wiem od bankiera, do którego przychodzą z Paryża jego listy kredytowe, że rodzina tego młodzieńca życzy sobie, aby ożenił się z pewną Francuzką.

– Zatem jest to jedynie romans dla rozrywki, mimo że ona nosi jego pierścione! Cóż za okrutny świat, mój przyjacielu! Czy nie ma już żadnej sprawiedliwości?! – wykrzyknęła Maria Cecylia. Pomyślała o notesie w

skórzanej okładce z wytłoczonymi kwiatkami, który teraz trzymała w szufladzie we własnej sypialni i do którego nadal wpisywała nazwiska potencjalnych kandydatów na mężów dla młodszych córek. Z listy Konstancji zdążyła już wykreślić wszystkie oprócz nazwiska Francuza.

– Jak rozumiem, on na razie nigdzie się nie wybiera, co daje nam trochę czasu na rozważenie tego problemu. – Thorwart położył rękę na jej dłoni. – Znajdziemy dla naszej uroczej Konstancji kogoś naprawdę znakomitego, natomiast Zofię musimy się zająć bez zwłoki, bo obawiam się, że zagraża jej niebezpieczeństwo.

– Zofii grozi niebezpieczeństwo? – wyszeptała trwożliwie Maria Cecylia. – Czy to możliwe?

– Bardzo się tego obawiam. Pomyśl, czy ona nie przypomina ci twojej przyjaciółki sprzed lat, z Zell, która też była niezbyt urodziwa i płaska jak deska? A przecież nie uchroniło jej to przed utratą cnoty. Pamiętam, jakie to było nieszczęście, bo wystarczyło, że matka odwróciła głowę, a dziewczucha już leżała na plecach z zadartą kiecką! I to zawodzenie przy studni, z której nosiło się wodę. Ta myśl nie daje mi spokoju: w przypadku twojej najmłodszej może to być chłopak od rzeźnika albo jeden z lokatorów, czy nawet jakiś ksiądz; owszem, są do tego zdolni. Mógłby to nawet być, niech Bóg broni, przyjaciel rodziny.

Odsunął jeszcze dalej pusty talerzyk i z poważną miną pochylił się do przodu. Wpatrywał się w blat, jakby studiował jakieś leżące tam ważne dokumenty. Potem podniósł wzrok na Marię Cecylię.

– Prosiłaś mnie o radę – zaczął – więc ci jej udzielę. Możemy znaleźć dobrego kandydata na męża dla Konstancji, jeśli tylko dasz mi trochę czasu. Teraz, kiedy mam tę nową posadę w operze, poznałem wielu ludzi, Zofię

jednak powinnaś niezwłocznie wydać za kogoś szlachetnego, kogoś, kto zapewni ci utrzymanie na starość. Znam takiego człowieka.

– Kogo masz na myśli, mój przyjacielu?

– Odpowiedź masz pod własnym nosem. – Odchylił się do tyłu, włożył kciuki w kieszonki kamizelki. – Twojego lokatora, młodego Mozarta.

Maria Cecylia zaniemówiła.

– Przecież on nie ma pieniędzy – wykrztusiła po chwili.

– To prawda, ale wiem z wiarygodnego źródła, że jego los wkrótce może się odmienić. Pozwól – dolał kawy do filiżanek, dosypał cynamonu z małego srebrnego pojemniczka, wrzucił grube kryształki cukru i mieszał energicznie srebrną łyżeczką w swojej filiżance. Wreszcie ruch jego ręki zaczął zamierać, a on gwałtownie zaczerpnął powietrza i ze zmarszczonymi brwiami zapatrzył się w jedno z lusterek w złożonych ramach.

Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła odbicie ich obojga. Wstrzymała oddech, a dłoń jej powędrowała do gardła. Nie ujrzała tam bowiem dzisiejszego Jana Franciszka Thorwarta, mężczyzny pod pięćdziesiątkę, ale tamtego, którym był niegdyś; pyzatego studenta uniwersytetu, tego, którego nie tyle widziała, ile czuła na tamtym ciemnym podwórzu. Miała wówczas siedemnaście lat. Jeszcze dziś słyszała szelest swoich spódnic, kiedy w mroku biegła mu na spotkanie. Przypomniała sobie dreszcz, jaki przebiegł jej po plecach, gdy wzięła go za rękę, a on pociągnął ją pod osłonę ciemnej bramy.

Kiedy tak ponad głowami innych gości spoglądali w lustro, Thorwart przesunął rękę po blacie i ujął jej dłoń. Pocierał delikatnie opuszki jej palców, jakby próbował coś z nich wyczytać.

– Tamtego miesiąca w Zell, kiedy miałaś siedemnaście lat – wyszeptał ochryple, nachylając się blisko.

Popatrzyła na ich splecione dłonie i nie cofnęła swojej.

– Nie, proszę cię, Janie – powiedziała.

– Spytałaś mnie dzisiaj, czy jestem w markotnym nastroju; owszem, jestem. Dlatego właśnie zawsze pracuję tak ciężko, żeby o tym nie myśleć, a potem idę do domu, gdzie natykam się na mur milczenia. Jedyne twoje szczęśliwe domostwo pozwalało mi to wytrzymać... ono i praca. Cecylio, moja najdroższa. Miałaś siedemnaście lat, kiedy wróciłem z uniwersytetu, bo mój ojciec zachorował. Za dwa miesiące miałaś wyjść za mąż. Tamtego wieczoru szłaś przez podwórze, podśpiewując, a ja wyszedłem do ciebie. Pamiętasz? Słyszałem szelest twoich spódnic i twoje lekkie kroki; byłaś bardziej zwiewna niż zefir. Błagałem cię wtedy, byś nie wychodziła za mojego przyjaciela Frydolina. Powiedziałem, że będziecie klepać biedę. Ostrzegałem cię, Cecylio! I tamten najpiękniejszy z wieczorów, kiedy przemknęłaś ku mnie przez podwórze, pod wiszącym na sznurach praniem! Czy Frydolin kiedykolwiek podejrzewał, czy pytał kiedykolwiek... czy miał jakieś wątpliwości, jeśli chodzi o...

– Dość już, dość – wyszeptała. – Zgodziłeś się, Janie, nie wspominać nigdy tamtej nocy. Jestem szacowną wdową; byłam szacowną mężatką. Wtedy nie wplątałam się w żaden skandal. Kiedyś targana przez żal, powiedziałam coś niemądrego do Józefy i do dziś nie mogę sobie tego darować. Więcej nic na ten temat nie powiem. Nie wybaczyłaby mi, gdyby знаła prawdę. Dochowaj umowy, jesteś wszak dżentelmenem. Za to przede wszystkim tak cię zawsze ceniłam. Bo jesteś dżentelmenem.

Thorwart spoglądał na nią spod ciężkich brwi, potem odwrócił wzrok, starając się powrócić do swojej roli człowieka interesu. Maria wyjęła z ozdobnej torebki małe lusteczko i przypudrowała twarz. Jej towarzysz podsunął ku niej paterę z ciastkami.

– Zjedz jeszcze jedno.

– Nie, nie, już dosyć. – Łzy gniewu napłynęły do jej oczu. – Co to życie ze mną zrobiło? Staram się przecież, jak mogę, zważywszy na okoliczności.

– Któregoś dnia będzie musiała się dowiedzieć, Cecylio.

– Kiedy uznam, że to odpowiednia chwila, powiem jej. A teraz, proszę, zachowujmy się tak, jakbyśmy w ogóle nie wracali do tamtych dawnych czasów. Opowiedz mi o perspektywach Mozarta. Przynajmniej tyle możesz zrobić.

Pochylił głowę i odchrząknął.

– Wiem z wiarygodnego źródła, że za kilka miesięcy, być może nawet wcześniej, cesarz Franciszek Józef przyzna mu prawdopodobnie intratną posadę, jakieś kapelmistrzostwo, a wtedy każdy będzie się domagał jego muzyki. Nadto wciąż istnieje szansa, że otrzyma zamówienie na operę, którą wystawią jesienią, żeby uświetnić wizytę rosyjskiego księcia. Jest wielce prawdopodobne, że to wszystko się wydarzy, i wtedy on natychmiast zacznie być osobą rozchwytywaną. Wszystkie matki w Wiedniu będą próbowały sadzać swoje niezamężne piękne córki w pierwszym rzędzie na jego koncertach, żeby podczas przerw słały mu uśmiechy, a on ulegnie urokom pierwszej z brzegu. Tymczasem ty, droga przyjaciółko, stracisz już wszelką okazję.

Maria Cecylia siedziała godnie wyprostowana; jej plecy nie dotykały oparcia krzesła.

– Zatem mój plan jest następujący – oznajmiła. – Zgadzam się na takie rozwiązanie, by uchronić przed kłopotami moje biedne maleństwo w jej niewinności, a z Konstancją zaczekać na kogoś godniejszego do czasu, aż znudzi się tym swoim wiolonczelistą. Muszę, powinnam, rozdzielić jakoś te



dziewczęta. Zbyt dużo pomiędzy nimi zażyłości. Karmią się wzajemnie różnymi głupstwami i tak długo je wałkują, aż w końcu święcie wierzą w ich prawdziwość. Tak, postanowiłam. Zofia poślubi Mozarta. Ale jak ją przekonać? – Nachyliła się ku Thorwartowi. – Powiedz mi!

Mężczyzna przyciskał serwetką rozsypane na obrusie okruszki z taką samą starannością, z jaką mógłby osuszać bibułą atrament na kontrakcie.

– Zbliź ich do siebie, zaaranżuj to. Młodzi ludzie nie mają dość rozsądku, by wiedzieć, co jest dla nich dobre. Spowoduj, żeby on poczuł się tak, jak czuje się młodzieniec, kiedy niewinna dziewczyna spieszy przez ciemne podwórko na spotkanie z nim. (Czynię tu aluzję jedynie do tego rodzaju uczucia.) Rzuć ich sobie w ramiona. – Jego usta przybrały gniewny wyraz. Zacisnął je mocno. Zaczął składać starannie serwetkę, ale w końcu rzucił ją lekceważąco na stolik. Wstał raptownie. – Do widzenia, droga Mario Cecylia. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby Mozart dostał to zamówienie na operę i żeby mógł się ożenić z Zofią.

Maria Cecylia wracała do domu niepewnym krokiem, przystając w bramach domów i opierając się o stoiska z lemoniadą. Zobaczyła swoje odbicie w szybie witryny księgarni i podniosła palce do ciągle jeszcze delikatnych policzków. Czuła się przytłoczona cielesnością, ledwo trzymała się na nogach, utknęła bowiem pomiędzy wspomnieniem tamtego ciała, kiedy taka gibka i młoda biegła przez ciemne podwórko, a rzeczywistością, jaką było jej obecne ociężałe ciało. Jakże życie nas zmienia. I dlaczego? To niesprawiedliwe. Mogła pójść do parku, usiąść tam i rozszlochać się, ale co by jej to dało. Musiała przecież zrealizować swoje plany. Thorwart miał rację, bez planów życie byłoby samym przemijaniem. Trzeba było jeszcze coś zrobić z Konstancją i Zofią.

Zofię zastała w kuchni przy lekturze jakiejś książki. Rzeczywiście, pomyślała ze smutkiem, dziewczę jest zwyczajne jak chleb powszedni. Jak, na Boga, mam coś z niej zrobić? Bo sama nic ze sobą nie robi; nie zauważa nawet, kiedy ma poplamioną suknię czy rozczochrane włosy. Teraz ani chybi czyta książkę napisaną przez jakiegoś świętego albo jakiegoś osobliwego francuskiego filozofa. W jaki sposób mam przeprowadzić swój plan?

Zofia podniosła nieobecny wzrok; na bladych policzkach nie miała ani odrobiny róży.

– Podejdź do mnie, moje złotko – powiedziała Maria Cecylia, rozkładając szeroko ramiona. Usiadła w jedynym fotelu, obok kuchni, a kiedy Zofia stanęła przy niej z okularami w dłoni, pociągnęła ją raptownie na swoje kolana. – Powiedz mi, mój skarbie, czy pragniesz mojego szczęścia?

– Ściskasz mnie. Przecież czytałam książkę. Dlaczego mnie tak ściskasz? Niby dlaczego miałabym nie pragnąć twojego szczęścia, mammo?

– Tak, tobie bardziej na tym zależy niż siostrze.

– Mammo, puść mnie. Zawsze staram się, żebyś była zadowolona. Wiesz o tym. – Dziewczyna spoglądała tęsknie na książkę; paznokciem zaznaczyła w niej miejsce, do którego zdążyła doczytać.

– Kochanie, piłam dzisiaj kawę z twoim zacnym wujkiem Thorwartem i dzięki jego cennym radom oraz łaskawości niebios zrozumiałam, jaką to ścieżkę nam Bóg wytyczył.

Zofii udało się wreszcie wydostać z objęć matki i patrzyła teraz na nią zaskoczona.

– Ależ to oczywiste, że Bóg wytycza ścieżki, mammo. Co masz na myśli? Chciałabym niedługo wyjść. Ojciec Paweł wygłasza w kościele prelekcję o nauce i o oświeceniu i bardzo mi zależy, żeby go posłuchać.

– Och, co ja mam z tobą zrobić? – wykrzyknęła matka, uderzając dłońmi o kolana. – Zawsze tylko księza i filozofia, jeśli akurat nie planujesz wstąpienia do klasztoru. A nie chciałabyś wyjść za mąż i mieć dzieci? Przecież kochałaś to maleństwo swojej siostry bardziej niż ona sama. Odpowiedź jest jasna. Najszczęśliwsza będziesz, kiedy wyjdiesz za mąż. A ja mam odpowiedniego kandydata. Musisz poślubić Mozarta.

– Co, co takiego? – zawołała dziewczynka. – Przecież my się przyjaźnimy, a przynajmniej tak było przed tą historią z Alojzą. Teraz się do mnie nie odzywa i nie opowiada już zabawnych historyjek. Nigdy nie myślałam o małżeństwie, dobrze o tym wiesz. Chcę być zakonnica. Nie zniszczysz mojego szczęścia tak jak...

– Co ty mi tutaj pleciesz? Jak możesz w taki sposób do mnie mówić? Nie udawaj tu niewiniątka! Słyszałam, jak zaśmiewałaś się z naszymi lokatorami.

– To tylko śmiech; czemu doszukujesz się w tym nie wiadomo czego?! – krzyknęła Zofia, wbijając w matkę wzrok. – Zepsułaś mi takie miłe popołudnie. I jak w ogóle możesz oczekiwać, że zmuszę go do zrobienia czegoś, czego w rzeczywistości żadne z nas dwojga nie chce?

– Skąd wiesz, że nie chce? Skoro on sam nie ma pojęcia, czego chce. A moje szczęście się nie liczy? Moja przyszłość? Kiedy moja matka kazała mi iść za mąż, to czy się jej opierałam? Nie, ja ją po prostu szanowałam i stosowałam się do jej życzeń.

– Jest tyle wersji tego, jak zeszliście się z ojcem, że zupełnie nie wiem, która z nich jest prawdziwa! – wykrzyknęła Zofia zacinającym się głosem, z wypiekami na policzkach. – Ty mi opowiedziałaś z pół tuzina, ojciec podobnie, a teraz nie mogę iść na wykład, bo wszyscy by zobaczyli, że płakałam, i ojciec Paweł dopytywałby się, co się stało. A już napisał w

moim imieniu do klasztoru. Wie, jaka jestem tu z tobą nieszczęśliwa, jakie jesteśmy wszystkie nieszczęśliwe z tym twoim nieustannym popychaniem i szarpaniem nas to w jedną, to w drugą stronę.

– Więc rzeczywiście chcesz uciec do klasztoru i mnie zostawić – zawołała Maria Cecylia, wstając. – I któregoś dnia przyjdą do ciebie i powiedzą, że twoją matkę znaleziono na ulicach Wiednia na śmierć zagłodzoną. Będiesz wówczas mogła z czystym sumieniem odmawiać modlitwy, przekonana, że czciłaś ojca swego i matkę swoją, jak nakazuje Pismo Święte.

Zofia szlochała już bez opamiętania, rozzłoszczona i oszołomiona, a jej głos był coraz bardziej dziecinny. Podbiegła do matki, ale ta ją odgoniła i sama zalewając się łzami, po omacku szukała wiszącego na ścianie fartucha.

– Sądysz, że ja nie wiem, co jest dla ciebie najlepsze? Przecież Bóg przemówił do mnie. Ten młody człowiek nie poznał jeszcze sam siebie; ty go tego nauczysz. Już widzę, jakim on może być dobrym zięciem. A teraz muszę ugotować obiad dla tych nieszczęsnych lokatorów, którzy tutaj mieszkają. Nie, nie ośmieliłabym się poprosić, żebyś oczyściła choćby jedną rzepę! Idź na ten swój wykład i spytaj swojego księdza, czy możesz dla Boga porzucić samolubnie matkę i czy Bóg będzie zadowolony, kiedy w rezultacie niedostatków i twojego uporu znajdą mnie martwą w jakimś przytułku.

Największą, a zarazem najbardziej kłopotliwą cnotą Zofii była jej uczciwość. Oczekiwała od wszystkich ścisłości, a członkowie jej rodziny na ogół nie bywali ani dokładni, ani precyzyjni i tę samą historię potrafili opowiadać na dziesięć różnych sposobów. Zofia znajdowała ucieczkę w kościele, gdzie wszystko było stałe i niezmienne. Grzech zmazywało się spowiedzią i odmawianiem godzinami różańca; prawdę mówiąc, tak dobrze

czuła się w ciszy i spokoju kościoła, że już dawno wzięła na siebie odprawianie pokuty za siostry. Rozumowała logicznie, choć w dość ograniczonym jeszcze zakresie, jako że była bardzo młoda i nie знаła prawie nikogo prócz najbliższej rodziny oraz garstki artystów z rodziną związanych.

A teraz matka oskarżyła ją o niewdzięczność, która wydawała się grzechem bardzo poważnym. Całe życie wierzyła w ideę poświęcenia, co sprawiało, że z chęcią użyczała swoich bamboszy, spódnic, książek. Nie zależało jej na tym, żeby znajdować się w centrum zainteresowania, ale chciała być kochana. Okazywała życzliwość Mozartowi, ten jednak traktował ją oschle, nad czym ubolewała, a jednocześnie trapiła się, że jest taki smutny; ot i wszystko.

Czy zmysłowy aspekt byłby taki okropny? Jej wyobraźnia tego nie ogarniała. To, co pojmowała, wydawało jej się tak niedorzeczne, że na pewno zaczęłyby się śmiać, gdyby do czegokolwiek miało dojść. Była zdumiona zainteresowaniem matki, jej żądaniami i planami. Dotąd jej nie dotyczyły. W domu pełnym dziewcząt, gdzie każda miała przypisane miejsce i rolę, Zofia była po prostu sobą... czasem irytująca, kiedy posiano ją po coś, a ona zawieruszyła się na godzinę, ale zawsze niezmiennie kochana. Nie miała ochoty pozwolić się targać we wszystkie strony wichurze szalejącej nad jej uporządkowanym życiem, które dzieliła między dom i kościół. Wichura przybrała na sile podczas kolejnych dwóch tygodni, kiedy nie przyszły żadne pieniądze od Alojzy i żaden list z Pragi od Józefy. Wstydziła się zwierzyć Konstancji, tak upojnie szczęśliwej ze swoim francuskim wiolonczelistą. Zofię przerażeniem napawała myśl, że któregoś dnia znajdzie na poduszce karteczkę ze słowami: „Uciekłam; karm ptaka. Całusy. K."

Nie, musi poradzić sobie z tym sama.

To prawda, że matka często wpadała na dziwne i dość niespodziewane pomysły, których nikt o zdrowych zmysłach nie próbowałby wprowadzać w życie, skąd jednak ten właśnie przyszedł jej do głowy, Zofia nie miała pojęcia. Przeczynała tylko, że jakąś rolę w tym odegrało jej ostatnie spotkanie z Thorwartem, człowiekiem, do którego z każdym dniem siostry odczuwały coraz większą niechęć.

– Uwiedz Mozarta – syczała jej do ucha Maria Cecylia, ilekroć dopadła swoją najmłodszą córkę w kuchni, albo mamrotała pod nosem, kiedy razem zanosili półmiski z obiadem stołownikom: – Kiedy już narazi na szwank twoje imię, będzie się musiał z tobą ożenić. Trzeba go poprowadzić za rączkę. Nic nie mów, słuchaj mnie. Znam się na tych sprawach. Mężczyźni nie wiedzą, czego chcą, dopóki im się tego jasno nie pokaże.

Po obiedzie Zofia weszła po schodach i stanęła pod drzwiami pokoju młodego kompozytora, po czym ostrożnie je uchyliła. Pasma słonecznego światła kładły się na zarzuconym nutami stole. Stała bez ruchu, oddychając płytko. Dla niej ten pokój miał w sobie coś świętego. Budziła się często w pokoju piętro wyżej i słuchała dochodzącego z korytarza stukotu jego obcasów, kiedy wracał do domu z koncertu. Nucił sobie cichutko do jej uszu docierały strzępy melodii. Czasami, kiedy mijała go na schodach, miał ten nieprzytomny, nieobecny wyraz twarzy, który oznaczał, że myślami jest daleko. Jego zwinne, drobne ciało było w nieustannym ruchu, jakby ciągle musiał gdzieś zdążyć na czas.

A matka? Co z matką, tkwiącą po obiedzie w kuchni pośród stosów zatłuszczonych naczyń, z twarzą ukrytą w fartuchu? Czy miłość nie oznacza oddania życia innym i czy matka nie chciała dla niej jak najlepiej? Milczenie



ciągnęło się cały dzień. Kiedy nadeszła noc, Zofia nie mogła zasnąć; leżała w białej pościeli, z różańcem przeplecionym między palcami, gdy tymczasem cienie w pokoju zdawały się jej powtarzać: Jesteś samolubną dziewczyną, Zofio. Zastanawiała się, czy jej życie należy do niej. Czy ktokolwiek jest właścicielem swojego życia? Poświęcić swoje życie potrzebom matki: tak, Bóg by to pochwalił.

Mogę z nim przynajmniej porozmawiać, pomyślała.

Tej nocy była sama; Konstancja nocowała u Alojzy.

Owinięta szlafrokiem, zeszła na dół, żeby na niego poczekać, ale zegar wybił północ, a on nie wracał. Nie chcąc przegapić jego powrotu, przysiadła na schodach; w końcu pomyślała, że wróci na górę i chwilę odpocznie, a potem znów zejdzie. Zasnęła i obudziła się dopiero o drugiej nad ranem. Zeszła na palcach piętro niżej i stanęła przed drzwiami Mozarta. Usłyszała jego spokojny oddech. Zatem już wrócił i zdążył zasnąć.

Pukała delikatnie i szeptała jego imię, ale bez rezultatu. Wreszcie otworzyła poskrzypujące drzwi. Najciszej jak mogła przeszła przez pokój, stanęła przy jego łóżku i przyjrzała się mu. Księżyc za oknem dawał nieco światła. Nachyliła się lekko i wtedy okulary zsunęły jej się z nosa i wylądowały na jego piersi. Obudził się i zamrugał zaskoczony. Wpatrzył się w nią, osłaniając dłonią oczy. Uniósł się i okulary ześlizgnęły się na podłogę.

– Co się stało? – spytał stłumionym, zaspanym głosem.

– Ja tylko zgubiłam okulary. – Uklękła i zaczęła macać podłogę obok łóżka. – Tak już jest z okularami, że kiedy je zgubię, to nie mogę ich znaleźć, bo nie mam ich na nosie.

– Pozwól, że ci pomogę. – Przewrócił się półprzytomnie na bok i opuścił rękę na podłogę. – Chyba mam. Proszę – oświadczył po chwili. – Na

pewno są za luźne. Tak nawet pomyślałem, kiedy cię zobaczyłem w zeszłym tygodniu. Kiedyś ci spadną i ktoś może na nie nadebrać. Która godzina? Co ty tutaj robisz? Jesteś lunaticzką? Czy coś się stało?

– Muszę... muszę z tobą porozmawiać.

– No dobrze, tylko mów cicho. Lepiej, żeby nikt się nie zorientował, że tu jesteś. Pomyśleliby Bóg wie co. Drżysz, weź mój drugi pled. Daj dłonie; ależ lodowate. Co ty, na miły Bóg, tutaj robisz?

O czym musisz koniecznie ze mną rozmawiać? Która godzina?

– Trochę po drugiej.

– Nie mogłaś z tym poczekać do rana? Pokręciła przecząco głową.

– Wobec tego słucham cię, moja droga Zofio – powiedział, a w jego głosie pobrzmiwała dawna sympatia.

Owinięta pledem usiadła w fotelu. Czowała, że się rumieni, ale on spoglądał na nią w półmroku życzliwie i łagodnie. Miał duże oczy. Czasami wyczierała z nich podejrzliwość, teraz jednak wypełniała je troska. Niech sobie Alojza mówi, że on ma za duży nos, by jakakolwiek kobieta mogła go potraktować poważnie. Zofia uważała, że jego twarz jest pełna dobroci i życzliwości, a on sam jest mężczyzną silnym mimo drobnej postury.

– Moja matka chce, żebym wyszła za ciebie – rzuciła prosto z mostu. – Chce mieć pewność, że nikt mnie nie uwiedzie i że ktoś zaopiekuje się nią w przyszłości. Przypuszczam, że nie zna nikogo innego, za kogo mogłaby mnie wydać. W Wiedniu wszystkie kobiety są takie piękne, a ja jestem taka nijaka, chociaż mnie samej to zupełnie nie przeszkadza. Zawsze cię lubiłam. Prawdę mówiąc, kocham cię całym sercem, ale nie w taki sposób. Bo ja chcę porzucić ten świat dla Boga. Jestem przekonana, że nie nadaję się do małżeństwa. Tymczasem ona powiada, że musimy się pobrać, mimo że ja nie mam na to szczególnej ochoty.

I chciałam się dowiedzieć, co ty o tym sądzisz. Moglibyśmy też pójść razem do ojca Pawła i jego zapytać.

Mozart milczał jakiś czas. Cień gniewu przemknął przez jego twarz, ona skuliła się przerażona, wiedziała bowiem od innych muzyków mieszkających u nich, że kompozytor bywa drażliwy i wybuchowy niczym proch. Potem zakrył dłonią usta, a jego ramiona zaczęły podskakiwać i Zofia zobaczyła ze zgrozą, że Mozart się śmieje.

– To wcale nie jest zabawne – oburzyła się i zerwała z fotela. – Nie jestem aż taka okropna, żeby to miało być śmieszne.

– Okropna? Bynajmniej, jesteś rozkoszna. O, słodki Jezu, czy ty naprawdę...

– Cicho, sza! Ktoś nadchodzi.

Rozpoznali ten śpiew, niepewny krok, mamrotanie i przekleństwa. To był Steiner, student teologii, który jak zwykle wracał do domu pijany. Mieszkał w pokoju naprzeciwko, ale jakoś zupełnie nie mógł do niego trafić. Wyglądało na to, że potknąwszy się na schodach, zasiadł na nich i odciął Zofii jedyną drogę ucieczki. Podśpiewywał teraz i mamrotał.

– Zachowuj się cichutko, maleńka – wyszeptał Mozart, przykładając palec do ust. – Ja sprawdzę, czy nie da się go wpakować do łóżka, i wtedy będziesz mogła przemknąć się na górę; jutro, za dnia, spotkamy się gdzieś i porozmawiamy o naszej sprawie. – Na samą myśl o tym zaczął się tak śmiać, że ledwie mógł zachować równowagę, po czym wziął głęboki wdech, uspokoił się i wyszedł na korytarz. Jego gęste, jasnokasztanowe włosy sterczały jak szczotka, dodając mu kilka cali wzrostu. Wyglądał, jakby miał pofrunąć. Zofia zasiadła znów w fotelu z rękoma splecionymi na kolanach.

– Steiner! – usłyszała surowy szept Mozarta. – Wstawaj, człowieku, no już, do łóżka.

–Nie mogę... zostaję... schodach...

– Rusz się, Steiner, dasz radę.

Zofia wstrzymała oddech. Wyglądało na to, że Mozart próbuje postawić pijanego studenta na nogi, co na pewno nie było łatwe, jako że Steiner był cięższy od kompozytora o sto funtów i wyższy o pół stopy.

– No, postaraj się, Steiner – usłyszała jego słowa.

– Zostaw mnie w spokoju, ty muzykusie, ty kataryniarzu... śpię tutaj.

– Wstawaj, Steiner.

Hałasy obudziły innego lokatora, podróżującego w interesach finansistę z Sewilli.

– Niech cię szlag, ty pijany gburze – wykrzyczał ze swoim hiszpańskim akcentem, stojąc w drzwiach pokoju. – Zbieraj się i marsz do wyrka.

Zofia zapadła się głębiej w fotelu. Znowu wstrzymała oddech. Hiszpan z głośnym tupotem zszedł piętro niżej i on również zabrał się do podnoszenia pijanego. We dwóch zataszczyli w końcu Steinera do jego pokoju. Po kilku chwilach Mozart wrócił do siebie. Zamknął drzwi, przekręcił klucz, a potem dostał ataku śmiechu. Rzucił poduszki na środek łóżka i ukrył w nich twarz. Tym razem Zofia też wybuchła śmiechem. On chwycił ją w objęcia i tak razem pokładali się ze śmiechu. Łzy płynęły strumieniem po twarzy kompozytora.

Wreszcie usadowili się w fotelach naprzeciwko siebie i nasłuchiwali dochodzącego z pokoju Steinera chrapania.

– A teraz – poprosił Mozart, wycierając oczy i z trudem chwytając powietrze – opowiedz mi to wszystko raz jeszcze. Musimy się pobrać. Czy to nie może poczekać do rana? Nie udzielają ślubów o tej porze, bo przecież wszyscy świadkowie śpią. Tak, moje drogie, słodkie dziecko, twoja rodzina

jest szalona, oczywiście poza tobą i Konstancją. Niestety, jest pewien problem. Nie kochamy się. Pozostańmy zatem oboje w wolnym stanie, a ty zwyczajnie wracaj do łóżka.

– Powinnam poczekać, aż ten Hiszpan piętro wyżej zaśnie. Zawsze na mnie łypie, kiedy jestem obok. Nie cierpię go.

– Tak, to do niego podobnie. Kiedyś uratowałaś mi życie, jesteś najmilszym dziewczęciem na świecie. Wybacz, proszę, jeśli byłem dla ciebie oschły.

– Wybaczam. Ale... Mozarcie.

– Tak, Zofio?

– Czy wierzysz, że naszym przeznaczeniem w życiu jest dzielić szczęście z kimś innym? Bo Konstancja i ja nie jesteśmy o tym przekonane. Widzimy, że ludzie są albo bardzo samotni, albo nieszczęśliwi ze sobą. Czy nie uważasz, że łatwiej je, to szczęście, odnaleźć u Boga?

– Możliwe, ale mnie do tego nie ciągnie. Mam bardzo bliskiego przyjaciela, włoskiego zakonnika, który właśnie przyjechał tutaj z Bolonii. On powiada, że zadowolenie równie ciężko jest znaleźć w zakonie jak poza nim, że my, ludzie, gdziekolwiek pójdziemy, zabieramy naszą naturę z sobą. Jutro się z nim spotykam. Na pewno by cię polubił, tyle że on chciałby, żebyś została świętą siostrzyczką, a ja wolę, byś pozostała w tym świecie i ratowała mnie, kiedy będę w rozpacz.

– A teraz jesteś w rozpacz?

– Byłem, trochę, ale mnie rozśmieszyłaś. Wiesz, moglibyśmy być całkiem szczęśliwym stadłem za jakiś czas, kiedy będziesz starsza, ale zapewne lepsi z nas przyjaciele. Bo ja naprawdę wierzę, że trzeba się zakochać. Może przypomina to wiarę w anioły: człowiek ma nadzieję, że

kiedyś się pojawiają. Myślę, że możesz już bezpiecznie wracać do swojego pokoju. Siostra na pewno zauważyła twoją nieobecność.

– Nie ma jej w domu. Poszła odwiedzić Alojz...

– Nie przejmuj się; czas najwyższy, żebym reagował obojętnie na dźwięk tego imienia. Dobranoc, moja droga. I znowu podniosłaś mnie na duchu w zły dla mnie godzinie. Idź do łóżka, zanim utracisz swoją dobrą reputację. – Ucałował jej policzek i dłoń, uchylił drzwi, a ona wymknęła się i pobiegła schodami na górę.

Następnego ranka odkryto jej zniknięcie. Maria Cecylia oraz Konstancja, która zdążyła wrócić od Alojzy, biegały po pokojach, wykrzykując jej imię. Raz za razem z niedowierzaniem odczytywały jej liścik. Tak naprawdę nigdy wcześniej nie wierzyły, że Zofia mogłaby wrócić do Mannheim i wstąpić tam do, jak sama mówiła, umiłowanego zgromadzenia sióstr. Później dopiero dowiedziały się, jak doszło do jej zniknięcia. Ojciec Paweł wybierał się do Mannheim i kiedy tamtego ranka Zofia przed świtem pobiegła do niego i zwierzyła ze wszystkiego, zgodził się zabrać ją z sobą.

Franciszkanin czekał na Mozarta w gabinecie księdza na plebanii Stephansdom. Na ścianie wisiała tu stara niemiecka rzeźba przedstawiająca udręczonego i ukrzyżowanego Chrystusa; splekane drewno krzyża było świeżo wypolerowane. Na półkach stały stare księgi, niektóre pisane ręcznie, oprawione w wytarty, gruby papier welinowy. Sześć dni po Wielkanocy spadł śnieg, gruba jego warstwa pokrywała wychłodzone parapety i dziedziniec katedry.

Mozart stanął przy oknie i obserwował psa, który najpierw zaszczekał, a potem zaskamlał, kiedy stara, przygarbiona służąca, powłócząc nogami, podeszła do niego z miską pełną resztek jedzenia. Słyszeć było delikatne



szuranie jej bamboszy, kiedy wróciła i zamknęła za sobą ciężkie, skrzypiące drzwi.

– Czy rzeczywiście nie ma szansy na wystawienie tutaj twojej opery? – spytał padre Martini. – Aż trudno uwierzyć w to, co powiedział Haydn, nim wyjechał z miasta z księciem, że na pewno ktoś inny otrzyma to zamówienie. Dodał, że to prawdziwa strata dla muzyki. Myślał, że ten Thorwart przemówi za tobą, a teraz słyszę od niego, że Thorwart wstąpił do rezydencji księcia Esterhazyego i oznajmił, że nic dla ciebie zrobić nie może.

Mozart siedział teraz zanurzony w jednym z dużych, krytych skórą foteli.

– I cóż można na to poradzić? – wymamrotał z dłonią przy ustach. – Nie natrafiłem na odpowiednie libretto, a ostatnio, mimo że nie ustawałem w poszukiwaniach, moje szanse spadły niemal do zera. Ledwo wiązę koniec z końcem. Nie mogę już dłużej siedzieć w Wiedniu, pojedę do Londynu. Ta sopranistka, Nancy Storace, oraz jej brat obiecali, że zarekomendują mnie w tamtejszych kręgach muzycznych. Twierdzą też, że są tam ludzie, którzy pamiętają jeszcze moje nazwisko. Znam angielski wystarczająco dobrze, a i uczę się szybko. Handlowi dobrze się tam powiodło. Możliwe że rzeczywiście miałbym się lepiej, nosząc liberię jakiegoś księcia, jak ten wielki i zacny Józef Haydn, zamiast tak walczyć o swoją niezależność. – Podniósł wzrok, zagryzł wargę, palcami lewej dłoni wybijał na kolanie fragment jakiejś melodii. – Nie powtórzysz mu nigdy, ojcze, tego, co powiedziałem? Dzięki. Nie żałuję, że odszedłem od arcybiskupa, przykro mi tylko, że ojciec i siostra, których los uzależniony jest od mojego, cierpią z tego powodu. Ze względu na nich musi mi się lepiej powodzić. Odłożę na bok swoje nadzieje, wpierw muszę zadbać o nich.

– Kiedy wyjeżdżasz z Austrii?

– Zostanę jeszcze przez kilka tygodni, a potem w drogę.

– Amade, czy nie ma już sposobu na przekonanie Orsiniego—  
Rosenberga, żeby jednak dal ci to zamówienie na operę?

– Nie odpowiedział na mój list, a kiedy dziś rano tam poszedłem, powiedzieli, że go nie ma, chociaż słyszałem jego głos. Cóż więcej mam rzec? Miałem zbyt wielkie nadzieje w związku z nadarzającą się okazją, która, jak widać, nie dla mnie była przeznaczona. Wracasz wkrótce do Bolonii? Zatem, nawet gdybym tutaj został, pozbawiony będę twojego towarzystwa. Udziel mi swojego błogosławieństwa, ojcze.

Kiedy jakiś czas później wyszedł na dziedziniec wyniosłej katedry, zobaczył, że kilku mężczyzn wielkimi, twardymi miotłami uprzęta z niego śnieg. W popołudniowej bieli rozpląnął się i pies, i jego miska, pozostała jedynie żółta smużka moczu oraz odciski łap na śniegu.

Kiedy idąc do swojego pokoju, mijał po drodze kuchnię, dobiegł go stamtąd szmer rozmowy. Blisko pieca, trzymając na stołeczku opuchnięte nogi, siedziała Frau Weber z jakąś przyjaciółką.

Pochłaniała grube pajdy chleba z serem. Było już dawno po obiedzie, ale jeszcze daleko do kolacji.

– Wkrótce wyjeżdżam do Anglii, madame – oświadczył Mozart chłodno.

Pani Weber z ustami pełnymi chleba wlepiała w niego wzrok i oschle skinęła głową. Młody człowiek odwrócił się i ruszył dalej schodami w górę.

Trzy dni później, kiedy Mozart właśnie wychodził z pensjonatu na jedną ze swoich ostatnich lekcji, tuż obok stojącej na pokrzywionym, okrągłym stoliku doniczki z rozłożystą rośliną zauważył list. Otworzył go i wyszedł na Petersplatz. Słońce opromieniało blaskiem fasady domów; a on

przywołał w pamięci człowieka, którego podpis figurował na końcu tego listu. Gottlieb Stephanie był aktorem, pisywał też sztuki, a Mozart przegadał z nim kiedyś (nie pamiętał już o czym) cały wieczór w jakiejś winiarni. Stephanie pracował właśnie nad tekstem opowiadającym o pewnej Angielce porwanej przez korsarzy i odnalezionej w haremie tureckiego paszy i sądził, że temat nadawałby się na libretto operowe. Do listu dołączono kilka kartek tekstu.

Mozart, w ten szczególny, charakterystyczny dla niego sposób, poświęcił swoją uwagę pomysłowi Gottlieba, nie przestając jednocześnie myśleć o innych rzeczach. Zamiast wracać do domu, obiad zjadł w szynku, a potem poszedł spacerkiem do Burgtheater. Właśnie trwała próba. Już raz odesłano go spod drzwi z kwitkiem, teraz jednak, z listem Stephaniego w kieszeni, udał się schodami w górę, prosto do biur. Drzwi do gabinetu dyrektora były otwarte. Zapukał.

Orsini–Rosenberg przyjrzał mu się podejrzliwie. Za jego plecami wisiał portret cesarza, a przegródki na półkach wypełnione były dziesiątkami operowych partytur.

– Przyszedłem tutaj wczoraj, ale nie zastałem szanownego pana – powiedział Mozart, pochylając się w ukłonie.

– Tak, co za pech. Ktoś mi wspomniał o pańskiej wizycie.

– Przyszedłem nie w porę.

– Tak, właśnie musiałem wyjść.

– Bo widzi pan, pozwoliłem sobie wrócić w związku z zamówieniem na operę.

Orsini–Rosenberg potarł grzbiet nosa i odchylił do tyłu głowę. Robił wrażenie człowieka bezpośredniego i szczerego, ale nigdy nie było wiadomo, czy mówi prawdę czy nie.

– Niefortunnie wspomniałem o panu Thorwartowi – oznajmił. – Powiedziałem, że wykazujemy pewne zainteresowanie, on jednakże przyszedł do mnie wczoraj i zawyrokował, że nie napisze pan dla nas opery, bo brakuje panu dobrych pomysłów. Pańska muzyka, oczywiście, jest nadzwyczajna. Powiedziałem Haydnowi, którego wielce szanuję, że jestem całkiem świadom pańskiego talentu, jednak *Idomeneusz*, drogi Mozarcie, mimo całego piękna, to opera bardzo poważna.

– Natrafiłem na libretto, które się panu spodoba, z wątkiem tureckim, z akcją osadzoną w haremie.

– To bardzo ciekawe. Wszystko, co dotyczy Turcji, wydaje się wielce atrakcyjne. Kobiety czasami każą się portretować w strojach odalisek, choć z jakiej okazji mogłyby w rzeczywistości tak się ubierać, pojęcia nie mam. Harem, powiada pan? To mogłoby się wielkiemu księciu spodobać. W dzisiejszych czasach trudno jednak o dobre libretto. Kto jest autorem?

– Aktor Gottlieb Stephanie; streścił mi swój utwór. Jest komiczny, przetykany momentami powagi. Mówi o wiernej miłości i o oświeconym władcy.

– To by przypadło do gustu zarówno naszemu cesarzowi, jak i jego gościowi. Ja jednak znam Stephaniego: przyjmuje więcej zobowiązań, niż jest w stanie dotrzymać. Załóżmy jednak, że udałoby mi się utorować drogę tej operze, skąd mógłbym mieć pewność, że on dotrzyma swojej części umowy?

Mozart patrzył na niego bacznie.

– Dobrze więc, mogę zaproponować pewien plan. – Hrabia ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, odwzajemnił baczne spojrzenie kompozytora. – Jeśli pokaże mi pan odpowiednio duży fragment napisanej już opery, postaram się, by zamówienie trafiło do pana. Może za kilka

miesiący? Ja wtedy zlecę przygotowanie projektu spektaklu oraz kostiumów i zaangażuję śpiewaków. Cóż za szczęśliwy traf, że tym razem pan mnie tu zastał, Mozart. Treść opery, którą zamierzałem zamówić, nie zawierała nic tak ekscytującego.

Młody kompozytor popędził do domu i niezwłocznie zasiadł do pracy. Nazajutrz zabrał kilka kart z nową muzyką na dół, do salonu, gdzie zamierzał kontynuować pracę na stole, obok ukochanego klawesynu Frydolina. Skąpy ogienek ledwie co lizał kilka leżących na kominku niewielkich szczap. Pisał zapamiętale, z zaciśniętymi szczękami i w pierwszej chwili nie zauważył, że ktoś stanął w drzwiach. Kiedy wreszcie podniósł oczy, zobaczył Konstancję Weber z naręczem drewna.

– Przecież tu jest za zimno – oświadczyła.

Był tak pogrążony w pracy, że tylko uśmiechnął się do niej niezbyt przytomnie.

Wydawało mu się, że od wyjazdu Zofii ta najcichsza spośród sióstr wtopiła się w otoczenie. Tak długo zmieniała pościel i zagniała ciasto na chleb, aż tamta młoda kobieta, którą kiedyś była, zaczęła powoli zamieniać się w otepiałą służącą... co za szkoda, przecież nie miała więcej niż osiemnaście lat. Czyż nie była zakochana w tym bladym wiolonczeliście, którego od czasu do czasu widywał na schodach? Czy Zofia nie powiedziała czegoś takiego? Dlaczego zatem ten człowiek nie zabrał jej z tego żalosnego miejsca? On sam wyniesie się stąd, kiedy tylko dostanie zaliczkę za operę, kiedy tylko skomponuje kawałek.

– Przyda ci się więcej drewna – powiedziała.

– Trochę już dołożyłem i spodziewam się reprimendy od twojej matki.

Nie mam do niej pretensji; ani drewno, ani świece, wino ani mięso nie są za darmo.

Uklękła przed kominkiem i dokładała starań, by płomień jak najszybciej ogarnął nowe polana. On zapatrzył się bezmyślnie w jej delikatną szyję, przyozdobioną kilkoma pasemkami włosów, które umknęły spod czepka. Miała na imię tak samo jak bohaterka jego opery.

– Przerwałam ci pracę – powiedziała, wstając i otrzepując dłonie.

– Nic nie szkodzi,

– Mama mówi, że jeszcze przez jakiś czas zostaniesz u nas.

– Rzeczywiście. Dostanę zapewne zamówienie na operę. W tej chwili to co prawda jedynie możliwość, szansa, prawdopodobieństwo, a przecież wierzę, że tak się stanie, nie może być inaczej. Przespałem zaledwie kilka godzin od chwili, kiedy zacząłem ją pisać. Przez cały czas słyszę muzykę w głowie. Pozwól, że zagram ci pierwszy motyw.

Konstancja usiadła przy stole, a on podszedł do klawesynu. Popłynęła pogodna melodia w stylu marsza tureckiego i Konstancji zdawało się, że ta muzyka musnęła kotary i że świeże polano poruszyło się nagle i osunęło między płomienie.

– Będą tu triangle i werble – wyjaśniał Mozart. Coraz wyraźniej marsz dudnił mu w głowie, to zbliżał się pasza i jego pełen czci dwór. – To muzyka haremu – dodał. – Tam rozgrywa się akcja.

– Pamiętasz ten czwartek, kiedy pierwszy raz przyszedłeś do nas z wizytą? – spytała nagle.

– Pamiętam... Żywiłem dla twojego ojca sympatię i szacunek. Strzepnęła okruchy kory z fartucha na dłoń i zacisnęła na nich palce, zrywając się raptownie, kiedy z kuchni zawołano ją po imieniu.

– Muszę się zająć obiadem – wyszeptała, a jej ciemne oczy spoglądały na niego z powagą. – Cieszę się z tego zamówienia i bardzo się cieszę, że jeszcze nie wyjeżdżasz do Anglii.



Upłynęło dużo czasu, nim przywołał w pamięci ten moment, kiedy osłonięta obszernym fartuchem zerwała się nagle z zaciśniętą dłonią. Coś w nim drgnęło, zdążyło się jednak rozpląnąć, zanim pojawił, co to takiego.

Drzewa obsypały się kwieciami. Pewnego dnia zobaczył, jak pies, którego wcześniej widział na ulicy, myszkuje pełen nadziei w jakichś śmieciach. Zagwizdał i wyciągnął rękę, ale zwierzę zorientowało się natychmiast, że nie dostanie nic do jedzenia, odwróciło się i z godnością ruszyło dalej.

W domu Mozart widywał Konstancję jedynie przelotnie i zamieniał z nią nie więcej niż kilka słów. Przemykała jak cień, po czym znikwała, jakby nigdy jej tam nie było. Jest samotna, pomyślał nagle. Biedna dziewczyna, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem w otoczeniu rodziny, przez myśl mi nie przeszło, że mogłoby do tego dojść. I gdzież, do diabła, podziewa się jej francuski wiolonczelista? Już od dawna nie słyszał jego głosu na korytarzu.

Któregoś dnia, kiedy wracał od wydawcy, Konstancja mignęła mu w tłumie na tętniącym życiem eleganckim miejskim placu. Ze skórzaną teczką pod pachą kluczyła pomiędzy powozami i ludźmi. Niebo było zasnuwane szarymi chmurami i zanosило się na deszcz.

– Mademoiselle Weber – zawołał, doganiając ją. – Dokąd to?

– Odnosiłam nuty, które przepisałam – odparła. Stała bez ruchu, a wokół niej bezustannie przepychali się przechodnie. Akurat w tym momencie mijala ich jakaś kobieta z dwoma małymi, ujadającymi pieskami i Konstancja aż otworzyła usta z podziwu.

– Ojej, jakie słodkie! – wykrzyknęła. – Och, popatrz na nie. Tak bym chciała mieć własnego pieska.

– Pamiętam, że zawsze przepadałaś za psami, a twoje marzenie przecież łatwo spełnić.

Nachyliła się, pozwoliła im polizać wyciągnięte dłonie i nie odzywała się, dopóki pieski nie pobiegły dalej, goniąc za swoją panią, która zdążyła już skrócić za róg.

– Nie – powiedziała w końcu. To niemożliwe – Mama nie lubi psów. Mieliśmy jednego, kiedy byliśmy całkiem małe. Siusiał pod naszymi łózkami, czym doprowadzał ją do szału. Raz nawet nasiusiał na nasze trzewiki i czułyśmy ten zapach, kiedy szłyśmy do kościoła.

– Jak się wyprowadzisz, będziesz miała takiego pieska.

– Nigdy się od niej nie wyprowadzę. – Konstancja utkwiała wzrok w jakimś odległym punkcie ulicy, za tymi wszystkimi sklepami i kramami, jakby ktoś stamtąd ją wołał. – Przez jakiś czas myślałam, że do tego dojdzie – mówiła z wahaniem. – Chciałam się przenieść do Paryża, ale nie mogę przecież zostawić jej samej, szczególnie teraz, kiedy wyjechała Zosia. Chciałam i jednocześnie nie umiałam się na to zdobyć. Ty widzisz jedynie, że jest nieznośna, ja natomiast znam też tę jej drugą stronę. Po prostu nie umiem oceniać ludzi jednostronnie. To moja siła i zarazem słabość, prawda? Zatem nigdzie nie wyjadę.

Więc to tak. Jej wiolonczelista wyjechał bez niej. Zupełnie niespodziewanie Mozart podał jej ramię.

– Pozwól, że będę ci towarzyszył – oświadczył. – Szedłem właśnie na spacer do Augarten. Pójdziemy razem. – Zawrócili w kierunku ogrodów publicznych, gdzie między kępami lip ustawiono muszle koncertowe, stoiska z lodami i lemoniadą. – Myślę, że możemy trochę pospacerować i jeszcze zdążyć wrócić na Petersplatz przed deszczem.

Szli w milczeniu, aż w końcu Mozart zaczął pogwizdywać. Kiedy zerknął na nią, zobaczył, jak lekki uśmiech przemyka po jej twarzy.

– Podoba ci się ta melodia?

– Owszem.

– To druga aria pokojówki z tej opery. Ciągłe pracujesz, jesteś taka zabiegana tu i tam. Czasami myślę sobie, że musisz bardzo tęsknić za siostrami.

– Tak, bardzo. Nie myślałam, że Zofia odejdzie. Nie mam pojęcia, dlaczego zrobiła to tak nagle.

– Kiedy jestem daleko od swojej siostry, Nannerl, ogromnie za nią tęsknię. Moja rodzina jest bardzo zżyta, być może dlatego, że jest nas tak mało.

Teraz, kiedy już znaleźli się w Augarten, niebo pociemniało jeszcze bardziej i wiele osób w pośpiechu opuszczało park. Przyszło mu do głowy, że mógłby zaprosić ją na kawę, i zastanawiał się, czyby odmówiła. Zachowuje wobec mnie rezerwę, pomyślał z troską. Dlaczego? Czy kiedykolwiek ją uraziłem? Pamiętam, że kiedyś często śmiała się wraz z innymi, a teraz przez jej usta przemykał jedynie cień uśmiechu. Chciałbym doprowadzić ją do śmiechu.

Poczuł pierwsze ciepłe krople deszczu. Ludzie wokół rozglądali się za najbliższą osłoną; nagle niebo się rozwarło i lunął rześisty deszcz. Po kilku chwilach ziemia nasiąkła wodą. Chwycił ją za rękę i pobiegli ku drzewom. Skulili się pod nimi razem z kilkoma innymi osobami. Deszcz spływał po liściach na piaszczystą ścieżkę.

– Przepraszam – odezwał się. – Nie myślałem, że przyjdzie tak szybko.

– Kiedy byłyśmy dziewczynkami, lubiłyśmy się bawić w kałużach w czasie deszczu i tuż po nim. Robiłeś to kiedyś z siostrą?

– Nie, nie przypominam sobie niczego takiego. Pamiętam wyłącznie przyjaciół i muzykę. Moi rodzice stracili kilkoro dzieci, zanim urodziła się moja siostra i ja. Bardzo się o nas bali.

Zamilkła, kiwała tylko głową, ramiona skrzyżowała na piersiach, pod jej pachą tkwiła mokra teczka.

– Herr Mozart – wyszeptala, a słowom jej towarzyszył szum deszczu.  
– Wyraziłeś się kiedyś bardzo nieuprzejmie o mnie i o moich siostrach. Powiedziałeś innemu lokatorowi, że jest tylko jedna piękna panna Weber. Nigdy nie uważałeś mnie za ładną. Nie jestem tak urodziwa jak Alojza, ale wcale nie uważam się za brzydką. Kiedy o tym usłyszałam, przestało mi być przykro, że złamała ci serce. Pomyślałam, że sobie na to zasłużyłeś.

– Zachowałem się bardzo głupio – wymamrotał, skinąwszy głową. – Jestem ordynus, osioł i jeśli coś takiego powiedziałem, to zasłużyłem na swój los. – Dotknął jej zimnych palców i zaraz cofnął rękę. – Gdybyśmy tylko nie byli tacy niemądrzy, a ja powinienem wiedzieć... – I urwał. – Ach, ten deszcz – powiedział po chwili, zażenowany. – Przemokniemy do suchej nitki. – Objął ją ramieniem, żeby lepiej osłonić przed deszczem.

Wyrwała mu się, ale kiedy spróbował ponownie, przyciągając ją do siebie cał po cał, już się nie opierała.

Stali wsłuchani w deszcz, który bębnił teraz o wiele spokojniejszym rytmem. Brązowe trzewiki, podobnie jak dół sukni Konstancji, przemokły na wylot. Kiedy przestało padać, poszli lśniącymi po deszczu ulicami w stronę domu; raz dziewczyna z rozmysłem wdepnęła w kałużę, rozbryzgując wodę dookoła. Potem jednak znów spoważniała i przycichła. Kiedy zbliżali się do Petersplatz, przestała się zupełnie odzywać, przyspieszyła kroku, zostawiając go nieco z tyłu; raz jeszcze wróciła do roli córki właścicielki pensjonatu. Nad wejściem do domu wisiała mała tabliczka z wyraźnym napisem: PORZĄDNE POKOJE DO WYNAJĘCIA – PŁATNE CO MIESIĄC. Ani trunkowy student teologii, ani Hiszpan już tu nie mieszkali.

Gołębie strzepywały wodę ze skrzydeł, a w wielkich kałużach przeglądało się szare niebo.

Jak to możliwe, że była w tym domu cały czas, a on prawie jej nie zauważał. Teraz ciągle czuł jej obecność. Jest w kuchni, myślał sobie, a teraz właśnie wyszła. Dokąd się wybrała? – dumał. Wyrzwał przez okno, żeby popatrzeć, jak idzie z koszykiem ulicą. Świeciło słońce; kałuże dawno wyschły. Uśmiechnął się do siebie. Jego głównym zajęciem było usilne wiązanie końca z końcem, jako że libretto przychodziło w oderwanych fragmentach; komponował, kiedy tylko mógł, a wciąż jeszcze nie miał akceptacji hrabiego. Grywał u hrabiny Thun i udzielał lekcji mademoiselle Aurnhammer, która z nim flirtowała. Wrócił do domu i stwierdził, że Konstancja znów stała się cieniem.

– Kałuże – szeptał do niej, kiedy mijali się na schodach, albo: – Szczeniaczki, kochane stworzonka z mokrymi noskami, które siusiają do maleńkich nocniczków. Och, nie, nie będzie padać; w Wiedniu nigdy nie pada.

Choć uśmiech przemykał po jej twarzy, za każdym razem ponownie zamykała się w sobie. Pamiętała, że publicznie uznał ją za brzydką, i nie mogła mu tego wybaczyć. Była milcząca i sroga. Jak miał ją przekonać o swoich dobrych intencjach? Życie go otrzeźwiło, a w niej było pewne niezaprzeczalne piękno, tyle że on nie umiał znaleźć odpowiednich słów, by je opisać. Raz spotkali się przy drzwiach frontowych, obok rośliny w doniczce, gdzie ona czytała właśnie list od jednej z sióstr. Mozart oparł się o ścianę, pod wieszakiem na kapelusze i czytał list od padre Martiniego, który był już we Włoszech, a potem list od ojca, który narzekał na Salzburg i przypominał mu, by starał się nie przemoczyć nóg. Jego siostra, cicha i cierpliwa Nannerl, też do niego napisała.

– Chodź, zagraj ze mną – zawołał z bawialni następnego dnia. – Właśnie przerabiam niektóre z moich tańców na fortepian. Co ty na to? Wiem, że dobrze grasz.

Konstancja odłożyła szycie, weszła do pokoju i usiadła obok niego. I wtedy, jak za dawnych czasów, muzyka wypełniła pokój. Jej lewa dłoń muskała jego rękę; nie było w tym nic niestosownego, bo muzyka zapewniała bezpieczeństwo.

– Jaka będzie twoja przyszłość? – spytał, kiedy skończyli.

– Żadna. Zostanę tutaj.

– To nie wystarczy! – wykrzyknął. – To dla ciebie za mało!

Zerwała się raptownie. A potem coś ich rozśmieszyło. Od dawna nie słyszał, żeby tak się śmiała, a może nigdy, bo przecież przedtem nie zwracał na nią uwagi.

– Przestań – wykrztusiła wreszcie. – Muszę wracać do swoich zajęć.

– Zostań – poprosił.

Nagle okazało się, że kuchnię od bawialni dzieli szmat drogi. Nigdy nie zastanawiała się, ile czasu zajmuje jej pokonanie tej odległości: najpierw w dół po schodach, potem korytarzem obok portretów przodków z kwaśnymi minami i wreszcie kuchnia przesiąknięta zapachem płonącego drewna i przeróżnej siekaniny. Żal jej było zostawiać za sobą radosne dźwięki skocznej muzyki, nie miała ochoty dławić w sobie emocji, o których istnieniu dawno zapomniała. Przesunęła dłońmi po zarumienionych policzkach i wślizgnęła się do kuchni, gdzie matka ze służącą przygotowywały obiad.

– Jak ty wyglądasz, Mario Konstancjo Weber, i niech ci Bóg wybaczy... – smagnęły ją słowa matki – żeby tak zaśmiewać się z nim, zamiast mi tu pomagać. Jesteś taka sama jak tamte. Myślałam, że jesteś



lepszą. Dałam wam, dziewczęta, wszystko, ale was obchodziły tylko pozostałe siostry, nigdy ja, ja się nigdy nie liczyłam. Dlaczego ostatnio spędzasz z nim tyle czasu? To ubogi muzyk, tak jak twój ojciec. Ta opera nigdy się nie ziści. Wiem to z najlepszych źródeł.

Konstancja stała zdumiona.

– Co to za brednie? – spytała, kiedy wreszcie odzyskała głos. –

O czym ty mówisz? Czy śmiech może prowadzić do czegoś złego? Martwisz się, że mogłabym się zakochać? Tak, oczywiście. Nie jest dość dobry dla mnie, bo ty znów szukasz jakiegoś wyimaginowanego księcia, który da mi tytuł i majątek, na czym i ty sama skorzystasz. Za kilka miesięcy przyjeżdża tutaj rosyjski wielki książę; czy napisałaś mu już o mnie? Masz tu odpowiedź; zobacz, co ja o tym myślę. – Chwyciła niebieski dzbanek i cisnąwszy nim o ceglany piec, rozbiła na sto kawałków.

Odwróciły się obie i zobaczyły za drzwiami Mozarta, spoglądającego to na jedną, to na drugą. Konstancja osunęła się na kolana i zaczęła zgarniać skorupy. Ich śliczny, ulubiony dzbanek. Kupiła go pewnego pięknego słonecznego dnia, kiedy była na spacerze z ojcem; pakowały go w słomę przy każdej przeprowadzce. A teraz czuła się tak, jakby w tych potrzaskanych niebieskich ułamkach ponownie utraciła ojca.

Frau Weber zabrała się do krojenia dużej cebuli.

– Może oświeci mnie pan w pewnej sprawie, Herr Mozart – zawołała.

– Spróbuję, madame – odparł i stanął w drzwiach.

– Nie rozumiem dzisiejszych dzieci. Ja opiekowałam się swoimi rodzicami i dopiero kiedy znaleźli się w niebie, zgodziłam się poślubić Frydolina. Nie rozumiem też młodego człowieka, który uważa, że dziewczyna, która gotuje mu posiłki, ma też ogrzewać jego pościel.

– O czym pani mówi?

– O mojej córce, która jak gdyby nigdy nic zbiera kawałki mojego dzbanka, który właśnie potłukła, oraz o panu. Czy sądzi pan, że przez te ostatnie tygodnie byłam ślepa? Spaceruje pan z nią po parku, szepce do jej ucha na schodach. Czy nie przeżyłam już tego nieszczęścia ze starszą córką, która była na tyle niemądra, że czekała na pana i przez to uległa pokusie i upadła? Tak, gdyby nie kazał jej pan czekać, nie doszłoby do tego. Teraz odeszły, odeszły wszystkie poza tą jedną, a ja mam wobec niej pewne plany. Mam wobec niej plany.

– Wydaje mi się, że ma pani plany, żeby ją sprzedać – oświadczył spokojnym głosem Mozart. – I że ona nie chce być sprzedana. Ot i cały kłopot.

– Czyś pan naraził na szwank jej reputację? – Frau Weber rzuciła się w jego stronę. – Bo łatwa z niej ofiara; wszystkie moje córki są takie. Uczynię wasze życie nieznośnym, jeśli coś takiego się stało. Oczernię twoje nazwisko, młody człowieku, tak że nikt przyzwoity nie przyjdzie na twój koncert, a cesarz dowie się, że słuchanie tej muzyki to wstyd – wyrzucała jednym tchem. – Nie będzie zamówienia na operę, jeśli choć raz jeszcze się spotkacie. Nikt już nigdy nie usłyszy o Mozarcie. Przyjęłam cię tu z litości, popełniłam jednak błąd. Spróbuj zabawić się z córeczką zacnej wdowy, a zobaczysz, jak szybko dosięgnie cię ręka sprawiedliwości!

– Ależ madame, to istne szaleństwo. Pani mi grozi?

– Owszem i spełnię swoje groźby. Masz już jej więcej nie widywać, pojmujesz pan? Wynoś się! – grzmiała. – Precz!

Oszołomiony odwrócił się ku Konstancji, która stała nieruchomo z fartuchem pełnym skorup.

– Tak, odejź – zawołała do niego dziewczyna. – To nie jest miejsce dla ciebie. Widzisz, jak z nami jest. Od śmierci papy znikąd dla nas żadnej pomocy. Idź, odezwę się. Nic mi nie będzie. Odezwę się, naprawdę.

Wyszedł bez zwłoki i udał się do mieszkania Leutgeba nad sklepem z serami, skąd później przysłali chłopaka po jego rzeczy. Nawet na nie nie spojrzął, chodził w tę i z powrotem po swoim małym pokoiku. Konstancjo, pomyślał. Cóż na Boga się stało? Jeśli do rana ona nie przyjdzie do niego, on pójdzie do niej.

Zjawiała się nazajutrz, wczesnym rankiem. Spał źle, w szyby uparcie bębnił deszcz. Kiedy usłyszał jej głos, popędził na dół, przeskakując po trzy stopnie naraz, zobaczył ją w sklepie; z jej peleryny i spódnicy kapąła woda. Leutgeb zbliżał się ku niemu pomiędzy półkami zapełnionymi trójkątnymi kawałkami wonnych, miękkich serów, żyłkowanych pleśnią, które przywodziły na myśl pergaminową skórę starczej dłoni.

– Niedobrze – wymamrotał pod nosem, poprawiając swój sklepowy fartuch. – Frau Weber całkiem oszalała.

Konstancja stała pomiędzy skrzynkami z twarzą zalaną łzami.

– Co się stało? Co się stało? – wykrzyknął Mozart, chwytając jej rękę.

– Nigdy tam nie wrócę. Odkąd zabrano twoje rzeczy, ani na chwilę nie przestała mi wymyślać. Najpierw oskarżała mnie, że jestem twoją kochanką, potem wykrzykiwała, że powinnam była cię uwieść, bo wtedy musiałbyś się ze mną ożenić i tym samym uwolnił ją ode mnie. A potem, co było najgorsze ze wszystkiego, powiedziała, jaki był prawdziwy powód odejścia Zofii. Tak, moja matka oszalała. Nie wrócę tam i już nigdy nie będę jej kochała. Między nami dwiema wszystko skończone.

– A co z biedną Zosią? – spytał. Zastanawiał się, czy Konstancja dowie się kiedyś, że jej siostra była w jego pokoju, i czy uwierzyłaby, że tylko się śmiali, szukali okularów i rozmawiali o Bogu i o szczęściu.

– Matka mówi, że próbowałeś ją uwieść.

– Ja nigdy... toż to jeszcze jedno szaleństwo.

– Oczywiście w to nie wierzę, nie mogłabym uwierzyć. Ale nie wiedziałam, dokąd pójść, i czułam się okropnie z powodu słów, które wypowiedziała. Och, czego ona chce ode mnie? Jak mogłabym tam wrócić? I to jej posądzenie, że my... – Odstawiła filiżankę, którą przyniosła żona Leutgeba, i odwróciwszy się do małego piecyka stojącego w rogu, mówiła dalej, zupełnie jakby Mozarta tam nie było. – Czy ona sądzi, że ja nie mam dumy? Dość się nanosiłam sukien po siostrach i nie chcę strzępów jej miłości. Piękna Alojza... wybrałaś ją i ona ciągle tkwi w twojej pamięci!

– Co takiego? – wymamrotał zaskoczony. – Jeszcze teraz gniewasz się na mnie?

– Owszem. To od tego czasu, kiedy powiedziałaś...

– Błagam więc o wybaczenie, droga Konstancjo. Przecież już o tym rozmawialiśmy, kiedy wracaliśmy w deszczu do domu. Powiedziałaś wtedy, że już mi to zapomniałaś. Rzeczywiście ją kochałem; tak było. Zapłaciłem za to. Miałem złamane serce.

Nagle zauważyli, że do sklepu weszli klienci i przyglądają się im z ciekawością. Konstancja podniosła rękę do twarzy, po czym je opuściła. Zaczęła krążyć między regałami.

– Gdzie mam się zatrzymać? – wołała. – Co ze mną będzie? Nie mogę tam wrócić. Oskarżyła mnie o takie rzeczy, oskarżyła ciebie. Oczywiście, że oprócz mnie wszystkie uciekły. Nigdy już tam nie wrócę; pójdę do klasztoru Zosi i poproszę dobre siostry o schronienie.

– Nie, moja miła – powstrzymał ją Mozart. – Nie, Konstancjo; zabiorę cię do mojej przyjaciółki, baronowej von Waldstatten. Ona udzieli ci schronienia. Obawiam się, że odchorujesz te okropne przeżycia; widzę, jakie masz dreszcze. Twój ojciec życzyłby sobie, bym się tobą zaopiekował. Zaprowadzę cię do mojej przyjaciółki.

No cóż – oświadczyła baronowa von Waldstatten, spoglądając z monarszym uśmiechem na drżącą dziewczynę, której Mozart pomógł wysiąść z powozu przed oddaloną od centrum Wiednia rezydencją. – Potrzebny jest nam ciepły szlafrok, miejsce przy kominku, grzane wino oraz odrobina rozsądku. Wielce sobie cenię racjonalne postępowanie. Młodymi kobietami nie wolno ani handlować, ani poniewierać, prawda?

Baronowa tak szybko wprowadziła ich do swojego wspaniałego domu, że musieli bardzo się starać, by dotrzymać jej kroku. Wykonała szeroki gest, jakby chciała zwrócić uwagę na fakt, że marmurowe, nagie muzy, tkwiące w swoich oddzielnych niszach wokół okrągłej sali, przyznają słuszność jej słowom.

– A już szczególnie – dodała filuternie – młodymi wiedenkami żyjącymi w tej naszej nowoczesnej epoce, w żadnym razie nimi. Czyż młode kobiety nie mają własnych serc i umysłów? Czy to nie dar od Boga? Chodźcie już, chodźcie!

Kaszlącą Konstancję ubrano w aksamitny szlafrok i ulokowano w dużej gościnnej komnacie. Przyniesiono jej kolację na pięknej tacy, a Mozart i baronowa zerkali na nią z troską w oku. Kiedy życzyli jej dobrej nocy i wyszli, włożyła ozdobioną różową koronką nocną koszulę z miękkiej, puszystej wełny i wślizgnęła się do wielkiego łóża.

W świetle kilku płonących świec widziała toaletkę stojącą pod przeciwległą ścianą pokoju i po chwili wstała, żeby obejrzeć ustawione tam

kryształowe flakony z wodą kolońską oraz rozliczne srebrne puzderka. Na jednym wieczku zobaczyła napis: NAJWIĘKSZE DOBRO TO MAŻ I ŻONA. Ze stojącego obok w srebrnej ramce portretu spoglądał na nią z ojcowskim wyrazem twarzy baron, mężczyzna w podeszłym już wieku. Nikt tak naprawdę nie wiedział, czy wyjechał za granicę i tam zmarł, czy też opuścił żonę z powodu jej niewierności, na temat której krążyło wiele pogłosek.

Och, co ona tutaj robi? Oczywiście, własna matka ją do tego przywiodła.

Na świętą Elżbietę i świętą Annę! Jak matka mogła zniżyć się do takiego postępuku po tych wszystkich latach, kiedy Konstancja stawiała w jej obronie, czując, że tylko ona jedna ją rozumie, po tym, jak przyrzekła sobie przy niej pozostać? I Zosia, czy jeszcze ją kiedyś zobaczy, czy siostra wróci kiedyś zza klasztornych krat? Zawsze będziemy razem, Staniu.

Potykając się, wróciła do wielkiego łoża, objęła ramionami ogromną, zimną poduchę i zanurzyła w niej twarz. Rozpoczęła swoje wieczorne modlitwy; w samym ich środku jej myśli powędrowały ku Mozartowi, a potem ku długim, pobrzmiwającym echem korytarzom pensjonatu i dochodzącym z kuchni pomrukiem matki. Rozszłochała się, jej ramiona drgały spazmatycznie pod puchową kołdrą. Przypomniała sobie, jak w wieku pięciu lat, chora na dyfteryt, z najwyższym trudem odzyskiwała przytomność, jak brakowało jej powietrza, a cały pokój wyginał się i kołysał, jak obrazy na ścianach i okna wykrzywiały się, jak niemal przezroczyste draperie przy łóżku falowały... Była wtedy przy niej matka, z modlitewnikiem albo z robótką ręczną. Była tam, nachylała się nad Konstancją, przykładając dłoń do jej rozpalonego czoła. „Staniu, Staniu”, szeptała, a jej głos był przepełniony największą miłością.



A kiedy wyzdrowiała, matka karmiła ją mięsem i pierogami, przytulała do bujnych piersi, szeptała różne opowieści. Stare baśnie o księżniczkach trzymany w wieży pośród borów, historie o tym, jaki kiedyś był świat, rady, jak upiec szarlotkę, czy wyjaśnienia, co to znaczy dorastać, a także ostrzeżenia przed mężczyznami, kłamstwem, zbyt wielką ufnością. Była wtedy ciepłą, pachnącą wypiekami istotą i niewyczerpanym źródłem kołysanek. Otulała ją najstarszą, utrzymaną na kuchennym fotelu kołdrą z dawno wypłowiałym kwiecistym deseniem, ze sterczącym tu i tam pierzem. Słodka, kochana matka... Co się robi, gdy ktoś, kto jest dla ciebie wszystkim, tak bardzo cię rozgniewa? Cecylia Weber nie oszalała. Kiedy była wzburzona, zawsze wszystko przekręcała; opowiadała najbardziej wymyślne kłamstwa, których potem żałowała, szczególnie kiedy za dużo wypięła, co ostatnio zdarzało jej się dość często.

Konstancja przypomniała sobie głos matki przez tyle lat wzywający je do wstawania z łóżek w niedzielne poranki: Mario Alojzo, Mario Józefo, Mario Konstancjo, Mario Zofio... gdzie jesteście? Później cztery siostry budowały w kuchni, blisko buzującego pod blachą ognia, szalas z podartych prześcieradeł i chowały się w nim. Stawały się księżniczkami, królowkami, dziewczycami w niebezpieczeństwie, a także szlachetnymi rycerzami; w te świąteczne popołudnia, pomiędzy obiadem i skromną kolacją, rozszeptane siostry były dla siebie całym światem, a wtedy zza zamkniętych drzwi sypialni rodziców czasami dochodziły westchnienia. Dlaczego to odeszło? Alojza zamężna; Józefa daleko, w obcym mieście; Zofia przedwcześnie pochłonięta przez Boga, zanim jeszcze przeprowadziły choćby połowę tych ważnych rozmów. Konstancja nie potrafiła utrzymać ich razem, mimo swojej wielkiej miłości.

Ukryła twarz w poduszce. Pragnęła powrotu tamtych czwartkowych wieczorów, chciała wszystko naprawić. Tymczasem matka pełnymi furii, pokrętnymi słowami wypędziła ją do tej wspaniałej, przestronnej rezydencji. Zrobiła z niej wygnańca. Tak, taka właśnie była prawda. Wszystkie odeszły w oszołomieniu; jedną po drugiej przegnała matka. Dlaczego zatem Konstancja kochała ją nadal? Dlaczego czasami miała uczucie, że sama jest swoją matką, że stękając, dźwiga ciężkie ciało, przedwcześnie postarzałe, z pokoju do pokoju? Tylko ona jedna, Konstancja może jeszcze podbiec do niej, ucałować jej ręce i zakrzyknąć: „Wszystko jest w porządku, naprawdę” i przywrócić uśmiech na jej twarz. One obie muszą sobie wspólnie wynagrodzić brak tych, których zabrakło. We dwie muszą wypełnić puste pokoje, zatrzymać w nich cienie tych, które odeszły. Dano jej przecież na imię Konstancja, musi pozostać wierna do końca. Razem będą starymi, postępującymi, otyłymi kobietami, razem będą się bronić przed smutkiem życia.

Potem zasnęła; śniła, że znów jest chorym dzieckiem, a matka i ojciec siedzą na brzegu jej łóżku, całują po twarzy. Czuła szorstki zarost ojca, jego spiczastą brodę wbity w jej policzek, kiedy trzymając ją za rękę, zasnął obok.

– Staniu?

Usiadła na łóżku. Czy to matka ją woła? To tylko szmer deszczu za oknem,

Obudziła się obolała; nawet miękka wełna nocnej koszuli wydawała się rozpalona. Z początku nie wiedziała, gdzie jest, rozglądała się po skapanej w słonecznym świetle komnacie. Ktoś wszedł już wcześniej i odsunął kotary, tak jak ktoś poprzedniego wieczoru musiał zgasić świece. Na stoliku obok łóżka stała taca, a na niej dzbanek pachnącej kawy i świeże

bułeczki; z dołu dochodziły dźwięki najbardziej zdumiewających wariacji fortepianowych.

Do pokoju wkroczyła baronowa.

– Mozart już tu przesiaduje – oznajmiła. – Zdążył zjeść kilka bułeczek z serem i napić się kawy. Dosłownie nie może usiedzieć, tak bardzo chce cię zobaczyć. Włóż szlafrok, który miałaś na sobie wczoraj; możemy go podciągnąć i tak zacisnąć pasek, żebyś się o niego nie potykała.

Konstancja przeniosła wzrok z kolorowego szlafroka na bladą, upudrowaną twarz przed sobą.

– A moja matka? – wychrypiała. – Czy jest jakaś wiadomość od mojej matki?

– To smutne, ale przysłała po ciebie policjantów, których odesłałam z kwitkiem.

– O Boże – jęknęła dziewczyna, osuwając się na pościel i wbijając zęby w dłoń. – Co ja mam robić? I co on gra?

– Wariacje na temat jednego z motywów swojej opery. Twierdzi, że nie stać go na nic więcej w tej chwili, bo jego umysł znajduje się w zbytym pomieszczeniu.

– Na miłość boską, baronowo, proszę go odesłać. Nie mogę mu się teraz pokazać. Jak ja wyglądam. Niech przyjdzie jutro... tak, i proszę mu podziękować, że przywiózł mnie tutaj. On jest wielkim duchem opiekuńczym naszej nieszczęsnej rodziny. Proszę go poprosić o wybaczenie.

Dźwięki wariacji dochodziły z dołu jeszcze przez kilka chwil, po czym w samym środku pasażu muzyka nagle umilkła. Konstancja na palcach podeszła do drzwi i usłyszała jego kroki. Miała ochotę zbiec po schodach do tej okrągłej sali i zawołać: „Nie odchódź!” Ale jak mogła mu się pokazać, skoro wyglądała tak brzydko, podczas gdy Alojza zawsze była taka piękna?

Alojza by się nie spieszyła, spokojnie poprawiłaby czepek lub nałożyła odrobinę różu na policzki. Wtedy usłyszała stukot kół powozu i wiedziała, że Mozart odjechał.

„Wyjeżdżam z miasta, ale wracam za trzy dni i mam nadzieję, że wtedy będziesz się już czuła lepiej, miła moja” – napisał w liściku, który jej przyniesiono.

Dzień, w którym wrócił, był tak piękny i ciepły, że wychodzące na taras drzwi pokoju muzycznego stały otworem.

Widziała, jak się zbliża alejką ogrodu francuskiego pośród różanych krzewów. Miał na sobie lniany kaftan do kolan i niebieskie spodnie; jak zwykle wydawał się zasłuchany w swoje wnętrze. Otulona w podciągnięty w pasie aksamitny szlafrok, stała na niepewnych nogach, wciąż jeszcze osłabiona gorączką.

W momencie, w którym ją zobaczył w otwartych drzwiach, rozjaśniła mu się twarz. Zamrugał kilka razy i podszedł do niej. Ucałował obie jej ręce.

– Musiałem dać koncert i odbyć kilka lekcji – wyjaśniał pospiesznie. – I pracowałem nad operą, ale ani na chwilę nie opuszczałaś moich myśli, Konstancjo. Wiedziałem, że jesteś tu bezpieczna, i bardzo pragnąłem cię znów zobaczyć. Pewnie wrócisz do matki, bo martwi się o ciebie i jest jej bardzo przykro z powodu tego, co się stało. Byłem u niej i wiesz, ona rzeczywiście szczerze cię przeprosza. Tak się zalewała łzami, że nie sędzę, Konstancjo, aby sprzeciwiała się moim odwiedzinom, kiedy już tam wrócisz.

– Ale czy ty będziesz przychodził?

– Oczywiście, codziennie.

Wyszli razem na taras i stanęli obok ogromnej, marmurowej donicy z obsypanymi kwieciami roślinami; potem on ujął ją pod rękę i poszli na spacer po ogrodzie.

– Będziesz przychodził codziennie? – spytała nieśmiało, spoglądając na geometrycznie poprowadzone alejki, ciągnące się pomiędzy drzewami i altankami. – Ale, Wolfgangu, ja nawet nie wiem, co jest między nami... przecież nic sobie nie powiedzieliśmy. Muszę cię zapytać, choć może nie powinnam. Czy jesteś zakochany w tej angielskiej sopranistce, która teraz śpiewa w naszej operze? Wiem, że byłeś na jakimś wieczornym spotkaniu, na którym ona też była, gdzie wszyscy godzinami śpiewaliście i graliście. Ktoś powiedział mamie, że jesteś w niej zakochany.

– Ależ skąd! – wykrzyknął.

– Jesteś tego całkowicie pewien?

– Wiem, co czuję, a czego nie czuję – odparł. – A jeśli spytasz mnie jeszcze o mademoiselle Aurnhammer, to po prostu mnie rozśmieszysz. Najdroższa, cieszę się, że matka cię przeprosza. Myślę, że potrafiłbym ją oczarować, gdybym spróbował, ale prawdę mówiąc, nie interesuje mnie, jaka ona jest, ani jak się zachowuje, byle tylko była dobra dla ciebie. A teraz powiedz mi, raz na zawsze. Wybaczyłaś mi wreszcie tamtą głupią uwagę, którą już tak dawno temu bezmyślnie rzuciłem? – Położył kapelusz na kamiennej ławce i pociągnął Konstancję, żeby usiadła obok niego. – Chcę cię poślubić – oświadczył. – Chcę, żebyś została moją żoną. Mam dwadzieścia pięć lat i już od dawna pragnę mieć żonę. Sądzę, że czekałem na ciebie, moja Staniu. Jestem tego pewien.

– Prosisz mnie o rękę?

– Z całego serca. Zechcesz mnie, Konstancjo?

– Owszem, zechcę. Myślę, że cię kocham, choć nie sądziłam, że potrafię ponownie pokochać. Ale skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać? – spytała, wzdychając.

– A masz jakiś powód, żeby mi nie ufać?

– Ty widziałeś tyle świata, a ja prawie cały czas spędziłam w domu. I gdzie byśmy mieli zamieszkać? Za co żyć? Nie mamy pieniędzy. A poza tym, co powie twój ojciec? Wiem, że chce, byś jeszcze długo pozostawał w stanie wolnym; na pewno znajdzie u mnie jakieś wady. – Z uniesioną bródką patrzyła prosto przed siebie. – Tak, i wtedy ty je też zauważysz i odejdiesz. Nie jestem tak utalentowana jak Alojza czy Józefa, nie mam też dowcipu i wiary Zosi. Jestem kimś pomiędzy. Stałam się cieniem, a teraz już nie chcę nim być i to mnie przeraża. Nikt niczego od cienia nie oczekuje, nikt go też specjalnie nie zauważa... moje marzenia należą wyłącznie do mnie.

–Jakie one są? Zwierzyłabyś mi się z jakiegoś?

– Och, zwykle dziewczynskie marzenia: być mocno kochaną, zakochać się po uszy. – Opuściła wzrok na swoje dłonie. – W czasie pobytu tutaj myślałam o tylu rzeczach, a większości ich nie rozumiem. Chcę być tamtą młodą osobą, którą kiedyś byłam, a jednocześnie kimś całkiem nowym. Chcę uciec od nudy mojego domu, a jednocześnie tam pozostać. W tym właśnie problem. Pragnę znowu być z siostrami, tak jak wtedy, kiedy tamtego czwartku przyszedłeś pierwszy raz do naszego mieszkania. Czasami, ponieważ cię wtedy już znałam, wydaje mi się, że znów mogłabym taka być... uporządkowanie tego wszystkiego jest bardzo trudne. Och, gdybyś tylko mógł mi w tym pomóc.

Objęli się i całowali, raz za razem.

– Ale w jaki sposób uzyskamy błogosławieństwo twojego ojca? – wyszeptała w końcu zdyszana.



Mozart miał potargane włosy, przekrzywioną koronkę pod szyją i za każdym razem, kiedy zaczynał jakieś zdanie, wybuchał śmiechem, jakby wszystko nagle stało się samą przyjemnością.

– Mój ojciec... – Jeszcze się śmiał do siebie i wybijał na jej ramieniu jakiś rytm. – Kochana, spójrz tam, w głąb ogrodu... na tego drobnego, zgarbionego ogrodnika... taczka, którą pcha, jest większa od niego samego. – Żeby się opanować, nabrał głęboko powietrza, następnie wyciął policzki, wypuszczając je powoli, a potem odwrócił się ku niej, zacierając ręce. – Mój ojciec, tak – odezwał się poważniejszym tonem. – Wkrótce przyjedzie mnie odwiedzić. Wówczas mu rzecz przedstawię. Naturalnie, zależy mi na jego błogosławieństwie. Kiedy cię zobaczy, moje słodkie dziewczę, nie będzie robił najmniejszych problemów. – Ujął jej dłonie i złożył na każdej kilka pocałunków. – Jeśli zaś o mnie chodzi, to będę dla twojej rodziny wszystkim, co najlepsze. Twoja mama będzie mi niczym własna, a dla twoich sióstr okażę się najlepszym ze szwagrów. Mój ojciec będzie uszczęśliwiony, możesz mi wierzyć. Poradzę sobie ze wszystkim. A teraz muszę cię opuścić, żeby udzielić kilku lekcji i sprawdzić, czy nie powstały jakieś dalsze fragmenty libretta opery. Konstancjo, zaufaj mi, jak ja ufam tobie. Będziemy razem najszczęśliwsi na świecie.

Odchodził i wracał, żeby ją jeszcze pocałować, a kiedy już zniknął na dobre, poszła do pokoju spakować swoje rzeczy. Czas było wracać do domu. Wiedziała, że baronowa spędza popołudnie z pewnym człowiekiem, który za pomocą magnetyzmu i hipnozy uwalniał dusze, pozwalając im wracać do wcześniejszych wcieleń, i Konstancja nie chciała jej przeszkadzać.

Właśnie kiedy skończyła pisać list z wyrazami wdzięczności i ułożyła na łóżku szlafrok, którego przez cały czas używała, zobaczyła stojącą w drzwiach baronową, dziwnie oszołomioną i odmienioną.

– Och, moja droga – szepnęła szlachetna dama. – Odbyłam podróż do grobowców faraonów i odkryłam, że byłam wówczas księżniczką... Wracasz do domu? Drogie dziecko, przyjeźdź tu znowu... teraz Mozart musi się tobą dobrze opiekować, a ja pojawię się na waszym ślubie.

Matka, potykając się i lejąc z oczu łzy, szła ku niej z szeroko otwartymi w geście pojednania ramionami. Na górze, na swoim łóżku, znalazła list od Zofii.

Najdroższa, kochana Konstancjo,

Muszę Ci się wyświadczyć z czegoś, co ciąży mi trochę na sumieniu. Kiedy tamtego ranka uciekałam w takim pośpiechu, pod wpływem nagłego impulsu zrobiłam coś, co zapewne nie było rzeczą najmądrzejszą, choć uczynioną z głębi kochającego serca, a ojciec Paweł powiada, że jeśli w uczynkach kierujemy się miłością, to wiele można wybaczyć i wiele puścić płazem. Zupełnie nie mam odwagi, żeby Ci powiedzieć, co takiego zrobiłam, możliwe zresztą, że wszystko rozejdzie się po kościach i nic z tego nie wyniknie. Nie mogłam wyjechać, nie próbując choć odrobinę przyłożyć ręki do Twojego szczęścia. Skoro minęło kilka miesięcy i nie dałaś mi znać, byś cokolwiek o tym słyszała, to pewnie już nigdy nie usłyszysz, co w obecnych okolicznościach może być rzeczą najlepszą.

Napisz mi szybko, czy Mozart już Ci powiedział, że Cię kocha. Tak gorąco się o to modliłam, że jestem głęboko przekonana, iż do tego dojdzie. Czuję też, że się wkrótce pobierzecie. A ja pokładam wiarę w swoich wizjach, bo one niemal zawsze się sprawdzają.

Ślę Ci mnóstwo czułości,

Twoja siostra Zofia

PS Ojciec Paweł obiecał, że znajdzie dla kotki dom, a do tego czasu dopilnuj, żeby nic jej się nie stało. W przyszłym tygodniu przyoblekają mnie w szatę nowicjuszki. Módl się za mnie.

Zosiu, pomyślała, cóż ty takiego zrobiłaś? I na litość boską, nie składaj ślubów. Wróc do nas. Konstancja wygrzebała spod stosu spódnic i pończoch swój różaniec, usiadła na łóżku i przesuwając paciorki pomiędzy palcami, zaczęła się modlić. Niech spotkanie z jego ojcem przebiegnie dobrze, modliła się, i niech matka zachowa spokój.

Widywała go codziennie. Spacerowali, on grał jej najnowsze fragmenty swojej opery, a ona przepisywała całe jej partie, żeby mógł je wysyłać ojcu. Dziwnie się czuła, że jego ojciec nie zna tożsamości kopistki, kiedy czyta nuty. Nie brakowało im prywatności, Mozart bowiem znalazł sobie nowe lokum w pobliżu Petersplatz. Mógł dotykać jej piersi i ud, całować każdy nie osłonięty gorsetem, koronkowymi majteczkami czy koszulką, kawałek jej ciała. Ściągał jej pończoszki i całował stopy. Ona podwijała mu rękawy i całowała ramiona, rozchyłała koszulę i obsypywała pocałunkami jego pierś. Pewnych granic nigdy nie przekraczali. Spoglądała na obrzmiałą wypukłość w jego spodniach i zakrywała rękoma twarz, kiwając się do przodu i do tyłu z uciechy. Przyciągał jej dłoń do tego miejsca, a ona ledwie go tam dotknęła, odrywała się od niego. Wybiegała na ulicę, unosząc ze sobą w zagłębieniu dłoni to niezwykle doznanie, jakim było dotknięcie ciepłej wypukłości skrytej pod cienką, wełnianą tkaniną.

Zarówno klawikord, jak i klawesyn były już przestarzałe od ponad dziesięciu lat, a przecież Mozart ciągle nie dorobił się tego nowego, godnego pozazdroszczenia instrumentu, jakim był fortepian. Szczęśliwie baronowa użyczała mu swojego, kiedy tylko go potrzebował. Nie brał pod uwagę kupna fortepianu w Wiedniu z innych niż tylko brak gotówki

powodów; czuł, że żadne nie są tak dobre jak te od Steina z Augsburga. Z tego, co słyszał, Stein nosił się z zamiarem otwarcia sklepu w Wiedniu. Tego dnia pomyślał sobie, że zerknie u Jana Schantza na jego instrumenty, które też uchodziły za dobre.

Wchodził tam z wielką radością; każda pracownia, gdzie wyrabiano instrumenty, była dla niego niczym raj. Czuł się tam jak w domu i zawsze istniała szansa, że wpadnie na przyjaciela, który mu opowie, co słyhać u innego przyjaciela, którego sam od dawna nie widział. Wszelkie wieści dotyczące spraw, które kochał, znajdowały drogę do takich pracowni i sklepów i stamtąd też wychodziły. W tym sprzedawano również nuty i kompozytor z przyjemnością zauważył, że mają sześć jego sonat skrzypcowych. Na ich wydaniu zarobił już sporą sumkę.

W pomieszczeniu na zapleczu, zarzuconym częściami instrumentów będących w budowie, brat Jana, Wenzel Schantz, trzymał się nad płytą rezonansową, a w części sklepowej kręciło się sporo klientów. Mozart podniósł właśnie wieko fortepianu i przyglądał się młoteczkom oraz potrójnemu naciągowi strun, kiedy podszedł do niego Jan.

– Witam, Herr Mozart. Cieszę się, że coraz więcej o panu słyhać. Czy myśli pan o kupnie instrumentu?– Mógłbym wyszukać taki, który odpowiadałby pańskiemu gustowi, i zaproponować najbardziej dogodnie warunki transakcji. Proszę pozwolić, że pokażę, jak działa mechanizm pedałowaty w tym właśnie egzemplarzu. Mój ojciec zna pańskiego od co najmniej trzydziestu lat. Książka pańskiego ojca, dotycząca techniki gry na skrzypcach, nadal pozostaje najlepszą w swojej dziedzinie. Mam nadzieję, że wielki Leopold Mozart miewa się dobrze.

Stali obok fortepianu, zaglądali do jego wnętrza, dyskutowali o młoteczkach i o naciągu strun, podczas gdy ekspedient zajmował się pozostałymi klientami

– Rozumiem, że już niedługo pozostanie pan w kawalerskim stanie – odezwał się Schantz przyjaźnie – W tym mieście wieści rozchodzą się szybko Podejrzewam, że wszyscy wiedzą o uczuciu pana do mademoiselle Weber – Budowniczy fortepianów zawahał się, przesunął bezgłośnie dłonią po czarnych klawiszach – A tak między nami mężczyznami, Herr Mozart, czy mógłbym powiedzieć panu kilka słów? Nasi ojcowie od tak dawna pozostają w przyjaźni! – Na jego twarz wypełził krzywy uśmiezek, za sprawą którego jeszcze bardziej przypominał Cygana – Och, te panny Weber! Wielu mężczyzn w tym mieście wie o nich to i owo. Mówię o tych dwóch młodszych. Tak, w ich przypadku można by rzec, że pozory mylą.

– Nie sędzę. Znam je dobrze

– Zatem pan nic nie wie? Pamiętam pewne przyjęcie, które wydaliśmy z moją żoną kilka miesięcy temu. Naturalnie żadna z tych dwóch panienek nie miała nic przeciwko wesołej zabawie. Ba, któż by miał? Dość było tutaj mężatek do odgrywania roli przyzwoitek, ale przyznam, że zaskoczyła mnie ochota, z jaką mademoiselle Konstancja uniosła spódnicę, żeby młody wiolonczelista mógł zmierzyć jej łydkę. Później pociągnęła mnie na dół, do pracowni, i muszę przyznać, że dosiadłbym to dziewczę, gdybym miał pięć minut więcej. „Kocham pana!”, oświadczyła wtedy. „I muszę pana mieć!” Dosłownie kleiła się do mnie. Potem, kilka tygodni później, przysłała list; Bogu dzięki, że moja żona go nie zobaczyła. Napisała w nim, że chce ze mną uciec. Ale to zapewne nie ma dla pana większego znaczenia. Pan zamierza poślubić pannę Zofię, prawda?

– Nie, nie Zofię.

– Och, w takim razie błagam o przebaczenie. Zachowałem się niedyskretnie. Jest mi naprawdę bardzo przykro. Tamto to przecież był jedynie miły wieczór i wino. Życzę panu wszelkiego szczęścia, Herr Mozart. Przyślę zamówienie do podpisu, jeśli zechce pan wybrać któryś z naszych fortepianów.

– Wolałbym grać na kłodzie drewna, niż kupić któryś z twoich instrumentów, Schantz.

Nie wiedział, którędy szedł i kiedy dotarł już do Petersplatz; krążył tam w kółko, uparcie, niczym wściekły pies. Odszedłby zresztą stamtąd, gdyby nie zobaczył, że Konstancja macha do niego z okna. Nie miał innej możliwości, musiał wejść na górę. Była w bawialni i naprawiała prześcieradła; odłożyła je i podbiegła do niego.

Odwrócił twarz.

– Wielkie nieba, co się stało? – wyszeptała.

Jej ciepły uśmiech rozplynął się bez śladu.

W kilku ostrych słowach powiedział jej, czego się dowiedział.

– Więc tak się zachowujesz? – spytał. – I ja muszę się dowiadywać takich rzeczy od człowieka, który jest mi całkiem obcy, który zapewne drwi sobie ze mnie. – Zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem. – Pozwoliłaś nieznajomemu przy wszystkich mierzyć sobie nogę; poszłaś do ciemnego pomieszczenia z żonatym mężczyzną i niemal... mój Boże, robi mi się tak niedobrze, że ledwo mogę myśleć. Za tydzień przyjeżdża mój ojciec. Jak mam mu cię przedstawić? Nie masz żadnego szacunku dla swojego i mojego honoru? Ja sam w obecności innych nigdy nie dotknąłbym twojej nogi.

– O co mnie oskarżasz?! – wykrzyknęła. Nagle zaczęła się trząść. – To prawda, że pozwoliłam mu zmierzyć sobie łydkę, ale wtedy moja noga nie należała do ciebie; nie rozporządzałeś ani moją nogą, ani żadną inną częścią



mojego ciała. O niczym podobnym nie myślałeś i nawet nie miałeś prawa myśleć. I owszem, zeszłam z nim do ciemnej pracowni.

– Sami w ciemności? Sami w ciemności? – Głos Mozarta zaczynał się załamywać.

– Tak, sami, w ciemności, ale to on mnie tam zaciągnął, bo wiedział, że jestem samotna, i jeśli mówi, że było inaczej, to jest kłamcą. Nie, nie spowiadałam się z tego, nie było powodu. O co robisz tyle hałasu?

– Bo muszę wiedzieć, gdzie cię dotykał.

Jej piękne, ciemne oczy rozjarzyły się gniewem, zacisnęła małe piąstki.

– A co to za różnica? Byłam nierozważna... ale czy musisz mnie tak przesłuchiwać? A co ty sam robiłeś? Otaczają cię piękne śpiewaczki; moja własna siostra była jedną z nich. Wrażliwy na kobiece wdzięki, tak o tobie mówił nasz opiekun. Skąd mam wiedzieć, co robisz, co usiłujesz zatuszować, oskarżając mnie? – Teraz już Konstancja krzyczała, a on patrzył na nią przerażony. W gniewie straciła nuty na podłogę, kałamarz przewrócił się i soczyście ciemnogrnatowy płyn rozlał się po dywanie. – Zobacz, do czego mnie doprowadziłeś... – Zakryła usta dłonią.

– A list, który wysłałeś do niego, żeby z tobą uciekł?

– Nie wysłałam żadnego listu, choć owszem, napisałam taki, kiedy czułam się okropnie nieszczęśliwa, nim ty raczyłeś na mnie spojrzeć. O Boże, więc to Zosia musiała go wysłać! Teraz pojmuje; zrobiła to dla mnie. Pragnęła mojego szczęścia.

– Zofia by coś takiego zrobiła?

– Ty nic z tego nie rozumiesz.

– Wiem, że nie pozwolę wystawiać się na pośmiewisko! – wykrzyknął.

– A jego ojciec zna mojego ojca... być może wypiją gdzieś szklaneczkę wina

i porozmawiają sobie. Nie dość, że kobieta, którą zamierzam poślubić, mieszka w pensjonacie, gdzie kręcą się mężczyźni wszelkiego autoramentu, chodzą korytarzami w nie dopiętych koszulach, oglądają suszące się części twojej garderoby, różne twoje drobiazgi...

– A gdzie mam je wieszać? Dlaczego jesteś taki zazdrosny? Chyba nie dałam ci do tego najmniejszego powodu? Ja tylko czekam, tak jak czekała moja siostra. Przerażeniem napawa mnie myśl o spotkaniu z twoim ojcem. Żeby go zadowolić, będę musiała się zachowywać sztucznie, w sposób zupełnie do mnie niepodobny.

– Chciałem mu powiedzieć, że nie jesteś taka jak inni Weberowie.

– Ależ ja jestem z Weberów i mam prawo być z tego dumna. Bo nasze serca są szczerze i jesteśmy gościnni. To właśnie ta nasza gościnność sprowadziła cię do nas. Jan Schantz mnie oczernia, a ty mu wierzysz. Gdyby mnie wykorzystał...

– Znam twoją gorącą naturę.

– Nigdy wcześniej nie miałaś nic przeciwko niej.

Stali i patrzyli na siebie gniewnym wzrokiem. Spoliczkowałyby go, gdyby nie chwycił ją za rękę.

– Przestań już, przestań, moja kochana Staniu – powiedział w końcu. – Nie chciałem, żeby to wszystko tak się wymknęło spod kontroli. Jestem zazdrosny, ale zawsze byłem cię pewny. To tylko tamte słowa wypowiedziane przez Schantza. To, co robiłaś przedtem, nie powinno mieć znaczenia, tymczasem ma, jeśli o tym plotkują. Nigdy nie kupię żadnego z jego instrumentów. Już raczej użyłbym ich na podpałkę. Podejdź do mnie; przestań już chodzić w tę i z powrotem jak żołnierz na warcie.

Objął ją, a ona tkwiła w jego ramionach sztywna i wzburzona, ze spuszczonego wzrokiem, gotowa znów wybuchnąć krzykiem i mówić rzeczy, których on nie byłby nawet w stanie sobie wyobrazić.

– Posłuchaj, wszystko będzie dobrze – szeptał. – Jestem zazdrosny, bo tak bardzo cię pragnę, a myśl o tym, że inny mężczyzna mógłby dotknąć twojej dłoni, doprowadza mnie do szaleństwa. Nie mogę już tego znieść. Nie będę czekał dłużej niż do jesieni. Musimy się pobrać jesienią. Będę liczył dni i godziny. Pomyśl tylko, jacy będziemy szczęśliwi! Będziemy mieć małego pieska, a jakże, oraz dom pełen pięknych foteli i luster, i w ogóle. Kilka pięknych, wytwornych pokoi tuż przy Stephansplatz. Jeżeli umrze ten stary organista w katedrze, może ja go zastąpię. Tak, wiele się może wydarzyć, kiedy ukończę operę i odniesie ona sukces, a odniesie, przysięgam. Wieczorem zaś zaciągniemy kotary i odeślemy pokojówkę.

Choć Konstancja nie wyrwała mu się z objęć, to nadal stała sztywno, ze wzrokiem wbitym w podłogę, nie reagowała na nic, jakby nie słyszała jego słów.

– Będę dla twojego ojca tak nieuprzejma, jak mi się będzie podobało, jeśli on będzie nieuprzejmy dla mnie. Moja rodzina jest równie dobra jak twoja, nawet jeśli nigdy nie graliśmy na europejskich dworach. Nie obchodzi mnie, czy twój ojciec przyjedzie. Wasze nazwisko może być znane w całej Europie, ale na mnie nie robi ono wrażenia. – Mówiła tak jeszcze długo, a on skulił się poblady.

– Zatem dobrze – oświadczył w końcu. – Napiszę. Bo rozmawiać dziś z tobą nie sposób.

– W tej dziewczynie tkwi jej mamuśka. Jak ja sobie z tym poradzę? – mamrotał do siebie, kiedy wyszedł na ulicę.

Nie dane im było wspólnie się cieszyć urokiem i ciepłem lata. Minęły trzy dni bez spotkania, choć Mozart słał jej liściki z nadzieją na pojednanie. Skończyły się prowadzone szeptem rozmowy, żartobliwe utarczki dotyczące mebli, dzielnic miasta, w jakiej zamieszkają, nawet imion przyszłych potomków. Kiedy nie otrzymał odpowiedzi na ostatni list, zniecierpliwiony wzniosł ręce do góry. Miał zbyt dużo pracy, żeby marnować czas na próby jej udobruchania. Był rozżalony i wysłał do ojca list, prosząc go, żeby odłożył swoją podróż.

Skąd mógł wiedzieć, że list dotrze do Salzburga dwie godziny po odjeździe dylizansu. Pewnego ranka siedział skulony w samej koszuli, pogrążony w pracy, kiedy drzwi nagle się otworzyły i stanął w nich jego ojciec. Siwe włosy miał ściągnięte do tyłu i ujęte we wstążki. Powiódł wzrokiem pełnym dezaprobaty po rozrzuconych ubraniach, rozgrzebanym łóżku, brudnych talerzach na brzegu stołu.

Mozart zerwał się z krzesła; dotknął dłonią ust, żeby pokryć zmieszanie.

– Przyjechałeś.

– Spodziewałeś się mnie, czyż nie? Na pewno się spodziewałeś. Przecież zaplanowaliśmy...

– Tak, oczywiście. Wchodź, wchodź proszę. Podróż była...

– Ciężka. Bolą mnie wszystkie kości.

Mozart ucałował ojca, zadzwonił na gospodynię, żeby zabrała brudne naczynia, i nerwowo przemierzał pokój. Niewiele do niego docierało z opowieści ojca o Salzburgu, o kłopotach z pracą, kiedy krzątał się po pokoju, przykrywając łóżko, zbierając brudne pończochy. Miał ochotę rozłożyć ręce, wskazać ten cały rozgardiasz i wykrzyknąć: Teraz rozumiesz, ojczy, właśnie dlatego muszę się ożenić. Nie widzisz, jak bardzo brakuje mi

żony? – Tymczasem, zważywszy na wydarzenia ubiegłego tygodnia, nie był to najbardziej odpowiedni moment na podobne zachowania. Nie wiedział, co tak naprawdę czuje Konstancja. Nie mógł się przebić przez jej gniew, ciągle miał przed oczyma zaciętą minę, z jaką odwracała od niego twarz. Rozmawiał z ojcem o muzyce.

– No dobrze. A gdzie ta dziewczyna? – spytał w końcu ojciec oschłym tonem. Rozejrzał się po niewielkim pokoju, jakby oczekiwał, że jego syn schował Konstancję Weber w szafie.

– Zgłodniałem, mam ochotę na obiad; poproś, żeby nam towarzyszyła.

Mozart wybiegł z mieszkania i popędził ulicą, uskakując przed końmi i wozami, klucząc między przechodniami i mijając pełne towarów stragany, wpadł do domu przy Petersplatz, ale Konstancji nie zastał; sąsiadka widziała ją, jak szła na rynek. Zawrócił i ruszył w tamtą stronę; pył ulicy zdążył już osiąść na jego trzewikach, kiedy zobaczył wreszcie, jak wynurza się ze sklepu rybnego, z rybą zawiniętą w starą gazetę w koszyku. Czuł, jak włos jeży mu się na głowie, kiedy do niej podchodził.

– Przyjechał mój ojciec – szeptał jednym tchem do jej ucha. – Zjemy wspólnie smaczny obiadek. Jest głodny i chciałby cię poznać. Nie udało mi się go powstrzymać przed przyjazdem, choć mu napisałem, żeby odłożył podróż. Proszę cię, chodź ze mną od razu i błagam, Staniu, moja ukochana, mój skarbie jedyny, moja przyszła żono, nie pozwól, by zauważył, że się poróżniliśmy. To wkrótce odejdzie w niepamięć, jak tylko przestaniesz się boczyć i uświadomisz sobie, jak bardzo cię kocham, zatem nie ma powodu, żeby teraz dowiadywał się czegokolwiek o nieporozumieniach między nami.

– Zapomnę o nieporozumieniach, kiedy przestanę się czuć zraniona – oświadczyła. – A ten ból nie mija ot tak sobie, od ręki. Ale spotkam się z twoim ojcem i będę miła, jak mnie nauczono. Och, czemuż nie wybrał się za

tydzień? Złość mi już niemal przeszła; potrzebowałam jeszcze odrobiny czasu, Wolfgangu. – Wsunęła dłoń w jego rękę, a on wziął od niej koszyk z rybą. Ruszyli zgodnie w stronę jego domu, minęli dozorczynię, która tkwiła przed wejściem i jadła lody, i weszli schodami na górę.

Konstancja zobaczyła drobnego mężczyznę o siwych włosach i kwaśnej minie. Jego dłonie można było uznać za piękne, mimo zgrubiałych od wieloletniej gry na skrzypcach opuszków palców.

Dygnęła, uświadomiwszy sobie nagle, że ma na sobie starą, cerowaną suknię, z brzegiem zaplamionym błotem i obklejonym kurzem.

Leopold odwzajemnił się sztywnym ukłonem.

– Aha – odezwał się po chwili. – Więc to ty jesteś Konstancja. Tak, miło cię poznać, Konstancjo...

– Mam nadzieję, że pańska podróż przebiegła dobrze.

–Podróże dylizanssem męczą mnie...

Rozmowa przebiegała drętwą, aż w pewnej chwili przerwało ją dobiegające z dołu stukanie i nosowy głos dozorczyńni.

– To mój librecista – wyjaśnił Mozart. – Ma pewnie dla mnie nową partię tekstu. Czekałem na to. Siadajcie, siadajcie, rozgośćcie się. Ojczy, pokaż naszą salzburską gościnność. W karafce jest jeszcze wino. Potem pójdziemy coś zjeść.

Ojciec Mozarta i Konstancja usiedli. Konstancja złożyła dłonie na podółku. Zorientowała się, że nie są zbyt czyste. Przez chwilę oboje słuchali podnieconych głosów z dołu.

Leopold mamrotał coś o winie, o muzyce kościelnej, o dzieciństwie. Potem odchrząknął.

– Wyglądasz mi na uczciwą dziewczę, mademoiselle Weber – oświadczył. – I wydaje mi się, że dostrzegam w twojej twarzy uroczą



niewinność, tak, dokładnie tak, jak mi to opisał. Uważasz pewnie, że znasz mojego syna, ale to niełatwa sprawa; on bowiem nie zna samego siebie, nigdy siebie nie znał.

– Wydaje mi się, że znam go dobrze. – Zaciśnięła piąstki. – Co pan ma na myśli?

– Jemu się wydaje, że kocha ludzi, tymczasem on kocha muzykę. Ukształtowałem go dla muzyki i on do muzyki należy, ale ona nie daje mu utrzymania. Nie potrafi zrobić kariery i poślubienie go byłoby katastrofą dla każdej kobiety. Czy nie zdarzało się, że czekałaś i czekałaś, a on nie przychodził? Czy nie podniósł czasem nieprzytomnego wzroku znad pisania, jakby cię nie poznawał? A widzisz. I co by się stało, gdybyś za niego wyszła? Czekałabyś, nieustannie byś czekała. Stałabyś przy oknie, czekając na człowieka, który często bywa w lepszym towarzystwie, nierzadko wśród pięknych niewiast. I wówczas byś pożałowała, że nie posłuchałaś tych smutnych słów starego człowieka, który go kocha. Bo ja czekałem, panienko; czekałem wiele lat, żeby mój syn prawdziwie powrócił do domu. A jeśli się ożeni... proszę nie brać tego do siebie, mademoiselle... wydaje mi się, że nie pochodzisz z rodziny, z jaką powinien się wiązać. On będzie musiał piąć się jak najwyżej. Proszę, niech cię nie urażą moje słowa, ale nie uda mu się odnieść sukcesu z tobą u boku. Postąpiłby niemądrze, gdyby zdecydował się ożenić z córką gospodyni pensjonatu.

Głosy na dole przybrały na sile, a potem rozległo się trzaśnięcie drzwi. Mozart wrócił na górę i wbiegł do pokoju, przeczesując palcami rozwichrzoną czuprynę.

– No to – odezwał się nieco zadyszczanym głosem, przenosząc wzrok z jednego na drugie – mieliście okazję pogadać. Doskonale. Możemy teraz pójść coś przekąsić. Tutaj nie znajdzie się nic do jedzenia.

Konstancja zerwała się z krzesła.

– Muszę wracać, czekają na mnie w domu.

– Zatem jutro?

– Tak, jutro.

– Pozwól, że odprowadzę cię kawałek.

Dzień był upalny i osłonięte płóciennym daszkiem w niebieskie paski stoisko z lemoniadą na rogu ulicy było obleżone. Konstancja pozwoliła wziąć się pod rękę, ale nie przytuliła się do niego.

– Czy on cię czymś zdenerwował? – spytał ją Mozart z największą czułością. – Ukochana, najdroższa, co takiego ci powiedział?

Zalamującym się głosem powtórzyła mu słowa ojca. W Wolfgangu zawrzało z oburzenia.

– Jak on śmie mówić coś podobnego? – krzyknął, nie zwracając uwagi na przechodniów. – Dlaczego nie szanuje moich pragnień?! Ja wszak go szanuję. Zawsze będę go utrzymywał, nieważne ile tych przeklętych lekcji będę musiał udzielać nie mającym za grosz słuchu uczniom. A co z tymi wszystkimi pieniędzmi, które zarobiłem jako dziecko? Zainwestowałem we mnie, nie jest więc biedny. Na Boga, musi mi dać swobodę! Czy wzniosę się, czy upadnę, uczynię to z własnego wyboru. On jeszcze oprzytomnieje i pobłogosławi nasze małżeństwo. – dodał. Potrząsał teraz jej dłońmi. – Na pewno. Ważne jest tylko to, moja Staniu, byśmy my dwoje się pogodzili i znów żyli w przyjaźni.

– Czy ty nie pojmujesz, że to niemożliwe. – W jej twarzy była czysta szczerłość. – Nie mogłabym poślubić kogoś, kto ma takiego ojca. On ciągnąłby cię w jedną stronę, ja w drugą. Ja chcę, żeby on mnie lubił, tymczasem on mnie nie lubi. I nie polubi. Nie chciałabym cię prosić, żebyś wybierał między nami. Posłuchaj, Wolferl: oboje czuliśmy się samotni i

zakochaliśmy się w sobie, ale widocznie wspólna przyszłość nie była nam pisana. Być może znajdziemy jakiś sposób, by znów być przyjaciółmi jak niegdyś. Czy to nie może się udać?

– Nie, nie może – odparł cicho i oparł się o mur kościoła, przy którym stanęli. – Wiem jednak, że od czasu naszej kłótni chodzi ci to po głowie. Dziś wszystko obraca się przeciwko mnie. Jednego dnia człowiek uważa, że wszystko jest w jego zasięgu, a już następnego to wszystko mu zabierają. Taka jest prawda o życiu, a ja zawsze chcę ją odmienić. Gottlieb Stephanie nie ma czasu, żeby szybko dokończyć libretto, a co więcej chcą ze mnie zrezygnować i zamówić operę u jakiegoś innego kompozytora. Dla niektórych moja muzyka jest nazbyt oryginalna; nie jestem przystojny; i nikt mi nie wybaczy tego, że nie jestem już dzieckiem, nawet moja rodzina. Być może straciłem dzisiaj szansę, jeśli chodzi o operę, oraz wszelkie nadzieje na małżeństwo z tobą. Nie ma co już dłużej tego roztrząsać. Spotkamy się od czasu do czasu na ulicy, Konstancjo. Zawsze będę ciekaw, co u ciebie. Przekaż pozdrowienia małej Zosi, kiedy będziesz do niej pisać.

Odszedł z opuszczoną głową, a ona stała tam przez jakiś czas, z koszykiem na ramieniu, aż wreszcie poszła do domu. W kuchni matka piła kawę w towarzystwie dwóch sąsiadek. Konstancja poszła na górę do swojego pokoju i położyła się w poprzek łóżka, zasłaniając twarz ramieniem.

Drzwi opery zastał zamknięte, znalazł jednak otwarte boczne wejście, wszedł i wbiegł na piętro. Z biura dobiegły go szmery; zapukał i natychmiast wszedł do środka, spodziewając się, że zobaczy enigmatyczną twarz Orsiniego–Rosenberga, gdy tymczasem za biurkiem, nad rozłożonymi księgami rachunkowymi siedział Thorwart, zupełnie jakby sam był

dyrektorem. Odsunął księgi, splótł ręce na swoim wydatnym brzuchu i utkwiał spojrzenie w kompozytorze.

– Któraż to opera konkuruje z moją?! – wykrzyknął rozsierdzonym głosem Mozart. – Słyszałem o tym od swojego librecisty. A przecież zapewniono mnie, że zostanie wystawiona moja, kiedy w ubiegłym tygodniu zagrałem jej fragmenty hrabiemu.

– Twoja mogłaby mieć szansę, gdyby była skończona – odparł sucho Thorwart. – A nie jest. Potrzebna nam jest gotowa opera, a że mamy z czego wybierać, wybraliśmy.

– Ale przecież moja będzie gotowa za kilka tygodni: librecista klnie się, że opóźnienie będzie bardzo niewielkie.

Thorwart zmarszczył brwi i pomachał grubym paluchem.

– Młody człowieku, młody człowieku, masz za wysokie mniemanie o sobie. Nie zapominaj, że w Wiedniu jesteś tylko jednym z wielu kompozytorów. Powiem ci, co jest twoją zgubą: twoja duma. Jesteś muzykiem, co czyni cię sługą. Słudzy to nie ludzie szlachetnie urodzeni. Ja też nie należę do arystokracji, ale jestem jej bliżej, bo zachowuję się jak dżentelmen. Miałeś szansę zarobić na przyzwoite życie jako muzyk kościelny, ale tym wzgardziłeś.

– Stałeś pan przeciwko mnie.

– A miałem jakiś powód, żeby stanąć za tobą?

– Mój panie – Mozart zacisnął ręce na krawędzi blatu – łatwiej byłoby mi uzyskać wszystkie posady, jakie kiedykolwiek mógłbyś zdobyć, niż tobie stać się tym, czym jestem ja, nawet gdybyś miał do dyspozycji trzy żywoty, a nie jeden.

Uklonił się z wielką godnością i wyszedł. Potem popędził ulicami pomiędzy powozami i furgonami do drzwi swojego librecisty. Wpuściła go zaskoczona żona Stephaniego. Minał ją bez słowa i wdarł się do sypialni.

– Gdzie jest libretto? Dawaj mi to libretto! – wrzeszczał, potrząsając zażywnym, chrapiącym mężczyzną.

Kolejne partie libretta nadchodziły bez opóźnień jedna po drugiej, a on nie robił nic, tylko pisał. Po trzech dniach ojciec wyjechał do domu, a Mozart siedział samotnie w rozgardiaszu swojego pokoju, komponując dalszy ciąg opery.

Kilka dni później w swojej sypialni Konstancja pisała list do młodszej siostry, przygryzając co jakiś czas koniec pióra. Na przodzie jej fartucha wykwitła plama atramentu.

Najdroższa, najukochańsza Zosiu,

Między mną i Mozartem wszystko skończone. Jeszcze dzisiejszego ranka był tu przez godzinę jego przyjaciel Leutgeb i próbował mnie przekonać, bym do Mozarta wróciła. Stał z przechyloną głową i wyliczał wszystkie prawdziwe cechy swojego druha („Uczciwy Wolfgang, zacny Wolfgang!"). „Nie sądzę, bym w ogóle miała ochotę wychodzić za mąż", odparłam. „A już szczególnie za kogoś z takim ojcem, wstrętnym, bezdusznym człowiekiem! Zostanę w domu i będę pomagać matce. Jestem tutaj ostatnią z sióstr, cóż mi więc pozostaje. W ogóle nie wyjdę za mąż". On zaś podszedł bliźutko do mnie. „Cóż za marnotrawstwo", rzekł, całkiem serdecznie, a ja poczułam, jak oblewa mnie tamten żar, który tak mnie przeraża, bo nie wiem, co mogłabym za chwilę zrobić. Naprawdę nie wiem. Serce rwie mi się do M., ale po tym, jak powiedział, że nie jestem ładna, a także przypisał nam wszystkim same najgorsze cechy, że nie wspomnę już jego żalostnego ojca, duma nie pozwala mi do niego wrócić. Tymczasem on

nie robi nic, dosłownie nic, tylko śle mi swoją muzykę. Nie słowa, wyłącznie nuty. Przysłał mi zdumiewającą serenadę na trzynaście instrumentów dętych, a Leutgeb biegał dookoła, śpiewając jej fragmenty. „Posłuchaj tego... cóż za muzyka”, wykrzykiwał, aż miałam ochotę krzyknąć albo zatkać sobie uszy.

Już Ci prawie wybaczyłam wysłanie tamtego listu do Herr Schantza, choć był to najbardziej niemądry postępek, jakiego się w życiu dopuściłaś. Może to i dobrze, kiedy największe głupstwa robimy we wczesnej młodości; przez resztę życia możemy już być bowiem mądrzy. Nie powinnam zapominać, że masz dopiero piętnaście lat i sześć miesięcy.

Dlaczego jednak piszę o takich sprawach? Bo ciągle płaczę. Powiedz mi, co mam zrobić. Nawet po tej historii z listem nadal Ci ufam.

Konstancja

Odpowiedź, zaopatrzona w klasztorną pieczęć (rozmyty w niebieskim wosku wizerunek Ducha Świętego), nadeszła bezzwłocznie.

Najdroższa Konstancjo,

Po otrzymaniu Twojego listu nie mogłam zasnąć, zesłam więc w środku nocy do naszej kaplicy. Pod figurą Madonny płonąła tylko jedna świeca, a ja długo przed nią klęczałam i być może zasnęłam i sobie to wyśniłam, a może była to prawdziwa, zesłana mi wizja. Przybył bowiem anioł i usiadł obok, jego wielkie, miękkie skrzydła niemalże zepchnęły mnie z miejsca. Pachniał lemoniadą. Był obnażony do pasa i prawdziwie piękny, a ja próbowałam nie patrzeć na niego, by wydawało mi się, że jestem zanadto jego widokiem poruszona. Siedział tam czas jakiś, rozmawiając ze mną o tym i owym. „Musisz pojechać do domu i doprowadzić do małżeństwa pomiędzy twoją siostrą i Amadeuszem”, powiedział w którymś momencie. Z początku nie mogłam sobie przypomnieć, któż to taki ten Amadeusz, bo



nigdy tak go nie nazywaliśmy, ale to jest przecież jego drugie imię, prawda? Stąd to „A”, kiedy podpisuje nuty ze swoją muzyką (a najbardziej lubi wersję Amade, jak mi kiedyś powiedział). Wygląda więc na to, że skoro Ty jesteś taka niemądra, to ja muszę przyjechać do domu.

Szczerze mówiąc, zrobię to z przyjemnością, bo poddawszy moje powołanie próbie, odkryłam, że wolę wielbić Boga w otwartym świecie, a nie za murami klasztoru, a poza tym nie mam nic przeciwko flirtom. Lubię porozmawiać z przyjaciółmi o prawdziwym sensie życia, przy winie i muzyce, w miłym otoczeniu. Przekonałam się, że doskonale dla mnie jest wszystko to, co miałam jako mała dziewczynka. Tego tutaj nie znajdę. Nie zamierzam nigdy wychodzić za mąż, bo będzie bardziej cnotliwie pozostać dziewicą, zależy mi natomiast, żebyś Ty poślubiła jego, dla Twojego dobra, a przy okazji znów będziemy miały nasze czwartki. Pakuję zatem swoje manatki. Dwie z naszych sióstr wybierają się do Wiednia, więc zabiorę się z nimi.

Proszę Cię, tylko mi nie mów, że coś się stało mojej kotce.

Konstancja skwapliwie odpowiedziała siostrze, posługując się jednym z piór ojca.

Najdroższa Zosiu,

Czekam na Ciebie z otwartymi ramionami! Ze łzami radości czytałam Twój list. Chcę, żebyś tu przyjechała i żebyśmy zawsze byli razem, ale Mozarta poślubić nie mogę. Dobiegnę trzydziestki i zestarzeję się, nim otrzymamy zgodę jego ojca. Musisz zaprzestać dalszych prób urządzania nam życia, ale proszę Cię, wracaj.

Kotka ma się dobrze i jest matką sześciorga kociąt, co, jak powiedziałaaby Józefa, musi oznaczać, że rzeczywiście miewała się dobrze i cieszyła wiedeńskim życiem.

Ściskam jak zawsze, Twoja siostra K.

Zofia pojawiła się w domu, ciągnąc za sobą swoją jedyną skromną, skórzaną walizę, i wbiegła po schodach na górę, gubiąc po drodze szpilki z rozwichrzonych włosów. Ucałowała kotkę, wyraziła zadowolenie, że Konstancja podlewała rośliny w ogrodzie oraz w doniczkach, i bez dalszej zwłoki udała się do ojca Pawła, który zgodził się z nią, że jej powołaniem jest otwarty świat i nie powinna kryć się za murami klasztoru. Odnalazła swój stary słomkowy kapelusz, przypięła do niego kwiaty i nałożyła. Spod ronda jaśniała blada, piegowata twarzyczka i błyskały okulary,

– Poświęcę się dobrym uczynom – oświadczyła. Pierwszego wieczoru sporządziła listę tych najbardziej pilnych: znaleźć kolejnych lokatorów, nakłonić matkę, żeby jadła mniej klusek i słodyczy, oraz spalić ten niedorzeczny notes z nazwiskami kandydatów na mężów.

Nazajutrz do dziesiątej rozmawiała z siostrą, leżąc w łóżku, a potem wstała i zaczęła wiązać w pasie spódnicę sukni spodniej.

– Dajże już spokój – powiedziała do Konstancji. – Nie wychodzisz za ojca Mozarta, a Mozart dlatego jest zazdrosny o każdego, kogo kiedykolwiek obdarzyłaś uśmiechem, że cię kocha. Idź i powiedz mu chociaż, że znów możecie być w przyjaźni. Pójdę z tobą. Nałóż swój słomkowy kapelusz... czekaj, do twojego też przypnę kwiaty.

Poszły ubrane w kwieciste suknie i wielkie słomkowe kapelusze.

– A teraz idź na górę – powiedziała Zofia, kiedy dotarły do domu, w którym mieszkał Mozart; przed wejściem stała dozorczyńni i tym razem jadła czarny chleb z kielbasą. – Ja tu zaczekam. Kiedy zejdziecie, pójdziemy wszyscy na lemoniadę.

Konstancja wchodziła na górę z ociąganiem, przesuwając rękę po poręczu. Słyszała dźwięk fortepianu, który Mozart zamówił na kredyt u

Steina, konkurenta Jana Schantza w produkcji instrumentów, i zatrzymała się na chwilę w otwartych drzwiach, żeby popatrzeć, jak gra, objąć spojrzeniem jego palce, które zdawały się jedynie muskać klawisze.

– Konstancja! – zawołał, kiedy podniósł wzrok. Potem milczał przez dłuższą chwilę. – Chodź i popatrz na tę arię służącej Blondy z mojej opery – powiedział wreszcie, jak gdyby nigdy nic. – Zaśpiewasz ją dla mnie?

– Nie śpiewam zbyt dobrze. I nie przypuszczałam, że opera dojdzie do skutku.

– Dojdzie do skutku – odparł z zawziętością. – I oddam całą fortunę, jaką kiedykolwiek zgromadzę, jeśli zaśpiewasz dla mnie tę arię. – Podeszła bliżej, a on chwycił jej dłonie i siłą posadził na taborecie obok siebie. – Posłuchaj mnie – poprosił. – Posłuchaj mnie, najmilsza. Myślę o tobie przez cały czas. To ty jesteś mi przeznaczona. Udawajmy, że się dopiero co poznaliśmy. Ja nie wiem nic o twojej rodzinie, a ty nic o mojej. Nie ma nikogo poza nami. I muszę ci powiedzieć, że mam dla ciebie prezent.

– Przecież nie wiedziałeś, że przyjdę.

– Zosia dała mi znać wieczorem.

– Och, ten dzieciak... będę zmuszona odesłać ją do klasztoru. No cóż, pokaż mi ten prezent, ale... chwileczkę, dopiero co się poznaliśmy. Nie zapominaj. Dopiero się poznaliśmy i zaczynamy wszystko od początku.

Wziął ją za rękę i poprowadził na dół, do ciemnej izby dozorczyń, obok bramy, gdzie w kącie stał koszyk, a w nim leżała suka i cztery szczeniaki. Uklęknął i pociągnął ją za sobą.

– Już jej obiecałem, że uwolnię ją od tego brązowego. Słuchaj, mówiłem sobie, oni je potopiają, jeśli nie znajdą się ludzie, którzy dadzą im dom. Powiedziałem sobie, ta mała będzie dla Stani. Nie możesz jej jeszcze zabrać, bo jest za wcześnie, ale możesz ją codziennie odwiedzać, albo dwa

razy dziennie, albo co godzinę, a kiedy będziesz to robić, to od czasu do czasu przypomnisz sobie tego samotnego kompozytora na górze. – Zawahał się. – Kiedy będziemy mieć własne mieszkanie, kiedy już się pobierzemy, piesek będzie wtedy należał do nas obojga.

– Mam nadzieję, że nastąpi to wkrótce – odparła, kryjąc twarz pod rondem kapelusza.

– To musi być jak najszybciej, Konstancjo, bo usycham z tęsknoty.

– I ja usycham z tęsknoty – wyszeptała dziewczyna spod runda kapelusza, a jej głos stłumiło ciche popiskiwanie szczeniaków. – Pewnie powinnam porozmawiać z matką, a ty musisz powiedzieć...

–Już do niego napisałem.

Kiedy wszedł do bawialni pensjonatu z Leutgebem u boku, czekali tam już wszyscy, choć umówiona godzina jeszcze nie wybiła. Cecylia Weber ubrana była w swoją najciemniejszą, najbardziej uroczystą suknię, zapiętą wysoko, i w biały czepek obszyty nieco już pożółkłą koronką. Pod szyją miała broszkę, którą rozpoznał: kiedyś się zastanawiał, czy zawiera ona jakąś relikwię, czy też pamiątkę związaną z jej zmarłym mężem. Ukłonił się, a ona lekko pochyliła głowę. Po swojej prawej stronie miała Thorwarta ze zwiniętą kartką papieru na kolanie, która, jak przypuszczał Mozart, była ślubnym kontraktem. Za nim siedziała Konstancja, małe dłonie trzymała złożone na kolanach, głowę miała opuszczoną. Zażywne sylwetki tamtych dwojga niemal całkiem ją zasłaniały, ale Mozartowi wydawało się, że jest niespokojna. Miał wielką ochotę ucałować jej rękę. Obok niej, na krześle z jedną nogą krótszą, również z rękoma na podołku, siedziała Zofia. Za każdym jej poruszeniem krzesło przechylało się w bok. Zastanawiał się, co będzie miało dłuższy żywot, to spotkanie czy krzesło.

Usiadł, kapelusz położył na kolanie. Leutgeb usiadł obok niego, kiwając się lekko w przód i w tył; od czasu do czasu drgały kąciki jego ust. Mozart wbił wzrok w wyłysiały fragment dywanu wokół nogi klawesynu. Gdyby spojrzał prosto na Leutgeba czy Zofię, zapewne nie potrafiliby się powstrzymać od śmiechu. Zwijałby się już na tym wytartym dywanie, zatykając sobie usta jedną ze starych czerwonych poduszek z kanapy.

– Postaraj się zachowywać przyzwoicie – prosił Leutgeba, kiedy tam szli. – Atmosfera będzie jeszcze poważniejsza od tej, z jaką byśmy mieli do czynienia, gdyby arcybiskup Salzburga postawił mnie przed sądem za czynną na niego napaść, no ale w końcu tu rozstrzygają się sprawy poważniejsze. Ostatecznie ona ma moje dziewczę w garści, a przynajmniej tak się jej wydaje.

– Ta zrzęda, ta bryła spleśniałego sera.

– Nie jest taka zła – powiedział Mozart. Ale kiedy podniósł wzrok na przyszlą teściową, pomyślał, że jest znacznie gorsza.

Thorwart odchrząknął.

– Zebraliśmy się tutaj...

Maria Cecylia podniosła rękę, żeby go uciszyć, pochyliła głowę.

– Herr Mozart – powiedziała. – Szanowny panie Mozart, rozumiem, że stara się pan o rękę mojej córki Konstancji.

– Chcę ją poślubić, owszem, rękę i w ogóle. Obie ręce i całą resztę, szanowna Frau Weber.

– Musi pan zrozumieć pewne sprawy. Nasza sytuacja nie jest taka jak wtedy, kiedy poznał nas pan w Mannheim, kiedy doświadczałyśmy dobrodziejstwa, jakim była mądrość mojego biednego, drogiego małżonka. Teraz jestem wdową, z dwiema pozostałymi przy mnie córkami. Pragniesz pan poślubić moją Marię Konstancję, ale skąd mamy wiedzieć, że

rzeczywiście tak uczynisz? Proszę, byś w dowód dobrych intencji podpisał ten kontrakt, zobowiązując się zapłacić pewną sumę pieniędzy, jeśli nie poślubisz jej w ciągu najbliższych trzech lat. Musi pan zrozumieć, że my znamy pańską opieszałość, jeśli chodzi o potwierdzenie wyznanych uczuć w świętym Kościele, Herr Mozart. Nie życzylibyśmy sobie powtórki z tego, co już zaszło w tej rodzinie pomiędzy panem a inną z dziewcząt.

Thorwart kiwał poważnie głową. Szczęki miał zaciśnięte z taką stanowczością, jakby chciał je zmiażdżyć. Mozart wziął głęboki wdech. Podniósł wzrok i zobaczył minę Zofii; zrobiła zęza i ruszała noskiem, wyglądała jak pijany królik. Czuł, że zaraz wybuchnie śmiechem, ale Leutgeb położył mu rękę na kolanie, przywołując go do porządku.

– Pańska odpowiedź, Herr Mozart.

– Wie pani, że się zgadzam. Zgodzę się na wszystko, żeby ją mieć. Proszę o pióro, złożę podpis. – Rozłożył buńczucznie ramiona. – Ożenię się z nią w ciągu trzech miesięcy. Madame, gdyby to tylko było możliwe, zrobiłbym to w ciągu trzech dni. Gdzie atrament i pióro? Gdzie notariusz?

– Ja jestem notariuszem – oświadczył Thorwart. – Maria Zofia jest świadkiem.

Natychmiast wszyscy obecni, poza Marią Cecylią, wstali i podeszli do stołu. Z kuchni doszedł ich wrzask wymyślającej komuś pomocy kuchennej i brzęk tłuczonych naczyń. Maria Cecylia zignorowała te hałasy; przyglądała się bowiem bacznie, jak młody kompozytor składa podpis, po czym, lekko spocona, wstała.

Ni stąd, ni zowąd Konstancja przepchnęła się przez nich wszystkich i chwyciła kartkę.

– Nie potrzebuję żadnego kontraktu! – wykrzyknęła. – Wierzę twemu słowu. Naprawdę wierzę. – Odwróciła się ku matce. – Mamo, to nie ma nic



wspólnego z tobą, to sprawa pomiędzy mną a Wolfgangiem. – Kontrakt, a raczej strzępy papieru opadały na podłogę i osiadały wokół nóg klawesynu.

Wyrwali się z domu i zatrzymali na tyłach kościoła, gdzie objąwszy się, trwali tak przytuleni w milczeniu. Przydreptała do nich Zofia z wielkim parasolem.

– Chyba będzie padać – oznajmiła. Zrobiła zeza, poruszyła noskiem i znów przez chwilę wyglądała jak królik w okularach.

Jakiś czas później Konstancja i Zofia zamknęły się w bawialni. Lokatorzy biegali w górę i w dół po schodach; Wiedeń mókł w nieustępliwym deszczu; mokły lipowe aleje i gmachy operowe, i cesarski pałac, woda omywała zdobiące kościoły figury aniołów i świętych, organy i fortepiany nasiąkały wilgocią, ociekały witryny wspaniałych, sprzedających wytworne stroje sklepów. Przed operą skąpane w deszczu afisze informowały o premierze *Die Entführung aus dem Serail – Urowadzenia z seraju* Wolfganga Amadeusza Mozarta.

Tydzień później z Pragi wróciła Józefa. Porzuciła płócienną torbę przy drzwiach frontowych, a sama pobiegła, pokonując po dwa stopnie naraz, do pokoju, który kiedyś dzieliła z siostrami. Tam popatrzyła na walające się wokół kapelusze, suknie, pończochy i książki, po czym schyliła się, podniosła jeden ze znoszonych pantofelków Zofii na płaskim obcasie i przytuliła do serca. Twarz jej wykrzywił grymas, mocno zacisnęła oczy. Nie rozplacze się teraz, nie zapłacze, dopóki to się nie skończy, a potem może już nigdy więcej.

Dlaczego nie było tu ani Konstancji, ani Zofii? Myślała o nich przez całą długą podróż do Wiednia, myślała o zabawach, którym oddawały się jako małe dziewczynki. Ona często bywała herosem: zabijała smoki, wyprowadzała siostry z płonących zamków, usuwała złe czary machnięciem

krzywego kija, który przecinając powietrze, zdawał się błyszczeć niczym miecz. Teraz siostry były jej potrzebne bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, ale naturalnie nie powiadomiła ich o swoim przyjeździe. Nikt o tym nie wiedział.

Rozpuszczone włosy sięgały Józefie do połowy pleców. W rękach trzymała szpilki i zaciskając na nich palce, coraz wolniejszym krokiem schodziła po schodach do bawialni.

– Papo – wyszeptała. Otworzyła drzwi i oparła się o framugę. Może on tu będzie... może! Nie było go. Był tylko jego klawesyn, z odsłoniętą klawiaturą, a blade światło pochmurnego dnia igrało na pożółkłych, zużytych klawiszach z kości słoniowej. Na ścianie nad instrumentem wisiał jego portret, z tym lekko krzywym, ciepłym uśmiechem. Frydolin Weber, drugi tenor kościoła, skrzypek, gościnny gospodarz, który otwierał szeroko drzwi na powitanie gości wspinających się po schodach kamienicy w Mannheim. *Szybciej, szybciej, już nie mogę się doczekać, żeby was uściskać!* Pamiętała, jak grał gamy, kiedy stała przy nim, ucząc się śpiewać.

– Co, tak nagle wyjeżdżasz? – spytał ją bas Hofer po ostatnim spektaklu w praskiej operze, kiedy poszła do jego garderoby powiedzieć mu do widzenia. Stał, wciąż ubrany w szaty króla, którego tego wieczoru grał. – Wiesz, że obserwowałem cię, odkąd przyjechałaś. Masz wspaniały głos, tym bardziej wyjątkowy, że śpiewasz z uczuciem, które w sobie nosisz. Ludzie przychodzą specjalnie, żeby cię posłuchać. Dlaczego wyjeżdżasz?

– Muszę.

Przeszedł przez pokój i wziął ją za rękę; nie był przystojny, ale potrafił słuchać innych, i ona zawsze czuła, że jej wysłuchiwał.

– Jest pan bardzo uprzejmy, monsieur Hofer – dodała.

– Ale wrócisz do Pragi?

Wszystko zaczęło się w bawialni bardzo przypominającej tę, pomyślała; zaczęło się od ojca. On podarował mi muzykę i miłość. Zawsze mnie chronił, byłam jego córeczką. Odwróciła się raptownie i zeszła do kuchni.

Maria Cecylia Weber spała w starym fotelu, który wozili ze sobą z miasta do miasta; jej szerokie biodra ukryte pod przepastnymi spódnicami, głowa z obwisłym, podwójnym podbródkiem opuszczona na piersi, wznoszącej się i opadającej w rytm oddechu. Deszcz bił w kuchenne szyby, przeciekał nieco pod futryną, a na wyższych piętrach panowała cisza i spokój, tak jak to bywa czasami wczesnym rankiem. Józefa nasłuchiwała. Nawet wiolonczelista nie grał na swoim instrumencie; najwyraźniej poszedł na próbę albo się wyprowadził. Kuchenny stół zawalony był wystygłymi już kurczakami, które później zostaną podane w ciepłym sosie, z cebulą i mnóstwem innych jarzyn.

Odetchnęła głęboko.

– Mamo – odezwała się surowym głosem.

Maria Cecylia westchnęła i poruszyła się. Wzdrygnęła się lekko, kiedy otworzyła oczy i skupiła wzrok na najstarszej córce. Przez chwilę w jej pulchnej twarzy, o nadal młodzieńczo gładkiej skórze, pojawiło się coś miękkiego i Józefie przypomniało się, jak lata temu biegła przytulić się do obfitego matczynego łona, a matka pytała: „Czyją jesteś córeczką? I kto cię najbardziej kocha?”

Maria Cecylia wyprostowała się w fotelu, przybrała właściwy sobie wyraz twarzy, poprawiła przekrzywiony biały czepek.

– Stoisz tam z tymi rozpuszczonymi włosami jak kobieta rozwiązła – odezwała się zachrypłym od snu głosem. – No cóż, Józefo, mogłaś dać znać, że przyjeżdżasz. Przyjechałaś w ślad za kochankami? Czegóż ty, na Boga,

chcesz? Tyle miesięcy z dala od domu i ani jednego listu do mnie, ani grosika, choć mogłam być w potrzebie. Wedle własnej woli wkraczasz w nasze życie i je porzucasz, prawda?

– Och, cóż za miłe powitanie! – mruknęła Józefa.

Tymczasem oczy matki wypełniły się łzami, które popłynęły po szerokiej, płaskiej twarzy. Maria Cecylia wstała, na chwilę podparła się ręką w krzyżu, po czym zaczęła mieszać gotującą się na wolnym ogniu zupę.

– Tak – powiedziała, odwrócona plecami do córki. – Wracasz pewnie do domu, żeby się chełpić, po tym jak okryłaś nas niesławą i musiałyśmy ciężko pracować, żeby odzyskać dobre imię. Domyślam się, że znasz już najświeższe wiadomości. Z tego, co wiem, siostry pisują do ciebie. Stania się zaręczyła, choć bez kontraktu, niemądra dziewczyna; zostawi ją z brzuchem, wspomnisz moje słowa. Alojza wydaje się szczęśliwa z tym swoim portrecistą, choć przecież stać ją było na więcej. A teraz ty wracasz, by, jak przypuszczam, okryć mnie hańbą. Mogłabyś przynajmniej pomóc przy obiedzie, zamiast tak stać bezużytecznie. Zofia jest poza domem, poświęca się dla ubogich.

– Nie chcesz wiedzieć, gdzie byłam?

– Nie, nie chcę. Ale i tak mi powiesz.

– Z Pragi wyjechałam miesiąc temu. Podróżowałam. Pojechałam do Zell, gdzie się urodziłaś i gdzie poznałaś papę.

Maria Cecylia znieruchomiała; po chwili pomasowała sobie krzyż i ponownie wróciła do mieszania zupy. Wreszcie odwróciła się do stołu i zaczęła kroić kurczaka. Nie podniosła wzroku.

– Pojechałaś do Zell? Po co? Nigdy nie interesowałaś się szczególnie moimi siostrami, a swoimi ciotkami. Biedna Greta, biedna Elżbieta!

Józefa obserwowała, jak jej sprawne dłonie dzielą kurczaka, jak usuwają kości, układają mięso w porządne stosiki.

– Chciałam odkryć prawdę o tobie i o tacie. Pamiętasz, co powiedziałaś wtedy w powozie, kiedy wracaliśmy z pogrzebu papy? Nigdy tego nie zapomniałam. W Zell całkiem sporo ludzi nieźle cię pamięta. Twoja rodzina nie miała dużo pieniędzy, dowiedziałam się tego. Tak długo męczyłam ciotki, aż mi to wyznały. Wasza rodzina nigdy nie była zamożna, nigdy nie było tam żadnych sreber. Nic z tego nie było prawdą, zupełnie nic.

– Jak długo zamierzasz u nas zostać, Józefo? – spytała lodowatym tonem matka, nie podnosząc na nią wzroku.

– Niedługo! Mam w tym mieście przyjaciół, mogę zamieszkać u nich, nim jednak odejdę, chcę, żebyś mi powiedziała, kto jest moim prawdziwym ojcem. Chcę usłyszeć od ciebie prawdę.

Maria Cecylia zaczęła rozwiązywać fartuch, po czym opuściła rękę.

– Jak śmiesz zadawać mi takie pytanie?! – wykrzyknęła. – Takie niedorzeczne pytanie! Z powodu jednej uwagi, jaką uczyniłam w chwili bólu, pochowawszy mojego anielsko cierpliwego Frydolina? Jak śmiesz wątpić w moją uczciwość? Tak, chciałabyś unurzać mnie w błocie, co? – Zakryła ramieniem twarz i zaczęła szlochać, jej obfity biust falował gwałtownie. – I pomyśleć – zaczęła znów – jak przez te wszystkie lata musiałam się borykać z codziennymi kłopotami, wyklócać z komornikiem, znosić pogardę brata twojego ojca i całej jego rodziny, która uważała, że na niego nie zasługuję. Zawsze kpili, że nie jestem dość wykształcona, bo nie rozumiem muzyki. „Ledwie czyta”, powtarzali, „a co dopiero mówić o rozumieniu muzyki”. Skąd możesz wiedzieć, co było pomiędzy mną a twoim ojcem? Skąd możesz wiedzieć, co ja wycierpiałam? – Gładka skóra na jej twarzy pokryła się plamami.

Zaskrzypiały drzwi i do kuchni wkroczył Thorwart, roztaczając wokół znajomy zapach perfum, który wręcz poprzedzał jego wejście, gdziekolwiek się znalazł.

– Co się tutaj dzieje? – spytał surowym tonem. – Słyszałem wasze głosy na ulicy, przy drzwiach frontowych. Widzę, że powróciła marnotrawna córka i bezzwłocznie wywrzaskuje na matkę. Czy nie dość masz jeszcze naganego zachowania tej młodej kobiety, Mario Cecylio? Na twoim miejscu kazałabym policji ją stąd wyprowadzić. Ona nikomu tu nie jest potrzebna. Dlaczego tak mi się przyglądasz, dziewczyno?

Józefa zacisnęła dłonie na oparciu krzesła.

– To on, prawda, mamó? Dowiedziałam się tego w Zell. O, dobry Boże, to on, ten okropny człowiek, którego musimy nazywać „wujkiem”, ten, którego kazano nam szanować, to on jest moim prawdziwym ojcem. W naszej obecności nigdy nie potrafił trzymać łap przy sobie, chociaż ty byś nie uwierzyła, gdybyśmy ci to powiedziały. Próbował przytrzymać mnie na schodach i ocierał się o mnie, chociaż jestem jego córką.

– Co, co takiego? – wykrzyknął Thorwart. W kuchni było gorąco i mężczyzna zaczął się pocić.

– Pojechałam do Zell! Rozmawiałam z twoimi siostrami, mamó. Rozmawiałam z wieloma innymi ludźmi. Nie było w tobie nic godnego szacunku, mamó, byłaś szalona. Nienawidziłaś własnego domu, chciałaś z niego uciec. Wiem, co zaszło. Ten obrzydliwy człowiek zobaczył, jak idziesz po ciemku przez podwórze, wyszedł i zaprosił cię do tawerny, gdzie bawili się jego przyjaciele. Było to dwa miesiące przed twoim ślubem z tatą, który w tym czasie pracował ciężko, żeby zarobić trochę pieniędzy. Nie wyszłaś przed świtem. Spędziłaś z nim tę noc.



– Jak śmiesz?! – krzyknęła Maria Cecylia. Rzuciła się do przodu, ale Thorwart, chwyciwszy mocno jej ramię, powstrzymał ją.

– Poszłaś do ślubu z dzieckiem, ze mną w brzuchu. I to on, prawda? Kiedy patrzę na niego, widzę swoją twarz; kiedy spoglądam w lustro, widzę jego miny. Szkoda, że nie umarłam, zanim się tego dowiedziałam.

Thorwart kręcił głową, puścił też ramię Marii Cecylii. Patrzył zimnym wzrokiem na rozwichrzone włosy Józefy, na jej brudną po podróży sukienkę.

– Moje drogie dziewczę – powiedział, wyciągając chusteczkę i przecierając nią czoło. – Nigdy nie potrafiłaś odróżnić prawdy od fantazji i już jako dziecko wymyślałaś takie rzeczy, że nikt nie wiedział, co o tobie sądzić. Właściwym dla ciebie miejscem jest scena, na której możesz przeżywać swoje najdziwsze fantazje. Przykro mi, ale w sprawie ojcostwa muszę cię rozczarować. Nie jestem twoim rodzicem. I bardzo się z tego cieszę, bo ty nie jesteś potulna i łagodna, jak przystało młodej kobiecie, a taka na pewno byłaby każda moja córka. – Odchrząknął, przechylił głowę i popatrzył na nią surowo. – Nigdy nie zadałem się z twoją matką – oświadczył takim głosem, jakby się bał, że wymawiane słowa mogą go pobrudzić – choć odczuwałem ogromną pokusę, podobnie jak moi przyjaciele, bo była z niej nie lada flirciarka. O tak, stała przy oknie w samej koszulce. Nie została z nami tamtej nocy, ale wyszła z tawerny z kimś innym. Wybacz, że to odkrywam, madame Weber, ale nie mogę pozwolić, by oczerniano moje imię, kiedy jestem niewinny. Wiele tygodni później przyszłaś do mnie we łzach, bo byłaś przy nadziei. Zaklinam was obie, madame Weber i mademoiselle Józefa, nie wplątujcie w to mojej osoby. Te wszystkie inne oskarżenia są również fałszywe. – Wysunął wyzywająco

podbródek i mocnym, zdecydowanym ruchem obciągnął surdut. – Jestem i zawsze pozostanę dżentelmenem.

Usłyszeli z korytarza śmiech dwóch lokatorów; Józefa ścisnęła oparcie krzesła, jakby się bała, że upadnie.

– Więc kto wobec tego jest moim ojcem? – wykrzyknęła. – Z kim poszłaś tamtej nocy, matko?

Maria Cecylia zapadła się jeszcze głębiej w fotelu i zakryła twarz rękoma. Kiedy wreszcie podniosła wzrok, wyglądała, jakby raptownie postarzała się o kilka lat. Utkwiła spojrzenie w misce z cebulą.

– Miałam wtedy siedemnaście lat – oświadczyła ponuro – i o niczym nie miałam pojęcia. Musisz to zrozumieć. Twój ojciec był żołnierzem w służbie cesarstwa. To nie zdarzyło się tamtej nocy, ale kilka dni później. Zupełnie straciłam głowę, kiedy go zobaczyłam; był taki silny, taki przystojny z tym swoim wąsikiem, zupełnie jak z tamtych baśni, które opowiadałyśmy sobie z siostrami. Guziki jego munduru aż lśniły. Jak ty był wysoki. – Sięgnęła po cebulę i kołysała ją w rękach. – Tak, oddałam mu się i poślubiłabym go, ale odesłano go gdzieś daleko razem z jego regimentem. Nie przychodziły odpowiedzi na moje listy; miałam złamane serce. Wróciłam do Frydolina Webera, który był zacnym człowiekiem. Wiedział o wszystkim, zwierzyłam mu się. On potrafił wybaczać, moja córko, był o wiele bardziej wyrozumiały niż ty.

Maria Cecylia zaczęła zdejmować pierwszą warstwę kruchych cebulowych łupin; po jej policzku spłynęła łza.

– Owszem, wiedział, że nie jesteś jego, Józefo, ale kochał cię tak, jakbyś była, a może nawet bardziej. Mimo wszystko ożenił się ze mną, bo mnie tak kochał.

Józefa zamknęła oczy. Gdyby mogła wyjść z tego pomieszczenia, zrobiłaby to, wiedziała jednak, że nie znajdzie na to dość sił. Załamujący się i oskarżycielski głos matki płynął z drugiej strony stojącego pomiędzy nimi stołu.

– Wy, dziewczęta! – mówiła Maria Cecylia. – Czy któraś z was wie, co to znaczy utracić raz na zawsze urodę, być otyłą i starą, i śmieszłą, noc w noc chodzić samotnie spać, nie być niczyją miłością, niczym kwiatuszkiem? Wychodzić ze skóry, by na stole nie brakło jadła, a mimo to być dla własnych córek obiektem żartów, przykładem głupoty? Kiedyś byłam młoda i piękna jak wy. Tak piękna jak Alojza czy ty...

– Dłużej już tego nie zniosę! – wykrzyknęła Józefa.

Przez jedną krótką chwilę miała ochotę podejść do matki i ją pocieszyć, ale była tak tym wszystkim przerażona, że po prostu uciekła. Biegła, potykając się i płacząc, minęła zaskoczonych lokatorów, którzy rozmawiali na korytarzu. Kiedy biegła ulicą, wiatr rozwiewał jej rozpuszczone włosy. Mknęła obok sklepów i furgonów, nie mając pojęcia, dokąd zmierza.

Po kilku minutach zawróciła i na wpół ślepo pospieszyła w kierunku Petersplatz. Ojciec Paweł, który dopiero co skończył spowiadać, zdejmował właśnie stulę.

– Józefa Weber – powitał ją uśmiechem tak szerokim, że aż marszczył się jego haczykowaty nos. – Słyszeliśmy, że jesteś w Pradze. Zofia zawsze opowiada mi o twoich listach. Czy sezon operowy już się skończył? Dlaczego przyjechałaś do domu? Ależ ty płakałaś! Cóż takiego się stało? Nie wpadłaś chyba w kłopoty, drogie dziewczę?

– Gdzie jest moja siostra?

– Zofia pracuje z zakonnicami w ochronce, dwa domy dalej. Tak się cieszę z jej powrotu; nie wiem, co byśmy bez niej zrobili! Ale jakie masz zmartwienie?

Nie odpowiadając, Józefa pobiegła do dużego budynku, gdzie przywitały ją krzyki niemowląt oraz baraszkujących po korytarzu dzieci. Wbiegła do pokoju, w którym zobaczyła kilka mamek karmiących niemowlęta, potem schodkami w górę do sali lekcyjnej, gdzie wisiał obraz Pana Jezusa wśród dzieci.

Zofia uczyła alfabetu kilkoro dzieci siedzących przy długim stole. Na widok siostry zerwała się, wywracając krzesło.

– Och, skarbie, co ty tu robisz?

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Kiedy przyjechałaś? Dlaczego porzuciłaś Pragę? Och, tak się cieszę! Czekał, poślę maluchy naprzeciwko, do siostry Marii Elizy. No dobrze, dzieciaczki... przyszła moja siostra! – Piątka dzieci oglądała się zaciekawiona, kiedy Zofia wyprowadzała je z sali. Potem zamknęła drzwi i pośpiesznie wróciła do Józefy. Stały objęte obok długiego, niskiego stołu, na którym leżały ilustrowane książki z alfabetem.

Potem usiadły na dwóch niskich krzeselkach, dotykając się kolanami i trzymając za ręce.

– Drżysz cała i płaczesz – zauważyła Zofia.

– Powiedziałam matce takie rzeczy... – Józefa zaczęła zdawać relację z niedawnych wydarzeń. Spoglądała przy tym w bok, jakby próbowała znaleźć jakiś sposób, by uciec od prawdy.

– Och, Józiu, to straszne – wyszeptała Zofia. Rozchyliła wargi, a twarz jej tak pobladła, że piegi wydawały się znacznie ciemniejsze niż przedtem. – Och, moja kochana.

– To oznacza, że nic już nie jest tak naprawdę rzeczywiste – oświadczyła Józefa chrapliwie. – Nic. Jakkolwiek postąpiłam, dobrze czy źle, do tego jednego zawsze mogłam wrócić: byłam córeczką tatusia. To mój ojciec nauczył mnie śpiewu, powtarzam ludziom. Ojciec zawsze ujmował się za mną, nosił mnie na barana. A teraz okazuje się, że w ogóle nie jest moim ojcem. Moim ojcem był jakiś nieznajomy. Nie zniosę tej straty. Nie potrafię. Nie wiem, gdzie w tym świecie miałabym się podziąć po takiej stracie.

Zofia całowała palce Józefy, jeden po drugim.

– Proszę cię, przestań płakać – szeptała – zresztą ja też beczę i nie mamy nawet chusteczki, bo zawsze ją gdzieś gubię. Czekaaj, czekaaj! Wydaje mi się, że zaczynam coś z tego pojmować. Zaraz ci wyjaśnię. Tak, teraz widzę to jasno. – Wytarła nos w fartuch. – Ten żołnierz w ogóle się nie liczy – oznajmiła wyraźnie i dobitnie, głosem, jakim zawsze wygłaszała wszelkie swoje ważne oświadczenia, tym razem nieco tylko się zacinając.

– Jak mógłby się nie liczyć? Co ty opowiadasz?

Zofia zaczerpnęła kilka głębokich wdechów.

– Nie liczy się ani troszkę. Byłaś ukochaną córeczką tatusia, jego Józefą. On ciebie wybrał. Mógłby przecież włożyć cię do koszyka i odnieść do sierocińca, jak stertę starych ubrań, ale tego nie uczynił. No co, zrobił tak?

– Nigdy nie wybaczę mamie.

– Och... mama! – Zofia odetchnęła głęboko jeszcze kilka razy i położyła dłonie na kolanach, żeby przestały się trząść. – Dlaczego jest taka, jaka jest... częściowo właśnie dlatego, ale jest coś jeszcze. Pamiętasz, że kiedy jeszcze w Mannheim ten pierwszy raz zajrzałyśmy do notesu z kandydatami na mężów, zauważyłam, że pierwsze kilka kartek zostało

wycięte? Znalazłam je ostatecznie pod papierem, którym wyłożona jest szuflada, gdzie mama trzyma swoje pończochy. Posłuchaj, mówię ci o tym, żebyś pomyślała też o czymś innym.

Zofia zerwała się, zaczęła biegać w kółko, zbierać porzucone zabawki; mówiąc, zacinała się trochę i nieustannie zerkała na siostrę.

– Słuchasz mnie, Józiu, kochanie? Mama kupiła ten notes, kiedy była młoda i kiedy zaczęła snuć plany dotyczące zamążpójścia jej sióstr. Za kogoś zupełnie nierzeczywistego. Te strony pełne były paszów i ksiąząt oraz synów ojców miast. Jedynie biedna ciocia Greta jej wierzyła i odrzucała wszelkie oferty małżeńskie i dlatego nigdy nie wyszła za mąż. Mama zawsze miała w związku z tym wyrzuty sumienia, ale nie potrafiła się powstrzymać. Musiała planować dla nas wszystkich jakieś niezwykle życie, by powetować sobie tamto niepowodzenie z siostrą i własny upadek. Nie umiała dostrzec szczęścia, jakie przez cały ten czas było jej udziałem. Jedynie czasami je zauważała. A po śmierci papy uświadomiła to sobie, już wiedziała.

– Powinna wiedzieć wcześniej! – wrzasnęła dziko Józefa.

– Chyba czasami wiedziała. Józiu, ludzie rzeczywiście po prostu żyją sobie z dnia na dzień. I dlatego musimy sobie wzajemnie wybaczać. Bo cóż innego możemy zrobić? Mówię ci o tym teraz, bo wszystko to składa się na jedną całość, jaką jest zrozumienie, dlaczego mama jest taka, jaka jest.

– Ja nie mam ochoty jej rozumieć! – krzyczała Józefa, zaciskając pięści. – Nie chcę rozumieć niczego, co jej dotyczy. Mam nadzieję, że już jej nigdy nie zobaczę! Nigdy, przenigdy z tym się nie pogodzę. – Objęła się ramionami i kiwała w przód i w tył.

Zofia uklękła przed nią, zebrane wcześniej szmaciane lalki posypały się na podłogę, a ich małe oczy z guziczków wpatrywały się w obie siostry.



– Przecież papa ciebie kochał najbardziej! Byłam nawet odrobinę zazdrosna, wszystkie byłyśmy. Miałaś tę cząstkę jego, której nikt inny nie posiadał, nawet mama. A ona tak za nim tęskni.

Józefa odwróciła głowę.

– Nienawidzę płakać! – wykrztusiła. – Ale tak długo dusiłam to w sobie. – Po kilku chwilach udało jej się nieco uspokoić. – Cóż – powiedziała, śmiejąc się ponuro i podnosząc z podłogi jedną ze szmacianych lalek – być może po tym, jak powiedziałam mamie o tych nadmiernie ruchliwych łapach Thorwarta, przestanie się on wreszcie u nas pojawiać, i dzięki Bogu! Ale Zosiu – ocknęła się nagle, podnosząc wzrok na siostrę – ja nie spytałam ni słowem o ciebie i o twoje dobre uczynki.

– Wielkie nieba, a cóż to wielkiego w porównaniu z wieściami od ciebie?

– Opowiedz mi choćby po to, żeby odciągnąć moją uwagę od mojego nieszczęścia i powstrzymać mnie od płaczu. Kupię ci sześć rogalików i sześć filiżanek kawy, jeśli ci się to uda.

Zofia obracała dłonie, spierzchnięte nieco od prania, choć prawdę mówiąc, one zawsze tak wyglądały, nawet kiedy była małym dzieckiem. Na jednej widniało głębokie zadrapanie, pamiątka po jakimś bezdomnym kocie.

– Nie ma co opowiadać. – Wzruszyła ramionami. – Zajmuję się tymi maluchami, żeby nie popaść w kłopoty. Och, na pustym podwórku, tu obok, otwieram schronisko dla bezpańskich, chorych zwierząt. Mogłabyś mi przy tym pomóc, szczególnie zaś przy tych większych psach.

– Mogłabym... pomogę ci. Powiedz coś więcej. Nie, nie o Alojzie, sama napisała mi o swoich triumfach. Męcząca dziewczyna! Co u naszej Stani? Czy rzeczywiście wybiera się za mąż, za Mozarta?

–Tak. I mam nadzieję, że to już niedługo. Nie chciałybyś teraz porozmawiać o papie?

– Nie, o czymkolwiek innym. Opowiedz mi wszystko o was. –Józefa poprawiała sukienkę lalki, głowę pochyliła nisko, tak że nie można było odczytać wyrazu jej twarzy. – Mozart to bardzo dobry człowiek, Zosiu – oświadczyła – i ty o tym wiesz, i Stania o tym wie. Przypuszczam, że to jest najważniejsze, kiedy wychodzi się za mąż. Wiele o tym myślałam, kiedy byłam daleko stąd. Kobieta, która go poślubia, poślubia także tę jego część, która tworzy taką niezwykłą muzykę. Ta cała muzyka jest jego częścią i zawsze będzie. – Odłożyła lalkę i sięgając pod suknię na piersi, wyjęła swój srebrny medalion. – Kiedy byłam w Pradze, napisałam do Alojzy, żeby mi go odesłała – oznajmiła, pocierając kciukiem wytarte inicjały. – Chciałam go mieć przy sobie na szczęście. Ona nie miała pojęcia, co jest w środku. A ja chcę ci to powiedzieć. To dziwne, że człowiek tak długo zachowuje tajemnice, a potem ni stąd, ni zowąd je wyjawia. Może to sprawka łez, które zresztą zaraz znowu popłyną. Jesteś gotowa, myszko? Te zamknięte w moim medalionie kosmyki włosów należą do mnie i do Mozarta.

Zofia osunęła się na podłogę, ściągając jednocześnie czepek z głowy.

– Mozarta? – wyszeptała.

–Tak.

– Ależ Józefo, co chcesz przez to powiedzieć? Czemu, na Boga, miałybyś nosić kosmyk jego włosów w swoim medalionie? Myślałyśmy, że dostałaś go od swojego kochanka, tego pierwszego kochanka, i że to jego włosy.

Józefa wstała i podeszła do okna. Zofia też zaczęła się podnosić z podłogi.

– Józiu? – szepnęła, patrząc na napięte ramiona siostry. Nie widziała jej twarzy, bo była zwrócona do okna. – O co chodzi? Powiedz mi!

– Nigdy nie miałam żadnych kochanków, myszko. Wymyśliłam to wszystko. Chciałam, byście wszystkie myślały, że ktoś mnie tak bardzo kocha. Ten medalion znalazłam w sklepiku z używaną biżuterią i sama go kupiłam, a włosy wzięłam z tych, które dał Alojzie.

– Józiu, mówisz poważnie? Ani jednego kochanka?

– Ani jednego.

– Nadal jesteś dziewicą?

– Jestem. – Józefa zawahała się, opierając czoło o szybę okna wychodzącego na ruchliwy Petersplatz. Patrzyła na księgarnię, stoisko z lemoniadą i dzieci wracające ramię w ramię ze szkoły, a w jej głosie pobrzmiwał smutek samotności. – Jesteś rozczarowana?

– Nie, ale... ale byliśmy przekonane, że ty... – Zofii udało się wreszcie wstać. Wcisnęła ręce głęboko w kieszenie fartucha i podeszła do siostry. Potarła nos o bark Józefy, po czym sięgnęła po jej rękę, po tę dużą dłoń z poobgryzаныmi paznokciami. Zerknęła na surowy profil siostry i kilka razy poruszyła ustami, jakby szukała odpowiednich słów. – Kochałaś Mozarta? – spytała w końcu. – Kochałaś?

– Kochałam – odparła Józefa. – Całym sercem. Myślę, że nadal go kocham, choć nigdy bym się do tego nie przyznała. Znasz teraz moje wszystkie tajemnice i musisz przysiąc, jako moja siostra, że nie wyjawisz ich nikomu, dopóki żyję. Życzę Mozartowi i Konstancji wszystkiego, co najlepsze. Uściskaj mnie... jak ja się za tobą stęskniłam! Czy papa naprawdę mnie kochał? Znów się rozplączę. Nie umiem wybaczać. Spróbuję się tego nauczyć. Skoro on jej wybaczył, dlaczego ja nie miałabym? Och, Zosiu, kiedy ja wreszcie odnajdę swoje miejsce?

## *ZOFIA WEBER, CZERWIEC 1842*

Monsieur Novello pochylił się do przodu, wciąż trzymając notes troskliwie na kolanie. Długo trwało, nim wreszcie się odezwał.

– Czy Józefa zawsze miała ten medalion przy sobie?

– Wyjawszy ten krótki czas, kiedy pożyczyła go Alojzie, nosiła go zawsze, do końca życia, a ja, zgodnie z przyrzeczeniem, dopóki żyła, zachowywałam jej tajemnice dla siebie.

– I nigdy nie miała żadnych kochanków?

– Wyszła w końcu za męża, przecież pan wie. Za tego basa, Hofera, którego poznała w Pradze. Przeprowadzili się do Wiednia, gdzie oboje śpiewali. Mieli przez jakiś czas sklep muzyczny, bardzo ładny, i utrzymywali bliskie kontakty z Mozartem. Józefa i mama pogodziły się, ale nigdy za sobą nie przepadały. Czy Hofer wiedział, co jest w medalionie? Nie wiem. Kochała swojego męża całym sercem.

– Pani również wyszła za męża. Pani nazwisko brzmi Haibel. Podpierając się laską, wstałam powoli.

– Rzeczywiście, wyszłam za męża, choć nikt się tego nie spodziewał. Poślubiłam Jana Haibla, będąc już dobrze po czterdziestce. Wcześniej mieszkałam w domu, próbując uchronić mamę przed szaleństwem i powstrzymać od siania zamętu. To pierwsze mi się udało, to drugie okazało się ponad moje siły. – Przeszłam przez pokój, obok stołu, aż do stojącego przy łóżku kufra. – Wiem, że pański pobyt w Austrii wkrótce się kończy, mój angielski przyjacielu, i muszę powiedzieć, że będzie mi pana brakowało. Będzie mi brakowało opowiadania tych historyjek, choć mówiąc szczerze, nie wiem, czy musiał pan wybrać się tak daleko, żeby poznać siostry Weber.

Plecy bolały mnie niemiłosiernie, więc przyłożyłam dłoń do krzyża, nim nachyliłam się nad kufrem. Ściągnęłam z niego szal, którym był przykryty, po czym musiałam użyć obydwu rąk, by podnieść wieko. Z wnętrza uniósł się zapach kurzu, starych papierów oraz drewna.

Monsieur Novello podszedł do mnie z lampą w ręku.

– Co to za nuty? – spytał, zaglądając do kufra, i wtedy jego głos nabrał niezwyklej miękkości. – Już wiem. To jego opery, to opery, napisane jego własną ręką, oryginalne partytury. Znam ten charakter pisma z innych utworów, ale nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie znajdują się partytury całych oper. Proszę o wybaczenie, ale jestem pod takim wrażeniem, że nie mogę się opanować.

Osunął się na podłogę, przysiadł na piętach i kładł na kolanach ciężkie pliki papieru jeden po drugim.

– Jest tu wszystko – mamrotał. – *Wesele Figara, Idomeneusz...* a tutaj, *Uprowadzenie*. A tu mamy drugą arię dla małej Blondy. I *Zaide*, której niestety nigdy nie ukończył.

Mój angielski biograf siedział pośród nut i partytur i ocierał dłonią oczy, bacząc, by ani jedna łza nie spadła na papier. Opadłam ponownie na fotel, a on wyciągnął rękę i mocno uchwycił moją. Poczułam na dłoni dotknięcie jego złotego pierścienia, a mankiet rękawa jego angielskiej koszuli musnął mój nadgarstek.

– Tutaj są wszystkie opery... – wyszeptał.

– Wszystkie, monsieur. Miała je Konstancja, a potem trafiły do mnie.

Puścił moją rękę, swoją jednak trzymał nadal uniesioną w powietrzu, dając mi do zrozumienia, że wzruszenie nie pozwala mu mówić; i to była chwila, w której czułam prawdziwą radość, że zechciał odbyć tę podróż z Anglii i mnie tu odszukać. Przez jakiś czas panowała cisza, w której słyhać

było jedynie jego nierówny oddech oraz turkot przejeżdżającego akurat ulicą powozu. Potem raz jeszcze otarł twarz i zaczął przewracać kartki.

– Monsieur Novello – zwróciłam się do niego – kiedy pierwszy raz przyszedł pan, żeby ze mną porozmawiać, powiedział pan, że postaci kobiece w operach Mozarta znajduje jako niezwykle autentyczne, i spytał, czy ja oraz moje siostry miałyśmy jakiś wpływ na ich kształt. Zachowując stosowną skromność, muszę odrzec, że ten wpływ był jako żywo znaczący. Znaczący, monsieur.

Tymczasem sympatyczny biograf przysunął bliżej lampę i dalej przewracał karty partytur, wypełnione mnogością pięciolinii zapisanych muzyką dla wszystkich instrumentów.

– Tak, jesteśmy w nich wszystkie – oświadczyłam. – Wszystkie bez wyjątku – Alojza, Konstancja, Józefa i ja – wszystkie nasze nastroje, nasza zmysłowość, nasza młodość. Po którąkolwiek partyturę pan sięgnie... *Don Giovanni, Così Fan Tutte* – znajdzie pan tam coś z nas. To my jesteśmy tymi figlarnymi dziewczętami, samotnymi hrabinami, porzuconymi kobietami. Siebie samą widzę w tej pokojówce przebranej za notariusza, choć – niestety! – ja nigdy nie śpiewałam, wcale nie umiałam śpiewać. I bardzo tego żałuję. – Pokręciłam głową. – W późniejszym okresie życia Konstancja śpiewała niektóre z tych arii na koncertach; głos miała dobry, brakowało jej jedynie niezbędnej śmiałości. Józefa, jak już powiedziałam, była ognistą, roziskrzoną Królową Nocy. Kiedy ją w tej roli zobaczyłam, zdawała się błyszczeć jakimś wewnętrznym światłem. Przypomniałam sobie wówczas, jak pojawiała się w naszej wspólnej sypialni, nie mając jeszcze nawet dziesięciu lat, i wywijała nad nami swoim udającym różdżkę patykiem, żeby uwolnić nas od wszelkiego smutku i żalości.

– I udawało się jej? – Zdobył się na półuśmiech.



– Owszem, zarówno wtedy, kiedy byliśmy dziećmi, jak i wiele razy w latach późniejszych.

Wychyliłam się tak daleko, jak mi się udało, i podniosłam kilka kartek z nutami.

– Weźmy tę małą arię z *Figara* – powiedziałam – kiedy to młoda Zuzanna śpiewa w ogrodzie, żeby jej mąż jak najszybciej przyszedł do niej w noc poślubną... *Przybądź, mój miły, przybądź bez zwłoki*. Nie ma prostszej i słodszej muzyki ani też takiej, którą Mozart odczuwałby głębiej.

Monsieur Novello delikatnie dotknął palcami zapisu nutowego muzyki na instrumenty smyczkowe będącej akompaniamentem do arii i podniósł na mnie wzrok.

– Zechce mi zatem pani opowiedzieć o małżeństwie, o jego małżeństwie? – spytał cicho. – I jak w końcu do niego doszło?

– Tak, jak w końcu do niego doszło – powtórzyłam. – Bo wie pan, że niewiele brakowało, by nie doszło. Ale może pan nie wie.

# CZEŚĆ SZÓSTA

## UPROWADZENIE Z PENSJONATU

Późnym rankiem Alojza Weber Lange stała przed ręcznie wypisanym afiszem, który wisiał przed Burgtheater. Zapowiadał nową operę Mozarta. Do budynku wchodzili pospiesznie muzycy, niosąc skrzypce i wiolonczele, pozdrawiali się wzajemnie, rozmawiali o czekających ich angażach.

– Nie, nie ma już na to przedstawienie ani jednego biletu – mówił kolegom jeden z nich. – Moja żona bardzo chciała przyjść dzisiaj. A będzie mogła wysłuchać tego dzieła dopiero jutrzejszego wieczoru.

Grupa robotników dźwigała czerwony dywan, który miał zostać rozłożony od stopni karety do drzwi wejściowych gmachu opery, tak żeby cesarz Józef oraz wielki książę rosyjski nie pobrudzili sobie przypadkiem trzewików. W wielkim pośpiechu przeszło dwóch służących; rozprawiali zawzięcie o kolacji, która miała się zacząć po przedstawieniu.

Alojza weszła za nimi do teatru.

Na widownię padało światło z kilku wysokich okien; dekoracje na scenie przedstawiały turecki harem.

– Gdzie jest Mozart? – spytała kogoś.

– Mozart? Najpewniej w pokoju muzyków. Ciągle szlifuje partie instrumentalne.

Alojza wyszła, skręciła obok zwiniętych płóciennych płacht z tłem dla dekoracji. Wokół panował ruch świadczący o tym, że za kilka godzin wydarzy się coś wyjątkowego. Zza zamkniętych drzwi usłyszała wysokie sopranowe tryle. Wiedziała, że niektórzy rozpoznają jej twarz, nawet pod tym ogromnym rondem słomkowego kapelusza, przyozdobionego

wspaniałymi wygiętymi piórami. Miała na sobie białą muślinową suknię przewiazaną w talii rozciętą jedwabną szarfą.

– To madame Lange – usłyszała czyjś szept. – To sopran z drugiego teatru operowego.

– Siostry mają dla ciebie bilet na dzisiejszą premierę – rzucił jej przez ramię Lange, kiedy tylko się obudziła; jak zwykle, pochłonięty był malowaniem. – Ostatni bilet; ja pójdę jutro. Wydaje się, że połowa miasta mówi o twoim dawnym przyjacielu Mozarcie! – Nic mu nie odpowiedziała; tak bardzo była zajęta studiowaniem swojego odbicia w lustrze.

Poprzedniego dnia wydarzyło się coś, co ją zaniepokoiło. Pewna sopranistka, śpiewaczka popularna kilka lat wcześniej, wyraziła swoje zainteresowanie ponownym angażem do roli operowej i jej oferta została odrzucona przez dyrektorów. „Kiedyś była piękna”, mówili, wspominając ten fakt z uśmiechem. „Teraz jest już po czterdziestce, za stara jak na nasze potrzeby”. Dłonie jej zadrżały, kiedy usłyszała tę rozmowę; siedziała wtedy w swojej garderobie i delikatnymi ruchami pozbywała się piór oraz sztucznej biżuterii, które podczas spektaklu zdobiły jej włosy. Powiedzieć, że była zaniepokojona, to mało; te słowa ją przeraziły. Któregoś dnia, pomyślała, ja również będę stara i ludzie będą sobie rozmawiać podczas moich arii, o ile w ogóle przyjdą mnie posłuchać. Czy tylko tyle daje życie? Lange mnie zdobył, a teraz jedyne, na co go stać, to „Tak, duszko, nie, duszko”. Wzdycha, kiedy mu przeszkadzam, spogląda na mnie zmrużonymi oczyma, wokół których tworzą mu się drobniutkie zmarszczki. Zjedz trochę zupy, powiada i wraca spokojnie do malowania.

Otworzyła drzwi do pokoju dla muzyków: jedynymi dźwiękami, jakie stamtąd dochodziły, było skrzypienie pióra i szelest przesuwanego papieru. Mozart pochylony nad długim stołem zaznaczał zmiany w partiach

instrumentalnych. Obok niego stał jakiś starszy mężczyzna. Szturchnął młodego kompozytora, który zniecierpliwiony, że mu przeszkadzają, zmarszczył brwi i podniósł wzrok.

– Chciałam życzyć ci pomyślności – powiedziała Alojza.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, że przyszłaś mi to powiedzieć!

– Rzadko widywałam tyle zamieszania. Wszyscy spodziewają się wielkiego sukcesu.

– Inscenizacja jest kosztowna. Ja zrobiłem, co mogłem, a co będzie, to się okaże. Posłałem trochę biletów do domu twojej matki, przypuszczam jednak, że ty będziesz w tym czasie śpiewać w tamtym drugim teatrze.

– Dziś nie gramy, przyjdę.

Podszedł bliżej, z widocznym zatroskaniem na twarzy.

– Czy u twojej rodziny wszystko w porządku? Konstancja zdrowa?

– Ma się zupełnie dobrze – odparła Alojza, zniżając głos. – Ale o mnie już nie wypytujesz. Nigdy nie przyszedłeś posłuchać, jak śpiewam. Nie obchodzi cię, czy jestem szczęśliwa, czy jestem zdrowa? Byłam treścią twojego życia, przynajmniej tak mi mówiłeś, a teraz jestem ci obca, bo zalecasz się do mojej siostry. Nie mam pojęcia, jak ona może znieść te twoje umizgi. Zresztą to nieważne, jedynie ten wieczór może mieć jakąś wagę. – Jej słowa płynęły gniewnym szeptem, chociaż przez cały czas ich ton pobrzmiwał czystym srebrem. – Miałam szczęście, że się odkochałam, skoro jesteś taki niestały. Współczuję Konstancji; ona też to kiedyś odkryje.

Mozart chwycił ją za łokieć, pociągnął do magazynu kostiumów i zamknął drzwi, nie zauważając, że kokarda jej szarfy zaczepiła się o klamkę.

– Co się z tobą dzieje? – spytał niecierpliwie. – Dlaczego teraz pytasz, czy cię zapomniałem? Lata całe mi to zajęło, ale wreszcie mi się udało. Nikt

nigdy się nie dowie, ile bólu mi przysporzyłaś. Widzisz, że dzisiaj jestem bardzo zajęty. Mogłaś, Alojzo, przyjść kiedy indziej.

– No cóż – odparła – będziesz więc po prostu jeszcze jednym nudnym, żonatym mężczyzną? Będziesz zatem jak Lange: wierny, głupi, podsuwający żoneczce zupę? – Zagryzła uszmiłowaną wargę. – Nie – oświadczyła, kręcąc głową. – Nie to chciałam powiedzieć. Nie przyszedłam tutaj, żeby się z tobą spierać ani żeby cię zwymyślać, ale żeby złożyć ci propozycję. Oto ona, drogi Wolfgangu! Wczoraj raz jeszcze przypominałam sobie o tournée, które chciałeś ze mną odbyć. Teraz jest odpowiedni czas, żeby rzecz zrealizować. Czemu nie? Ty wyrabiasz sobie coraz lepszą reputację, moja jest ustalona. Chcę wyjechać z tego miasta, wszystko w nim mnie nuży. W głębi duszy mamy ze sobą wiele wspólnego. W tobie też jest ten sam niepokój.

Na zewnątrz ktoś go wołał, a on spoglądał na nią gniewnym wzrokiem, opierając się plecami o drzwi, jakby chciał uniemożliwić jej wyjście.

– Jak możesz być taki nieczuły? – spytała.

– Współczuję ci, że jesteś taka nieszczęśliwa. I nie są to tylko czcze słowa – dodał, widząc wyraz jej twarzy. – Nie spodziewałem się ciebie dzisiaj, pracowałem. Ale przyznaję, że był taki czas, że cię oczekiwałem. Za każdym razem, kiedy nie mogłem zasnąć, słyszałem na schodach twoje kroki. Każdy sopran, który słyszałem, to byłaś ty. Musiałem sobie powtarzać: „To nie ona”. Nawet kiedy byłaś przy nadziei, myślałem, że przyjdiesz, i wiedziałem, że gdybyś to zrobiła, przyjąłbym cię z powrotem. Tak bardzo cię kochałem.

– A teraz zdarza ci się o mnie myśleć?

Znów go ktoś zawołał. Tym razem odpowiedział ostrym tonem i, z zastygłą twarzą, odwrócił się znów do Alojzy.

– Myślę o tobie, Alojzo – wyszeptał.

– A co myślisz? – Uniosła delikatnie rękę i położyła mu ją na piersi.

Wzdrygnął się.

– Myślę, jak nierozważnie cię kochałem i ile bólu mnie to kosztowało, i postanowiłem nigdy już na taki ból się nie narażać. Życie rani nas na tak wiele różnych sposobów, że zastanawiam się czasem, jak to możliwe, że potrafię je dalej ciągnąć. – Popatrzył ponad jej głową na wieszaki z kostiumami. – W końcu zaczynam myśleć jaśniej i zastanawiałem się nieraz, jak to z tym wszystkim jest, jakie na to lekarstwo? W czym ucieczka? I gdzieś pośród tej rozpaczki doszedłem do wniosku, że jedyną ucieczką jest kochać, kochać zwyczajnie, wiernie. Wracać wieczorem do domu, do kobiety, która kocha jedynie mnie, i myśleć, czym takim ja sam mógłbym sprawić jej przyjemność, jak ją uszczęśliwić. Mogę to osiągnąć; będę to miał. A pewnego dnia może będę miał dzieci i tak samo będę je kochał. Nie potrafiłem tobie, Alojzo, dać niczego, co chciałaś, poza moimi pieśniami. O jednym wszakże mogę cię zapewnić: wreszcie przestałem na ciebie czekać.

– Dlaczego przestałeś?

– Bo chcę być tak szczęśliwy, jak to tylko możliwe. Chcę kochać i być kochany.

– Nienawidzisz mnie?

– Przez jakiś czas, owszem, nienawidziłem, ale to już przeszłość. Życzę ci szczęścia.

– Życzysz mi czegoś, czego mieć nie mogę.

– Dlaczego, moja droga?

– Nie wiem. Co ja takiego zrobiłam? Czy to, co było między nami, naprawdę się już skończyło? Myślałam sobie, że jeśli zapragnę bardzo mocno, będę mogła wrócić. I dziś powiedziałam sobie: „Chcę wrócić, chcę



zacząć od nowa, a on na mnie czeka". Czas to coś zupełnie niedorzecznego, sprzecznego ze zdrowym rozsądkiem. Jak możesz mówić „Życzę ci szczęścia, Alojzo!", kiedy tego szczęścia mi odmawiasz? Obiecay mi chociaż jedno, daj mi choć jeden powód do uśmiechu. Zobaczysz się ze mną, kiedy już się ożenisz?

– Postaram się zostać twoim przyjacielem. Więcej zrobić nie mogę, nie zrobię. Spotkałem w ubiegłym tygodniu twojego męża; powiedział, że chciałby mnie malować. Alojzo, czy ty w ogóle wiesz, czego szukasz? Nie mogłabyś tego znaleźć ze mną. – Wyciągnął rękę ku drzwiom. – Słuchaj, muszę już iść. – Otworzył drzwi, powitał go zapach farby i drewna oraz woń palących się dziesiątków długich, białych żyrandolowych świec. Po chwili znów był pochłonięty pracą.

Alojza wybiegała z teatru, cała we łzach, z rozwiązaną jedwabną szarfą w ręce, kiedy natknęła się na Jana Schantza, który właśnie przyszedł, żeby wymienić strunę w fortepianie. Zatrzymała się i popatrzyła na niego wyniośle. Nie omieszkała opowiedzieć o tym Thorwartowi, który powtórzył wszystko swojej żonie; ona z kolei przespacerowała się do pensjonatu w pobliżu Peterskirche z wiadomością, że Alojza poszła spotkać się z Mozartem na osobności i że przez dłuższy czas przebywali oboje w zamkniętym pomieszczeniu, skąd nie można było ich wywabić nawet waleniem w drzwi. Konstancja przyszła z kuchni na górę właśnie podczas rozmowy Marii Cecylii z madame Thorwart. Ona też była w teatrze późnym rankiem i szukała Mozarta; powiedziano jej jednak, że poszedł porozmawiać na osobności z piękną śpiewaczką i że nie pokazał się, mimo że go wołano.

Dla Konstancji sam początek jesieni, kiedy to budynki płoną w popołudniowym słońcu, a drzewa zwieszają gałęzie nisko, nad mokrym brukiem, był zawsze najpiękniejszą porą roku. Z rzadka tylko, kiedy wyszło

się zza rogu, można było poczuć leciutki powiew chłodniejszego powietrza, czasem zauważyć jakieś drzewo, którego liście zaczynały już usychać na krawędziach. Wszystko jednak nadal było bujne, dojrzałe i upajające. Przy stoiskach z lemoniadą kręciły się tłumy. Tymczasem od tej jesieni, myślała sobie, idąc pomiędzy Józefą i Zofią w stronę teatru, aż do końca życia czas ten będzie się jej kojarzył z dojmującym smutkiem.

Rozumiała, że pomimo tych wszystkich ciepłych uczuć, jakimi się darzyli z młodym kompozytorem, w jego umyśle ona zawsze pozostanie jedynie namiastką Alojzy. Kilka ostatnich godzin spędziła samotnie w pokoju do szycia, pogrążona w głębokim żalu i ostatecznie postanowiła, że z taką godnością, na jaką będzie ją stać, rozstanie się z nim. Wysłucha tej opery, z którą zawsze będzie się czuła mocno związana, a jutro wyśle mu liścik. Nie będzie robić scen. Szanowała go za jego ciężką pracę; kochała go za to. Ostatecznie była nieodrodną córką swojego ojca.

Przed teatrem stały dziesiątki koni i powozów, chociaż królewscy goście jeszcze nie przybyli. Konstancja weszła z siostrami do sali teatralnej, gdzie odnalazły swoje miejsca na pozłaczanych, wybitych czerwonym aksamitem krzesłach z lewej strony sceny. Wokół siedzieli już wyperfumowani mężczyźni i kobiety, z upudrowanymi włosami i błyszczącą biżuterią, którzy przyszli obejrzeć premierę nowego dzieła w towarzystwie rosyjskiego wielkiego księcia i samego cesarza. Słysząc było, jak muzycy stroją instrumenty.

Konstancja przymknęła oczy.

Wszyscy wstali, czemu towarzyszył szelest tkanin i szuranie krzesel, i złożyli głęboki ukłon w kierunku łoża cesarskiej. Cesarz oraz jego goście usiedli i zwrócili twarze ku scenie. Wszedł Mozart, w białej peruce, i zajął swoje miejsce przy fortepianie. Konstancja wychyliła się do przodu. Jest

zmęczony, pomyślała, ale już po chwili gniew zdławił współczucie. Rozpoczęła się uwertura i na scenę wyszli śpiewacy.

Słyszała już wcześniej muzykę z tej opery, ale jedynie w niewielkich kawałkach: arie, duety, chóry, wyśpiewane jego lekkim tenorem, z pełnym pasji akompaniamentem fortepianu. Muzyka ta wpływała z jego mieszkania, spływała po schodach, wylewała się z otwartego okna. Teraz od pierwszej chwili dała się porwać doskonałości muzyki wykonywanej przez pełną orkiestrę wraz z rogami i kotłami oraz wspaniałości partii wokalnych. Ścisnęła mocno wachlarz i jeszcze bardziej wychyliła się do przodu.

Główna bohaterka i jej pokojówka wpadają w ręce piratów i zostają sprzedane paszy, a ich wierni kochankowie, arystokrata oraz jego zabawny sługa, ruszają im na ratunek. Już w pierwszej części opery tenor zaśpiewał tę swoją wzruszającą arię, w której przyzywa przepelnionym bólem głosem swoją ukochaną: **Konstancjo, Konstancjo, Konstancjo**. Czuła, jak siostry spoglądają na nią, a Zofia nawet ujęła jej rękę. Wobec tych wszystkich ludzi w teatrze on ją wołał i zupełnie jakby w tej sali nie było nikogo oprócz ich dwojga, wyznawał jej miłość.

**Constanze, dich wiederzusehen, dich!** (Konstancjo, kiedyż cię znów zobaczę?)

Opuściła głowę; gdyby nie siedziała w środku rzędu, wybiegłaby stamtąd, szlochając, **Immer noch traurig, geliebte Constanze?** (Czy ciągle jesteś smutna, ukochana Konstancjo?) wyśpiewał basem paszy. Poczula, że Zofia mocno ściska jej dłoń. I tak wybrzmiały jedna za drugą arie, duety i chóry, aż nadeszła pora na ów wielki kwartet, kiedy to odnajdują się obie pary kochanków.

**Wohl, es sei nun abgetan, es lebe die Liebe!** (Porzućmy wszelką niepewność; , miłość nasza trwać będzie wiecznie!)

Kochankowie zostają pochwyceni, ale dobroduszny pasza wybacza im i wysyła w drogę pośród radosnego śpiewu solistów i chóru, wybijającego się ponad żywe dźwięki muzyki orkiestrowej. A potem owacjom nie było końca. Przez łzy Konstancja widziała, jak zgrabna, drobna postać w białej, jedwabistej peruce zgina się w ukłonie.

– Poczekasz na niego – powiedziała Józefa.

– Nie, muszę wracać do domu.

Zapadał zmierzch, kiedy znalazły się na swojej ulicy; spojrzawszy w górę, zobaczyły, że jeden z nowych lokatorów stoi w oknie i paląc fajkę, patrzy na kościół. Kiedy szły przykrytymi chodnikiem schodami na swoje piętro, zobaczyły wytaczającą się z kuchni matkę.

– Nareszcie w domu – zaskrzeczała. – Chodźcie, opowiedzcie mi, jaka była ta opera. Na pewno zrobi klapę. Żona Thorwarta powiada, że jest nazbyt kwiecista, jak zresztą przypuszczałam.

Konstancja przyjrzała się jej uważnie. Zmarszczyła brwi, a potem odwróciła się i spojrzała przez ciągle nie zamknięte drzwi frontowe na mijające kościół powozy.

– Myliłam się – wyszeptała. – Moje serce to wie, ja to wiem. Słyszałam to w tej muzyce. To wcale nie jest tak, jak ludzie mówią. Idę do niego.

– Co?! – wykrzyknęła jej matka. – Oszalałaś? A co z twoją reputacją? Czy mogę chociażby mieć nadzieję, że powiesz mu żegnaj?

– Mamo – krzyknęła Zofia. – Nie mieszaj się w to.

Konstancja biegła ulicami. O tej porze zapalający światła przestawiali swoje drabiny od jednej latarni do drugiej, a piękne kamienne elewacje domów płonęły w łagodnym, złocistożółtym świetle. Naprzeciw niej szli ludzie, część operowej publiczności, gawędzili o muzyce i o strojach, o

biżuterii i fryzurach, o cesarzu i towarzyszących mu osobistościach, którzy wszyscy udali się na wytworną wieczerzę, gdzie podadzą słonki i ryby, i wino pochodzące z otaczających miasto winnic. Czy Mozart będzie już w domu? Nie minęła jeszcze godzina od końca spektaklu i możliwe, że wciąż jeszcze odbiera gratulacje.

Przed domem jak zwykle tkwiła dozorczyńni. Kobiety pozdrowiły się skinieniem głowy; Konstancja otworzyła ciężkie skrzypiące drzwi i weszła po schodach na piętro.

Mozart dopiero co przyszedł; drzwi nadal były otwarte. Stał pośrodku pokoju w czerwonym żakiecie, ozdobionym srebrną koronką, na jego policzkach widoczne były resztki różu. Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem, jakby jej nie rozpoznał.

– Wejdz – odezwał się w końcu. – Nie sądziłem, że przyjdiesz. Wiem, co ci naopowiadano. Staniu, to wszystko nieprawda. Nigdy już nie spojrzałem na twoją siostrę, odkąd zrozumiałem, że kocham ciebie. Wiesz o tym, prawda? Wierzysz mi?

– Tak, wierzę.

– Dzięki Bogu. Jestem tak zmęczony, że nie mam pojęcia, czy znalazłbym odpowiednie słowa na swoją obronę, przynajmniej nie dzisiaj. Dokonałem tego, dokonałem. Bóg był przy mnie i dokonałem tego. I widziałem... byłaś tam.

Podszedł do niej i kilka razy czułe ją pocałował. Przytuliła się do niego.

– Dozorczyńni wie, że jestem u ciebie – wyszeptała.

– I co z tego? Co nas to obchodzi? Co nas obchodzi, co inni sobie myślą?

– Nic, rzeczywiście nic. Już nie. Tylu ludzi cię dziś oklaskiwało.

– Trochę słyszałem. Kiedy wychodziłem, podszedł do mnie hrabia Arco, człowiek arcybiskupa. Wyraził nadzieję, że już wkrótce Salzburg będzie miał przyjemność wysłuchać mojej opery. Przez chwilę nie zwracałem na niego uwagi, a potem spytałem po prostu: „Do mnie pan mówił, monsieur?”

– Mam nadzieję, że dałeś mu kopniaka. Zasłużył sobie.

– Sprawiłoby mi to przyjemność, on jednak jest wielmożą, a ja jestem pospolity niczym aniołowie, jak ujęłaby to Zosia. Kopnąłem go słownie, to musi wystarczyć.

– Cieszę się, że przyszłam, bardzo się cieszę. Jestem ogromnie rada, ale muszę już iść.

– Zostań – poprosił.

Stali, trzymając się za ręce i całując w padającym z ulicy świetle. On rozchylił dekolt jej sukni i całował szyję oraz ramiona, a jednocześnie razem przesuwali się w stronę łóżka, jak zwykle pozostawionego w nieładzie. Leżało tam codzienne ubranie Mozarta i kiedy Konstancja się położyła, poczuła pod plecami guziki jego kaftana. On z ustami przyciśniętymi do jej ust rozsznurowywał stanik sukni. Tasiemki stawiały opór. Splątali nogi. Każde z nich bładziło rękoma po ciele drugiego, odkrywając więcej sekretnych miejsc niż kiedykolwiek przedtem. On był niezdarny, ona nieśmiała. Wszedł w nią, a kiedy wytrysnął, ona krzyknęła głośno.

Potem leżeli w półmroku, przyglądając się sobie wzajemnie.

– Wiesz – wyszeptał – po ślubie wynajmiemy większe mieszkanie przy samej Graben, najlepsze. I będą tam przychodzić muzycy oraz aktorzy. Będzie jak w wasze czwartki, tyle że na koniec wieczoru nie pocałuję cię w rękę i nie odejdę, ale poprowadzę do naszej sypialni. – Nigdy wcześniej nie



byłem z kobietą – dodał po chwili poważnym tonem. – Mam nadzieję, że dobrze się sprawiłem.

– Nigdy nie byłam z mężczyzną, ale nie sędzę, by mogło być lepiej.

– Nie będziemy czekać na niczyje pozwolenie – oświadczył. – Weźmiemy ślub.

Obudził ją świt. Ubierała się szybko, znajdując pozwijane pończochy pod łóżkiem, zawiązując spódnice spodnią na koszuli, wślizgując się w stanik sukni wierzchniej, wiążąc kolejną spódnice. Starła się poruszać jak najciszej, żeby go nie obudzić. Mozart leżał na plecach, z ramionami ułożonymi nad głową, oddychał bardzo spokojnie. Dotknęła jego warg i szepnęła mu coś do ucha. Westchnął, uniósł się, żeby ją pocałować, i nim to zrobił, zasnął ponownie. Nieruchoma, szara poświata spowijała stół, na którym leżała zamknięta, oprawiona partytura jego opery. Zbiegła po schodach, minęła dozorczynię, która blaszaną łyżką jadła zupę i przyglądała się wiernym, zmierzającym po świeżo opłukanym bruku do świątyni na poranne modlitwy.

W domu powitał ją brzęk śniadaniowych naczyń. Miała już pobiec na górę, kiedy z kuchni wyłoniła się matka z twarzą pobladłą i gniewną.

– Przychodzisz tu jak jakaś ladacznica. Całą noc spędziłaś z nim, co? Wiesz, jaki on jest, jacy są wszyscy mężczyźni! Wątpię, by cię poślubił po tym, jak dostał to, czego szukał, ale jeśli to zrobi, to ja i tak nie przyjdę na twój ślub.

– To nie przychodź – odparła Konstancja spokojnie i poszła do pokoju, objęła młodszą siostrę i wszystko jej opowiedziała.

Minął niemal miesiąc od premiery i w tym czasie operę wystawiono wiele razy. Sukces ten, kilka lukratywnych zamówień oraz koncert publiczny, na który już wyprzedano wszystkie bilety, spowodował, że

Mozart mógł wynająć mieszkanie przy eleganckiej ulicy Graben, gdzie cały świat, a przynajmniej ta jego najbardziej wytworna część miała codziennie paradować pod oknami. Matka najpierw dała wyraz przekonaniu o czekającym córkę głodzie oraz niewierności jej przyszłego męża, po czym niespodziewanie zgłosiła chęć pomocy przy organizowaniu zaślubin.

Józefa i Zofia przesiadywały godzinami w pokoju do szycia, gdzie haftowały kwiaty na żółtym atłasie ślubnej sukni. Uroczystość miała się odbyć w Stephansdom o godzinie trzeciej, w ostatni czwartek października.

Nadszedł moment, kiedy zostało już tylko pół godziny do ceremonii. Konstancja, w swojej sypialni, ubrana tylko w bieliznę i suknię spodnią, oderwała się od Zofii i Józefy, które pomagały jej przy ubieraniu, i wybuchła płaczem. Ni stąd, ni zowąd przypomniało jej się, jak to mając cztery lata, zgubiła się na mannheimskim rynku i błądziła całe godziny – tak się jej zdawało – nim siedzącą pod straganem z kiełbasą odnalazł ją ojciec. A potem przypomniał jej się tamten rok, kiedy wszyscy zapomnieli o jej urodzinach.

– Chcę do tatusia! – zaszlochała. – Skąd mam wiedzieć, jakie będzie to małżeństwo? Jak dzielić z nim wszystko, tak jak dzieliłam z wami, a poza tym, skąd mam wiedzieć, że po roku czy dwóch wciąż będzie mnie kochał? – Wpatrywała się w nie, a łzy spływały strumieniami po jej policzkach. – A teraz jeszcze zapuchłam od płaczu; nie zechce mnie, kiedy zobaczy, jaka jestem brzydka.

Zofia troskliwie trzymała przewieszoną przez ręce suknię ślubną, jakby to była gotowa do złożenia ofiara.

–Daj, przemyję ci oczy – zaproponowała. – Wszystkie kobiety tak się czują tuż przed ślubem. W każdym razie słyszałam o tym, bo przecież ja

sama nie mam żadnych doświadczeń w tym względzie. Jasne, że chcesz za niego wyjść. Przestań płakać, na miłość boską.

– A jeśli okaże się to straszne i żałosne, to przecież mam was obie. Mogłybyśmy wtedy wrócić tu, żeby było jak dawniej, prawda? Mogłybyśmy?

– Tak, kochanie – odparła Józefa. – Mogłybyśmy, ale czy chcemy tego? Nie sądzę, byś kiedykolwiek chciała tu wrócić. A teraz, proszę, włóż pończoszki. Nie zamierzasz chyba brać ślubu boso? Święci pańscy, popatrzcie, która godzina! Będziemy musiały biec całą drogę do kościoła.

Konstancja pozwoliła siostronom zasznurować stanik sukni i zawiązać szeroką żółtą atlasową spódnicę, w której rozcięciu widać było suknię spodnią. Kwiaty zdobiące suknię ślubną, wspólne dzieło trzech sióstr, nie wszystkie były haftowane z taką samą zręcznością. Na koniec Zofia wyjęła z pudełka biały aksamitny kapelusz z szerokim rondem.

– To prezent od Alojzy – oznajmiła, obracając go z podziwem w rękach. – Prosto z Paryża, naprawdę tam go wykonano. Jest jedyną z nas, którą było na to stać. Przypięłam kwiaty. Proszę cię, załóż go! Ona na pewno chciała, żebyś była dzisiaj szczególnie ładna. Owszem, przyjdzie do kościoła. Odrobinę różu, o tak! Jesteś najliczniejszą kobietą w całym Wiedniu. A teraz już chodźmy. Matka też czeka i jeśli się nie pospieszymy, wróci tu i zacznie szukać tego notesu z kandydatami na mężów, który spaliłam już wiele tygodni temu. Jeśli kiedyś wyjdę za mąż, to tylko z miłości.

Konstancja miała takie lodowate dłonie, że niemal ich nie czuła.

– Żegnaj, mój pokoju. Żegnaj dzieciństwo – wyszeptała i wszystkie trzy razem wyszły z domu na spotkanie wydarzeniom, jakie niosło ze sobą to październikowe popołudnie.

W katedrze patrzyła na wszystko przez koronkową, wyszywaną kwiatkami woalkę. Przy wejściu kręcił się uśmiechnięty, zaczerwieniony Alfons, który miał ją poprowadzić do ołtarza. I kiedy tak szła z nim, przez koronkę widziała wewnątrz tej ogromnej, gotyckiej świątyni oraz twarze rodziny i przyjaciół, włącznie z tym wstrętnym bratem ojca, Józefem. Zobaczyła też zapłakaną matkę.

– No cóż, spełniło się moje życzenie – mamrotała Maria Cecylia do stojących obok ludzi.

Konstancji wydało się, że jakiś starszy mężczyzna uśmiechnął się do niej, i zastanawiała się, czy to przyjaciel Mozarta, Haydn. Był też skrzypek Heinemann, stary przyjaciel ojca, przybyły specjalnie z Monachium na jej ślub, ale gdzie byli ojciec i siostra Mozarta? Błogosławieństwo przyszło pocztą poprzedniego dnia, ojciec się jednak nie pojawił.

Przy ołtarzu zauważyła szeroko uśmiechniętego Leutgeba ze złożonymi dłońmi, Mozarta natomiast nigdzie nie widziała. Dopiero kiedy z wielkich piszczałek organów buchnęła muzyka i Leutgeb podniósł wzrok ku chórowi, Konstancja pojęła, że on właśnie dla niej gra. Po chwili muzyka umilkła i usłyszała szybkie kroki na schodkach prowadzących z chóru.

Oboje wylewali łzy podczas całej ceremonii, najbardziej zaś wtedy, kiedy uklękli już jako mąż i żona, żeby przyjąć komunię świętą. Nie widzieli nikogo, tak bardzo byli na sobie nawzajem skoncentrowani. Na koniec on podał jej ramię i poszli razem pomiędzy przyjaciółmi i krewnymi.

– A teraz, moja Konstancjo – szepnął, przyciągając ją do siebie – będziemy już zawsze szczęśliwi.

Przytuleni do siebie, to śmiejąc się, to ocierając łzy, czekali przed Stephansdom, aż wyjdą pozostali i porwą ich ze sobą na weselną wieczerzę.

## *ZOFIA WEBER, LIPIEC 1842*

Dzisiaj ostatni już raz monsieur Novello powiedział mi *adieu*, a ja siedziałam czas jakiś w półmroku pokoju, nim zawołałam, żeby przyniesiono mi świece. Prawdę mówiąc, w ciągu minionego roku myślałam czasem, czyby mu nie powiedzieć tych kilku rzeczy, które zatrzymałam dla siebie, ostatecznie jednak tego nie uczyniłam. Spaliłam listy Mozarta do Alojzy, do których posiadania w ogóle się nie przyznałam. Sama jedynie raz do nich zajrzałam, bo były nazbyt bolesne. Pytał w nich Alojzę, dlaczego ona nie może go kochać tak, jak on kocha ją. Konstancja nigdy ich nie widziała; nie było powodu, żeby je czytała. Sprawiłaby jej jedynie przykrość.

„Ale czy byli już zawsze szczęśliwi?“, monsieur Novello pytał mnie kilkakrotnie tamtego popołudnia, kiedy stał z tym swoim przenośnym biurkiem w ramionach, tuż przed wyjściem. W niektóre spośród wielu naszych wspólnych popołudni próbowałam mu to wyjaśnić. Że była namiętność, owszem, jak najbardziej. Było też mnóstwo radości, a kiedy indziej znów kłopotów, jako że nasz ukochany Mozart nie bardzo pasował do tego świata. Były chwile, kiedy Konstancja wściekała się na niego, a potem mu wybaczała. Wystarczyło popatrzeć na jego drobne ramiona, nie ogoloną twarz, włosy (podczas występów zawsze ukryte pod białą peruką) kasztanowe i rozwichrzone. Te włosy pachniały woskiem świec. Ona mi to powiedziała. Mieli kilkoro dzieci. Zmarł młodo; miał trzydzieści pięć lat, a ona zaledwie dwadzieścia dziewięć, kiedy go utraciła.

Długo jeszcze, zanim poszłam spać, myślałam o pytaniu monsieur Novella. Ach, mój panie, z tymi wszystkimi kartkami pełnymi notatek i z powalanymi atramentem palcami! Kto tak naprawdę może wiedzieć, co się

dzieje pomiędzy mężem i żoną? Nawet oni sami czasami tego nie wiedzą, ale jestem pewna, że Mozart i Konstancja przeżyli razem wiele pięknych chwil. Czegóż więcej trzeba nam szukać na tym świecie?

TTLR



## UWAGI HISTORYCZNE

Powieść niniejsza oparta jest na faktach z życia młodego Mozarta.

Znał blisko wszystkie cztery siostry Weber. Alojza była tą, która złamała mu serce, a Konstancję poślubił. Wiemy, że zarówno on, jak i jego żona pozostawali w bardzo zażyłych kontaktach z Zofią (w listach zawsze przysyłał jej całusy) oraz że niektóre ze swoich najwspanialszych arii napisał dla Józefy.

W Wiedniu Mozart z trudem zarabiał na życie; uznanie, jakie zyskała jego opera *Uprowadzenie z seraju*, zapoczątkowało krótki okres pomyślności. Rzeczywiście ukrywał Konstancję w domu baronowej, żeby ochronić ją przed niezrównoważoną matką, i rzeczywiście był wstrząśnięty, kiedy się dowiedział, że pozwoliła jakiemuś młodemu człowiekowi mierzyć sobie obwód łydki. Choć niektóre daty dotyczące życia codziennego oraz wydarzeń muzycznych zostały dla celów tej powieści nieco zmienione, niezbitym pozostaje fakt, że Mozarta wykopano, w sensie dosłownym, z pałacu arcybiskupiego. Jego bliski przyjaciel, muzyk Leutgeb, dla którego Mozart napisał wiele utworów na róg, był naprawdę właścicielem sklepu z serami w Wiedniu. Po ślubie Mozart był uprzejmy i szczodry dla swojej nieznośnej teściowej.

Anglik Vincent Novello jest postacią autentyczną. Odwiedził w Salzburgu sędziwą Konstancję (która już wówczas pochowała drugiego męża), żeby wydobyć od niej jak najwięcej informacji o życiu Mozarta. Zofia mieszkała także w Salzburgu i przeżywszy pozostałe siostry, umarła w wieku osiemdziesięciu trzech lat.